

JOLANTA  
MOKRZYŃSKA



CO DWA  
TYGODNIE  
DO KOŃCA  
ŻYCIA



JAKĄ CENĘ MOŻNA ZAPŁACIĆ ZA MIŁOŚĆ?  
A JAKĄ ZA ŻYCIE BEZ MIŁOŚCI?

JOLANTA  
MOKRZYŃSKA

CO DWA  
TYGODNIE  
DO KOŃCA  
ŻYCIA



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Mężczyznom, którzy odeszli z częścią mnie*

*Chciałabym mieszkać z Tobą w małym miasteczku  
Gdzie wieczny półmrok i wieczne dzwony  
I w małym wiejskim zajęździe ciche tykanie starego zegara  
Jak kropelki czasu  
A czasem wieczorem z jakiegoś poddasza flet  
I sam flecista w oknie  
I duże tulipany na oknach  
I może byś nawet mnie nie kochał*

*W środku pokoju wielki kaflowy piec  
A na każdym kaflu rysunek  
Serce – róża – okręt  
A w jedynym oknie śnieg, śnieg, śnieg*

*Leżałbyś taki, jakiego Cię kocham  
Leniwy, obojętny, beztroski  
I tylko z rzadka cichy trzask zapałki  
Papieros jarzy się i przygasa  
I długo, długo drga na jego czubku szary słupek popiołu  
Nie chce Ci się nawet go strzepywać  
I cały papieros leci w ogień*

MARINA CWIETAJEWA  
PRZEKŁAD: JOANNA SALAMON

Mężczyźni, którzy nie potrafią robić minety, są najgorsi. Właśnie taki mi się trafił. Muszę mu oddać, że starał się usilnie, ale im bardziej się starał, tym gorzej mu to wychodziło. Nawet pojękiwał z rzekomego zatracenia, klęcząc przede mną i przed wielkim brązowym biurkiem, na którym siedziałam z nogami na jego ramionach. Tyle że wszystko robił źle. Poruszał językiem nie tam, gdzie trzeba, i nie w takim tempie, jak należy. Chaotycznie, zbyt brutalnie, bez sensu i bez przekonania, chociaż przecież w tym wieku musiał już znać szczegóły anatomicznej budowy kobiecego ciała. Może w szkole spał na lekcjach biologii; lechtaczka wciąż miała dla niego zbyt wiele tajemnic. Przesunęłam pośladki do przodu po gładkiej i śliskiej powierzchni służbowego biurka. To nie był dobry ruch – poczułam jego zęby na swoich wargach. O nie, tylko nie to. Jeśli on zacznie gryźć, ja zacznę krzyczeć. I to bynajmniej nie z rozkoszy. Zanurzyłam rękę w gęstych, ciemnych włosach. Udało mi się pohamować, by nie odepchnąć jego głowy jednym szybkim ruchem. Podciągnęłam ją tylko nieco do góry; może uda się jeszcze skierować go na właściwe tory. Nie udało się. Drażnił mnie, zamiast pieścić, a moja irytacja narastała wprost proporcjonalnie do kurczących się nadziei na zaspokojenie. Dobry Boże, co za oferma. Było to tym smutniejsze, że w jego sytuacji naprawdę sporo zależało od tego, jak sobie poradzi. Niestety, nie radził sobie w ogóle. Z grzeczności chciałam wytrzymać jeszcze trochę, ale już nie mogłam. Moje uda same się zaciskały, stopy walczyły z pokusą kopnięcia go w obojczyki, a wargi zamykały się byle ściślej, byle szczelniej, byle tylko nie dać jego nieporadnemu językowi dostępu do miejsc, które były zbyt delikatne na tępą jednostajność tych ruchów, stanowczo za mocnych i źle wymierzonych.

– Dobrze, dajmy sobie z tym spokój.

Nie odepchnęłam jego głowy kolanami, tylko odsunęłam go nieco i złączyłam nogi tuż przed jego twarzą. Zachowałam się więc jak najbardziej kulturalnie, ale zaskoczenie malujące się na twarzy chłopaka było tak wielkie, jakbym co najmniej wycelowała szpilką buta w jego oko.

– Ale jak to?

Usta miał całe mokre; niestety nie z powodu mojej ekstazy, a jedynie od swojej śliny. Wstałam z biurka i zgarnęłam majtki z podłogi. Wciągnęłam je dość zgrabnie, nawet nie musiałam podnosić spódnicy. Wygladziłam ją tylko i sprawdziłam ułożenie szwów. Wszystko pod jego wzrokiem – najpierw zaskoczonym, później pytającym, a na końcu bliskim płaczem.

– Tak to, normalnie. – Nie chciałam być okrutna, wystarczyło, że byłam rozzarowana. I to w dniu, w którym tak bardzo potrzebowałam rozluźnienia. – Nie zaliczę panu tego egzaminu. – To znaczyło, że nie zwolnię go z powtórki z koszmaru. We wrześniu miał zdawać poprawkę u profesora Piekutowicza, postrachu i legendy studentów nauk politycznych. Już w czerwcu oblewała mnie więcej połowa, a tylko nielicznym udawało się uratować podczas sesji poprawkowej. Przyjmujemy ich zbyt wielu i bez żadnej weryfikacji, mówiono na radzie wydziału. Starzy profesorowie nie mogli się pogodzić z tym, że matura zastąpiła egzamin wstępny. Musieli znaleźć jakiś inny sposób na odsianie studenckiego ziarna od plew; sposobem tym okazał się egzamin u mojego promotora i przełożonego. – Musi pan poczekać do września, pójść do profesora i po prostu zdać egzamin.

Rzecz jasna, słowo „zdać” wyrażało w tym przypadku nieuzasadniony optymizm, jeśli nie wprost kpinę. Profesor Piekutowicz zje studenta Baślaka na śniadanie, tak jak zrobił już poprzednio, wpisując mu dwóję do indeksu; wiedzieliśmy o tym i ja, i student Baślak.

– Ale... pani doktor... przecież pani obiecywała! – Mówił jak rozżalone dziecko, któremu nierozsądny rodzic wspomniał kiedyś o kolejce elektrycznej, a gdy przyszły święta, to stać go było tylko na samochodzik. Mnie w tym przypadku nie było stać na nic. Dostał szansę – sam sobie jest winien, że ją zmarnował.

– Niczego nie obiecywałam, zastanawiałam się. Przykro mi, nie zda pan u mnie. Nie umie pan.

Rzeczywiście nie umiał, a jak się okazało, nie posiadał innych zalet, które zrekompensowałyby braki w jego wiedzy. Sięgnęłam po czarny żakiet – zupełnie zbędny w lipcowym upale, ale konieczny na uroczystości, na którą się wybierałam. Pozostało mi już niewiele czasu, a student Baślak zaczynał mnie męczyć. Powinien mieć na tyle rozumu w głowie, by pojąć swoją kompromitację i jak najszybciej wyjść z mojego gabinetu. Zwłaszcza że trzeba mu było brać się za nadrabianie lektur do egzaminu u Piekutowicza – skoro zaniedbał tajniki sztuki minety, to teraz musi poświęcić się meandrom historii myśli politycznej.

– Ale... mówiła pani mówiła, że mam szansę zdać u pani.

Profesor Piekutowicz ufał mi absolutnie; nie tylko mogłam zwolnić kilka osób z egzaminu, ale też ku niewysłowionej uldze studentów zdarzało mi się czasem go zastępować podczas sesji poprawkowej. Tak jak w tym roku – profesor wyjeżdżał na jesień do Baton Rouge i nie uśmiechało mu się zostawiać sobie poprawkowiczów na czas, gdy myślami był już przy Ericu Voegelinie i jego niemieckich perwersjach nad Platonem. Dlatego dwa z trzech terminów poprawkowych – wbrew uniwersyteckiej tradycji i zupełnie pozaregulaminowo, za to ku ogromnej radości studentów – wyznaczył na lipiec; i to podczas moich, a nie swoich dyżurów. Sobie zostawił tylko jeden wrześnieowy dzień; dobrze wiedział, że wieści o szczęśliwym zastępstwie szybko się rozniosą, więc i tak wszyscy ustawią się w kolejce do mnie. Student Baślak nie tylko ustawił się w kolejce, ale też przyniósł mi kawę z serduszkami wyrysowanymi pianką i czekoladą, skomplementował mnie dziesięciokrotnie, po czym zapytał, czy może przyjść na mój dyżur poza oficjalnymi godzinami egzaminowania. Miał spore nadzieje; ja też miałam pewne – bardzo chciałam dostać jakąś przyjemność, zanim pójdę tam, dokąd się wybierałam.

– Szansę, panie Piotrze. Szansę pan miał, ale wpisu nie będzie. A teraz przepraszam. Trochę się spieszę.

Wyminęłam go i podeszłam do drzwi. Przekręciłam klucz w zamku; rzecz jasna wcześniej zadbałam o to, by zamknąć gabinet od środka. Wciąż nie otarł ust; wilgoć zasychała wokół jego warg pełnych i dużych, które były teraz otwarte i zdziwione. Miał bardzo ładne usta, sądziłam, że się nada. Szkoda.

– Muszę wyjść, więc gdyby i pan był uprzejmy...

Potrwało jeszcze chwilę, zanim zrozumiał. Otworzył drzwi na oścież, na wypadek gdyby jego zawód przeszedł we wściekłość. Nie wyglądał wprawdzie na takiego, co bije kobiety, ale różnie bywa z mężczyznami, którym zburzono dobre mniemanie o sobie, i to nie tylko w sferze intelektualnej.

– Do widzenia.

Nic nie odpowiedział; usiadł na ławce w korytarzu. O tej porze roku Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych świecił pustkami, ale cóż, jeśli chce tam siedzieć, jego sprawa. Zamknęłam drzwi i kierując się do wyjścia, przeszłam obok niego. Dłonie zaciśnięte w pięści, kolana oskarżycielsko we mnie wycelowane, pochylona głowa. Student Baślak – obraz nędzy i rozpaczy z bezużytecznym językiem w fałszywie rozkosznych ustach. Na korytarzu było nie tylko pusto, ale też głucho; stukot moich szpilek musiał docierać do niego bardzo wyraźnie. Pewnie tak wyraźnie, jak wizja powtórnego egzaminu u postrachu studentów. Nie miałam czasu na myślenie o jego stresie i zmartwieniu; miałam własne. Spieszyłam się na pogrzeb.

\*

„Informujemy, że Pani Michalina Kańska w dniu 24 maja 2004 roku złożyła egzamin z wynikiem 99/100 punktów i niniejszym zostaje przyjęta na pierwszy rok studiów magisterskich na Wydziale Polonistyki, i wpisana w poczet studentów Uniwersytetu Warszawskiego”. Zaledwie kilka linijek potwierdzających to, co już wiedziałam – parę dni temu widziałam listę przyjętych wywieszoną wraz z punktacją; moje

nazwisko było u samej góry. Jednak płachta papieru przyczepiona pinezką do drzwi przez jednego z asystentów to nie to samo, co pismo z odpowiednią pieczęcią i niezbędną suchością sformułowań. Zły styl jako warunek mocy urzędowej. Drugi list przyszedł trzy dni później, jakby nie mogli włożyć dwóch kartek do jednej koperty. „Informujemy, iż na rok akademicki 2004/2005 Pani Michalinie Kańskiej zostało przyznane miejsce w Domu Studenckim nr 3, ul. Kickiego 9, 04-398 Warszawa Praga Południe”. Ponura sława tej dzielnicy jeszcze nie stanowiła dla mnie żadnego konkretnego obrazu. Wyłącznie niedopowiedzenia, jedynie luźne hasła, same kontury, które dopiero trzeba będzie wypełnić kolorem. Zresztą po czterech latach internatu daleko od domu żaden akademik nie był w stanie mnie przestraszyć. Ważne, by mieć tam swoje łóżko i swój kawałek podłogi na książki. Niewiele więcej było mi trzeba. Wszystko inne dopiero miało się zacząć, wszystko miało być piękne i wszystko było jeszcze przede mną. Tak jak najdłuższe wakacje w życiu – cztery miesiące leniwych poranków i nieprzyzwoicie długich wieczorów, spacerów po polach i książek przerzucanych kartka za kartką. Nieznośne oczekiwanie, końcówka wyroku, ostatnie dni odsiadki w poczekalni życia. Jeszcze trochę, już niedługo, zaraz wszystko się zacznie. Niesprecyzowane, zupełnie niewiadome wszystko. Tak jakby do tej pory moje życie było wprawką; prawdziwą powieść miałam zacząć pisać od październikowej kartki w kalendarzu.

A tymczasem była nuda – nuda za długich, podobnych do siebie dni, nuda pustych popołudni, nuda wciąż tych samych twarzy spotykanych na rynku, w spożywczym albo na przystanku. Centrum życia mojej wsi stanowiła pijalnia piwa – podupadła gospoda, która z garmażerii przestawiła się na wyszynk najmniej wyszukanych i najtańszych trunków. Mimo zakazu wynoszenia naczyń poza lokal w letnie wieczory chodnik przed dawną gospodą roił się od obserwatorów życia ze szklankami w dłoniach. Najczęściej były to popękane dłonie o brudnych paznokciach, choć pracy we wsi było coraz mniej. Nielegalna wycinka drzew w lasach, pola coraz częściej leżące odłogiem, bo za ceny upraw w skupie i tak nie można się było utrzymać, jeden zakład włókienniczy, który ocalał z PRL-u, ale wciąż balansował na granicy plajty. Widok na kościelną wieżę i cmentarz na górze. Nieruchome, letnie powietrze nakrywało wszystko jak czapka; przyduszało, tłamsiło, mdliło. Z przystanku czasem odjeżdżały autobusy, ale częściej okupowali go młodzieńcy z odpowiednim zapasem puszek piwa w kolorowych siatkach. Moi koledzy z podstawówki – niby młodzi, niby jeszcze ożywieni, ale już niebezpiecznie podobni do swoich ojców sprzed pijalni. Z lekką mgiełką nieuchronnej beznadziei w oczach wpatrywali się gdzieś przed siebie, gdzieś za domy i obejścia. Może szukali na horyzoncie obiecanych efektów wejścia Polski do Unii Europejskiej, ale chyba na razie nie udawało im się niczego dostrzec. Nie ma pracy, nie ma perspektyw, jest piwo.

Czekając, aż to się wreszcie skończy, odliczając czas, skreślając dni w kalendarzu, czytałam ostatnią książkę Andrzeja Wajnerta. Tę, za którą dostał wszystkie możliwe nagrody, tę, którą gazetowi krytycy zgodnie się zachwycali, zarzuciwszy swe dotychczasowe spory. Słowa jak perły z zerwanego sznurka toczyły się po marmurowej posadzce skojarzeń, oczekiwań, nastrojów. Obrazy powstawały w mojej głowie i rosły; rosły podlewane idealnym koktajlem mądrej treści i kunsztownej formy. Zakładałam małodusznie, że wszystko już było – a jednak nie; jednak Wajnert był świeży, był odkrywca, był jak korytarz, który prowadzi nie wiadomo dokąd. Może do jasnego salonu, a może do ciemnych zakamarków strychu albo do zatechłych mroków piwnicy. Wehikuł do odległych podróży – ich celu nigdy nie dało się przewidzieć, ale zawsze znajdował się daleko stąd. Daleko od pustych dni i stojącego powietrza, daleko od mojej milczącej matki i jej rozszczekanego psa, daleko od pola niezebranej aronii i od ojca, który zamiast ją zbierać, pił piwo przed sklepem. Wajnert nie tylko obiecywał, że gdzieś tam, za rogatkami, jest inne życie. On zdawał się znać odpowiedzi na wszystkie pytania, a przecież tak niewielu potrafi pisać o miłości.

Był dobry, był ostry, był błyskotliwy. Pisał felietony do jednego z tygodników; miał stałą rubrykę, od

której zawsze zaczynałam lekturę. Tamtego lata pisał dużo o sporcie – w dalekiej, pięknej Portugalii drużyny piłkarskie biły się o Puchar Europy, a Wajnert widział w boiskowych zmaganiach dużo więcej niż rozrywkę dla mas i popisy zawodników. Widział arenę – jeśli już nie z krwią, to chociaż z bólem – odwieczny taniec plemienny, widział męskie zmagania wojenne ubrane w zastępczy kostium cywilizowanych reguł gry. Wajnert we wszystkim dostrzegał coś więcej, a ja tak bardzo miałam dość tych wszystkich, którzy zawsze zatrzymują się na mniej. W stopce redakcyjnej tygodnika podany był warszawski adres. Właściwie dlaczego by nie? pomyślałam w pewien czerwcowy poranek, łudząco podobny do dwudziestu dziewięciu innych czerwcowych poranków. Nikomu o tym nie powiedziałam, nawet siostrze, z którą byłam wtedy blisko. Czekałam, aż pomysł urośnie, dojrzeje, spadnie z gałęzi jak jabłko. Wierzyłam, że będzie soczyste. Napisanie do kogoś, kto zna mnie tak dobrze, wydawało się zupełnie słuszne, naturalne, oczywiste. Musiał mnie znać, przecież tak pięknie ubierał w słowa wszystko, co czułam. To, że dotąd nie poznaliśmy się osobiście, wydawało się tylko jakimś drobnym niedopatrzaniem, które przecież bez trudu można naprawić. Nawet nie pomyślałam o pułapkach niebezpiecznych skojarzeń – kartki słane do fanklubu, plakaty wieszane nad łóżkiem, zdjęcia idola wycinane z gazet przez rozgorączkowaną nastolatkę. Wiedziałam aż za dobrze, że nią nie jestem. Mnie chodziło o coś innego; chodziło o to, by podejść bliżej. Bliżej tego, co czeka na mnie za wsią, za mostem, za drogą. Czas było wyjść na tę drogę i każdego dnia iść trochę dalej. Coraz dalej stąd, coraz bliżej tego, co za zakrętem.

„Drogi Panie”. „Szanowny” wydało mi się stanowczo zbyt sztapnowe. „Mam dziewiętnaście lat” – tych trzydzieści, które nas dzielą, nie miało przecież znaczenia – „i czuję się odrobinę samotna wśród tych wszystkich ludzi, którzy nie nauczyli się dostrzegać tego, co Pan zauważa z taką łatwością”. Nie chodziło mi o to, by oceniał moje próbki literackie, nie zastanawiałam się nad stylem ani nad tym, co sobie pomyśli podczas czytania. Ja miałam studiować literaturę, on ją tworzył i oboje szukaliśmy lekarstwa na pustkę. Ja jeszcze na pustkę dookoła, on już na tę w sobie, ale tego nie mogłam wówczas wiedzieć, niezależnie od tego, jak wnikliwie wczytywałam się w jego teksty. Napisałam, że w październiku zaczynam studia, że pomaga mi przebrnąć przez zastój wsi i smutek lata, przez banał zwykłych dni i wrzask telewizora, przez wspomnienia wojskowego drylu z czasów zakonnego internatu, które budzą mnie przed świtem i nie pozwalają z powrotem zasnąć. Że sił i wiary dodaje mi świadomość, że jest ktoś, kto rozumie, kto współodczuwa, kto na moje wątpliwości nie odpowiada bezwartościowym słowem. Ktoś, kto wie, że nie jest łatwo. Podałam swój numer telefonu, adres akademika, nazwisko. Gdyby zechciał się spotkać, zobaczyć, porozmawiać. Gdzieś, kiedyś, w każdej chwili. Nieoczywisty smutek lata przeszedł w niewątpliwy spleen jesieni; pola zaczęły straszyć zeschniętą trawą i chwiejnymi stogami siana, chłopcy na przystanku autobusowym założyli cieplejsze kurtki. Białe mgły nadpełzały znad ściernisk. Wyjechałam na studia. Wiedziałam, że już nigdy nie wrócę.

Mój list zaginał gdzieś w czeluściach pocztowych worków, zawieruszył się w odmętach sortowni, przeczekał tygodnie wciśnięty w zakamarek podszewki torby listonosza. Dopiero pod koniec października trafił do siedziby tygodnika „Kultura”; ręka jakiejś usłużnej sekretarki wrzuciła go do przegródki z nazwiskiem adresata. Musiał poczekać tam jeszcze tydzień; Wajnert nie zwykł zbyt często pojawiać się w redakcji – miał przecież wiele innych, poważniejszych zajęć, a felietonistyką parał się tylko przez wzgląd na uroki krótkiej formy. Albo dla stałego miesięcznego dochodu. Kiedy wyjmował list i patrzył na nic mu niemówiący adres nadawcy, na nieznamy charakter pisma, na przybrudzoną biel koperty, która zwiastowała wieści z daleka, drzewa były już nagie, a smutek pełzał wśród opadłych liści. Kiedy czytał o samotności i uwielbieniu, jesienny chłód wkradał się do mieszkań, do łóżek i pod ubrania. Kiedy drżącymi palcami wybierał numer podany mu w *postscriptum*, wiatr targał gałęziami za oknem, przez które wyglądałam na szare, niskie niebo podczas bardzo nudnych ćwiczeń ze wstępu do



językoznawstwa.

– Przepraszam na chwilę.

Z brzęczącym telefonem w rękę przepychałam się dość niezdarnie przez rzędy dziewcząt wpatrzonych w młodego doktora. Nie był zadowolony, że zakłócam mu występ. „W tej części ćwiczeń przedstawię koncepcje teoretyczne”. Nerwowy uśmiech, niepewny wzrok. „A następnie swoją ich krytykę”. To musiały być jedne z pierwszych zajęć, jakie prowadził. Konspekt na kilka kartek, ściśle rozpisany plan zajęć, bardzo duże przejęcie i jeszcze większe zadowolenie ze wzroku studentek śledzącego ruchy jego wyschniętych ust. Język staro-cerkiewno-słowiański – bezsprzecznie martwy, zwłaszcza w porównaniu z tym, który usłyszałam w telefonie. Piękna polszczyzna z seksowną chrypką.

– Dzień dobry pani, Andrzej Wajnert.

– Dzień dobry. Tak się cieszę...

– To się jeszcze okaże. – W jego głosie słychać było miliony wypalonych papierosów, tysiące wypitych kieliszków, setki bezsennych nocy. – Przeczytałam pani list. Podobał mi się.

Chyba nie o podobanie mi chodziło, ale wzięłam ten matowo pobrzękujący pieniądz komplementu za dobrą monetę.

– Napisałam po prostu to, co myślę. O panu i w ogóle. Jestem pod wrażeniem i...

– Naprawdę ma pani dziewiętnaście lat? – przerwał mi dość bezceremonialnie.

– Naprawdę.

Chwila ciszy w słuchawce; długa jak wywód młodego doktora o prawie sylaby otwartej w języku prasłowiańskim, który dobiegał do mnie przez drzwi.

– Ma pani głos dojrzałej kobiety.

– W tym roku zdałam maturę. – Dość rozpacзлиwa obrona wobec niedowierzania i narastającego dystansu.

– No nie wiem.

Ale ja wiem, do cholery. Najlepszy wynik w całej szkole, świadectwo z czerwonym paskiem, *summa cum laude*.

– Tak właśnie jest.

Znów milczał przez chwilę. Jakby zastanawiał się nad głównymi tendencjami rozwojowymi w języku prasłowiańskim, których echa docierały do niego przez drzwi, przez osłonę mojej dłoni, przez telefon przy moim uchu.

– To skoro już pani napisała, skoro rozmawiamy... – Rozważał coś, co chyba nie do końca miało związek z językiem prasłowiańskim. – Może spotkamy się jakoś na chwilę?

Nie spodziewałam się tego – ani takiej propozycji, ani tonów wahania pobrzmiwających w jego głosie mężczyzny po przejściach tajemniczych i mrocznych.

– Zobaczymy się, pogadamy, wypijemy jakąś herbatę...

Od herbaty wolałam kawę, ale z Wajnertem mogłam wypić nawet dzbanek cejlońskiej albo zielonej.

– Oczywiście. Z przyjemnością.

– Piątek?

Już, tak szybko, za dwa dni?

– Jak najbardziej.

Podał mi nazwę jakiejś knajpy, której nie znałam.

– Na placu Trzech Krzyży. Wie pani, gdzie to jest?

Nie wiedziałam dokładnie, ale przecież nie ma takich braków w wiedzy, których nie można uzupełnić przy odpowiedniej motywacji.

– Wiem, znajdę.

– W takim razie do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Do zobaczenia z Andrzejem Wajnertem. To było zaskakujące. Nieoczekiwane. Doskonałe. Kiedy wróciłam do sali i usiadłam z powrotem na swoim miejscu pod oknem, nawet spróbowałam słuchać młodego doktora i jego nieporadnych zachęt do dyskusji, ale jesień za oknem jakimś dziwnym trafem zamieniła się w maj. Nagie gałęzie zakwitły, pożółkłe liście na powrót stały się zielone, zamiast suchego smutku znad ziemi uniosła się wilgotna nadzieja. Zbyt byłam pochłonięta tą niemożliwą przemianą, by zareagować na pełne entuzjazmu wyzwanie.

– Co panie o tym sądzą? Hym?

Jak to na polonistycy, w grupie były same kobiety. Chyba nienawykłe do publicznego zabierania głosu albo zbyt onieśmielone dwiema publikacjami w „Przeglądzie Językoznawczym”, które pan doktor miał na koncie. Na wszystkich poprzednich zajęciach jako jedyna ratowałam go przed pedagogiczną klęską; przykro mi było, że tym razem nie mogłam mu pomóc, ale dziś mówił do mnie przez szklaną tafelę, przez głębinę wód, przez kosmiczne odległości jak stąd do Nagrody Nike albo do stutysięcznych nakładów powieści. Tym razem nie mogłam ocalić jego zajęć.

– Pani Michalino? – Ostatnia deska ratunku, dość rozpaczliwy chwyt; chyba nie odszyfrował właściwie moich rozchylonych ust i szeroko otwartych oczu. – Pani też nie?

Po kilku minutach krępującej ciszy resztki nadziei w jego wzroku zamieniły się w rozczarowanie. Moja twarz wyrażała zachwyt, ale nawet on rozumiał już, że nie pod jego adresem.

\*

– Blżej już nie da rady. Kogoś ważnego chyba chowają, że taki tłok tu dzisiaj.

Taksówkarz, owszem, tłumaczył się, ale tak naprawdę wcale nie wyglądał na zmartwionego, że nie może mnie podwieźć pod samą bramę Powązek. Poblize zakładu Kamieniarz Zajęc musiało wystarczyć. „Murowanie grobów, dochowanie do istniejących, płyty nagrobne” – przeczytałam wielkie niebieskie litery, podziwiając językową kreatywność kamieniarza Zajęca. A także jego wszechstronność biznesową, bowiem „nagrobki, tablice i pomniki” mieszały się z „parapetami, schodami i blatami kuchennymi na wymiar”.

– Rozumiem. Nie szkodzi.

Zapłaciłam i wysiadłam z taksówki. Moje majtki zwilgotniały od śliny studenta Baślaka; dobrze, że można było liczyć na ciepły, letni wiatr. Poczułam go pod spódnicą, kiedy dołączyłam do licznego grona zmierzających w tym samym kierunku. W stronę miejsca wiecznego spoczynku ludzi na tyle znamienitych lub ustosunkowanych, by znalazła się dla nich kwatera na najsłynniejszym stołecznym cmentarzu. Cmentarz był wojskowy, ale od nieboszczyków nie wymagano munduru; kiedyś wystarczała przynależność partyjna, dzisiaj – zasługi dla kultury lub śmierć w katastrofie lotniczej. Dobrze, że nie wzięłam samochodu; wprawdzie obawiałam się raczej o swoją przytomność umysłu niż o korek, ale teraz okazało się, że to drugie jest dużo realniejszym zagrożeniem. Samochodów, ludzi i wiązanek było mnóstwo – msza, którą postanowiłam sobie darować, musiała skończyć się niedawno i żałobnicy zjeżdżali właśnie na drugą część imprezy. Uroczystej i smutnej, ale mimo owych niedogodności takiej, na której należało się pokazać. Dźwięk klaksonów i trzaskających drzwi samochodów mieszał się ze szmerem rozmów tyleż przyciszonych, co pełnych przejęcia. Większość idących była ubrana na czarno, część taszczyła wieńce, niektórzy przyszli tylko popatrzeć. Paparazzi czatowali w załomie cmentarnego muru i za stoiskiem ze zniczami; słowo „hiena” nabierało w tym kontekście niesmacznie rażącej dosłowności. Choć nieboszczyk stanowił poniekąd własność publiczną i dobro narodowe, to miał

przecież jakąś rodzinę. Rodzinę, która musi teraz znieść całą tę funeralną szopkę ilustrowaną zdjęciami z miejsca zdarzenia. Ujęcie zza sąsiedniego pomnika, kadr z rozkopanym grobem, „Życie na gorąco” z cmentarza. Satelitarne wozy transmisyjne stały tuż przy bramie; telewizja wyprodukuje czarno-białą etiudę, podłoży podniosłą muzykę, całość opatrzy napisem „Ostatnie pożegnanie wybitnego twórcy”. Pewnie pójdzie na wszystkich kanałach, jego rodzina będzie mogła sobie nagrać i obejrzeć. Zdaje się, że miał matkę w Szczyrku, ale ona pewnie już nie żyła. I była żoną, która błogosławiła dzień, w którym od niej odszedł. I chyba córkę – przypomniałam sobie jak przez mgłę. Albo kogoś, kogo z jego córką pomyliłam. Kiedyś, dawno temu, w innym życiu.

Nie wiedziałam dokładnie, gdzie mają go pochować, ale wystarczyło kierować się wraz z tłumem. Ludzi było mnóstwo; niemożliwe, by choć jedna trzecia z nich знаła go osobiście, a to znaczyło, że nie doceniałam ani siły literatury, ani wierności czytelników. Idąc za innymi, minęłam groby tuż za bramą. Pułkownik Kukliński ustrojony amerykańską flagą, Leszek Kołakowski wyryty w czarnym marmurze o surowych krawędziach, Jacek Kuroń przywalony potężnym głazem. Nowa aleja tych najbardziej zasłużonych. Czyli jednak nie tu go pochowają, choć wiedziałam, że oddałby duszę diabłu, by leżeć obok filozofa z Oksfordu. Tyle tylko, że nie miał czego oddawać – jego dusza pewnie już była w piekle. Szłam dalej prosto, choć nie dało się nie zerkać na boki wobec bogactwa i różnorodności tutejszych dostojnych nieboszczyków. Pochodzących z przeciwnych stron barykady, z jak najdalszych ideologicznych krain i z zupełnie różnych stron podręczników historii, ale leżących tu w cichej i doskonałej pośmiertnej zgodzie. Po prawej towarzysze Ochab i Baryła, po lewej – kwatery poległych w wojnie polsko-bolszewickiej. Armia Ludowa tuż obok Krajowej, „Wiesław” pod okazałym pomnikiem z różowego kamienia tuż za brzołowymi krzyżami powstańców, „towarzyszka Helena Wieczorek-Kwiatkowska, członek KPP, PPR i PZPR” z nieznosnie szampańskim prostokątem nagrobka tuż przy kubistycznej formie odwróconego serca, które strzeże spoczynku Tuwima. Różnorodni stylistycznie i skłóceni politycznie; wszyscy tuż obok siebie, wszyscy razem, wszyscy zrównani w majestacie śmierci. Jakże ciekawe muszą być ich nocne rozmowy. Czy śmierć stępia ostrze żalów i pretensji? Czy wyrównuje krzywdy i zaciera różnice poglądów? Czy śmierć jest silniejsza niż nienawiść?

Szpilki moich butów grzęzły w miękkiej, rozgrzanej ziemi; byłam jedną z nielicznych osób, które szły z pustymi rękami. Kwiatów i żałobnie powiewających wstęg nieboszczyk będzie miał dosyć, a na światło znicza nie zasłużył. Niczego mu więc nie niosłam, choć pewnie podobałby mu się cygański zwyczaj zaopatrywania zmarłych w wódkę i papierosy. Zwłaszcza że konotacje były nobilitujące – tak samo dzieje się na grobach zbuntowanych samobójców, eterycznych poetów, muzyków, którzy byli czymś więcej niż tylko gwiazdami; grób Morrisona na Père-Lachaise cały jest w tytoniowych darach od wielbicieli. Wajnert palił francuskie papierosy – wszystko pasowało. Nic z tego; nic dla ciebie nie mam, niech ci kto inny przyniesie pośmiertny podarunek, niech ci ktoś inny się za ciebie modli do Boga, w którego nie wierzyłeś. Ja przyszłam tylko popatrzeć. W siebie bardziej niż na twój pogrzeb, chociaż to twoje serce dzisiaj kładą na wadze. Policzone, zważone, podzielone. Zło i dobro uwzględnione w najdrobniejszych przejawach, najbardziej precyzyjna waga świata, zaświatów i okolic, zasługi i przewiny odmierzone z dokładnością do tysięcznej części miligrama zbawienia. Albo potępienia. Dobrze, że nie żyjemy w Egipcie faraonów; wtedy musiałabym uznać, że twoje serce zostanie rzucone na pożarcie demonowi z głową krokodyla. Bo przecież oboje wiemy, jaki będzie wynik ważenia, choć ty nie wierzyłeś w Boski odważnik. A może jednak wierzyłeś i właśnie dlatego w nocie udręki musiałeś uciekać sam przed sobą? Teraz już nigdzie nie uciekniesz; wszystko będzie rozliczone albo – jak sam wolałeś – wszystko jest skończone.

Dostrzegłam już, dokąd zmierzamy; kondukt zatrzymał się bardzo blisko monumentu smoleńskiego. Tam się wszyscy tłoczyli, w cieniu przełamanego skrzydła pomnikowego samolotu, po lewej. To ostatnie było

akurat oczywiste; strona na średniowiecznych malowidłach Sądu Ostatecznego zarezerwowana dla potępionych. Podział utrwalony w ikonografii chrześcijańskiej – zbawieni na prawo, potępieni na lewo. Wajnert na lewo, Wajnert od serca. Nie widziałam wyraźnie, ale pracownicy firmy pogrzebowej musieli właśnie rozkładać swój obrzędowy namiot nad miejscem pochówku dostojnego klienta. Zatrzymałam się na chwilę przy najpiękniejszym nagrobku nowych Powązek; któryś z uczniów wystawił architektowi Kuryłowiczowi doskonały pomnik jego kunsztu. Mówili wprawdzie, że prawdziwy grobowiec mistrza Stefana – czarny i granitowy – stoi na rogu Alei Jerozolimskich i Brackiej, ale ten tu nie był ani trochę kontrowersyjny. I dla odmiany biały. Czystość i elegancja formy, klasyczna kolumna sprowadzona do geometrii linii prostych, krzyż o proporcjach złamanych, ale wciąż idealnych. Ciekawe, czy Wajnertowi też postawią coś tak ładnego? Czy może skończy jak Przemysław Gosiewski, z kiczem złocen, przyciężką bryłą i portretem w stylu ukraińskich mafiosów? Może też wygrawerują mu cytat, ale akurat w tym przypadku przynajmniej będzie z czego wybierać.

Udało mi się podejść bliżej, z podejrzaną łatwością wyminęłam charakterystyczne dziewczęta w długich, powłóczystych spódnicach i z książkami pod pachą; na pewno były studentkami polonistyki. Mogły też mieć coś wspólnego z teatrologią, sądząc po tym, że przypuszczalnie planowały wrzucić Wajnertowi jego własne książki do grobu. Albo je przy nim czytać – jedno i drugie równie przerażające. Na pewno będą głośno płakać; lepiej było znaleźć się od nich jak najdalej, sekty zawsze są niebezpieczne. Wolałam stanąć na uboczu; blisko, ale w stosownej odległości od pierwszych rzędów żałobników. Oficjalne delegacje, urzędnicy reprezentujący powagę państwa i jego instytucji kulturalnych, członkowie z ramienia i inni smutni panowie. Parę znanych twarzy, prezes Instytutu Książki, minister kultury i sekretarz stanu z kancelarii prezydenta. A wśród nich bardzo mała i bardzo dostojna pani; cała siwa i cała na czarno, troskliwie usadzona na rozkładanym krzeselku. Więc jego matka żyła. Więc naraził ją jeszcze i na to. Więc musiała przyjechać tu nieznośnie brudnym i powolnym pociągami Polskich Kolei Państwowych aż ze Szczyrku. Staruszka zmuszona opuścić swoje góry i swój dom w dolinie, by raz jeszcze – a ten raz był najtrudniejszy – zająć się swoim synem. Miała boleśnie ściągniętą twarz; pewnie przez całe życie potomek zdążył przysporzyć jej tyle samo zgryzot, co dumy. Ktoś odszedł na bok, odsłoniwszy mi widok na trumnę. Solidna, dębowa, szczelnie zamknięta.

- Nie miał jeszcze nawet sześćdziesięciu lat. To takie straszne.
- No cóż, sama wiesz, że się nie oszczędzał. To zdaje się była marskość wątroby.
- Słyszałam, że rak.
- Tak czy inaczej: guz na wątrobie. A to się nie bierze znikąd.

Dwóm kobietom tuż za mną chyba nie robiło różnicy, czy zostaną usłyszane. Szkoda, że nie wypadało się odwrócić; głos jednej z nich wydał mi się znajomy. Serialowa aktorka? Czy może spikerka z telewizji? Ciekawe, kim dla niej był Wajnert? A jeszcze ciekawsze, ile nas tu jest dzisiaj. Nas, uwiedzionych Wajnertowym pisaniem i skoligaconych jego kutasem. Nas, szwagierek we wzlocie ekstazy i w upadku rozczarowania. Powiodłam wzrokiem po twarzach. Ta z prawej, kilka metrów ode mnie. Te dwie z tyłu, rzecz jasna. Jedna na uboczu z ręką kurczowo zaciśniętą na pasku od torebki. I jeszcze ta. I tamta. I dziesiąta, piętnasta, dwudziesta ósma. Wszystkie kochanki Wajnerta towarzyszyły mu w ostatniej drodze. Szkoda, że nigdy nie wierzył w zaświaty – mógłby teraz z zadowoleniem kontemplować ten widok. Wszystkie jego smutne dziwki w jednym miejscu; prawie jak u Márqueza. Nie każdemu zdarza się taki luksus, choćby pośmiertnie; pewnie chętnie popatrzyłby sobie z góry. Ale gdyby uważnie się przyjrzał, dostrzegłby, że żadna z nas nie płakała. A niektóre nawet uśmiechały się do siebie.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby pożegnać Andrzeja Wajnerta. Wybitnego pisarza, zasłużonego twórcę, zaangażowanego obywatela. Wraz z jego śmiercią polska kultura poniosła dotkliwą, nieopisaną stratę. Książki Andrzeja Wajnerta na trwałe weszły do kanonu. Tłumaczony na wiele języków, wydawany

w całej Europie, znany i nagradzany, zawsze i niezmiennie pozostawał zakorzeniony w polskiej rzeczywistości. I polskim czytelnikom dostarczał wzruszeń, wrażeń, przemysłów.

Minister kultury wygłaszał te słowa z autentycznym przejęciem i smutkiem na szczupłej, inteligentnej twarzy. Pewnie sam był w młodości zapalonym czytelnikiem powieści Wajnerta. Wspólnota ukąszonych, bractwo wychowanych na kłamstwie, towarzystwo złych wzorców.

– Znałem Andrzeja osobiście, jak większość Polaków znałem też jego książki. Jego eseje i felietony publikowane w prasie.

Minister pochodził z Wrocławia, może rzeczywiście zetknął się z Wajnertem w jego nadodrzańskich czasach. Jeśli tak, to musiał być świadom także mniej spizowych obliczy najjaśniejszej gwiazdy polskiej literatury.

– Zawsze zaangażowany w sprawy kraju, zawsze z mądrą radą, zawsze ze spojrzeniem, które widzi więcej.

Zawsze myślący tylko o sobie, zawsze egoistyczny, zawsze gotów wykorzystać kogoś w imię swojej przyjemności. Niezmiennie magnetyczny.

– Tracimy dziś nie tylko – minister skinął wymownie głową w kierunku siwej staruszki – syna, ojca, oddanego przyjaciela i dobrego człowieka. Każda strata jest trudna, każda bolesna, ale ta ma dodatkowy, nieszczęsny wymiar. Polska literatura nie będzie już taka sama.

Piękne, letnie słońce zabawiało się werniksem na trumnie. Była jasnobrażowa; Wajnert uwielbiał brąz, ale zdaje się, że wolał ciemniejsze odcienie – należał do tych, którzy szukają głębi. Teraz miał tylko promienie światła ślizgające się po lśniącej powierzchni. Co tak naprawdę było w środku? Mężczyzna, którego kiedyś kochałam, czy pustka utkana ze zdradliwej materii słów?

– Trudno dziś wyrazić nasz smutek. To Andrzej był mistrzem słów. Nam pozostaje tylko czytać to, co po nim zostało, i w nieprzemijającym pięknie jego opowieści szukać pocieszenia.

Minister oddał mikrofon i wrócił na swoje miejsce, manewrując nieudolnie wśród wstęp płózających się po udeptanej, powązkowskiej ziemi, wśród wieńców rozpychających się między żałobnikami, wśród westchnień dochodzących z tylnych rzędów. Nikt z rodziny nie chciał przemawiać nad trumną Wajnerta. Dziwne. A może całkiem zrozumiałe? Jakaś kobieta – sądząc po pięknie ustawionym głosie, aktorka – odczytała fragment *Skradzionej modlitwy*, najsłynniejszej powieści zmarłego pisarza. Nawet w sytuacji ostatecznej Wajnert pozostawał wierny tytułowi swego dzieła – wciąż kradł modlitwę Bogu po to, by poświęcić ją samemu sobie. Aktorka albo nie zaliczała się do grona jego kochanek, albo była prawdziwą profesjonalistką; czytała pewnie, płynnie, głosem spokojnym i mocnym. Słowa niebezpiecznie piękne i drgające od znaczeń unosiły się nad cmentarzem i szybowały w stronę sąsiednich grobów, by ich lokatorom zakłócać wieczny odpoczynek, by im przypominać bezpowrotnie utracony ogród rozkoszy ziemskich, by czynić wieczność jeszcze trudniejszą do zniesienia. Rozejrzałam się po nagrobkach; profesor Religa, generał Petelicki, po przeciwnej stronie Kazimierz Deyna. Towarzystwo Wajnert będzie miał dobre, zwłaszcza ten ostatni grób zdawał się stanowić ciekawe sąsiedztwo. I gwarancję odwiedzin – wielbiciele Legii nie zaniechali legendarnego zawodnika. Przez nagrobek przewieszony był szalik w barwach klubowych, a czerwone, białe i zielone lampki płonęły na płycie, troskliwie ustawione przez wiernych kibiców. Może odwiedzając Deynę, czasem zajrzą i do Wajnerta. Przecież on też lubił piłkę.

– Panie Jezu Chryste, chowamy dziś Twego wiernego sługę Andrzeja. – Ksiądz przystąpił do odprawiania swoich egzekwii: kropidło, woda święcona, grudka ziemi we wciąż jeszcze zaciśniętej dłoni. – Składamy jego ciało do grobu, ale jako Twoi wierni uczniowie wierzymy, że jako i Ty powstałeś z martwych, tak i nasze ciała wskrzesisz, byśmy cieszyli się życiem wiecznym u Twego boku. Ty powiedziałeś, Panie, kto we mnie wierzy, ten będzie miał życie wieczne. Prosimy Cię, przyjmij naszego sługę Andrzeja, zbaw jego duszę i wskrześ jego ciało do życia w chwale.

Niepoprawny optymizm księdza można było zrozumieć, ostatecznie na tym polegała jego praca. Ale byli tu na tym cmentarzu tacy, którzy wiedzieli. Którzy wiedzieli doskonale, że w tym akurat przypadku to nawet nie tyle pobożne życzenie, co po prostu niedoczekanie. Daremny i spóźniony apel; gdziekolwiek był teraz Wajnert, to miejsce nie znajdowało się za bramami rajów.

– Prochem jesteś i w proch się obrócisz. – Grudka ziemi uderzyła o wieko trumny teraz już opuszczonej w wilgotną głąb, do czarnego dołu. – Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci.

Pogrzeb był państwowy; żołnierze wyprostowani jak struny celowali w niebo lufami karabinów i nieruchomymi paciorkami wzniesionych w górę oczu. Pełen ceremoniał, salwa honorowa przewidziana w finale, wielka pompa dla wielkiego pisarza. Zadbano o każdy cal oprawy, także liturgicznej. „Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie, pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach, nad wody spokojne prowadzi mnie”. Nawet psalm zaśpiewali mu najpiękniejszy, choć wcale nie zasłużył. Oderwałam się od tłumu żałobników i ruszyłam cmentarną alejką w kierunku, z którego przyszłam; nie było sensu zostawać tu dłużej. Grabarze wzięli się do swoich obowiązków – ruchy ich łopat na początku były jeszcze powolne i dostojne, ale nie pozostawiały żadnych złudzeń co do finału. Zasypią go, zakopią, przywalą stertą poświęconych kwiatów. Ciało Wajnerta zgnije wraz z nimi, odwiecznym prawem biologicznego cyklu rozłoży się, zamieni w wodę i sole mineralne. A później wyrośnie z niego drzewo; sok z jego liści będzie zatruty.

\*

Umówił się ze mną na siedemnastą. Byłam na miejscu już dwadzieścia minut wcześniej – ja, dziewczyna, która na żaden wykład nie potrafiła przyjść punktualnie. „Dzień dobry, pani Kańska, jednak nas pani zaszczycała” – nie dalej jak dziś rano witał mnie profesor od historii literatury polskiej, kiedy przeciskałam się wśród rzędów ławek i ciał w poszukiwaniu wolnego krzesła. Wykład dla całego roku, jeden z głównych budynków uniwersytetu, duża aula. W takich okolicznościach miejsce dla spóźnionych znajdowało się zawsze już tylko w pierwszym rzędzie. Profesor znał mnie z egzaminu wstępnego; był przewodniczącym komisji. Stukot rozkładanych drewnianych siedzeń, szelest wyjmowanych z torby notatek, moje niczym nieprzysłonięte nogi dokładnie na wprost katedry. Ukradkowy ruch, którym wybitny historyk literatury poprawiał okulary. Niektórzy – zwłaszcza koleżanki w długich, oazowych spódnicach i butach na płaskim obcasie – podejrzewali mnie o celowy efekt obliczony na widowiskowe *entrée* i malowniczość spóźnień zakłócających monotonię profesorskich wywodów. Być może nawet mieli rację, ale tym razem brakowało mi tej dozy pewności siebie, która jest niezbędna, by pozwolić się o coś podejrzewać.

W miejscu wyznaczonym przez Wajnerta zjawiłam się więc o wiele za wcześnie. To zachowanie, nowe dla mnie i zupełnie nie w moim stylu, utrudniało wszystko, co w zamyśle miało ułatwić. Nie chciałam wejść tam pierwsza i czekać na niego przy stoliku – takie rozwiązanie wydawało mi się nie do zaakceptowania nawet w barze Pod Sosnami uruchamianym w mojej wsi na czas sezonu plastikowych kubków z rozwodnionym piwem i kiełbasek na papierowych tackach, a co dopiero tutaj – w modnej warszawskiej knajpie, całej w szkłe, stali i pretensjach. Stanie przed drzwiami przez dwadzieścia minut było chyba jeszcze gorszym pomysłem, a na pewno gwarancją ściągnięcia na siebie uwagi obsługi, która jak widziałam przez szybę, dość niemrawo kręciła się wśród stolików. Obcisłe, czarne T-shirty, odęte usta, obraza na cały świat, a najbardziej na klientów. Czy oni tak mają we wszystkich takich lokalach czy tylko w tym, który preferuje Wajnert? W pobliżu nie było nawet żadnego sklepu, na którego witrynę mogłabym się pogapić. Żadnego patrzenia na ciuchy, na które mnie nie stać – tylko pusty, reprezentacyjny

plac miasta, okrągła bryła kościoła pośrodku, jedno dostojne ministerstwo i same knajpy dookoła.

Przeszłam kawalek dalej, mijając pomnik Witosa, który deskorolkarze obsiedli jak gołębie; mieszkałam w Warszawie dopiero od miesiąca, ale dobrze wiedziałam, dokąd prowadzi Wiejska. Właściwie nie wyglądała imponująco – krótka ulica, parę drzew, fasady kamienic, owszem, odnowione, ale na pewno nie oszałamiające. Czytelnik w kontrze do baru Wajnerta zupełnie bezpretensjonalny – z jednej strony zejście jak do zwykłego bufetu zakładowego, z drugiej księgarnia. Żaden tam wielofunkcyjny Empik z zestawami do decoupage’u i czekoladą w promocyjnej cenie, po prostu książki na wystawie. Same poważne pozycje: tylko klasyka i albumy o sztuce, żadnych błysków okładek sensacji ani jaskrawych kolorów obwolut romansów. Poezje Różewicza, nowy Myśliwski, *Księga z Saint Michel*. I Wajnert, rzecz jasna. Patrzyłam jak urzeczona na gustowny granat minimalistycznej okładki i na czystość bieli liternictwa, na grubość tomu i na powagę sąsiedztwa. Andrzej Wajnert *Rzecz o szaleństwie i ukojeniu*. „Nowa powieść zdobywcy Nagrody Nike 2003” – głosiła papierowa szarfa przecinająca okładkę. Nie mogłam oderwać wzroku od napisów zniekształconych przez popołudniowe jesienne światło rozlewające się plamą na szybie wystawy. Patrzyłam na książkę Wajnerta – patrzyłam jak dziecko na karmelki wyjątkowej słodyczy schowane w szklanym słoju na najwyższej półce cukierni. Księgarnia była już zamknięta, nie mogłam po prostu wejść i wziąć tej książki do ręki. Wziąć do ręki nowego Wajnerta.

Dołożyłam rysunek swoich palców do kilku smug zdobiących szybę; tylko świadomość spojrzeń przechodniów powstrzymała mnie przed odcisnięciem na niej czubka nosa. Nie był to pierwszy raz, kiedy widziałam na wystawie jego dzieło – było ich pełno w każdej księgarni – ale po raz pierwszy widziałam *Rzecz...*, nową powieść zapowiadaną tak szumnie od tyłu miesiący. Poza tym czas i miejsce były wyjątkowe. Nową powieść Wajnerta zobaczoną przypadkiem na wystawie tuż przed spotkaniem z nim samym nietrudno było uznać za wyjątkowy zbieg okoliczności. A raczej za wyjątkowy dowód własnego szczęścia. Za dowód namacalności tego, co niedotykalne, przekreślenia odległości, zniesienia zasady *decorum*. Andrzej Wajnert, wielki pisarz, gwiazda polskiej literatury, Angelus, Gdynia i Kościelscy. I zwykła studentka, która po prostu odważyła się napisać list. List do gazety, przesłanie do mentora, wyznanie uwielbienia. Książka ułożona za wystawową szybą, tak poważna, ważna i odległa, i kawa – a raczej herbata – w modnej knajpie, już za chwilę, tuż za rogiem. Ktoś dotąd oglądany zza szyby, teraz będzie na wyciągnięcie ręki. Bezcielesny substrat słów stanie się ciałem, peany krytyki literackiej i martwe zdjęcia w prasie zyskają wymiar materialny i materii właściwą wagę, kreacja obróci się w życie. Potencja zamieni się w akt, istnienie warunkowe i dorozumiane – w rzeczywiste i samoistne. A punkt ciężkości zostanie przeniesiony z powieści na człowieka. Czy człowiek może dorównać powieści?

Nie doszłam już do Sejmu; trzeba było wracać, bo pomimo całej wcześniejszej zapobiegliwości teraz groziło mi spóźnienie. Koniec października wydawał się wyjątkowo ciepły tego roku, ale wiatr nadpływający gdzieś znad dachów przejął mnie chłodem. Zapięłam kurtkę – moją najlepszą, solidną, skórzaną; prezent, który dostałam od babki po tym, jak najlepiej w szkole zdałam maturę. Pod spodem miałam tylko cienką, białą bluzkę – klasyczna koszula i czarne, prążkowane spodnie wydały mi się właściwym strojem na taką okazję. Jakiś kadr ze starych filmów o mafii, odległe skojarzenia z akademią szkolną, ostry kant porządnie zaprasowany – nie wiadomo tylko czy od „porządek”, czy od „pożądanie”. Właściwie sama dziwiłam się sobie, że nie założyłam krótkiej spódnicy; przecież tak byłoby najprościej. Ale akurat tym razem nie chciałam iść na łatwiznę swoich zgrabnych nóg. Nie z Wajnertem; Wajnert zbyt był mi drogi na tanie sztuczki.

Kiedy ja dopiero zbliżałam się do miejsca naszego spotkania, on już tam był. Czekał na zewnątrz – wysoki, dużo wyższy, niż myślałam, i chyba zdenerwowany. Jakieś napięcie garbiło jego plecy, zaciskało

mu palce u dłoni, marszczyło czoło. Czyżby aż tak bardzo obawiał się spotkania z zakochaną czytelniczką? A może bał się, że zamiast czytelniczki pojawi się ktoś inny?

– Więc jednak pani istnieje. – Zgrabnie zaczął od spójnika wynikowego, lekce sobie waząc reguły stylistyczne. Widać one obowiązują tylko ubogich językowo.

– Owszem. – Dziwnie się czułam, potwierdzając kategorycznie coś tak oczywistego. – Zakładał pan, że może być inaczej?

– Nie. – Pauza była odrobinę zbyt długa, by mogła uchodzić jedynie za zabieg retoryczny. – A właściwie tak.

Przyjrzałam mu się uważnie; wyglądał lepiej niż na zdjęciach i w telewizyjnych migawkach, które – jak się okazało – pozbawiały jego spojrzenie głębi, a twarz wyrazu. Tutaj, teraz, przede mną był wyrazisty i ostry jak precyzyjne zdania jego prozy.

– Myślałem przez chwilę, że to koledzy z „Kultury” robią sobie ze mnie żarty. – Kiedy się uśmiechnął, zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się niebezpiecznie. Zestaw skojarzeń był oczywisty: mężczyzna po przejściach, człowiek z przeszłością, żeglarz smagany wiatrami życia. Był ode mnie starszy o trzydzieści lat; wierzyłam, że wie wszystko to, czego ja dopiero muszę się nauczyć.

– Ale to bzdura, nieważne, przepraszam. – Widziałam wzrok, którym omiata moją twarz, długie włosy, moje nogi schowane pod prążkowaną tkaniną spodni. – Wejdzmy, nie powinienem tak tu pani trzymać na zewnątrz.

Otworzył mi drzwi i przytrzymał je dłonią; na tyle blisko, że musiałam otrzeć się o nią, przechodząc. Pachniał Chanel Égoïste Platinum, tytoniem i drogim proszkiem do prania nie do końca wypłukanym z ubrań. Knajpa nazywała się Modulo – jej wnętrze nie było aż tak pretensjonalne jak nazwa, ale i niewiele ciekawsze. Stoliki na chwiejnych nóżkach, podróbki designerskich krzeseł Starcka, wszędzie biel, szarość i nowoczesność, wersja przezroczysta. Woda mineralna z gazem jako specjalność zakładu, sałatka z serem – koniecznie kozim – i awokado w cenie dwudaniowego obiadu, ziewnięcie kelnera gratis.

– To jedno z moich ulubionych miejsc – powiedział Wajnert, rozglądając się dookoła z miną stałego bywalca. Rzeczywiście chyba nim był, sądząc z tempa, w jakim zjawiała się przed nami popielniczka. Teraz, z daleka od otwartej przestrzeni i zachodu jesiennego słońca, w zimnym, sztucznym świetle restauracji poczułam się dziwnie, siedząc tak z nim. Z portretem z czwartej strony okładki, z panem z cotygodniowego felietonu, z ekspertem telewizyjnego salonu literackiego. Z Andrzejem Wajnertem we własnej osobie, w zieleni swoich oczu i siwiźnie swoich skroni.

– Bardzo się cieszę, pani Michalino, naprawdę bardzo się cieszę.

Nie mówił już, że mam głos dojrzałej kobiety; wszelkie smugi niewiary i rysy braku zaufania zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Albo czarodziejskiego widoku moich dziewiętnastoletnich wpatrzonych w niego oczu.

– Opowiadaj – zażądał. – Opowiadaj wszystko po kolei.

Zachłanność na historie, niepowstrzymany apetyt na opowieści, tekstożarłoczność. Cecha u literatów nie tylko dopuszczalna, ale wręcz naturalna. Powinłam była to wiedzieć, ale i tak wzięłam ją za ciekawość mojej osoby. Opowiedziałam mu zatem. Opowiedziałam o dzieciństwie w zapadłej wiosce na depresyjnych sieradzkich równinach, opowiedziałam o upiornym i ponurym internacie przyklasztornym, opowiedziałam o literaturze, która pomaga tylko na krótko, i o mężczyznach, którzy zawsze zawodzą, bo są zbyt młodzi, za mało odczytani, zupełnie nie w moim guście. Mówiłam o jesieni, o lepkiej pajęczynie pustych dni i mroku długich, zimnych nocy; ubierałam w kostium stylowych wyznań wszystkie te opiłki rzeczywistości, które od miesięcy tkwiły we mnie wczepione ostrymi krawędziami i uwierały coraz bardziej. O których napisałam do niego w liście, i które – choć nie dojrzały aż do miana klinicznej



depresji – na tyle były naznaczone samotnością i smutkiem, by mogły boleć, poruszać, inspirować. Inspirować do poszukiwań kogoś takiego jak Wajnert. Przecież on o tym pisze. Przecież on musi mnie zrozumieć. Przecież on to wszystko wie.

Nawet jeżeli wiedział, to chyba jednak nie zrozumiał. Przy naleśnikach z warzywami i beszamelem jeszcze mnie słuchał, przy kawie już raczej przestawał, przy tiramisu (koniecznie z akcentem na „u”, jak można było wnosić z przesadnej wymowy kelnera) patrzył już tylko w dekolt mojej lekko rozpiętej bluzki. Trzy zbędne guziki na białej listwie, krzyżyk znikający między piersiami, jego wzrok coraz mniej badawczy, za to coraz bardziej roziskrzony.

– Internat, akademik, ludzie dookoła. To raczej inny wymiar samotności.

Wiedziałałam, że od lat mieszka sam – jakiś trudny rozwód w tle, jakieś powidoki porzucenia, noszącej wszelkie znamiona ucieczki przeprowadzki z Wrocławia, w którym przemieszkał lata, oczu od dawna wpatrzonych tylko w cztery ściany nowego mieszkania w obcym mieście. U mnie było inaczej – banał samotności w tłumie i dojmującego poczucia nieprzystawalności. Nieprzystawalności do rodziców pogrążonych w technikolorze serialowego erzacu życia, do koleżanek z klasy myślących tylko o tym, jak dobrze wyjść za męża, do kolegów z akademika zajętych szukaniem okazji, by wydać się samcem, a nie szczeniakiem. Jakby cały świat, w którym funkcjonowałam, odkleił się ode mnie. Albo jakbym to ja odkleiła się od świata. Zazwyczaj Wajnert pomagał. Pomagał z kart swoich powieści; teraz to było więcej, niż mogłam oczekiwać.

– Inny, ale równie rzeczywisty. – Odpowiedziałam mu, wierząc w powagę, z jaką potraktuje moje słowa. Przecież nie mogło być inaczej: poważna sprawa, poważny pan pisarz, spełnienie moich marzeń.

– Może. – Odpowiedział, gasząc papierosa. Palił gauloisy – oryginalny wybór, francuski sznyt, socjalizm i szczypta dekadencji wymieszane ze sobą w oparach dymu.

– Dlaczego napisałaś ten list? I to nawet nie mail, tylko list.

Biała kartka papieru, ręczne pismo, znaczek pocztowy. Rzeczywiście mało dzisiejsze, ale na pewno stylowe. I jak mi się wydawało – właściwe. Adresatem był przecież literat ze starej szkoły – zgrzyt stałówki, obłoki słów wokół jego głowy, stereotyp tyleż nieaktualny, co uroczy. Właściwie byłam rozczarowana, że nie ma palców poplamionych atramentem.

– Sama do końca nie wiem. – Odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Dostałam się na studia do Warszawy, wiedziałam, że pan tu mieszka, chciałam być bliżej kogoś, kto widzi to wszystko bardziej tak jak ja niż jak cała reszta.

Lata czytania w zachwycie i w domniemaniu prawdy, dalekie podróże we własnej głowie, godziny strawione w lepszych światach na kontynentach fikcji. Wyobraźnia rozwinięta ponad miarę, parę otwartych granic, rozbudzone emocje. Nie mogłam nie chcieć spotkać się z Wajnertem – przecież to on uczył mnie życia. Życia schowanego w książkach i pełnego wiary w to, że jest, jak napisano.

– Sądzi pani, że ja widzę świat tak jak pani? – Sprawiał wrażenie, jakby go to bawiło. Nie za bardzo, ale trochę. Może lepiej niż ja zdawał sobie sprawę ze skutków niewłaściwego doboru lektur? Albo z uroku płynnego przechodzenia od dystansu „pani” do bezpośredniości „ty”, i na odwrót.

– Oczywiście.

Zdawało się, że moja pewność mu pochlebia. Podobnie jak blask w moich oczach, których nie mogłam od niego oderwać. Andrzej Wajnert, ze mną, tutaj.

Było już zupełnie ciemno, kiedy wyszliśmy w jesień, w wieczór i w świat, który – jak wierzyłam – postrzegamy tak samo, zjednoczeni wspólnotą wniosków i podobieństwem wrażliwości. Moje obcasy więzły w nierównościach chodnika, światła samochodów mieszały się z jasnością neonów, dzwoniła kościoła Świętego Aleksandra zwoływał wiernych na wieczorne obrządki. Wydawało mi się niesamowite, że idzie tak obok mnie, że patrzy na mnie, że mówi, że dziękuje, że napisałam, i że chce się

jeszcze ze mną zobaczyć.

– To jedna z najlepszych rzeczy, jakie ostatnio spotkały mnie w życiu.

To było tak dziwne i tak niecodzienne, że cała rzeczywistość tej sceny stawała pod znakiem zapytania. Jesienny wieczór w środku tygodnia upływał spokojnie, miało nas niewielu przechodniów, posępny gmach dawnego KC straszył jak upiorny relikwiarz minionego, lecz nie do końca martwego. Jakby giełda – symbol kapitalizmu – nie całkiem wyparła to, co było tam wcześniej. Boczne powierzchnie parteru stanowiły doskonałe miejsce na sklepy, a mimo to pozostawały puste. Jakby właściciele ekskluzywnych marek i drogich butików odstraszały grasujące tam duchy minionej świetności. Echa partyjnej przeszłości hulały po wampirycznym gmaszysku, wielki plakat na słupie ogłoszeniowym zachęcał do obejrzenia *Ryszarda III* w Teatrze Narodowym, duchy PRL-u musiały prowadzić jakiś dialog z upiorami Szekspira. Ręka Wajnerta zacisnęła się wokół mojej dłoni. Właśnie tak – nie wziął mnie za rękę, nie splótł swoich palców z moimi, po prostu otoczył drobne kości mojej dłoni mocnym chwytem. Trzymał mnie tak, jak trzyma się niesforne dziecko, przeprowadzając je przez pasy, jak przytrzymuje się kogoś, kto chce uciec, a komu nie chcemy pozwolić się wyrwać. Nie było w tym w ogóle czułości, za to wyraźny instynkt posiadania, ale ja byłam za młoda, by go rozpoznać. Wystarczyła mi ręka Wajnerta – duża, ciepła i silna.

– Dziękuję pani, pani Michalino. Bardzo pani dziękuję.

Wyższy ode mnie co najmniej o dwadzieścia centymetrów, musiał się pochylić, aby dotknąć moich ust swoimi. Przelotny dotyk, miękkość obietnicy niejasnej i mglistej, chyba mi się wydawało.

Rozstałam się z Wajnertem na pustym placu przed frontem nawróconego na kapitalizm KC. Przystanek tramwajowy Muzeum Narodowe, postukujące tory, długa droga na Pragę. Szyba, o którą oparłam policzek, była chłodna i taka rzeczywista – w przeciwieństwie do tego wszystkiego, co przed chwilą. Im dalej za Wisłę, tym coraz mniej ludzi. Nie było jeszcze na tyle późno, by mogło zrobić się niebezpiecznie, ale spojrzenie, które znad wełnianej czapki naciągniętej na oczy rzucił mi samotny pijak, nie było przyjazne. Może nie podobał mu się sygnał esemesa w moim telefonie. „Chciałem tylko życzyć Pani dobrej nocy”. Andrzej Wajnert, osobiste zdanie od pisarza, parę słów, które złożył specjalnie dla mnie. „Nie wiem, czy będę mogła dziś spać” – odpisałam mu nie do końca świadoma kokieteryjnych walorów swojej szczerzej deklaracji. „Pani Michalino, rozmowy z Panią, pocałunki z Panią to są mocne zakłócenia przed snem, więc śpijmy za wszelką cenę”. Tramwaj zatrzymał się na przystanku z połamaną ławką i zdartym rozkładem jazdy, zarys akademika majaczył gdzieś za ciemnością siedmiu bram i siedmiu podejrzanych podwórek, bajka była nieco szemrana, ale właśnie się zaczynała. „I żyli długo i szczęśliwie” stanowiło tylko kwestię tempa rozwoju opowieści.

\*

– Naprawdę musiałaś mnie ściągać do tej żałośniej podupadłej knajpy w środku nocy?

Gwoli ścisłości, był to ogródek żałośniej podupadłej knajpy, ale upalne lipcowe powietrze zachęcało, by nawet nie zawracać sobie głowy myśleniem o wejściu do środka. Mój przyjaciel usiadł ciężko w jednym z wiklinowych foteli i rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, czy już odnotowano jego przybycie. Gdyby pora była obiadowa – albo chociaż kolacyjna – obecność jednego z najbardziej znanych szefów kuchni w jednej z najwykwintniejszych restauracji na pewno nie pozostałaby niezauważona. Rzecz jasna i tak nic by tu nie zjadł, ale poruszenie wywołałby sam fakt, że ktoś taki odwiedza miejsce, które w porównaniu do tego, w którym pracuje, jest barem mlecznym albo lokalem gastronomicznym trzeciej kategorii. Ale nie o północy; o północy w piątkową noc w knajpie o złej sławie, jeszcze gorszej kuchni i całkiem przyzwoitym wyszynku siedzieli tylko pijacy. A tych zazwyczaj smak interesuje najmniej spośród zmysłowych przyjemności.

– Przecież nie spałeś.

– Daj spokój. Od trzech dni nie śpię. Robimy menu na jesień. Nie wychodzę z kuchni.

Wyobraziłam go sobie, jak zamknięty w sterylnym laboratorium na zapleczu restauracji miesza składniki, doprawia, próbuje. Nie sądzę, by oblizywał palce; Filip Pełczyński nie przypominał Nigelli Lawson. Był raczej jak chemik, który płynne mikstury przyrządza w retortach i probówkach, a ciała stałe kroi na czymś w rodzaju stołu operacyjnego. Szerokie blaty, ostre noże, minimalizm bardzo na czasie i bardzo *en vogue*.

– Czym będziesz karmił jesienią? – Nie czekając, aż cokolwiek zamówi, dość egoistycznie i mało elegancko wlałam w siebie zawartość swojego kieliszka. Trzecia wódka, bez popitki.

– Jeszcze do końca nie wiem. Na pewno postawimy na topinambur i buraka. Myślę też o sarninie i oleju z trawy żubrowej.

Niby swojskie, niby regionalne, ale wykwintnie przybrane w szatki *fusion*, kuchni molekularnej i wszystkich tych modnych bzdur. Aż dziw, jak dobrze się to sprzedawało. I choć wiadomo było, że z restauracji Pełczyńskiego wyjdzie się głodnym, to i tak stolik należało tam rezerwować z co najmniej dwumiesięcznym wyprzedzeniem.

– I jeszcze morela. Morela jest niedoceniana. – Pożałowałam, że zapytałam. Teraz ta litania udziwnień, wynalazków i pozornych odkryć nigdy się nie skończy. Na szczęście jednak nowatorska kuchnia artystyczna nie przesłaniała jeszcze mojemu przyjacielowi całego świata; wciąż umiał dostrzegać moje nastroje. – A z tobą co jest dzisiaj?

– Nic. Smutno mi.

Popatrzył najpierw na mnie, później na nocny krajobraz centrum miasta w letni weekend. Łowcy wrażeń, znudzony kelner, który wie, że nie odpocznie przed świtem, samotne dziewczęta w desperackim poszukiwaniu blasku pośród ciemności.

– Napij się ze mną – poprosiłam. Nie pierwszy raz w historii naszej dziesięcioletniej przyjaźni.

– Dobra. – Niezależnie od wszelkich różnic w menu, w cenach i w poziomie wyrafinowania czysta zmrożona wódka jest czystą zmrożoną wódką w każdej knajpie świata. I nawet mistrz renomowanej kuchni mógł się jej napić w podrzędnym lokalu na jednym z najpiękniejszych warszawskich placów. Prawie wszystkie stoliki były zajęte; upalna noc wygoniła ludzi z domów. Zwróciłam uwagę na parę siedzącą kilka metrów od nas. Musieli złożyć hurtowe zamówienie, liczba kieliszków przed nimi była imponująca. Ostre rysy twarzy mężczyzny i widoczny nawet ze sporej odległości lodowaty błękit jego oczu wydał mi się znajomy. Dziennikarz? Prezenter z telewizji? Chyba z Kanału Szóstego. Bywałam u nich czasami, by komentować w studiu wydarzenia polityczne; chyba zdarzyło mi się być jego gościem na antenie. Arogancki, ale błyskotliwy. Dziewczyny nie znałam; sporo od niego młodsza, w eleganckiej sukience i z czerwonymi ustami odcinającymi się od bladej twarzy. Jej stopa błędziła pod stołem po łydce mężczyzny.

– Ładna. – Filip skinął głową w kierunku dziewczyny. – I ładna z nich para.

– Ale chyba niezbyt szczęśliwa.

Widać było, że między tym dwojgiem coś jest nie tak. Pewnie chodziło o chłód na twarzy mężczyzny i bolesne napięcie w rysach dziewczyny. Ktoś chyba kochał tu kogoś za bardzo, podczas gdy to drugie – ani trochę. To się nie może dobrze skończyć, pomyślałam odwracając od nich wzrok. Ciekawe, czy ja też wyglądałam jak ta dziewczyna, gdy kiedyś, przed laty, siedziałam tu z Wajnertem. Czy miałam w oczach to co ona? Wtedy też było piękne lato.

– Szpilka. Ty to masz pomysły. Kto w ogóle jeszcze chodzi do Szpilki? Dziesięć lat temu to rozumiem, ale teraz? – Filip rozejrzał się dookoła z dezaprobatą.

Dziesięć – a raczej dokładnie dziewięć – lat temu to rzeczywiście było modne miejsce. Wtedy chodzili

tu wszyscy, na przykład Wajnert ze mną. Poczułam tę falę pożądania, jaka mnie zalała, kiedy polecił mi pójść do łazienki i wrócić bez majtek. Kwitły wtedy kasztany, a aromat ich dojrzałej słodyczy mieszał się z drażniącą wonią spalin i wyrafinowanym zapachem Chanel Égoïste Platinum. I z dymem z papierosów, oczywiście. Pewnych rzeczy się w życiu nie zapomina, nawet jeśli uczyniliśmy wszystko, by ich nie pamiętać. Pewne rzeczy są na zawsze i zawsze dzieją się wczoraj. Wczoraj dziewięć długich i bogatych lat temu. Wtedy też siedzieliśmy na zewnątrz, przy stoliku najbliżej ulicy, przy którym rezyduje teraz jakaś grupka biznesmenów oderwanych od biznesu – ale nie od jedwabnych koszul – na czas piątkowej nocy. Choć to wszystko nic już nie znaczyło i wszystko było już zapomniane, to i tak musiałam tu dzisiaj przyjść; nogi same mnie poniosły z bardzo modnego Powiśla do zupełnie niemodnej Szpilki.

– Dzisiaj był pogrzeb Wajnerta – powiedziała tuż po tym, jak kelner postawił przed nami kieliszki. Filip nie wzbudził jego zainteresowania; przypadkowi nocni wędrowcy musieli stanowić tu na tyle częstych gości, że nikt nie zwracał uwagi na to, skąd przybyli, nawet jeśli była to kraina topinamburu i buraka w cenie stu złotych za plasterek.

– Nie wiedziałem. – Prawie nigdy nie rozmawialiśmy o dawnych historiach, rozumiałam więc jego ostrożność. – Nie wiedziałem, że nie żyje.

– Umarł przedwczoraj. Było we wszystkich gazetach. W radiu, w telewizji, wszędzie.

– Nie słyszałem. Od kilku dni siedzę w kuchni, mówiłem ci... Co mu było?

– Nie wiem, chyba rak. – W mediach mówili „zmarł po ponadrocznej walce z chorobą”, tymczasem on walczył przez pięćdziesiąt osiem lat. Z życiem; przy okazji rozdając ciosy na boki. Ja i Filip zbyt blisko byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni, by milczenie nas krępowało. Ale oboje wiedzieliśmy, że Andrzej Wajnert nie zasługiwał na minutę ciszy dłuższą niż trzy oddechy nad oszronionymi kieliszkami.

– To nic nie zmienia, Michalina. Wiesz o tym jeszcze lepiej niż ja.

– Oczywiście, że nie. On od dawna nic dla mnie nie znaczył. – Bóg mi świadkiem, że to była prawda. – Tylko że...

– Tylko że to nieprzyjemne. I przywołuje złe wspomnienia.

– Nie chcę złych wspomnień – powiedziała tak, jakbym miała do wyboru jakieś inne. Wódka została zmrożona na igłę, smakowała lodem, a jej konsystencja przypominała olej. Byłaby doskonała, by wypić za duszę Andrzeja Wajnerta. Niedoczekanie jego, choćby nawet miał mnie straszyć każdej nocy.

– W takim razie idziemy stąd – zarządził Filip, chociaż sądząc po stopniu zmrożenia wódki i fachowości jej podania, ta knajpa nie mogła być aż tak podła, jak jej zarzucał. Poza tym miała inne walory, na przykład dym z papierosów sprzed dziewięciu lat. Wciąż unosił się tu przed moją twarzą i chociaż był zjawą, nie zamierzał rozwiać się na wietrze. Spojrzałam na Filipa; byliśmy piękni, bogaci i według łaskawych kryteriów płynnej nowoczesności wciąż jeszcze młodzi. Byliśmy zdrowi, modni i ekologiczni, i od dawna już żadne z nas nie paliło. Nie mogłam więc wyciągnąć z torebki papierosa ani poprosić o niego mojego przyjaciela, tymczasem oddałabym królestwo za gryzący smak czarnego davidoffa. Takiego jak te, które paliłam lata temu. Tutaj, a także wśród świateł i cieni klimatycznego mieszkania na Mokotowskiej. Ciekawe, kto je dostanie po Wajnercie. Ciekawe, kto teraz będzie w nim mieszkał i przyjmował gości.

– Dalej będziemy pić u mnie; wszystkie stoliki dla nas. – Głos Filipa wyrwał mnie z tych rozmyślań. Może to i dobrze; robiły się chyba odrobinę ryzykowne. – Zrobię ci coś do jedzenia i zobaczysz, od razu będzie lepiej.

Niebywała wiara Filipa w uzdrawiające właściwości konsumpcji nie była zupełnie bezpodstawna; nieraz już leczył moje smutki swoimi daniami. Przepiórki w płatkach róży na nastrój literacko-sentymentalny, kotlet na depresję – działało jeszcze w czasach, kiedy gotował dla mnie w ciasnej kuchni w bloku na Gocławiu, zamiast na przestronnym i supernowoczesnym zapleczu ekskluzywnej restauracji.

Poza tym Filip nie był odosobniony w tej swojej wierze; jak przez mgłę przypomniałam sobie pewne koszmarnie Boże Narodzenie sprzed lat, które miało smak łez i kotletów mielonych.

– No chodź, złapiemy taksówkę i pojedziemy. Zrobię coś naprawdę dobrego.

– Z trawy żubrowej czy z buraków?

– Chyba żartujesz. – Na jego twarzy odmalowało się autentyczne oburzenie. Tak jakbym śmiała podejrzewać go o jakieś bezceństwa. – Będzie porządny kawałek mięsa. Uczciwy schabowy, taki jakiego lubisz najbardziej. Cieniutko rozbity i wielki na pół talerza, no wiesz, taki jak dawali w przedszkolu. – Pieczołowicie układane menu na jesień i trend na lokalne składniki wyszukane w lesie i na łące to jedno, ale obiad dla przyjaciółki to coś zupełnie innego. – Chyba nie podejrzewasz, kurwa, że będę cię karmił jakimś burakiem?

– Ależ skąd. – Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Schabowy na smutek, a wódka na wzmocnienie. A może na utopienie tego, co nie powinno wypływać na zewnątrz? Od dziś już ostatecznie nie powinno, bo przecież zostało zakopane głęboko w ziemi. – Jedźmy – powiedziałam, wstając od stolika i machając na przejeżdżającą taksówkę.

Prezentera telewizyjnego i jego zakochanej dziewczyny już nie było; zdążyli sobie pójść gdzieś w noc i w miasto. My też poszliśmy – do najbardziej snobistycznej warszawskiej restauracji po godzinach otwarcia i od wejścia dla dostawców. Bez rezerwacji i bez buraka w menu.

\*

Dziewczyna, z którą dzieliłam pokój w osławionym akademiku na Kickiego, była studentką pedagogiki. Trzeci rok, zorientowana w tym, co uważała za meandry studenckiego życia, sypiąca dobrymi radami jak z rękawa swojej jaskrawej bluzki z poliestru. Dostałam ją z przydziału – razem z szorstkim kocem w szkocką kratkę i lampką z żarówką o mocy czterdziestu watów – podczas procedury zakwaterowania.

– Będzie mieszkać w pokoju numer sto dwadzieścia siedem. Trzecie piętro. Z Maszerek Martą. Rozumie? – upewniła się kobieta, która meldowała mnie w domu studenckim. Solidna nadwaga, grzebienioodporna trwała ondulacja, okulary na łańcuszku. Pewnie siedziała tak za swoim biurkiem i burczała na studentów już od kiedy zbudowano ten akademik; nie tak wiele przecież zmieniło się tutaj od lat sześćdziesiątych.

Marta Maszerek okazała się dość modelowym okazem gatunku dziewcząt z pedagogiki. Mniemam, że przez całe dotychczasowe studia ani razu nie była w bibliotece – w zupełności wystarczał jej zestaw skserowanych skryptów. Wiedza instant – szybko, łatwo, bez wysiłku i bez żadnych wątpliwości. Niczym większość koleżanek z jej kierunku usilnie poszukiwała męża; wobec dość mizernych rezultatów tych poczynań spędzała czas we wspólnej kuchni, przyczyniając się wydatnie do wypełniania korytarzy nieustannym, swojskim zapaszkiem smażonej wątróbki, cebuli, gołąbków. Przez żołądek do serca – głęboko wierzyła, że udoskonalenie umiejętności kulinarnych podniesie jej wartość na rynku matrymonialnym o wiele bardziej niż piątka w indeksie. Głośna, przejęta, literacko niewychodząca poza zestaw porad kosmetycznych i przepisów do wycięcia z pisma dla pań domu; może jeszcze Paulo Coelho był w jej guście, ale to też nie za często.

– Gdzie byłaś? – zapytała z właściwą sobie bezpośredniością, kiedy tamtego jesiennego wieczoru stanęłam w drzwiach naszego wspólnego pokoju. Oczy jeszcze musiały mi błyszczeć.

– Na spotkaniu. Nigdzie. Nieważne.

Byłam inna niż zwykle i moja współlokatorka nie mogła tego nie zauważyć; sama czułam, że zdaję się patrzeć na nasz pokój tak, jakbym widziała tam coś zupełnie innego niż wypaczone linoleum, wąskie szafki pracownicze ze sklejk, płyty białej farby łuszczące się z drewnianych ram okiennych.

– Jak to nigdzie? Przecież widzę, że gdzieś byłaś. – Ktoś taki jak moja współlokatorka nie mógł pozwolić sobie na torturę niewiedzy, a mnie na łaskę odpuszczenia. Zamaszystym gestem odstawiła na stół patelnię i butelkę oleju, które właśnie niosła do kuchni. Stół był pokryty ceratą w biało-czerwoną kratkę; to ona musiała ją przywieźć jako niezbędne wyposażenie.

– Byłam. Ale to nic ważnego, naprawdę.

Sama nie wiem dlaczego uważałam, że jeśli jej opowiem, to umniejszą wagę tego zdarzenia. Zbrukam je, zepsuję, sprowadzę do parteru krzykliwych komentarzy i żalonych porad. Których i tak nie dało się uniknąć.

– Nic ważnego, tak? Dopiero zaczęłaś pierwszy rok, a już latasz z facetami. – W jej głosie ton starej ciotki walczył o prym z nutką zazdrości. – Uważaj, bo to się źle skończy.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się we mnie, potem zabrała swoje utensylia i wymaszerowała do kuchni. Musiała uznać, że już na pewno nic więcej jej nie powiem.

„Uważaj, bo to się źle skończy”. Poczułam gorycz na języku, która nie wiadomo skąd podpłynęła mi do gardła. Co ona tam wie – na znak protestu przeciwko gospodarskim wartościom swojej współlokatorki poszłam zapalić. Rzecz jasna, nie pozwoliłaby mi palić w pokoju. W akademiku przyjęte było inne rozwiązanie, tyleż praktyczne, co śmierdzące. Pękate słoiki do połowy wypełnione wodą dekorowały parapety zamiast doniczek. Brudna szarość w miejsce zieleni liści, zbrylony popiół pływający w mętnej cieczy, pióropusze niedopałków rozkwitające zamiast kwiatów. W tym miejscu nawet palenie przestawało być stylowe.

Telefon zadzwonił dokładnie w chwili, w której chmurka dymu z moich ust rozbiła się o smugi brudu rozmazanego na szybie.

– Pani Michalino, przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Nie szkodzi, absolutnie nie szkodzi. – Nie szkodziłoby, nawet gdyby dzwonił o północy, nad ranem, o świcie. O każdej porze dnia i nocy Andrzej Wajnert mógł mnie zabrać od tej szarości ścian, które były kiedyś białe, od tych zapachów wspólnej kuchni, od tej samotności wśród naczyń i słów mojej współlokatorki.

– Do której ma pani jutro zajęcia?

Jutro był piątek; po południu kończyłam ostatnie ćwiczenia. To była historia filozofii – mój ulubiony przedmiot. O dziwo, bo powinnam przecież gustować w czymś bardziej bezpośrednio związanym z zakresem moich studiów.

– Do siedemnastej.

– Świetnie. Bo tak pomyślałam, że może... może byśmy się spotkali. Dziś jakoś nam nie starczyło wieczora.

Tak jakby jednego wieczora mogło nam starczyć na całe życie.

– Może bym zaprosił panią...

Dokąd to Andrzej Wajnert chciał mnie zaprosić? Na kolację, do kina, do kawiarni, w której – jak pisał w felietonach – spędzał godziny nad gazetą i espresso?

– Do siebie. Może bym zaprosił panią do siebie.

Tego się nie spodziewałam. Andrzej Wajnert chce mnie zaprosić do swojego domu – tam gdzie żyje, tam gdzie pisze, tam gdzie jego dębowe biurko. Przynajmniej tak to sobie wyobrażałam.

– Z przyjemnością. Świetnie. Oczywiście.

– W takim razie podaję adres.

Zabrzmiało trochę jak na pocztce, ale chwilowo treść przesłoniła mi styl. Wymienił jedną ze starych śródmiejskich ulic, jedną z tych od eleganckich butików i kancelarii prawnych w kamienicach z fasadami z piaskowca.

– Przyjedzie pani?

– Tak, przyjadę.

– W takim razie życzę dobrej nocy. I już czekam na jutro.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w słuchawce mojego telefonu zamiast głosu Wajnerta była już tylko cisza. Wsłuchiwałam się w nią przez chwilę – cisza na drugim końcu przewodu, który łączył mnie z moim idolem, cisza przy jego uchu, cisza jak obłok nad jego policzkiem pokrytym trzydniowym zarostem. Zwlekałam z wciśnięciem guzika kończącego połączenie. Nie chciałam się rozłączać, nie chciałam przerywać, chciałam, by trwało. Przecież dopiero się zaczęło. Papieros zdążył zgasnąć; pochowałam go w urnie rozwodnionych popiołów.

– Nie pal tyle. – Moja współlokatorka maszerowała z kuchni do pokoju. Przed sobą trzymała garnek: lekko odsunięta pokrywka, błękit ścierki, przez którą uchwyciła ręczki, wyraz zadowolenia na jej twarzy okrągłej i pełnej. Znaczone jarzeniówkami u sufitu bezkres korytarza ciągnął się daleko za jej plecami.

\*

– Michalina! Zaczekaj! Zaczekaj chwilę.

Doktor habilitowany Sławomir Jeżewski był wcieleniem dobrych manier, a także – o czym miałam nawet okazję kiedyś osobiście się przekonać – dyskrecji. Nigdy nie podnosił głosu, nigdy nikogo nie zaczepiał i nie miał w zwyczaju za nikim biegać. Musiało więc stać się coś wyjątkowego, że zawołał do moich pleców.

– Sławek, cześć.

– Cześć, kochana. Dobrze, że cię spotykam. – Kilcoma krokami pokonał dzielący nas kawałek korytarza. Szeroka przestrzeń, posadzka wydeptana butami tysięcy studentów, piękne, wykuszowe okna, które miały przywodzić odległe, ale jakże pożądane skojarzenia: średniowiecze, klerycy pochyleni nad księgami, siedem sztuk wyzwolonych. Choć zdaje się, że nie było wśród nich politologii.

– Mam do ciebie prośbę – zaczął, kiedy już znalazł się obok mnie. Na tyle blisko, by nikt poza mną nie usłyszał jego głosu. – W ogóle to musimy porozmawiać. Masz chwilę na kawę?

– Nie bardzo, zaraz jedziemy do Pułtuska.

– No tak, Pułtusk. Zapomniałem. Nadal tam jeździecie?

– Tak. Na zajęcia co środę, a dzisiaj akurat tylko po papiery. Tym razem powozi Kamil.

My, wykładowcy państwowego uniwersytetu i oddani ludzie nauki, musieliśmy sobie jakoś radzić. Z czynszem, z rosnącymi kosztami utrzymania, z życiem. Szkoła wyższa w Pułtusku stanowiła idealne rozwiązanie – prywatna uczelnia na tyle bogata, by godziwie nam płacić, a jednocześnie na tyle solidna, by dorabianie na niej nie było powodem do wstydu. Ćwiczenia prowadzone lekko i z krótką listą lektur, konwersatorium tylko dla chętnych, egzamin, który dla pozorów należało zorganizować, ale który i tak wszyscy zdawali. Miło, wygodnie, mobilizująco do pracy nad umiejętnościami pedagogicznymi, bo przecież publikacji naukowych nikt tam od nas nie wymagał. Wprawdzie teraz to już nie te czasy, kiedy można było kolekcjonować nieskończoną liczbę etatów – rekordzista, z którym miałam zajęcia jako studentka, uzbierał ich siedem – ale dobrze skonstruowana umowa o dzieło też była w porządku. Jeździliśmy więc do miasteczka w cieniu zamku biskupiego, by profesjonalnie zasilać kadry tamtejszej uczelni; tak się jakoś składa, że założonej przez profesora z naszego instytutu. Na pewnym etapie podróży wpadliśmy na to, by robić składkę na paliwo i jeździć tam grupowo. Co środę innym samochodem – ciało profesorskie z Warszawy na gościnnych występach. Sławek Jeżewski też kiedyś jeździł do Pułtuska; prawdę mówiąc, dołączyłam do tego grona właśnie dzięki niemu.

– To wejdźmy chociaż na chwilę do mnie. Albo do ciebie.

Z uśmiechem skinął głową w kierunku drzwi z tabliczką „Zakład Historii Idei i Myśli Politycznej”. Czyli i u niego, i u mnie – jako pracownicy jednego zakładu mieliśmy dyżury w tym samym pomieszczeniu; to nie był amerykański uniwersytet i braki lokalowe stanowiły oczywistość. Przyjmowaliśmy studentów w różnych godzinach, i pewnie różne rzeczy z nimi tam robiliśmy na wypolerowanym biurku.

– Co tam, Sławku? – zapytałam, kiedy drzwi już się za nami zatrzasnęły. W przeciwieństwie do mnie on nie miał w zwyczaju przekręcania klucza w zamku.

– Michalino, mam sprawę. – Po jego podenerwowaniu zorientowałam się, że to coś ważnego. Doktor Jeżewski był stypendystą angielskich uniwersytetów, i to w czasach grubo przed naszym wejściem do Unii Europejskiej i przed programem Erasmus. Brytyjska powściągliwość odcisnęła na nim niezatarte piętno i zawsze stanowiła ideał, do którego aspirował; tym bardziej ważką musiała być przyczyna jego poruszenia. – Nie jedziesz z Piekutowiczem do Baton Rouge, prawda?

– Nie jadę. Zostaję, żeby dokończyć grant, ten o emancypacji kobiet w dyskursie postsolidarnościowym, wiesz który. Ten, który robimy razem z socjologią. Trzeba go rozliczyć do końca października.

Niestety to na mnie spadła niewdzięczna robota finalizacji łaskawego daru Unii; musiałam wszystko pozbierać i sklecić jakieś w miarę zgrabne podsumowanie dwuletniego projektu. I chociaż to mnie czekało dużo roboty, pod całością podpisywał się oczywiście profesor. Cóż, takie zasady, a Unia przynajmniej była hojna.

– Piekutowicz zostawia cię z tym samą?

Doktor Jeżewski zbyt dobrze orientował się w meandrach życia akademickiego, by nie wiedzieć, co to znaczy.

– No tak – przyznałam niechętnie, ale zgodnie z prawdą. – Ale nie jest aż tak źle, tym razem nie odpowiada za całość. My mamy tylko swoją część do zrobienia, kierownikiem jest Wolejski z socjologii.

Nie stanowiło to zbyt wielkiego pocieszenia, bo chociaż oficjalnie wpisana byłam do grantu jako naukowiec, to musiałam jeszcze zajmować się całą papierkową robotą, która normalnie powinna spaść na pracownika administracyjnego. Pracownika administracyjnego nie było, była za to wszechstronna asystentka profesora. I tak dobrze, że akurat nie on kierował grantem – wtedy miałabym jeszcze więcej zajęć.

– Współczuję. – Sławek nie byłby sobą, gdyby zaniechał form grzecznościowych. Nawet jeśli tak naprawdę mieliśmy rozmawiać o czymś zupełnie innym.

– Dzięki. I jeszcze muszę w październiku poprowadzić za niego cztery wykłady. – Postanowiłam wykorzystać okazję do wyżalenia się. Wiedziałam, że cokolwiek powiem, Jeżewski nie użyje tego przeciwko mnie. – Wyobrażasz sobie? Historię myśli politycznej dla pierwszego roku, załapię się na gnostyków. Obawiam się, że w moim wykonaniu to nie będzie to samo.

W niczym innym wykonaniu to by nie było to samo. Wykład profesora Piekutowicza miał szczególny status; kolejne roczniki studentów opowiadały sobie o nim, posługując się cytatami o rosnącej kwiecistości i coraz bardziej wyrafinowanym słownictwem, które składało się na przekazywaną ze studenckiego pokolenia na pokolenie opowieść o legendarnych fajerwerkach intelektualnych. Na ten wykład przychodziły tłumy; między słuchaczy nie dało się wcisnąć nawet szpilki. Piekutowicz był niekwestionowaną gwiazdą wydziału, a ja miałam pecha go zastępować. I to w jego popisowym repertuarze.

– Nie martw się, będą zachwyceni.

– Wątpię – uśmiechnęłam się – ale nieważne. Mów, o co chodzi.

Sławek popatrzył na mnie uważnie i z przejęciem; niewiele się w nim zmieniło przez ostatnich



dziewięć lat – ciągle to samo inteligentne spojrzenie w kolorze brudnego błękitu, tak samo klasyczna elegancja stroju, niezmienna delikatność szczupłych palców, którymi poprawiał sztywne oprawki okularów. I wciąż pachniał Fahrenheitem. Cóż za godna podziwu wierność; pewnie nadal miał na półce w łazience co najmniej kilka charakterystycznych buteleczek z czerwonego szkła. Zresztą trzymał je nie tylko tam; przypomniałam sobie, jak kiedyś znalazłam jego perfumy w szafce kuchennej między ryżem a kaszą. Lubił mieć swojego Fahrenheita zawsze pod ręką, a dla wierności upodobaniom był gotów na wiele, włącznie z odstępstwem od konwencji, za którą przecież tak przepadał.

– No bo... skoro nie jedziesz do Baton Rouge, to znaczy, że... pomyślałem, że... – Wiedziałałam już, że kaliber jego prośby musi być spory. Sławomir Jeżewski nie był mężczyzną, który ma problem z formułowaniem myśli. – Pomyślałem, że zastąpię Piekutowicza na radzie wydziału.

– Tak, zastąpię. – Nie było w tym nic dziwnego; nie pierwszy raz miałam wystąpić w tej nielegalnej, ale zwyczajowej roli. Wciąż jeszcze nie wiedziałam, do czego zmierza.

– Zagłosujesz za niego?

Tego akurat starałam się unikać.

– Nie... Nie chciałam.

– Daj spokój, przecież wszyscy wiedzą, że Piekutowicz podpisze się pod każdą twoją decyzją jak pod swoją własną. Zwłaszcza że sprawa jest błaha... Tylko przyjęcie na pierwszy rok.

Wtedy już rozumiałam. Doktor Jeżewski był jednym z nielicznych pracowników, którzy bardzo chętnie przyjmowali dopust Boży w postaci gościnnych występów na innych wydziałach. Historia filozofii obowiązkowa na większości kierunków uniwersyteckich, ćwiczenia prowadzone w instytutach borykających się z brakami kadrowymi, a nawet przedmiot humanizujący na matematyce – brał wszystko jak leci. I nie robił tego zupełnie bez przyczyny.

– Znowu? Znowu ten sam numer?

Kolejna dziewczyna wyłowiona przez doktora Jeżewskiego na zupełnie innym kierunku studiów i ściągnięta do naszego instytutu. Kolejna dziewczyna, którą chciał umieścić pod swoimi skrzydłami i w swojej willi na Starym Mokotowie. Kolejna dziewczyna, której być może właśnie ratował życie.

– Nawet nie musimy robić formalnego głosowania, wystarczy, że załatwimy na radzie wydziału, żeby ją przyjęli. Pomożesz mi?

To nie był pierwszy raz, kiedy prosił mnie o coś takiego, ale oboje wiedzieliśmy, że nie mogę mu odmówić. Ani poprzednim, ani tym, ani żadnym następnym razem. Są więzi, których nie da się zerwać, i długi, które nigdy nie zostaną spłacone.

– Skąd ona jest?

– Nie z polonistyki. – Uśmiechnął się do mnie samymi kącikami ust, delikatnie, tak, by nie pokazać zębów. – Z polonistyki przyszła tylko jedna i nikt już później nie był taki jak ona.

Staliśmy przez chwilę naprzeciw siebie w zupełnym milczeniu. Promienie sierpniowego słońca wpadały przez okno i rozjaśniały nasze twarze, a my uśmiechaliśmy się do siebie.

– Dobrze, załatwione – odezwałam się po chwili, kiedy oboje wróciliśmy już z krainy wspomnień. Dawne czasy, aktualne zobowiązania. A może nawet przyjaźń?

– Dzięki, Michalino. Naprawdę ci dziękuję. – Gest, którym dotknął mojej ręki, nie miał w sobie nic ze starych historii; był po prostu serdeczny. – I przy okazji, uważaj na siebie. W sensie: bądź ostrożniejsza, wiesz z czym.

– A co się stało? – Poczułam, jak fala złych przeczuć przesłania sierpniowe słońce.

– Jakiś nieszczęsny student ponoć chodzi po wydziale i opowiada, że zażądałaś, żeby się z tobą przespał. Piotr Baślak czy jakoś tak.

– O nie. To była kompletna porażka.

– Ach, tak? – Doktor Jeżewski okazał pełne zrozumienie dla mojego rozczarowania. Ostatecznie przecież ja i on byliśmy jednej krwi.

– Tak. A teraz jeszcze nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

– Tacy są najgorsi. – Mój rozmówca miał o wiele bogatsze doświadczenia w tej materii, ale jak widać, były one podobne do moich. – Nie martw się, ma zdaje się poprawkę u Piekutowicza, nie sądzę, by wyszedł z niej cało.

– Ja też nie sądzę. Zwłaszcza że sama mu ją załatwiłam.

– A, to dlatego ma żal. Bądź spokojna, jeśliby jakimś cudem zdał, postaram się, żeby miał ze mną zajęcia na drugim roku.

– Dzięki, Sławek.

Ostatecznie nie było jeszcze tak źle – nie sądzę, by nieszczęsny chłopczyk o pełnych, ale niesprawnych ustach posunął się do czegoś więcej niż głupie korytarzowe gadki. Poza tym potrafiłabym sobie poradzić, nawet gdyby poszedł z tym do dziekana. Chociaż nie byłoby przyjemnie – poczułam w ustach żenujący posmak tej sytuacji, a widok pustego, wypolerowanego blatu biurka przypominał mi, jak siedziałam na nim bez majtek, w płonnej nadziei.

– Telefon ci dzwoni – usłudźnie zauważył Sławek; moja torebka przemieszczała się po tym nieszczęsnym biurku wstrząsana wibracją dzwonka.

– No jedziesz z nami czy zostajesz? – Doktor Kamil Wałęcki, specjalista od systemów partyjnych i dumny właściciel srebrnego opla vectry, który miał nas dzisiaj zawieźć do Pułtusza, nie ukrywał swojego zniecierpliwienia. – Czekamy na ciebie, pospiesz się.

– Już dobrze, zaraz będę. Muszę lecieć, naprawdę. – Dotknęłam łokcia doktora Jeżewskiego; materiał jego marynarki był tak miękki, na jaki wyglądał. Marynarka noszona niezależnie od pogody, droga wełna, doktorat z oświecenia i habilitacja z liberalizmu – istna ostoja klasyki w rozedrganym świecie postmodernistycznej dowolności.

– Umówimy się na kawę w przyszłym tygodniu. Koniecznie.

– Jasne, z przyjemnością.

– I jeszcze jedno – dodał, kiedy już stałam z ręką na klamce. – Wiem, że to dopiero od października i pewnie jeszcze będzie okazja, ale już ci gratuluję. Serdecznie. Stanowisko adiunkta rok po obronie doktoratu to naprawdę coś.

Spieszyłam się, ale nie mogłam nie zajrzeć mu w oczy. Musiałam się przekonać, czy są w nich isierki złościwości, ogniki kpiny, płomycki fałszu. Nie było, a brudny błękit jego spojrzenia lśnił zaskakującą czystością.

– Dzięki, Sławek. Chociaż przecież oboje wiemy, że konkurs był ustawiony pode mnie.

Nawet jeżeli rzeczywiście wiedzieliśmy oboje, to tylko jedno z nas dało to po sobie poznać.

\*

To był dzień ekscytacji. Niepowstrzymanej, przemożnej i właściwie uciążliwej, zwłaszcza podczas zajęć, na których nie udało mi się skupić ani na chwilę. Wielki pisarz, randka, zaproszenie – zdaje się, że pani od poetyki mówiła coś zupełnie innego, ale ja uparcie słyszałam wyłącznie tamto. I tak cały czas, całe zajęcia, całą drogę z uniwersytetu do mieszkania Wajnerta – z ekscytacją siedzącą mi na ramieniu. Wielki pisarz, randka, zaproszenie – obwieszczały wszystkie szyldy na mijanych budynkach. Obcasy moich butów wystukiwały takt piosenki o oczekiwaniu i nadziei. I nawet przechodnie na ulicy wyglądali, jakby wszyscy wyszli z kart książek Wajnerta. Krakowskie Przedmieście i Kopernik swoim globusem wskazujący mi drogę, Nowy Świat i chłodny wiatr popychający mnie dokładnie tam, dokąd miałam

pójść, plac Trzech Krzyży i puste okna dostojnych gmachów mówiące: „Idź dalej”. I wreszcie Mokotowska. Znałam tę nazwę jedynie z relacji mojej współlokatorki, na tej ulicy bowiem mieścił się Wydział Pedagogiki. Teraz jednak miałam poznać to miejsce osobiście i z zupełnie innej strony – tam właśnie mieszkał Wajnert. Jak się okazało, nie w sąsiedztwie budynków uniwersyteckich, ale wśród butików tak eleganckich i drogich, że oprócz manekinów i z bezczynności w manekiny zamienionych sprzedawczyń nie było tam żywej duszy. Równiutki chodnik, wypolerowane szkło okien wystawowych, spokój i cisza ulicy zbyt snobistycznej na spacer i za drogiej na zakupy. Modernistyczna elewacja, ozdobne gzymsy i piętra wysokie na co najmniej trzy metry wskazywały, że kamienica, w której mieszkał pisarz, to przedwojenny autentyk. Jednak winda pośrodku klatki schodowej i zupełnie współczesne lustro w holu skutecznie podważały to wrażenie. Nie wiedziałam, czy kamienica naprawdę była stara, czy tylko umiejętnie taką udawała; tak czy inaczej, na pewno nie brakowało jej stylu.

Ekscytacja narastała we mnie jak muzyczne *crescendo*, gdy naciskałam dzwonek domofonu.

– Dzień dobry, to ja – powiedziałam do trzasków, które rozległy się po drugiej stronie. Żadnych potwierdzeń, powitań ani zaproszeń. Tylko brzęczenie sygnalizujące, że drzwi są otwarte. „Wchodzisz?”, pytały irytujące dźwięki. „Na pewno?”, drzwi zdawały się dopytywać, kiedy zbyt delikatnie próbowałam je popchnąć. „Do środka, naprzód, dalej”. Och, tak – wchodzę. Musiałam to jeszcze potwierdzić spojrzeniem w odpowiedzi na pytający wzrok portiera. Pozbawiony realnej władzy król całkowicie zbędnej dyżurki, którego jedynym sensem istnienia było poświadczanie statusu mieszkańców apartamentowca.

Wajnert mieszkał na ostatnim piętrze. Szczęk zamka i brzęk łańcucha akompaniował delikatnemu świstowi, z którym rozstały się przede mną drzwi windy. To musiało być to – metaliczne chrzęsty w ciche, bezsenne noce bohaterów jego prozy. Ile jego postaci miały z niego? Co im dał z siebie? I którą z nich tak naprawdę był?

– Michalina. Jakże się cieszę.

Dżinsy, czarna koszula, oczy lśniące i zielone jak stawy na łące w wiosenny dzień. Wiosenna bujność traw, wód i kontekstów w środku ponurej, warszawskiej jesieni.

– Dzień dobry.

W ruchu, którym zamknął za mną drzwi, był jakiś pośpiech, jakaś pieczołowitość gestowi temu nieprzynależna. Wrota zawarte, klucz przekręcony w zamku, pieczara smoka. Mieszkał dokładnie tak, jak powinien mieszkać literat. Ściany zastawione regałami z ciemnego drewna, półki uginające się od książek, książki wypełniające każdy kąt, wypełzające na korytarz, zakradające się do kuchni i do łazienki. Książki, które opanowały mieszkanie, które narzucały swój własny porządek i które powoli, acz nieodwołalnie, obejmowały w posiadanie całą przestrzeń. Gdzieś tam pojawiały się jakieś ostańce z książkowego potopu – telewizor, o dziwo, wcale nie zakurzony i wyglądający na często używany, stojak z płytami, zdjęcie w ramce. Młoda, roześmiana blondynka, gdzieś nad morzem albo jeziorem, gdzieś, gdzie wiatr przysłonił jej twarz włosami. Jego córka – pomyślałam, choć kobieta nie przypominała go ani trochę.

– Jak ci się podoba moja jaskinia? – zapytał, jakby usłyszał moje myśli z chwili, w której wpuszczał mnie do mieszkania. Jakby dopiero teraz do niego dotarły, opóźnione przez stosy zadrukowanych kartek i bariery ochronne okładek.

– Bardzo. Tu chyba jest wszystko. Nic, tylko czytać.

– Nic, tylko szukać – poprawił mnie. Ale drobny żart nie był tylko dyskretną aluzją do liczby tomów. – Chociaż nigdy nie wiadomo, czy znajdziemy. Przecież to tylko jaskinia i cienie na ścianie.

Pieczara smoka, jaskinia, więzienie. Nieco zgrana figura retoryczna, wyświechtany platoński mit czy może prawda objawiona pięć tysięcy lat przed konkurencyjną Dobrą Nowiną? Wierzyłam wtedy, że

warto – szukać ponadczasowego w ulotnym, dopatrywać się zarysu ideału w jego nędznym odwzorowaniu, w imię ducha wybaczać materii jej niedoskonałość. Wybaczać zmarszczki i zwiotczenia, trzydziestoletnią różnicę wieku, błysk w oku zupełnie nieintelektualny.

– Ale poza cieniami jest coś jeszcze.

Wzór, prawda, coś poza tym, co widoczne. Byłam zbyt młoda, by dopuszczać, że „coś poza” niekoniecznie oznacza więcej niż nic, ale Wajnert musiał to przecież wiedzieć. Zachowywał jednak ostrożność w dzieleniu się ze mną swoją wiedzą.

– Tylko że wujek Platon wcale nie obiecuje, że to znajdziemy. Wręcz przeciwnie, w ogóle podaje wyzwolenie z jaskini w wątpliwość.

Najbardziej szkodliwe – i jak wirus przenoszone przez epoki – dziedzictwo antyku, okrutny wyrok niespełnienia i przeczucia; niczego nam nie obiecywano, ale i tak nauczono nas tęsknić.

– W takim razie nie ma sensu próbować? – Któż inny powinien mi to wyjaśnić, jeśli nie Wajnert. To przecież on znał odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Pani Michalino... Michalino. Zawsze warto próbować.

Pochylił się nade mną. Złociste refleksy w brązowym płynie, jego twarz tuż przy mojej, palce zaciśnięte na pękatej wypukłości kieliszka do koniaku. Zbielałe kostki.

– To tutaj pan pisze? – Skinęłam głową w kierunku biurka w dalszej części pokoju.

– Tutaj. Ale nie na maszynie. – Podążył za moim wzrokiem. Stara, solidna maszyna do pisania stała na jednej z półek. Pomyślałam o pieszczocie jego palców na czarnych, krągłych klawiszach z wytartymi literami. – Kiedyś tylko piórem. A od jakiegoś czasu na laptopie.

Maszyna była więc tylko eksponatem, artefaktem podkreślającym profesję właściciela. Jak sakiewka na portrecie kupca albo czaszka na biurku chirurga. Miejsce pracy Wajnerta stanowiło wyspę ładu w pomieszczeniu papierowego chaosu. Zamknięty komputer, ascetyczna, uporządkowana powierzchnia, żadnych notesów ani nawet książek. Pomyślałam o Marku z *Kilku prostych historii*, mojej ulubionej Wajnertowskiej postaci. To tu się urodził, tu dorastał w głowie swojego ojca, tu wypłynął na szerokie wody powieściowego życia. Spójna historia, wyrazisty bohater, mądre przesłanie. Jak to się robi?

– Ale przecież nie będę ci opowiadał o tym, jak piszę.

Czyli jednak słyszał moje myśli; słyszał je bezbłędnie, wyraźnie i od razu, ale widać nie chciał spełniać zawartych w nich życzeń. Szkoda – o niczym innym nie chciałam słuchać tak jak o pisaniu.

– Ludzie, którzy uprawiają literaturę, nie rozmawiają o niej w kuchni.

– O czym w takim razie rozmawiają? – zapytałam, przechodząc od regałów z książkami do kanapy na środku pokoju. Była, jak prawie wszystko tutaj, brązowa i zachęcająca.

– Jak to o czym? O życiu. – Wajnert usiadł obok mnie; dość daleko, ale na tyle blisko, bym zobaczyła, jak dym z papierosa, którego właśnie zapalił, zasnuwa jego twarz siwą mgiełką.

– Przepraszam, że nie zaproponowałem, ale pewnie i tak byłby za mocny dla ciebie. – Przesunął w moim kierunku paczkę swoich francuskich papierosów. Gdzieś na grzbietach książek zamajaczyli gawrosze i profil Jean-Paula Sartre’a. – A wracając do życia, opowiadaj. Wciąż jestem ciebie ciekaw. Jak widzę, jest czego.

Nie umiał ukryć zaskoczenia, kiedy wyjęłam z torebki swoją paczkę papierosów. Czarne davidoffy, czyli moc klubowych zamknięta w długim, wyrafinowanym kształcie. To były dobre papierosy – eleganckie, cieniutkie, stanowczo dla mnie za drogie. I bardzo trujące.

– Trochę za mocne te papierosy dla laleczki z porcelany.

Wajnert popatrzył na mnie znad okularów – przeciągle, badawczo, może nawet podejrzliwie. Rzeczywiście, nigdy nie widziałam, by oprócz mnie paliła je jeszcze jakaś kobieta. Biała wersja light była, owszem, dość popularna, ale je nie gustowałam w słabych doznaniach. Przynajmniej nie wtedy.

– Przyzwyczaiałam się do nich w liceum – odpowiedziałam. – Tam po prostu trzeba było palić.

To była prawda, ale raczej ta jej część, która wekslowała opowieść na tory historii z przeszłości, a nie na terażniejszość, o której wolałam nie mówić. Teraźniejszość to były davidoffy od święta, a na co dzień – cudzesy albo westy kupowane od przybyszów ze Wschodu, z wielkich, kraciastych toreb. Na całe szczęście Wajnert nie chciał słuchać o bazarach i wydawaniu pieniędzy, których się nie ma; stanowczo wolał o żeńskiej szkole sióstr zakonnych. Opowiadałam mu więc o zimnej dyscyplinie i imperatywie kategorycznym jej łamania, o ucisku konwencji i wysiłku jej przewycięzania, o szukaniu swojej ścieżki wśród fałszywych drogowskazów natrętnie kierujących na wydeptane szlaki. Wajnert słuchał, od czasu do czasu o coś pytał, dolewał brandy do mojego kieliszka. I patrzył. Patrzył na moje usta pociągnięte czerwoną szminką, na moją spódnicę kończącą się w połowie uda, na moją wydzierganą na szydełku bluzkę, obcisłą jak druga skóra. Andrzej Wajnert patrzył na mnie, a jego oczy ogromniały za szklami okularów.

Kiedy wyciągnął po mnie ręce, nie przyszło mi do głowy, by się uchylić, odsunąć, powiedzieć mu, że to za szybko, przedwcześnie, zbyt niecierpliwie. Wyciągał po mnie ręce jak po cukierka, po należną mu nagrodę, niczym po statuetkę, którą – jak widziałam w telewizji – wręczali mu z wielką pompą w zeszłym roku na gali literackiej. Końcówki jego palców drżały odrobinę. Najpierw przysunął się do mnie na kanapie – czterdziestodzieciolatek po przejściach i sukcesach oraz wyzwanie odwiecznych męskich podchodów. Ten sam teatr trudnych początków, jednaki dla nastolatków, mężów, a nawet dla znanych pisarzy. Jak zacząć, jak przełamać lody odległości i dystans zamienić na dotyk? Jak od statusu obcych sobie ludzi przejść do roli kochanków? Jak zręcznie przekroczyć cienką granicę między tym, co istnieje jedynie potencjalnie, a tym, co staje się aktem? Ten ostatni moment był fascynujący. Chwila zanim jego ręka opadła na mój obojczyk, sekunda zawahania zanim jego kolano dotknęło mojego, ostatnie mgnienie, kiedy nasze usta dzieliło od siebie powietrze. Moment przejścia, wspólny obrzęd inicjacyjny, jednorazowe nadanie sobie nawzajem prawa do swoich ciał. Już nigdy nie będziemy dla siebie obcy, już nigdy nie popatrzymy na siebie tak jak poprzedniego wieczoru w kawiarni. Granice zostały przekroczone, nasze usta zetknęły się już bez udawania, że to tylko przyjacielski pocałunek na do widzenia. Intencje stały się jasne, odarte z woalu niedomówień i przypadkowych dotknięć dłoni – jego ręka wślizgnęła się za dekolt mojej bluzki. Przysunęłam się, choć przecież mogłam się oddalić. Coś się zaczęło, coś nas połączyło, coś się zmieniło na zawsze.

Nie miałam nazbyt bogatych doświadczeń seksualnych. Jakiś mało udany pierwszy raz na bardzo pijanej wakacyjnej plaży, jakieś stosunki pospieszne i nerwowo przerywane na tylnym siedzeniu samochodu albo w sypialni rodziców, jakieś czułe bardziej niż erotyczne pieszczoty ze współniczkami niedoli internatu. Wajnert i przyciemnione światła w jego brązowym salonie wydawały się czymś zupełnie innym, nowym, właściwym. Rozebrał mnie delikatnie i powoli, długo patrzył na moje sterczące sutki, długo je ścisnął, całował i gryzł. Oblizwał moje usta końcem języka, dokładnie i czule obrysowując ich kontur, by później to samo uczynić z wargami. Nieprzyzwoite pocałunki, pomieszanie porządków, moja głowa między jego nogami. Usta mi nabrzmiały wypełnione nim i śliną pospołu. Nie pozwolił mi otrzeć się dłonią – czułam, jak ślina zasycha w kącikach, spływa na podbródek, pokrywa wilgocią policzki. I jak jednocześnie świeże krople z jego ust mieszają się ze śluzem na moich wargach, coraz bardziej obrzmiały i otwartych. Mokro na górze i mokro na dole, wszędzie ślady jego języka, dreszcze, które promieniście rozchodziły się od łechtaczki, pulsowały w łądźwiach, płynęły wzdłuż kręgosłupa. Choć wiedziałam, że Wajnert musiał mieć w życiu wiele kochanek, czułam się tak, jakbym była tą jedyną i pierwszą. Jakby dla mnie to wszystko przeznaczono – całą tę rozkosz, głębokie zanurzenie, figury, które nie miały służyć popisowi akrobacji, lecz spełnieniu. Kiedy mnie odwracał, przekręcał, nachylał się nade mną – nie przeszkadzało mi wtedy, że jest stary; nawet nie dostrzegałam oczywistych niedoskonałości

jego ciała. To wszystko było nieważne; liczyło się tylko to, jak daleko jechałam, jak wysoko leciałam, jak lekko płynęłam. Te tysiące książek, które przeczytałam, te setki postaci, które uczyły mnie życia, te kobiety z Wajnerta i ze wszystkich jego literackich poprzedników – to wszystko tkwiło gdzieś we mnie, rosło latami i odkładało się przekonaniem, że seks jest nie tylko seksem. Że rzecz jest czymś więcej, niż jest. Że można szukać sensu w tym, co nie jest li tylko funkcją organizmu. Seks z Wajnertem nie był dla mnie sposobem na wyrafinowane zaspokojenie. Stanowił ciąg dalszy czytania, powieść na żywo. Jego powieść. To było jak literatura, która staje się życiem. A może odwrotnie?

– Michalina. Masz imię po Wisłockiej? – zapytał, kiedy już dym z papierosa skutecznie oddzielił go ode mnie. Dla kogoś z jego pokolenia takie skojarzenie mogło stanowić oczywistość, ale było błędne.

– Nie. Mój patron jest potężniejszy. – Uśmiechnęłam się do niego przez resztkę złotawego płynu w moim kieliszku. – Mam imię na cześć archanioła.

Solidny wspomóżyciel, rycerski etos, gwarantowana opieka w niebie.

– Urodziłam się dwudziestego dziewiątego września. W Świętego Michała. – Spojrzał na mnie, jakby to nie było wystarczające wyjaśnienie. – Miałam być chłopcem – dodałam pod tym jego spojrzeniem, lekko kpiącym i nieprzyzwoicie przenikliwym. W jego oczach ktoś pomieszał drwinę, niedowiarstwo i łapczywe zainteresowanie, ale chyba pogubił proporcje.

– Michalina, która miała być chłopcem.

Zabrzmiało jak tytuł jego kolejnej powieści. Andrzej Wajnert leżał nago tuż obok mojego rozgrzanego ciała, jego twarz wciąż pachniała mną, a ręka spoczywała na moim brzuchu. Czyżby właśnie rozważał, jak zamienić mnie na słowa?

\*

– Tendencje separatystyczne w Katalonii to nie jest kwestia ostatnich miesięcy. Rzeczywiście, ostatnio mamy do czynienia z nasilającymi się demonstracjami, ale głosy o potrzebie secesji słychać było już wcześniej. I będzie je słychać coraz wyraźniej. Akcje, takie jak gigantyczny ludzki łańcuch, o którym dziś mówimy, są wstępem do żądania referendum niepodległościowego. Niezależnie od tego, że na gruncie prawa hiszpańskiego takie referendum jest niemożliwe.

Nie byłam specjalistką ani od prawa międzynarodowego, ani od hiszpańskiej polityki, ale i tak zaprosili mnie do studia Kanału Szóstego, bym skomentowała spektakularny, czterystukilometrowy łańcuch Katalończyków domagających się niepodległości swojego regionu. Nie wiem, czy zapraszali mnie tak często dlatego, że potrafiłam płynnie powiedzieć kilka zdań na każdy temat, czy dlatego, że pracowała u nich moja siostra Ewa. Pewnie od niej się to wszystko zaczęło, ale zapotrzebowanie telewizji informacyjnych na rozmownych politologów było ogromne. Telefon z prośbą o wizytę w studiu, o wypowiedź przed kamerą, o szybki komentarz. „Przyjedziemy i nagramy, niech pani doktor będzie tylko uprzejma wyjść przed dom na pięć minut”. Godzin do zapełnienia na antenie było mnóstwo, a ekspertów gotowych przyjechać do studia o każdej porze i składnie się wypowiedzieć – tak naprawdę niewielu. Z moich usług zaczął więc korzystać najpierw Kanał Szósty, a z czasem całe jego informacyjne rodzeństwo. Historia myśli politycznej – moja specjalizacja naukowa – na pierwszy rzut oka nie wydawała się zbyt przydatna dla fabryki informacji, które dezaktualizują się w tempie literek zmieniających się na dole ekranu telewizyjnego, ale nie miało to żadnego znaczenia wobec umiejętności snucia opowieści na tematy polityczne. Nie musiało, a wręcz nie powinno, być zbyt dogłębnie, za to zwięźle i barwnie – jak najbardziej. Umiałam mówić w ten sposób nawet na temat wyników wyborów w Australii, a dziennikarze doceniali to coraz bardziej; dowodem uznania był mój coraz częściej dzwoniący telefon i wstawki w materiałach reporterskich: „Jak twierdzi znana politolog doktor

Michalina Kańska...”. Niekiedy miałam wrażenie, że lista gości zapraszanych do studia jest we wszystkich stacjach zaskakująco krótka i że powtarzają się na niej ciągle te same nazwiska. Eksperci od wszystkiego, zawsze rozmowni, zawsze fotogeniczni i zawsze ci sami. Politolog o konserwatywnych zapatrywaniach, o którym wiadomo było, co powie w sprawie polityki krajowej, zanim jeszcze otworzył usta. Młody, rzutki naukowiec z toruńskiego uniwersytetu, który jakimś dziwnym trafem większość czasu spędzał w Warszawie w pobliżu budynków telewizji, zamiast w Toruniu wśród swoich studentów. Specjalista od analiz multimedialnych, który zawsze przychodził do studia z laptopem i prezentował wyniki swoich badań. Opatrzona twarze, znane postaci, przewidywalne komentarze o sprawdzonej jakości, a także – a może przede wszystkim – dostępności. Drużyna wnikliwych komentatorów z telewizyjnej łaski – znaleźmy się wszyscy; zazwyczaj wymienialiśmy uprzejme pozdrowienia, mijając się w drzwiach stacji.

– Przepraszam, że tak krótko. Aż głupio, że cię fatygowaliśmy na te cztery minuty, ale wiesz, co tu teraz mamy. Burdel, ukrop i dochodzeniówkę w jednym. – Moja siostra uznała za stosowne wytłumaczyć mi się ze spraw, na które nie miała żadnego wpływu. – I tak dobrze, że w ogóle mówimy o innych tematach niż tylko w kółko śledztwo i śledztwo. Wiesz, co tu się działo jeszcze tydzień temu?

Słyszałam co nieco – spektakularne morderstwo, poćwiartowane ciało, policyjny alert w mieście. Zdaje się, że ofiarą był prezenter Kanału Szóstego; przypominałam sobie telewizyjne migawki sprzed parunastu dni. Zimne, niebieskie spojrzenie patrzące z czarno-białych zdjęć. Mężczyzna, którego widzieliśmy z Filipem w Szpilce w dniu pogrzebu Wajnerta?

– Aż szkoda gadać. – Moja siostra machnęła ręką, chociaż wiedziałam, że tak naprawdę chowa sobie tę historię na wieczór. – Widzimy się o ósmej? Nic się nie zmienia?

– Nie, wszystko tak jak umówione. Jak znam Filipa, to już od południa nie wychodzi z kuchni. Pewnie chce oczarować dostojnego gościa.

Ewa uśmiechnęła się do mnie; wiedziałam, że wzmianki o narzeczonym sprawiają jej przyjemność. Choć akurat słowo „narzeczony” nie wydawało się najwłaściwsze dla mężczyzny dwadzieścia lat starszego od niej, z żoną i dwojgiem małych dzieci.

– Marek nie jest wybredny, lubi wszystko, a już mięso najbardziej.

To chyba się nie naje. Pomyślałam o czarnym bzie marynowanym w occie ryżowym, pianie z soku bulwy kopru włoskiego i carpaccio z buraka, czyli o gwiazdach wrześniowego menu w restauracji Filipa Pełczyńskiego.

– No dobrze, muszę wracać do roboty. – Stałyśmy na korytarzu przy wejściu do studia; Ewa rzuciła wymowne spojrzenie w głąb redakcji. Jacyś ludzie energicznie wymachiwali tam papierami. A może rękoma? – Widzimy się o ósmej. Zabrać cię skądś?

Żonaty narzeczony Ewy jeździł lśniącym nowiutkim bmw X5 w kolorze śnieżnej bieli – mojej siostrze sprawiało to nieprzyzwoitą, tandetną, ogromną przyjemność. Od lat była dziennikarką największej w kraju telewizji informacyjnej, ale to nie zmieniało faktu, że wciąż pozostała dziewczyną ze wsi Burzenin w powiecie sieradzkim, która na zabawy do remizy musiała jeździć zardzewiałym polonezem ojca z folią zamiast wybitej tylnej szyby.

– Jakbyście mogli, to z uczelni. Bo muszę tam jeszcze wpaść. – Pomyślałam o bardzo obiecującym studencie, z którym umówiłam się na „dodatkowy termin egzaminu”.

– Zawsze na uczelnię i na uczelnię. Co ty tam robisz o tak dziwnych porach?

Godzina szesnasta może nie była aż tak dziwną porą, ale w pytaniu mojej siostry pobrzmiwało delikatne echo podejrzeń.

– Jak to co? Pracuję. I ty też powinnaś. – Skinęłam głową w kierunku jednej z postaci wymachujących kartkami. Szła właśnie w naszą stronę burym i brzydkim korytarzem gmachu telewizji.

– Dobra, to będziemy po ciebie koło ósmej. I szykuj się na sobotę, pamiętaj.

– Dzień dobry, pani doktor. Ja też właśnie w tej sprawie. Przypomnieć, że jesteśmy umówione do wydania specjalnego w sobotę na trzynastą.

Postać z kartkami okazała się wydawczynią publicystyki, która już przedwczoraj zaprosiła mnie do studia na sobotę. Wielki marsz zjednoczonych central związkowych, tysiące demonstrantów na ulicach Warszawy, ekscytująca groźba rozróby przed Kancelarią Premiera – nie lada gratka dla telewizji; wobec wielogodzinnych relacji i skali wydarzenia należało zaklepać sobie politologów zawczasu, bo mogło ich zabraknąć.

– Oczywiście, pamiętam. Będę u państwa.

– Bardzo się cieszę. Odprowadzić panią do wyjścia?

Wydawczyni próbowała być usłużna; pewnie zaliczała mnie w poczet swoich najbardziej niezawodnych gości. Ale nie potrzebowałam pomocy – znałam ten gmach na tyle dobrze, by bez problemu trafić do zacinających się szklanych drzwi strzeżonych przez wąsatego pana w pseudomundurze. Wychodząc, minęłam się z dziewczyną, której twarz wydała mi się znajoma, ale nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, gdzie mogłam ją widzieć. Byłam zbyt pochłonięta planowaniem rozmowy, która czekała mnie za chwilę. Jednak po tym nieszczęsnym niewypale, jakim okazał się niejaki Baślak, nie należało tracić wiary w studentów pierwszego roku; chyba znów zapowiadało się coś ciekawego. I to ze znacznie sprawniejszym językiem.

\*

Taksówka jechała za wolno. O wiele wolniej niż mogła po pustych ulicach nocnej Warszawy. Ze świateł w Alejach Jerozolimskich ruszała opieszale i niechętnie, na most Poniatowskiego wtaczała się dostojnie jak amfibia, tak jakby wcale nie miała ochoty zagłębiać się w odmęty Pragi. Ja tym bardziej nie miałam – była dwudziesta trzecia, mogłam jeszcze złapać jeden z ostatnich tramwajów, ale jakoś nie uśmiechała mi się wizja mnie samej wśród dziarskich chłopców w dresach. Tyle tylko, że nie było mnie stać na tę taksówkę. Kupiłam w tym tygodniu „Poetykę” Kulawika, dwie paczki davidoffów w sklepie zamiast westów z przemytu i tusz do rzes. Do tego zamierzałam jeszcze nabyć nowego Wajnerta. *Rzecz o szaleństwie i ukojeniu* – książkę, którą widziałam wczoraj na wystawie księgarni. Wczoraj. Zaledwie wczoraj poznałam Wajnerta, a tyle już zdążyło się wydarzyć. To on wsadził mnie do tej taksówki. Nie tego się spodziewałam. Nie po tym, co było.

– Późno się zrobiło. Chyba pora pójść spać. – Powiedział, gdy książki wypełniające jego mieszkanie pochłonęły dym z ostatniego papierosa.

Spać. Nigdy nie kładłam się spać przed północą, ale w porządku, oczywiście mogłam pójść spać. Nie miałam wprawdzie przy sobie mleczka do demakijazu ani płynu do soczewek kontaktowych, ale któż zwracałby uwagę na takie drobiazgi. Wajnert chciał iść spać, a ja chciałam tego, co on. Wstał z łóżka, a raczej z brązowej kanapy, która pełniła dla nas tę funkcję.

– To co, zawołać dla ciebie taksówkę? – Jego głos dobiegł mnie gdzieś z łazienki.

– Taksówkę?

Wrócił do mnie w szlafroku w kolorze zgniłej zieleni. Odległe echo barwy jego oczu, teraz nieco już przygaszonej.

– No tak, taksówkę. A jak inaczej zamierzałaś wrócić do domu?

Mój dom był bardzo daleko stąd; wśród równin ziemi sieradzkiej wsławionej rokoszami dawnej szlachty zagrodowej, a bardziej współcześnie – beznadzieją i nieopłacalną produkcją rolną. Teraz mogłam wrócić co najwyżej do akademika; do niegdyś białych ścian, ubrudzonych dotknięciami tysięcy



rąk, do jarzeniówek na suficie korytarzy i do wąskiego łóżka odziedziczonego po wielu pokoleniach poprzednich studentów. Chyba nie zamierzałam tam wracać. Chyba się przeliczyłam.

– Taksówka będzie za dziesięć minut – powiedział, odwracając się w kierunku drugiego ze swoich pokoi. Ubrałam się, szybko i mało starannie, i poszłam za nim. Ten drugi pokój był sypialnią. Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak pochyła się nad łóżkiem, jak zdejmuje z niego kapę i jak układa poduszki. Tu też wszędzie były książki; półki z książkami – pewnie zrobione specjalnie na wymiar – ustępowały miejsca tylko szybom okiennym i grzejnikowi. Po drugiej stronie pokoju nieco załamane linie książkowych grzbietów odbijały się w ścianie luster. To musiała być szafa. Nie mogłam dłużej na to patrzeć.

– Dobranoc – powiedziałam, odwracając się w drzwiach.

– Zaczekaj, odprowadzę cię. – Nieoczekiwany zwrot akcji, nagła zmiana planów, pospieszne wciąganie džinsów i koszula z krzywo zapiętymi guzikami.

Taksówka już czekała przed pięknym frontem kamienicy. Wajnert pocałował mnie na dobranoc.

– Do zobaczenia – powiedział.

Nie znałam jeszcze wtedy zawodowej obojętności kierowców; pan z korporacji Plus Taxi patrzył na to wszystko, a ja nie zdążyłam zerknąć, jaką miał minę, bo spoglądałam tylko na sylwetkę Wajnerta niknącą wśród jesiennej nocy. Żegnał mnie bez płaszcza, z uniesioną dłonią, z twarzą zadowoloną i uśmiechniętą. Machał do mnie na pożegnanie czy z radości, że odjeżdżam? Stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zniknął.

– Dziewiętnaście złotych – zażądał taksówkarz przed posępną bryłą akademika. Odliczyłam tę kwotę bardzo dokładnie i wręczyłam mu z żalem. No cóż, najwyżej będę musiała w tym miesiącu jeść chleb z pasztetem, zanim wreszcie doczekam się wypłaty pierwszego stypendium, które przysługiwało mi w ramach pomocy socjalnej dla studiującej młodzieży z obszarów wiejskich.

Akademik był pusty – nikt nie kręcił się w holu, żadne butelki nie podzwaniały w siatkach, recepcjonistka zdążyła już przysnąć mimo *Mody na sukces*; powtórka odcinka pięć tysięcy osiemset dwudziestego ósmego wyświetlana na ekranie czarno-białego telewizora nie zdołała przykuć jej uwagi. Zresztą na pewno już to widziała. To albo coś ludzako podobnego.

– Dobry wieczór. Pokój sto dwadzieścia siedem.

– Nie ma. – Rzut zaspanego oka na ścianę z kluczami, dość duża pretensja w głosie, szybki powrót do drzemki. To znaczyło, że moja współlokatorka była w pokoju. Dwa piętra, poręcz wyślizgana przez tysiące rąk, zakurzone stopnie z tandetnego lastryko, które nawet nie usiłowało udawać kamienia. Weszłam do pokoju jak najciszej – miałam nadzieję, że Marta Maszerek śpi, że jej nie obudzę i że nie zapyta, gdzie byłam.

– Gdzie byłaś? – Dobiegło mnie od strony okna, bo to ona miała szczęście zająć sobie łóżko przy oknie. Dla mnie została przeżarta wilgocią i pleśnią ściana od łazienki.

– U koleżanki. – Jak najszybciej zdjąć buty, złapać kosmetyczkę, zamknąć się w łazience. – Śpij.

Światło było zgaszone, ale nie chciałam zapalać nawet nocnej lampki. Nie byłam pewna wyrazu swojej twarzy, szwów spódnicy, całości pończoch. Zniknęłam w łazience; tam szum gorącej wody zagłuszał wszystko. Kolejne pytania Marty Maszerek, dźwięk kieliszków z brandy odstawianych na ławę, postękiwania kanapy uginającej się pod dwoma ciałami. Twarz Wajnerta pochylonego nad poduszką odbijała się w lustrach wraz z rzędami książek. Po mojej płynęły czarne strugi – nie zmyłam makijażu, nie miałam na to siły, chciałam jak najszybciej do łóżka. Uroda z glinki kaolinowej, gliceryny i wosków. Uroda łatwo rozpuszczalna. Dzięki Bogu o tej porze nikt już nie dobijał się do łazienki. Mogłam stać pod prysznicem na tyle długo, by moja współlokatorka zdążyła zasnąć. Obie musiałyśmy rano wcześniej wstać – dziś był ostatni dzień października, jutro każda z nas jechała do domu na Wszystkich Świętych. Nie

miałam pojęcia, dlaczego Maszerek nie pojechała dzisiaj. A może jej nie doceniałam i miała po temu równie dobry powód jak ja?

Nie wiem, czy spała, kiedy kładłam się do łóżka, ale nawet jeśli nie, to darowała mi już swoje wywody. Dotyk kołdry na ciele był jak powrót do domu. Pomyślałam z wdzięcznością o babce, która dała mi do akademika porządną pościel – na pewno pod tą, którą rozdawali z przydziału, spałoby się gorzej. Dobrze znany zapach, rąbek wykrochmalonego materiału na twarzy, obrazy pod powiekami ulotne i porwane. Oczy Wajnerta jak zielone szkiełka, książki, dużo książek, przyćmione światło lampy załamane w kieliszku niczym w pryzmacie. Zасыpiając, czułam dym z jego papierosa, cedr i drzewo sandałowe wymieszane w idealnych perfumierskich proporcjach z jaśminem i bergamotką. Na samej krawędzi snu doleciał mnie jeszcze charakterystyczny zapach papieru, przewracanych kartek, zadrukowanych stron. Potężny grzyb na ścianie rozszerzył swoje wilgotne macki tuż przy mojej twarzy.

\*

– Bardzo dobrze. Piątka.

Dołożyłam swój podpis do robaczków jego pisma, którym wykaligrafował nazwę przedmiotu, wymiar godzin i moje nazwisko. Elektroniczny system ocen elektronicznym systemem ocen, ale nie znałam wykładowcy, który nie lubiłby wpisywać stopni do indeksu. Trochę urzędowej powagi, mała domieszka dumy z przynależności do elitarnego grona akademików, sporaszczypta poczucia władzy. Nie byłam obojętna wobec tej mieszanki. Ani wobec zapachu perfum studenta, chociaż na jego dwudziestoletniej skórze pachniały inaczej niż w moich wspomnieniach. Więcej imbiru, mniej cedru. Tyle samo seksu.

– Bardzo dziękuję, pani doktor.

Uśmiechał się do mnie może trochę zbyt bezczelnie. Tak jakby za dobrze znał moje słabości i nazbyt dokładnie wiedział, jak skończy się ten egzamin. O ile za egzamin można uznać luźną rozmowę o prądach neoplatonickich w zaciszu gabinetu. Chociaż właściwie po tym, jak się ostatnio spisał, kiedy dostąpił zaszczytu zaproszenia do mojego mieszkania, w ogóle nie powinnam była o nic go pytać. Przekręcić klucz w drzwiach, pozwolić mu się wykazać niewerbalnie, choć również językowo, i wpisać piątkę. Tyle tylko, że czasem zdarzało mi się woleć Platona od minety. Ot, drobne zboczenie – zawodowe albo i nie tylko.

– Życzy sobie pani doktor, żeby ją dzisiaj odwiedzić?

Nigdy nie pozwalałam tym chłopcom mówić do siebie per ty, ale dostosowywanie się do tej konwencji szło im zazwyczaj dość opornie. Zacinali się na pierwszej „pani doktor” po otarciu ust, tak jakby seks dawał im jakiegokolwiek prawo do bliskości. Albo jakby nie umieli dostrzec erotycznego potencjału pewnej sztuczności form. Chyba wszyscy oni mieli zatrwajające braki w lekturach, a *Niebezpiecznych związków* najwyraźniej nie znali nawet z filmu. Tymczasem ten tutaj złapał styl zupełnie naturalnie; żadnych potknięć, żadnego złamania konwencji, żadnej chropowatości, poza tą, która całkiem seksownie pobrzmiwała w jego nad wiek dojrzałym głosie. I chociaż potrzebowałam rozgarniętego kochanka na stałe, to było zbyt dobre, by brnąć w to dalej.

– Nie, dziękuję. Na dziś wieczór mam inne plany.

– A może jutro, pojutrze? Kiedy tylko pani doktor sobie życzy.

Grał według moich reguł, temu nie mogłam zaprzeczyć, ale stanowczo zbyt łatwo mu to przychodziło. I może nawet trochę za dobrze się przy tym bawił.

– Na razie sobie nie życzę, dziękuję. Proszę się cieszyć ze zdanego egzaminu.

– Pozwoli pani do siebie zadzwonić?

– Proszę bardzo, dzwonić zawsze można.

Nie było potrzeby dodawać, że odbierać już niekoniecznie. Chłopak popatrzył na mnie przez chwilę, zanim sięgnął po swój indeks. Odepchnęłam jego rękę i jeszcze raz przejrzałam strony książeczki. Miał same piątki, może tylko jakąś czwórkę gdzieś. Chociaż zdążył mi już zrobić dwie minety w gabinecie i przespać się ze mną w moim własnym łóżku, dopiero teraz zorientowałam się, że on tak naprawdę wcale tego nie potrzebował. I nawet wiedział co nieco o prądach neoplatonickich w chrześcijaństwie; czyżby zadał sobie aż tyle trudu, by przeczytać mój doktorat?

– Proszę się nie bać, pani doktor.

– Nie zamierzam. – Skłamałam, oddając mu indeks. Co on sobie myśli; taki chłopaczek. Jakby sądził, że można bezkarnie zapędzać się w rejony tak pieczołowicie odgradzane przez lata nieprzekraczalną linią samoobrony.

\*

Dzień Wszystkich Świętych. Choć już nie miałam szans zdążyć na poranne obrządki na cmentarzu, to i tak trzeba było jechać. Na Centralnym wsiadłam do pociągu, który miał mnie zawieźć prawie do domu. Po trzech godzinach jazdy jeszcze tylko spacer przez całe miasto i pół godzinki pekaesem. Trzeba było przejść obok betonowych bloków i nieczynnych zakładów dziewiarskich, obok podejrzanych warsztatów samochodowych i budek z hot dogami, obok salonów fryzjerskich nęcących sztyldami w kolorze wściekłego rózu i sklepów spożywczych anonsujących promocję „Czteropak taniej!”. Wszystko po to, by trafić tam, skąd z miasta powiatowego Sieradz odjeżdżały autobusy do okolicznych wsi. Tak jakby konkurencyjne dworce nie mogły stać jeden obok drugiego; urzędniczo-planistycznym grzechem byłoby przecież ułatwić cokolwiek podróżnym. Dworzec autobusowy wyglądał jak tandetna scenografia do filmu o polskiej prowincji. Wybudowany w chudych latach pięćdziesiątych niewiele się zmienił od czasów powojennej prowizorki i braku wymagań. Czekano się na zewnątrz wśród podmuchów jesiennego wiatru, rozklekotane jelcze z charakterystycznym żółtym logo mniej więcej raz na pół godziny wjeżdżały do zatoczek, osprejowany słup służył za rozkład jazdy. Kasa biletowa wiecznie zamknięta, poczekalnia zbyt odpychająca, by ktokolwiek chciał w niej siedzieć. Na szczęście był kiosk, wprawdzie nieczynny, ale zawsze. Dopóki można – choćby teoretycznie – kupić gazetę, nie jest jeszcze tak źle.

W domu też nie było najgorzej; ominęły mnie nie tylko porządki na grobach, ale też poranne odwiedziny cioci i wujków. Dochodziło południe; ojciec zdążył już wprawdzie wypić co nieco, ale wciąż jeszcze był w stanie rażnym krokiem nosić wieńce i znicze na cmentarz.

– Biedaczek, zniczula się na tak smutne święto.

Moja siostra Ewa mrugnęła do mnie trochę porozumiewawczo, a trochę szelmowsko. Przyjechała do domu z internatu; pomimo moich doświadczeń kaliska szkoła sióstr nazaretanek jej także nie została oszczędzona. Babka – a to ona płaciła za wszystko – ze względu na swoje przedwojenne sentymenty uważała, że jest to wydatek wart poniesienia w przypadku obu jej wnuczek. Wyrok Ewy opiewał jeszcze na rok; nie mogła się doczekać, nie mogła się nasłuchać, nie mogła się ode mnie oderwać. To była przecież moja pierwsza wizyta, odkąd wyjechałam na studia.

– No i jak? Jak jest? Opowiadaj!

Nie dalej jak kilkanaście godzin temu ktoś inny z całkiem podobną ciekawością zadawał mi to samo pytanie. Tyle tylko, że moja siostra oczekiwała zupełnie innych historii w odpowiedzi. Opowiedziałam jej o akademiku, ale bez prusaków i grzyba na ścianie, o wykładowcach, ale nie o tych, którzy recytowali swój własny podręcznik, o bogactwie biblioteki uniwersyteckiej, ale nie o oblężeniu punktu ksero „W sprzedaży skrypty dla wszystkich roczników”. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, lecz była zbyt spostrzegawcza i za dobrze mnie znała, by nie domyślać się, że to tylko część wrażeń.

– A co u ciebie? U ciebie osobiście? Daj spokój, przecież widzę po tobie. Coś nie tak?

– Wszystko tak. – Uśmiechnęłam się do niej najszerzej, jak potrafiłam. Może nie do końca wszystko, ale przecież było „tak”. Tak jak chciałam. Tylko czy na pewno?

Wajnert nie odezwał się do mnie. Nie napisał esemesa, nie zadzwonił, nie spytał, jak nastrój, co u mnie i jak się mam. Bohaterowie książek zawsze pytali o to po pierwszej wspólnej nocy. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Nawet kiedy całą rodziną poszliśmy wieczorem na cmentarz. Gwoli ścisłości, prawie całą: matka jak zwykle wolała zacisze swojej sypialni. Tam miała apteczkę z magicznymi proszkami na dobre samopoczucie i stopy miękkich poduszek, na których układała się razem ze swoim aktualnym – zawsze małym, ozdobnym i dość hałaśliwym – psem. Nic więcej nie było jej trzeba, ale akurat we Wszystkich Świętych rozumiałam ją dobrze: to święto przecież niewiele znaczy dla tych, którzy nie doświadczyli jeszcze poważnej straty. Tak było ze mną – wszyscy moi bliscy żyli; pod ciężkimi płytami nagrobków miałam tylko jakieś przedwieczne ciotki, zapomniane babki stryjeczne, jakichś zupełnie mi obcych wujów z dawno minionych epok. Nie odczuwałam ich nieobecności, nie miałam kogo wspominać. To był tylko rytuał – mozolne wspinanie się na pagórek, na którym ojcom założycielom wsi przyszło do głowy ustanowić cmentarz, symboliczny płomień znicza, poświęca na szarzejącym niebie. Babka jak zwykle zarządzała wszystkim; po drodze zdążyła koso spojrzeć na chwiejny już o tej porze chód ojca, a nawet pogonić młodzieńców po kryjomu palących papierosy w przycmentarnych krzakach. Uśmiechnęłyśmy się do siebie z Ewą; my też to kiedyś robiłyśmy. Po zmroku, we Wszystkich Świętych, przy cmentarzu – takie były rozrywki młodzieży w naszej wsi. Teraz miałam inne; takie, które nie chciały dać mi spokoju.

– Dobrze się czujesz? – Babka nie była kobietą, której uwadze mogło coś umknąć.

– Tak. Oczywiście. – Zapalałam właśnie jakiś szczególnie uparty znicz, który za nic nie chciał wejść w dialog z ogniem zapalniczki. Zapłonął dopiero po dłuższej chwili. Szkło było brązowe; jak wszystko w mieszkaniu Wajnerta.

– Będą chodzić dopiero jutro.

– Kto? – Ewa przewróciła oczami.

– Duchy.

To było oczywiste, podobnie jak to, że płomień za szkłem znicza ułożył się w kształt twarzy Wajnerta. Zmierzch przeszedł w noc, cmentarz rozbrzmiewał szemraniem ściszonych rozmów, szelestem niespiesznych kroków, tarciami zapalek o draski. Ojciec kiwał się przy sąsiednim grobie, zdawał się pasować do scenerii – wyglądał jak żałobnik albo płaczka. Może opłakiwał czwarty rok bezrobocia, a może to, że ceny aronii, którą hodował, były tak niskie, że nawet nie opłacało się jej zbierać. A może płakał nad tym, że nie chce mu się już ani szukać pracy, ani zbierać aronii?

– Uciekaj stąd jak najszybciej. Ja też ucieknę – Ewa szepnęła mi do ucha.

– Tak. Tylko już nie jestem pewna, czy jest dokąd.

Telefon w kieszeni mojego płaszcza milczał, linijki opowieści wcale nie układały się tak, jak powinny, tekst życia nie pisał się według założeń. Gdzie jest to wszystko, co miało być? Gdzie, poza moją wyobraźnią, jest Andrzej Wajnert?

Niektórzy we wsi porzucili tradycyjne lampki na rzecz osłoniętych od wiatru, zamkniętych pokrywką, plastikowych wytworów przemysłu chińskiego. Ale wciąż przeważali wierni starym zwyczajom – otwartych zniczy było więcej i czerwona łuna unosiła się nad cmentarzem jak pieczęć smutku i beznadziei.

– Witamy w Pracowni Smaku. Oczywiście mają państwo rezerwację?

Nienaganne maniery, śnieżnobiała koszula, komputer, tablet i kajet, byle tylko przypilnować wszystkich terminów i ustrzec się przypadkowych gości. Mężczyzna, który powitał nas w przedsiönku restauracji, musiał być kierownikiem sali. Nowym, bo nigdy wcześniej go tu nie widziałam.

– Eee... no mamy, chyba mamy... – Ewa usiłowała przejąć inicjatywę. W końcu zawód dziennikarki telewizyjnej zobowiązuje do pewności siebie. Poza tym nigdy wcześniej nie mieliśmy problemów z ucztami u Filipa; to nie był przecież pierwszy raz, kiedy lokowaliśmy się na zapleczu i wypijaliśmy po kryjomu kilka butelek wódki, która w innych okolicznościach zostałaby rozlana na kieliszki, po czterdzieści złotych każdy.

– Na jakie nazwisko?

Nie wątpiałam, że gdyby trzeba było, elegancki pan zaryzykowałby nieskazitelną biel swojej koszuli i położył się w progu, byleby powstrzymać intruzów. Tylko wyselekcjonowane towarzystwo, rezerwacja na dwa miesiące wcześniej, snobizm obowiązkowy.

– Sądzę, że na nazwisko Pełczyński. Jesteśmy gośćmi Filipa Pełczyńskiego.

Twarz pana w bieli natychmiast zmieniła wyraz. Z profesjonalnie uprzejmego na szczerze zachwycony.

– Oczywiście, państwo do szefa. Przepraszam najmocniej, mówiono mi przecież, że państwo przyjdą. Zapraszam, tędy.

Znaliśmy drogę, ale i tak byliśmy pod wrażeniem. Filip nie był właścicielem tego przybytku, ale widać szef kuchni to jednak też szef. A może po prostu zdążył już ugotować coś temu człowiekowi. I to raczej coś spoza ekskluzywnego menu degustacyjnego.

– No nareszcie, jak zwykle spóźnione. – Filip wstał na nasze powitanie. Tym razem mieliśmy stół w głównej sali. Dyskretne oświetlenie łaskawe dla zamożnych klientów i ich ewentualnych blizn odniesionych w walce o dostatek, designerskie meble, surowy wystrój. – Spóźnieni. – Poprawił się na widok narzeczonego Ewy. Panowie nie znali się wcześniej; to miał być wieczorek zapoznawczy. Jego perspektywa już od kilku dni niepokoiła Filipa. „No i o czym ja będę z nim rozmawiał? Jak to taka sława i w ogóle?” – marudził. W dość wąskiej i specyficznej dziedzinie, ale rzeczywiście sława; medycyna bowiem – choć pozornie odległa od mechanizmów show-biznesu – też ma swoje gwiazdy. Jedną z najjaśniej świecących nie tylko na warszawskim, ale też na krajowym firmamencie był profesor doktor habilitowany nauk medycznych neurochirurg Marek Misiak. Już sama jego specjalizacja budziła dreszcz ekscytujących skojarzeń: tajemnice mózgu, pozornie niewyobrażalne operacje, jeden nieostrożny ruch na miarę nieodwracalnych zmian. Pionierskie zabiegi, pielgrzymki błagających o życie pacjentów z całej Polski, władza. Musiał czuć się prawie jak Bóg, kiedy dzięki sprawności swego umysłu i zręczności swoich dłoni odraczał wykonanie kary komuś z wyrokiem śmierci. Albo ten wyrok zupełnie kasował. A czasami przyspieszał jego wykonanie, bo pewnie i tak się zdarzało na stole operacyjnym, w zimnym świetle lamp chirurgicznych. Może nawet nie tylko czuł się jak Bóg – może nawet nim był, jeśli przyjąć, że współczesna medycyna potrafi czynić cuda. I to w dodatku na mózgu, niezbadanym siedlisku świadomości. A jeśli to tam mieszka dusza? Wtedy profesor Misiak dotykałby jej kilka razy dziennie swoimi zimnymi narzędziami ze stali, a czasem nawet długimi palcami swoich wielkich, ciepłych dłoni. Dłoni jak bochny chleba – zanim go poznałam, zupełnie inaczej wyobrażałam sobie ręce neurochirurga.

„Nie martw się, on jest wspaniały. Ma bardzo dużo do powiedzenia” – pocieszałam przyjaciela, przygotowując go do pierwszego spotkania z narzeczoną Ewy. Tak jak mówiłam, zupełnie nie było się czego bać; profesor Misiak okazał się urodzonym gawędziarzem. Medycynę mieszał z metafizyką, metafizykę z religią, a tę z kolei z gusłami i zabobonami. Rzeczy zupełnie do siebie nieprzystające łączyły mu się w zgrabną całość. Guz pnia mózgu, który zniknął w przededniu skomplikowanej operacji, z pielgrzymką do Santiago de Compostela, obrączka znaleziona na ulicy z poznaniem mojej siostry, ruchy

złotych bransoletek Cyganek odprawiających swoje czary nad łóżkiem chorego pobratymca ze wzorem pofałdowania jego kory mózgowej. Wierzył w dwadzieścia jeden gramów, które waży dusza, i w to, że kiedy umiera pacjent, na OIOM-ie należy uchylić okno. Mówił dużo, barwnie i prosto, nawet o rzeczach bardzo trudnych. Opowieści mojej siostry o zamordowanym prezenterze ich stacji bladły i traciły na atrakcyjności przy historiach o skomplikowanych operacjach i cudownych uzdrowieniach, o tajemnicach i niedopowiedzeniach, o cudach i zagadkach.

– Rzeczywiście jest fantastyczny – podsumował pana profesora Filip, kiedy udało mu się wyciągnąć mnie na zaplecze pod pretekstem pomocy przy dekoracji dań. – Teraz nawet ją rozumiem.

Wcześniej mój przyjaciel miał sporo wątpliwości co do wyboru Ewy. Profesor Misiak bowiem oprócz wszelkich możliwych tytułów naukowych, osiągnięć zawodowych i uroku osobistego posiadał też żonę, a tylne siedzenie jego ekskluzywnego bmw X5 zdobił fotelik dziecięcy.

– Ja też ją rozumiem. Przynajmniej częściowo. Poza tym Ewa twierdzi, że obiecał jej, że się rozwiedzie.

Nietrudno było uwierzyć w tę obietnicę, patrząc, jak ją traktuje – z całkowitym oddaniem, bez grama poczucia wyższości, po prostu wzorowo. Tylko czy wzorowe zachowanie obejmowało trudną sprawę rozwodową z dużym majątkiem w tle i wściekłą małżonką w roli przeciwnika?

– Niech pani to zostawi, ja zaniosę. – Jeden z kelnerów zaoferował mi swoją pomoc, kiedy zastanawiałam się, czy uda mi się donieść w nienaruszonym stanie z kuchni do stolika talerze z dziełem Filipa. Stek z najlepszej, marmurkowej wołowiny ze szparagami w sosie z marmolady pomarańczowej i octu winnego – jeśli smakowało choć w połowie tak, jak pachniało, to mój przyjaciel znów się popisał.

– Znakomite. Po prostu rewelacja – profesor Misiak chwalił kucharza już od pierwszego kęsa. Wyjątkowej delikatności mięso było idealnie wysmażone, rozpływało się w ustach, a podniecone ślinianki wysyłały entuzjastyczne sygnały do mózgowych receptorów smaku, pobudzając przy okazji ośrodek przyjemności. Nasz stolik był ulokowany dość strategicznie w odosobnionym kącie, ale i tak zauważyłam osiadający na nas wzrok innych gości restauracji. Spojrzenia, które omiatały nasze talerze i odprowadzały widelce unoszone do ust, pełne były nieskrywanej zazdrości – podczas gdy my zajadaliśmy się kruchą i soczystą wołowiną, oni degustowali chrust z białej pietruszki oraz mus jałowcowy z dzikiej marchwi. Z zaskakującym i odważnym dodatkiem paru ugotowanych igieł świerku – odkrycie sezonu, hit kuchni molekularnej, przedmiot uwielbienia recenzentów kulinarnych.

– Dla przyjaciół wszystko, co najlepsze. – Filip uśmiechnął się promiennie. On opracował receptury modnych dań, wyliczył składniki i wydał dyspozycje; resztą mogła się zająć – przynajmniej od czasu do czasu – armia kuchcików, podkuchennych i innych gastronomów, tak by sam szef mógł się oddać przyjemnościom. Na przykład smażeniu steków dla swoich prywatnych gości.

– Za spotkanie. – Wznieśliśmy w górę kieliszki. Do wołowiny pasowało czerwone wino; to, które Filip wybrał na dziś z przepastnych piwniczek restauracji, pachniało mchem i borówkami. A może jeżynami? Odległe aromaty, które można było wyczuć gdzieś na dnie, smaki jedynie lekko zarysowane, a jakże kuszące, obietnica mglista i rozgrzewająca. Wino było tak dobre, że nawet profesor Misiak nie odmówił, mimo że przyjechał samochodem.

– Jak pan się tego wszystkiego nauczył, panie Filipie? Gotowania, dobierania wina, łączenia tego wszystkiego? – zapytał, a w jego głosie słychać było prawdziwe uznanie. Widać należał do tych, których nie trzeba było przekonywać, że gotowanie to też sztuka. Nie sądzę, by czytał *Uczę Babette*, ale na pewno zaliczał się do tych, którzy chcieliby do niej zasiąść. Za to też Filip go polubił; w jego życiu bowiem więcej było takich, którzy ponad umiejętność łączenia smaków przenosili imperatyw posiadania „solidnego fachu” albo papierka potwierdzającego uniwersyteckie wykształcenie. Do wyznających takie wartości niestety należeli też jego rodzice, a jako że rzecz działa się w czasach, w których telewizyjne

show nie uczyniły jeszcze mody z gotowania, a z kucharza – bożyszczą, to Filip musiał odbyć swoją uniwersytecką odyseję. „Mój syn kucharzem? Chyba żartujesz!” – łapówki, organizowane z uporem godnym lepszej sprawy przyjęcia na kolejne kierunki studiów, relegacje z powodu całkowitego braku zaangażowania w przedmioty kierunkowe. Trudno było angażować się w przedmioty kierunkowe, kiedy każdą chwilę spędzało się nad garnkami albo na praktykach w kuchniach znanych restauracji. Filip prześlizgnął się tak przez rok prawa, semestr anglistyki i trzy lata – w tym dwa razy przez pierwszy rok – politologii. To ostatnie mógłby nawet skończyć, udawało mi się jakoś przeciągać go od egzaminu do egzaminu i nikt nigdy się nie zorientował, że nie był autorem ani jednej swojej pracy zaliczeniowej. Ale w pewnym momencie on sam miał dość tej farsy; zwłaszcza że akurat wtedy dostał się na bardzo prestiżowy staż w utytułowanej londyńskiej restauracji. Rodzice Filipa długo nie mogli mu tego wybaczyć ani zrozumieć jego pasji; przełamali się dopiero wtedy, gdy zaczął z niej żyć, i to o wiele lepiej niż oni z pensji prowincjonalnego notariusza i nauczycielki. A kiedy zobaczyli, jak w telewizji doradza, czym doprawić zupę wpatrzonym weni celebrytom, ostatecznie dali mu spokój. A nawet odrobinę spóźnionego uznania.

– Och, to długa historia.

Nie chodziło chyba o długość, ale Filipowi udało się osiągnąć wszystkie cele tej wymijającej odpowiedzi. Kolacja już do końca upłynęła nam bez wątków osobistych. Trochę polityki, wydarzenia bieżące, anegdoty z pracy neurochirurga. Żadnych niewygodnych pytań, kiedy rozwód albo dlaczego, do cholery, ktoś żeni się tak późno, by w wieku czterdziestu siedmiu lat mieć dzieci w wieku przedszkolnym.

– To co, Michalina, podrzucić cię? – Usłyszałam to pytanie z ust profesora Misiaka dokładnie w tym samym momencie, w którym stopa Filipa uderzyła pod stołem w moją kostkę. Nie za mocno, ale stanowczo. Znaczy się, miał jeszcze coś dla mnie. Mam nadzieję, że już nie do jedzenia – byłam tak pełna, że raczej nie dałabym rady zmieścić w żołądku nic więcej.

– Nie, dzięki. Pojadę taksówką.

Ewa spojrzała na mnie z wdzięcznością; Misiak rzecz jasna nie zostawał u niej na noc. Wracał grzecznie do willi pod Warszawą, do żony, dzieci, zamieszkującej z nimi na stałe pomocy domowej i psów rasy amstaff. Pewnie tylko odwiedzie Ewę, a może wejdzie na chwilę. Może uda jej się go zatrzymać dla siebie jeszcze przez moment. Moment, który zaoszczędzą na odwożeniu mnie na Powiśle. Było coś smutnego w tym, że moja mała piękna siostra została złodziejką. Że musi kraść w taki sposób. Kraść chwile, okruchy, resztki.

Powiedzieliśmy sobie „dobranoc”, kiedy Misiak troskliwie okrywał płaszczem plecy Ewy. Wrześniowe wieczory były dość chłodne tego roku.

– Jak się trzymasz? – zaczął Filip, kiedy zostaliśmy już tylko we dwoje. W międzyczasie pozostali goście zdążyli opuścić restaurację; jedynie pomywacz stukał naczyniami na zapleczu. Spłukując resztki z talerzy, pewnie marzył o tym, że kiedyś też zostanie znanym szefem kuchni i będzie miał taką restaurację. Albo nawet lepszą, bez buraka.

– Dobrze – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Byłam zdziwiona, że pyta. Od pogrzebu Wajnerta minęły już dwa miesiące; zdążyli wydać jego dzieła zebrane w nowej szacie graficznej i przyznać mu pośmiertnie order za zasługi dla kultury.

– Masz wreszcie kogoś odpowiedniego?

Ach, więc o to mu chodziło. O to i o jeszcze jedną butelkę wina, którą właśnie odkorkowywał.

– Specjalnie dla nas. Awansem na twoje imieniny.

Czerwony płyn wypełnił kieliszki; wyglądał trochę jak krew, a trochę jak sok z aronii, którą kiedyś uprawiał mój ojciec. Zapomniane pola, niezebrane plony, dawne dzieje.

– Już?

Moje imieniny, a także urodziny, o czym – co Filip dobrze wiedział – nie należało wspominać, wypadały dwudziestego dziewiątego września. W Dzień Świętego Michała Archanioła.

– Napić się możemy już teraz. – Szeroki uśmiech i nieprzebrane zasoby wspomnień. Trudno byłoby policzyć, ile butelek różnorakich trunków razem w życiu wypiliśmy.

– Możemy. – Stuknęłam swoim kieliszkiem w brzeg jego naczynia. Kryształ zabrzączał ostrzegawczo. – To co masz dla mnie?

– Takiego jednego. W sumie to znam go już od pół roku, ale dopiero teraz pomyślałem, że ci się przyda. Nie tylko w kółko studenci i studenci.

Stała mi przed oczami twarz tego ostatniego studenta. Tego od lektury mojego doktoratu i zgrabnego wchodzenia w konwencję. Tego od moich ulubionych perfum. Trzeba z nim było skończyć jak najszybciej.

– Przyznaj się, myślałeś najpierw, że będzie dla ciebie.

– Nie, od początku wiedziałem, że nie jest mojej wiary. Spał z połową Show TV, i to niestety z tą żeńską.

– I na tej podstawie uważasz, że będzie odpowiedni dla mnie? – Uśmiechnęłam się do swojego hojnego przyjaciela.

– Połowa Show TV przecież nie może się mylić.

Śmiałyśmy się przez kilka dobrych minut; nasz śmiech aż zwabił z zaplecza pomywacza. Miał nie więcej niż siedemnaście lat – nie zrozumiałby, z czego się śmiejemy, nawet gdybyśmy mu to powtórzyli; z racji naiwnej łaski swego wieku należał jeszcze do innego świata. Postać więc, popatrzył na nas i wrócił do zmywania. Droga do kariery w kuchni jest trudna i przypomina stanie w ciemnej spiżarni: trzeba sięgać po omacku na półkę po wielkie słoje z różnymi produktami. Bywa ciężko i nie wiadomo, na co się trafi, ale zdarza się, że na końcu półki stoją konfitury. Filip był właśnie na etapie ich wyjadania.

– To dziennikarz lifestylowy. Modne lokale, gwiazdy, zdrowe odżywianie. Takie pierdoły. Nagrywał mnie parę razy. A później pracował przy tym programie, w którym oceniałem dania.

*Zrób to sam* – cotygodniowy program z udziałem widzów, którzy w desperackiej potrzebie prezentacji swoich talentów gotowali, majsterkowali i ośmieszali się na wizji. „Ciekawa koncepcja zupy pomidorowej”, „Beznadziejnie podany turbot”, „Radziłbym więcej koperku” – tak Filip Pełczyński zaistniał w Show TV; liczył, że w dobie popularności programów o gotowaniu nie skończy się na gościnnym udziale i poradach dla amatorów.

– I pomyślałem, że to by było dobre dla ciebie. Spoza twojego uniwerku, nie z pierwszego roku, zupełnie inna bajka. Wprawdzie mniej więcej co miesiąc ma nową narzeczoną, w której jest bardzo zakochany, ale może się jakoś wstrzelisz.

– No i ta połowa Show TV, która nie może się mylić... – Czułam już, jak wino przyjemnie szumi mi w głowie.

– Nie nabijaj się – skarcił mnie mój darczyńca. – Poza tym jest dobry punkt zaczepienia: on chce wydać książkę.

– A co ja mam do tego? – spytałam zdziwiona.

– No przecież twój doktorat wyszedł drukiem. I masz tyle publikacji w pismach naukowych...

Filip, mimo że swego czasu był przecież wytrawnym studentem, wciąż nie rozumiał, na czym polega mechanizm publikacji naukowych. Zwłaszcza w humanistyce. Konieczność zdobywania punktów i przymus walki o jak najczęstszą obecność w indeksie cytowań zmuszały do kreatywnej współpracy. A nawet do tworzenia spółdzielni. Niektóre – jak choćby kooperatywa mojego zakładu i Katedry Teorii Politycznych – świetnie prosperowały. Ja recenzuję twój artykuł, ty mój. Ja dopiszę do swojej pracy ciebie, ty dopiszesz mnie. Ja zacytuję ciebie, ty zacytujesz mnie. Rzecz jasna, oboje dopiszemy



i zacytujemy profesora. A on nam załatwi druk w piśmie o najwyższym *impact factor*, czyli o największej mocy oddziaływania w świecie badaczy. Ministerstwo Nauki będzie zadowolone, władze uczelni będą zadowolone, my będziemy zadowoleni, kiedy dadzą nam znacząco więcej punktów, oceniając nasz następny wniosek o grant.

– Ja mu w niczym z tą książką nie pomogę.

– Nieważne. – Filip machnął ręką. Dobrze, że zdążył wcześniej odstawić kieliszek. – Dam mu twój numer i powiem, żeby cię zaprosił na kawę. Tylko oczekuję później szczegółowej relacji.

– Oczywiście.

– Ty zawsze patrzysz tylko w oczy i na kutasa. – W jego głosie pobrzmiwały tony żalu. Wobec niewtajemniczonych w obrządki kultu męskiego ciała? – Tym razem się wysił: chcę wiedzieć, czy ma kaloryfer na brzuchu. I całą resztę.

– Nie ma sprawy – zapewniłam go, dopijając resztkę wina. A może by tak napisać esemesa do studenta? Była dopiero północ, taksówka już nadjeżdżała, aby mnie zabrać do mojego eleganckiego, pustego i wysprzątanego przez Ukrainkę mieszkania. Zabrać mnie samą, lekko pijaną i pomimo – a może właśnie z powodu upojenia – nieco spragnioną.

– Ja jeszcze trochę zostanę, dopilnuję deserów na jutro. – Kuchnia była największą miłością Filipa; nie potrafił się z nią rozstać. – Tylko nie rób nic głupiego. – Dodał na pożegnanie, a w jego głosie pobrzmiwało trochę żartu, a trochę ostrzeżenia.

– Jasne, że nie. – Ucałowałam go na dobranoc. Skoro obiecałam, to nie mogę. Nie napiszę więc do studenta; film porno będzie musiał mi wystarczyć.

\*

Akademik na Kickiego był jedną z legend uniwersytetu. Socjalistyczny ideał braterstwa robotników i studentów – od początku zapewne dość trudny do realizacji w specyficznych warunkach Pragi – dotrwał do nowych czasów. Do czasów, w których robotnicy zamienili się w bezrobotnych, a studenci w przyszłych pracowników najemnych, marzących o tym, by dać się wykorzystać przez wielki kapitał. W nowych czasach dawny ideał integracji klasowej przełożył się na ostrożne kroki, bojaźliwe spojrzenia w głąb bram, głowy odwrócone za siebie podczas nocnych spacerów z przystanków tramwajowych. Lumpenproletariat kontra przyszłe trybiki korporacyjnych machin, wyrzuceni na margines nowego, wspaniałego świata kontra ci, którzy uczepili się go pazurami indeksów i zębami legitymacji studenckich, pogarda kontra nieufność. Wrogie spojrzenia, ręce w kieszeniach, szybkie ruchy telefonu albo portfela zmieniającego właściciela – tak jakby wiara w kapitalistyczny sen wystarczała, by stać się obiektem niechęci i celem ataku. My usilnie aspirujący do systemu, oni zupełnie poza – ale tylko jedni z nas potrafili posługiwać się nożem, przecinać paski torebek, szarpać za rączki walizek wyładowanych książkami, pościelą, wałówką z domu. Bałam się tego miejsca, bałam się wracać z zajęć po zmroku, bałam się wchodzić do sklepów spożywczych o każdej porze dnia i nocy otoczonych wianuszkami mężczyzn o wzroku posępno-zacępnym albo kobiet wymachujących papierosami jak bronią. Tamtego dnia, kiedy wracałam z domu, też się bałam.

Wieczorny pociąg dobijający na Centralny długo po wczesnym listopadowym zmierzchu, wśród twarzy mijanych na peronach i w podziemnych czeluściach więcej stałych mieszkańców dworca niż podróżnych, złowróżbny chrzęst kół na torach i pisk hamulców. Mimowolnie wypatrywałam starca z *Anny Kareniny*, który wśród kłębów wyimaginowanej pary opukiwałby szyny. Wiozłam z domu wszelkie dary niezbędne początkującej studentce – ręce wyciągały mi się od słoików z zupą, próżniowych opakowań z kotletami, ubrań wypranych w domowej pralce. Rzecz jasna, miałam też parę książek, a wielka torba podróżna

ciężała mi na ramieniu tak, że wygodniej było nieść ją w ręce. Nie znałam jeszcze rozkładu podziemnych korytarzy na tyle dobrze, by nie zabłądzić w poszukiwaniu wyjścia na przystanek tramwajowy w kierunku Pragi. Martwa witryna nieczynnego kiosku, betonowe ściany pomazane zawijasami nieczytelnych podpisów, jakieś puszkę po piwie porzucone w kącie. Minęło mnie kilku bezdomnych w poszukiwaniu nocnego schronienia – oby je znaleźli wśród ciemnych załomów korytarzy i ponurych zaułków dworca wielkiego i brudnego jak prowincjonalna hala targowa. Wreszcie właściwe wyjście, wreszcie na powierzchni; pierwszy haust świeżego powietrza – nawet ze spalinami centrum miasta – smakował jak lemoniada. Na przystanku było prawie pusto, wypatrywałam tramwaju wśród nocy jasnej od światła wielkiego miasta. Kasyno w Marriotcie, Champions Bar dla fanów sportowych uniesień w amerykańskim stylu, niedawno otwarte królestwo niemieckiego porządku w postaci sieciowej drogerii – to za moimi plecami, a nade mną kondygnacje hoteli i piętra wieżowców pnące się gdzieś do nieba. Do miejskiego nieba, gdzie zamiast chmur są iglice, a zamiast gwiazd – jaskrawe neony. Ciekawe, czy w takim niebie jest miejsce dla mojego patrona. Czy wśród drapaczy chmur ma gdzie się podziać z tym swoim mieczem? Ostatecznie przecież archanioł Michał był rycerzem, a tacy powinni poradzić sobie wszędzie.

Tramwaj zapowiedział swoje przybycie jaśniejącymi oczami reflektorów. Ósemka, kurs na Pragę, stacja końcowa: Rondo Wiatraczna. Składało się doskonale – jeden z przystanków nazywał się dokładnie tak jak ulica, przy której stał mój akademik. Będę miała do przejścia tylko kilka przerażających przecznic – pomyślałam z ulgą, wsiadając. Było dość pusto: jakaś parka zajęta wyłącznie sobą, smutny pan w ortalionowej bluzie, emerytka z kraciastą torbą na kółkach. Skąd ona może wracać o tej porze? Zastanowiłam się, ale kobieta tylko na moment zaprzętnęła moje myśli. Za to Andrzej Wajnert nie zniknął z nich ani na chwilę. Było dokładnie tak, jak głosiła reklama jego ostatniej powieści – zobaczyłam ją na podświetlanej tablicy na jednym z przystanków, na których zatrzymał się tramwaj. Ogromna okładka w kolorze i czarno-biała twarz Wajnerta. Przenikliwe spojrzenie znad okularów niby przypadkiem zsuniętych na czubek nosa. „Nowy Wajnert – nie daje spokoju”. To było najprawdziwsze hasło reklamowe, z jakim się w życiu spotkałam. Czy może jakie przeczytałam; na jedno przecież wychodzi, czytanie bowiem zawsze jest spotkaniem. Tylko że teraz pragnęłam spotkania bardziej osobistego, bez pośrednictwa kartek, za to z dotykiem skóry i ciepłym oddechem. Tymczasem mój telefon wciąż milczał.

Na przystanku „Kickiego” nie było citylightów, ani tym bardziej reklam literatury. W pobliżu błyszczał tylko szyld osiedlowego sklepu „Alkohole 24 h”. Drzwi otwierały się co chwilę; kolejka spragnionych musiała być całkiem spora. Szłam w kierunku akademika przez całą tę praską ciemność, przez listopadowy mrok, przez wrogość wyczuwalną w powietrzu równie wyraźnie jak chłód. Było późno, było ciemno, a ja byłam zupełnie sama ze swoją wielką torbą i na chybotliwych obcasach. Samotne studentki skazane na strach. Tymczasowe miejsce zamieszkania: kraina obaw i nieprzyjaznych spojrzeń, białych sportowych butów i złotych łańcuchów na masywnych karkach, starannie odmierzonych działek i składanych noży chowanych w kieszeniach. Sklep spożywczy Galeon wbrew swej pięknej nazwie był bardziej latarnią morską niż łodzią – okna rozświetlone reklamami piwa i wędlin „jak za Gierka” wskazywały mi, że to już pół drogi, że jeszcze tylko trochę, że już prawie. Przed nieczynnym o tej porze sklepem stały obok siebie dwa samochody – oba czarne, oba z przyciemnianymi szybami, oba bardziej podrasowane niż rzeczywiście ekskluzywne. Bagażnik w maskę, maska w bagażnik, bardzo blisko siebie. Z włączonymi światłami, z warczącymi silnikami. Szyby w obu autach opuściły się jak na komendę. Poufna rozmowa twarzą w twarz, ale we własnej, bezpiecznej przestrzeni. Wątpliwej legalności negocjacje z możliwością szybkiego odjazdu. Wymiana słów, a może towarów, w prostokątach samochodowych okien. Biznes się kręcił; kręciła się też drobna działalność – minęłam się z idącym z naprzeciwka chłopakiem. Kaptur na głowie, trzy paski na spodniach, ilustracja z podręcznika do socjologii pod opisem subkultury dresiarzy z betonowych osiedli. Był przerysowany; za bardzo dresowy

nawet jak na dresiarza. To trwało tylko moment – ruch powietrza tuż po tym, gdy się minęliśmy, jego ręka zaciśnięta na uchwytach mojej torby, nagle szarpnięcie. Nie wiem, dlaczego po prostu nie puściłam, nie otworzyłam dłoni, nie ustąpiłam pod wpływem nagłego ataku. Dlaczego nie zachowałam się tak, jak powinnam była. Dlaczego wolałam ścisnąć tę nieszczęsną torbę kurczowo i mocno dotąd, aż szwy pękły, a uchwyty urwały się i wyslizgnęły z ręki. Jemu, nie mnie. Siła musiała być spora – poleciałam do tyłu, na plecy, na środek chodnika. Z ocaloną torbą. Nie wiem, skąd wziął się ten opór – na praskiej ulicy nie mogłam przecież liczyć na niczyją rycerską interwencję, a napastnik mógł użyć rąk nie tylko przeciwko mojemu bagażowi, ale też twarzy. Bezsensowne działanie sprzeczne z instynktem samozachowawczym. Z zasadami postępowania wpajanymi bezbronnym kobietom. Z rozsądnym wazaniem ryzyka i racji. Nie było przecież w tej torbie nic cennego. Nic, z wyjątkiem mojego indeksu i nowej powieści Andrzeja Wajnerta.

Kiedy z pozbawioną uchwytów torbą w objęciach dobrnęłam do akademika, wydawało mi się, że jestem całkiem spokojna. Że wszystko w porządku, że przecież nic się nie stało, że już dobrze. O tym, że jest inaczej, przekonałam się dopiero, gdy – mimo braku papierosów – postanowiłam zapalić. Na parapecie siedziało już kilku fanów nikotyny; same kobiety. Wspólnota palaczy nie zależy jednak od płci; jedna z nich od razu poczęstowała mnie papierosem.

– Dzięki. Potrzebowałam tego – powiedziałam mojej dobrodziejce, sięgając po jej zapalniczkę. Ale pozornie banalna czynność okazała się nie taka łatwa; płomień zataczał coraz bardziej chaotyczne kręgi, drżał niebezpiecznie dużo bliżej rzęs niż końcówki papierosa, za nic nie chciał trafić tam, gdzie powinien. Poczulałam na sobie zdziwione spojrzenia – cały krąg palaczek zamilkł i patrzył tylko na mnie. A raczej na moje ręce, które drżały jak palce paralityka z oddziału dla przewlekłe chorych starców.

– Daj, ja to zrobię.

Znałam tę dziewczynę z widzenia, studiowała chyba na moim kierunku, tylko rok albo dwa wyżej. Wyjęła mi z ręki zapalniczkę i uczyniła to, co dla mnie było za trudne.

– Coś chyba nie bardzo z tobą. – Nie mogła się oprzeć pokusie. Wodziła wzrokiem za moją dłońią z papierosem; ciekawa, czy uda mi się trafić nim do ust. Udało mi się.

– Nie bardzo – odpowiedziałam, a w kontraście do histerycznie rozedrganych dłoni mój głos brzmiał całkiem pewnie. Przekonane, że jednak poradzę sobie z papierosem – przypalania nie będzie, ach, jaka szkoda – kobiety odeszły, zostawiając cały parapet tylko dla mnie. Nie potrafiłam płakać; gdybym jednak umiała, byłaby to doskonała okazja. To wszystko tak niedawno się zaczęło, a już zrobiło się nie do zniesienia. Niechże się skończy, odmieni, poprawi. Niech ktoś sprawi, aby było tak, jak miało być. Mój patron w niebie musiał to usłyszeć – telefon zabrzączał sygnałem esemesa. Wiedziałam, że to nie matka pyta, jak minęła mi podróż; na pewno by zadzwoniła, zresztą o tej porze ona i jej pies dawno już spali. „Zobaczymy się jutro?” – pisał Wajnert. Michał musiał maczać w tym swoje archanielskie palce. „Oczywiście” – odpisałam. Niech nie przestaje, niech działa dalej, niech mnie stąd zabierze. Niech mnie przeniesie w sam środek książki.

\*

– Więc nie wiem, co mam zrobić. Ona w Krakowie, ja tutaj. To trwa od roku i, wyobrażasz sobie, tylko platonicznie.

Imię bohatera mojego doktoratu spadło mu z ust wraz z okruszkiem sernika. W jego wypowiedzi chodziło zapewne o jakąś kobietę, ale wyłapałam jedynie Platona. Małe zboczenie zawodowe; dziś raczej bez szans na zaspokojenie wobec ciągnącej się od godziny opowieści o byłych narzeczonych, porzuconych kochankach, niedoszłych żonach. Znajomy Filipa – o rzadkim w naszym pokoleniu imieniu

Witold – miał niewątpliwie oryginalny patent na podryw: nie wahaj się, inne już skorzystały z promocji, w razie wątpliwości sprawdź opinie wcześniejszych użytkowniczek. Do tego atmosfera zwierzeń nad kawą i ciastem; niestety niejadalnym. A także odrobina interesów.

– Zerknęłaś na moją powieść?

– Oczywiście. Bardzo dobra. – Oprócz komplementu nic więcej nie mogłam dla niego zrobić, o czym lojalnie uprzedziłam go przez Filipa. Ale to wydawało się go nie zniechęcać.

– Prawda? – podchwycił tak ochoczo i naturalnie, że prawie nie zdążyłam się zdumieć.

– No niezła, owszem.

– Też mi się wydaje, że jest świetna.

Ach, tak. Czyli był jednym z tych o doskonałej samoocenie i jeszcze lepszym samopoczuciu. Przystojny brunet z telewizji – wywiady z celebrytami, reportaże z modnych miejsc, media społecznościowe jako wyznacznik statusu, obiekt kultu i fiksacja kompulsywna.

– Sprawdziłem, nie ma cię ani na Facebooku, ani na Twitterze. Jak to w ogóle możliwe?

– Cenię sobie kontakt osobisty. – Spojrzałam mu w oczy; wprost i dość wyzywająco. Nawet nie zauważył. Podobnie jak i mojego kolana przemieszczającego się pod stołem w kierunku jego uda.

– Czyli ty się na tym nie znasz. – Cień rozczarowania przemknął przez jego twarz, upodobniając ją na chwilę do oblicza małego gremlina o wydętych wargach i spiczastych uszkach. – Nie wiesz, że jestem ważny na Twitterze.

Zrozumiałam, że jeśli chcę jeszcze uratować ten wieczór, to muszę to zrobić szybko.

– Zmieniamy lokal? Tak żebyśmy mogli się napić kieliszek?

Ostatni dzień września był wyjątkowo chłodny tego roku – mała rozgrzewka, toast na dobry początek nowej znajomości, koniec siedzenia w przytulnej kawiarence bez wyszynku i pieprzenia o Twitterze. To nie ten rodzaj pieprzenia lubiłam najbardziej.

– To może do mnie? – Bogu dzięki nieznajomość Twittera mnie nie zdyskwalifikowała. – Mieszkam tu niedaleko i akurat tak się złożyło, że mam w lodówce finlandię. Jeśli lubisz, oczywiście.

Retoryczne pytania, rytualne zastrzeżenia, zgrane chwytły. Ćwiczył ten numer pewnie dziesiątki razy, ale to dobrze; przynajmniej oboje wiedzieliśmy, o co chodzi, a ja mogłam przestać żałować, że zgodziłam się przyjechać metrem aż na Żoliborz.

Naprawdę mieszkał niedaleko; teraz już wiedziałam, dlaczego chciał się umawiać w jakiejś skromniutkiej, osiedlowej kawiarni. Trzy kroki do domu, cztery do łóżka. Może cztery i pół, bo jednak trzeba było przejść przez kuchnię, by zgarnąć finlandię. Widać przewidywalność tego scenariusza gwarantowała mu spokój; nie spieszył się, wręcz przeciwnie – kanapa, rozmowy o literaturze jako gra wstępna, niespieszne ruchy rąk mieszających w szklankach wódkę ze sprite'em. Po dziennikarzu lifestylowym spodziewałabym się nieco bardziej wyszukanego drinka, ale cóż, może niektórzy w domu odpoczywają od pracy. Szkoda tylko doskonałego wytworu fińskiego monopolu spirytusowego; na pewno sam smakowałby nie tylko lepiej, ale też szlachetniej niż w towarzystwie chemicznej słodyczy i sztucznych bąbelków. Nie było jednak rady – jeśli się chciało porządnego kochanka, trzeba było pić wódkę ze sprite'em i słuchać o nowych książkach modnych pisarzy, które dziwnym trafem wszystkie okazywały się kiepskie; o wiele słabsze niż niewydana jeszcze powieść mojego rozmówcy. Należało również słuchać o rozrywkowej stronie komercyjnej telewizji, uśmiechać się w odpowiednich momentach i przekonująco udawać zainteresowanie kulisami ambitnej produkcji *Zrób to sam*.

– Ogarniam tam naprawdę fajne rzeczy. Ten program nie istniałby beze mnie.

– To właśnie z programu znasz Filipa? – Z dwojga złego wolałam już rozmawiać o wspólnych znajomych niż o skali i znaczeniu osiągnięć zawodowych podpory stacji specjalizującej się w informacjach o tym, kto z kim stał na ścianie i do czego można się posunąć, by dowieść przed kamerami, że zasługuje się na sławę.

– Owszem. Najpierw go tylko nagrywałem do innych programów, a później przy okazji *Zrób to sam* jakoś się zaprzyjaźniliśmy. On jest gejem, prawda?

Orientacja seksualna gwiazdy polskiej kuchni nie była pilnie strzeżoną tajemnicą; niemniej nie uznawałam za właściwe, by dyskutować na ten temat. Zwłaszcza z kimś, kto chyba pomylił się z wyborem adresata swoich indagacji.

– Jego zapytaj.

– Aha. – Witold posmutniał; widać aby z sukcesem pracować przy programach o gwiazdach, trzeba naprawdę lubić plotki. Szkoda tylko, że także na temat swoich przyjaciół. Przyjaciół, w których umiejętności rajfurskie właśnie zaczynałam wątpić – wieczór powoli przechodził w noc, poziom płynów w butelkach obniżał się w zatrważającym tempie, a ja wciąż słuchałam o kulisach talent show, o znanych ludziach, z którymi kandydat na mego kochanka przeprowadzał wywiady, o przypadkach erotycznych zarówno tychże ludzi, jak i samego opowiadającego. I tak w kółko, cały czas, aż do szczęśliwego końca sprite'a, za to bez żadnych czynności znamionujących rzeczywisty cel mojej wizyty. A przecież miałam nadzieję, że jest on jasny dla nas obojga. Ulegając złudnej wierze w zbiorową mądrość – połowa Show TV przecież nie może się mylić – miałam też nadzieję na niezapomniane wrażenia. A przynajmniej na solidny poziom przyjemnych usług. Tymczasem zanosilo się na niekończące się historie z jednym bohaterem w roli głównej. Witold Piotrowski – trzydzieści trzy lata i osiem tysięcy śledzących jego profil na Twitterze, zainteresowania jasno sprecyzowane i ograniczone do własnej osoby, temat

zgiębiony w stopniu akademickim. Jeśli chciałam jakiegokolwiek seksu tego wieczoru, nie było rady – należało wziąć sprawy w swoje ręce. Jego członek rósł dość szybko pod moją dłoń; wyczuwałam przez materiał spodni to rozkoszne pulsowanie, to obiecujące sztywnienie, tę rozpierającą tkaninę objętość. Czubek jego języka wysunął się z półotwartych ust; wargi miał duże, pełne i odrobinę kobiece.

– No dobra, chodźmy do sypialni – powiedział, a ja już wtedy powinnam była zwrócić uwagę na lekko chwiejny krok, którym ruszył we wskazanym przez siebie kierunku. Jednak nie przyszło mi do głowy, że jest pijany; kilku bąbelkowych drinków nie uznaje się przecież za zagrożenie dla trzeźwości mężczyzny.

Sypialnia była absolutnie niewiarygodna, zwłaszcza na tle ani trochę nieekstrawaganckiej reszty mieszkania. Musiała pełnić tu rolę najważniejszego pomieszczenia, które jako jedyne ukazywało prawdziwy gust lokatora i objawiało właściwe przeznaczenie kawalerskiego mieszkania z niepozorną kuchnią, butami rozrzuconymi w przedpokoju i stosami gazet, o które można się było potknąć w salonie. Łóżko utrzymane w gustownych barwach kremu i beżu miało zupełnie niegustowny baldachim i orgiastyczne rozmiary, które sugerowały ręczną robotę na indywidualne zamówienie. Chyba że na fali szwedzkiej dyskusji o poliamorii w Ikei zaczęli sprzedawać trzyosobowe łóżka. Do tego lustro na ścianie, kilka lampek o łagodnym, miękkim świetle strategicznie porozstawianych w kątach, ozdobne wstążki materiału fantazyjnie poupinane w oknach zamiast zasłonek. To właśnie tutaj musiało wesoło bawić się pół Show TV – Bogu dzięki dotarliśmy tam, gdzie trzeba; przez chaszczę i meandry opowieści o dawnych związkach, superprodukcjach telewizyjnych oraz twitterach, ale jednak, ale wreszcie, ale już. Miałam nadzieję na ciąg dalszy imponujący co najmniej tak jak wystrój sypialni.

– To nie ja tutaj urządziłam.

Może i nie urządziła, ale tu urzęduje, pomyślałam, popychając swoją zdobycz na łóżko. Rzecz jasna, najpierw czekałam, aż to zdobycz popchnie mnie, ale ona niestety jakoś dziwnie chwiała się na nogach. Wciąż jeszcze nie przywiązywałam do tego wagi – trzeba się było przecież rozbierać i całować, szeptać świństewka i przygryzać płatki uszu, skubać zębami sutki i sprawdzać językiem smak i temperaturę skóry. Było poprawnie, nawet dość przyjemnie, tyle że „dość przyjemnie” jakoś nie chciało przejść w „ekscytująco”. Za to niebezpiecznie zbliżało się do „monotonnie”. Robienie laski jest fantastyczne, zwłaszcza że tym razem naprawdę było na czym zacisnąć usta, ale po piętnastu minutach nieco się dłuży, a po dwudziestu staje się nieznośnie nudne. Nikt nie lubi, by zwałać na niego całą robotę – w pracy wystarczająco często robił to mój profesor, bym chociaż w łóżku wołała tego unikać. Tym bardziej że to przecież miał być początek, który tymczasem dziwnym trafem przerodził się w jedyny punkt programu. Kiedy mój leniwy kochanek wreszcie zrozumiał, że nie zamierzam na tym poprzestać, inwencji starczyło mu na pozycję „mama z tatą”. Niestety, potwierdziła się stara prawda: sama magiczna różdżka – nawet ładna i słusznych rozmiarów – nie wystarczy, jeśli brakuje czarnoksięskich umiejętności. „Dobrze ci?” – pytał co chwilę, a w jego głosie słychać było nie tyle nadzieję, ile pewność, że zaraz dostanie taką odpowiedź, do jakiej pewnie przywykł. To samo pytanie ponawiał, podnosząc głowę znad mojego krocza, kiedy wreszcie wpadł na to, że jego pełne wargi mogłyby się do czegoś przydać. Szkoda tylko, że pozbawiony był cnoty cierpliwości – zniechęcał się tak szybko jak dziecko w piaskownicy, które bardzo chce mieć piękny zamek z wieżyczkami i fosą, ale niekoniecznie ma ochotę na żmudny proces budowania.

– No dobrze?

– Dobrze. – Poparłam swoją odpowiedź odpowiednio sugestywnym jęknięciem. Nie było rady; należało udać, co trzeba, a potem doprowadzić rzecz do finału. Ważny w Show TV, ważny na Twitterze, ważny w łóżku. Kończmy tę fuszerkę, niech już ma tę swoją laskę, skoro tak bardzo lubi. Jego sperma smakowała owsianką na pełnotłustym mleku, z małą łyżeczką cukru. Bąbelków ze sprite'a nie wyczułam; pewnie znajdowały się w innych częściach jego organizmu. Wraz z wysokoprocentową zawartością fińskiej wódki, która bulgotała mu w żołądku, rozcieńczała krew w żyłach, zamieniała obraz odbity na

siatkówce oka z pojedynczego na podwójny. Musiała też namówić jego błędnik do małych wariacji – podniósł się bowiem z trudem i ruszył do łazienki takim krokiem, jakby chciał zmylić trop.

– Źle się czuję – rzucił tonem rozkapryszonego dziecka, którego niańka nie powstrzymała przed zjedzeniem dziesiątej porcji lodów. To niemożliwe, pomyślałam. Przecież wypiliśmy zaledwie kilka drinków, ja byłam zupełnie trzeźwa. Czyżby ukrył przede mną jakieś dodatkowe atrakcje, którymi nie chciał się dzielić, a teraz jego samolubstwo mściło się na nim?

– Nie żartuj – poprosiłam, ale nie uchroniło mnie to od koszmaru dalszego ciągu. Po wyjściu z łazienki odżył nieco, dopadła go chyba spóźniona używkowa euforia. Nawet zażądał powrotu do stołu w salonie; miałam nadzieję, że nie zamierza realizować tam rzuconej od niechcenia propozycji jeszcze jednego kieliszka.

– Zawołam sobie taksówkę. – Liczyłam, że zadowolenie, jakim napawała mnie ta zapowiedź, umknie jego uwadze.

– Chyba żartujesz. – Niestety, nie umknęło. I w dodatku spotkało się z natychmiastową kontrą. – Śpisz u mnie. Nie zostawisz mnie teraz.

Znaliśmy się od jakichś czterech godzin; Witold Piotrowski stanowczo zbyt dużo ode mnie wymagał. Nie dość, że zmarnował mi wieczór, to zamierzał to samo zrobić jeszcze z nocą. Wiedziałam co nieco o stanach upojenia, ale wyrosłam już z opieki nad ich ofiarami. Ojciec zniknął mi z horyzontu i jego picie przestało mnie dotyczyć, a Wajnert wydarzył mi się dawno temu. Tak dawno, że zdążyłam o tym zapomnieć. Nocne stróżowanie to było doświadczenie, którego na pewno nie chciałam powtarzać. Tym bardziej za cenę nieudanego seksu. Chociaż mój towarzysz zdawał się rozpatrywać to w zupełnie innych kategoriach: według niego powinnam się chyba cieszyć, że łaskawie proponuje mi spędzenie ze sobą nocy, a jego stan nie miał tu nic do rzeczy. Właściwie to pewnie powinnam być zaszczyczona, pomimo głupkowatych śmiechów i pijackich objęć. Niestety, one trwały tylko przez chwilę – później nastąpiła litania narzekań, płaczów i kompromitujących wyznań czynionych tyleż brawurowo, co zapewne – niestety głównie dla niego – szczerze. A na końcu była już tylko niemożność samodzielnego powrotu do łóżka i stek pretensji gorzkich jak żółć, którą jego wątroba musiała produkować na wzmożonych obrotach.

– To twoja wina. Upiłaś mnie.

Nieszczęsna ofiara. Wykorzystane biedactwo zmuszone do spożycia wbrew swej woli. Dziewica skrzywdzona przez smoka. A raczej smoczycę, gwoli ścisłości. Twardym chwytem ujęłam go pod ramię; na szczęście nie musiałam zanosić go do łóżka. Upadł na nie twardo jak kłoda – skórzany worek na kości i mięśnie, rzucony bezwładnie na sam środek nieprzyzwoicie wielkiego łóża. Baldachim podświetlony przez jedną z nastrojowych lampek kładł się na nim delikatnym cieniem i niewyraźnym rysunkiem miękkich linii. Nie wiedziałam, czy zasnął momentalnie, czy nie daj Boże stracił przytomność. Urwany film, odcięte zasilanie zwojów mózgowych, zgaszone światło. To wszystko po kilku szklankach sprite'a z odrobiną wódki. Nie zakładałam, że naprawdę może umrzeć po takiej ilości alkoholu, ale mimo to bałam się zostawić go samego. Zwłaszcza że bąbelki śliny w kącikach jego ust i całkowity bezwład ciała wyglądały dość niepokojąco. Pogodziłam się już z tym, że będę tu spać, chociaż nie spędziłam z nikim całej nocy w jednym łóżku od co najmniej kilku lat. Otworzyłam pierwszą szufladę jego komody – od razu natrafiłam na koszulki. Czarna bawełna, wprasowany obrazek, gotyckie litery układające się w nazwę amerykańskiej bazy wojskowej w Niemczech. Dobrze, mogę spać w koszulce fana mocnych brzmień. W łazience wyjęłam z oczu soczewki i zostawiłam je na brzegu umywalki – ja też musiałam chyba jednak nie być zupełnie trzeźwa, skoro nie pomyślałam, skąd wezmę jutro świeżą parę. Zmyłam makijaż jakimś wyjątkowo wyświechtanym wacikiem, który musiał tam pozostać po jednej z narzeczonych Witolda. Miałam nadzieję, że po jednej z ostatnich. Niestety, ta pani nie była na tyle

usłużna, by zostawić też nieużywaną szczoteczkę do zębów. Nie zastanawiając się wiele, umyłam zęby szczoteczką gospodarza. Wydawało mi się to lepsze niż ich nieumycie, ale Ewa później robiła mi ogromne wyrzuty. Romans z chirurgiem musiał znacząco podnieść jej wiedzę w zakresie biologii, a także wiarę w stałe związki. „No wiesz? Umyłaś zęby szczoteczką obcego faceta? Fuj, to więcej bakterii niżbyś mu zrobiła laskę!” Tymczasem ekspozycja na bakterie i laska bez entuzjazmu to i tak było nic wobec innych wyzwań tego wieczoru. Na przykład przesunięcia pana nieprzytomnego ze środka łóżka, tak by i dla mnie znalazło się tam miejsce. Przemieszczenie ciężkiego, bezwładnego ciała stanowiło nie lada trudność; w dodatku Witold przebudził się na chwilę i popatrzył na mnie. Udało mu się przy tym wymamrotać kilka słów; chyba właśnie o lasce, której zdaje się ponownie się domagał. Ale że seks ze zwłokami nie jest specjalnie atrakcyjny, tym razem musiało mu wystarczyć kilka łyków wody mineralnej, które w niego wmusiłam. Nieoceniona muszynianka – biedaczek będzie potrzebował dobroczynności jej bąbelków po tym, jak się obudzi, postawiłam więc butelkę w zasięgu jego ręki. Pogasiłam nastrojowe światła, nastawiłam w telefonie budzik, położyłam się przy nim i zdobyłam dla siebie kawałek kołdry.

I wtedy zaczęła się udręka – Witold niezależnie od stopnia upojenia musiał być przyzwyczajony do czyjejs obecności w swoim łóżku. Mimo braku przytomności i nieświeżego oddechu stosował oczywisty arsenał gestów – objęcia, przyciągnięcia, unieruchomienia. Wszystko tak samo męczące i uciążliwe; jego ręka na mnie była nieznośnie ciężka, kolano wbijało mi się w pośladki, paznokcie u palców jego stóp drapały mnie po łydce. Ludzie naprawdę tak ze sobą sypiają? Lepki od potu tors przyklejał się do moich pleców, a ja dziwnym trafem lądowałam coraz bliżej brzegu łóżka. Nie potrafił uleżeć na swojej połowie – o wiele wygodniejszy wydawał mu się środek, a nawet moja część. Gorąco, ciasno, nieświeżo. Coraz mniej miejsca, coraz więcej obaw w kwestii jego oddechu. Bałam się, że jest niepokojąco charczący. Już myślałam o zimnych kompresach albo – nie daj Boże! – o konieczności zaciągnięcia półprzytomnego mężczyzny pod prysznic, kiedy charczenie przeszło w chrapanie. Głośne, zdrowe chrapanie drwała, który korzysta z zasłużonego odpoczynku po ciężkiej pracy. Odetchnęłam z ulgą; zatem naprawdę zasnął i nic mu już nie grozi. Pośpi trochę, pomęcz się z paroma strzygami z etanolu i zjawami z kwasu octowego, rano obudzi się pewnie z bólem głowy, ale raczej z niczym więcej. Ja też powinnam spać – jutro miałam spotkanie w sprawie wniosku o grant z Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Szumna nazwa, nowy projekt, spore pieniądze. A tymczasem sen nie nadchodził – nigdy nie byłam ulubienicą Morfeusza, ale zaczęłam się obawiać, że tej nocy ominie mnie zupełnie. Leżałam całkowicie przytomna, w obcym domu, w cudzym łóżku, w zupełnie mi nieznannej scenerii. I nie było tu mojej szafki z arsenalem środków pierwszej nocnej pomocy. Nagle brak natychmiastowego dostępu do xanaxu wydał mi się straszny; na tyle dolegliwy, że sama ta myśl wywołała we mnie lęk. Nie ma łagodnych uspokajaczy na wyciągnięcie ręki, nie ma mojego telewizora z kołysanką powtórek walk bokserskich na kanale sportowym, nie ma mojego łóżka, którym nauczyłam się żeglować po nocnych wodach, także tych bezsennych. Był za to jakiś zupełnie mi obcy, rozpychający się facet, nie te zapachy, nie te dźwięki. I jeszcze do tego najgorsze – to dziwne pobudzenie. Czulałam, że nadchodzi, że zbliża się do łoża z baldachimem, że skrada się po puszystym dywanie w kolorze kawy z mlekiem. Pobudzenie, którego podszewkę znałam aż za dobrze i która utkana była z lęku; pobudzenie wibrujące jak nieopatrznie dotknięta palcem struna, jak wiatr w koronach drzew, jak płomień świecy poruszony przypadkowym oddechem. Dawno nie było we mnie tej trującej mieszanki, a teraz nagle przyszła, pojawiła się, dopadła mnie nieoczekiwana, nieproszona i zupełnie niespodziewana w burdelowej sypialni przypadkowego mieszkania. Z drugiego pokoju docierała muzyka. Lekko przytłumiona, niewyraźna, w kółko ta sama. Witold musiał ustawić płytę w odtwarzaczu na nieustanny replay, a ja zapomniałam ją wyłączyć. Sąsiad na górze brał kąpiel, syki wody niósł się w rurach. Mój nieudaczny kochanek chrapał jak miech kowalski, a ja leżałam wśród tego wszystkiego zupełnie sama. Obejmował mnie, jego ręka spoczywała ciężarem na moim boku, ale nie było



go przy mnie. Walczył pewnie ze swoimi własnymi dusiołkami, ale ten, który właśnie siadał na mnie, stanowił o wiele poważniejsze zagrożenie. Wiedziałam to; ostatecznie przecież był to mój stary znajomy. Dusiołki, obce pokoje, niewyraźne kontury przedmiotów przybierające w ciemności coraz bardziej niepokojące kształty. Szeroko otwarte oczy. Najwyższy czas przerwać ten żałosny eksperyment. Nieszczęsny pijaczek sobie poradzi; i tak nie widział dalej niż czubek własnego kutasa. Nie zasługiwał na to, by się o niego martwić, teraz należało martwić się o siebie. Znaleźć się jak najdalej stąd, jak najbliżej górnej szuflady w nocnej szafce. Musiałam wykraść się z łóżka Witolda na tyle cicho i delikatnie, by się nie obudził. By niczego nie wyczuł przez sen. By nie zakłócić mu ciężkiego, alkoholowego wypoczynku. Czekałam, aż jego pochrapywanie stanie się bardziej regularne, a oddech miarowy. Ciało całe sprężone i gotowe do skoku, tylko kilka centymetrów materaca dzielące mnie od wolności, moje ręce i nogi przygniecione jego kończynami. Bogu dzięki bezwładnymi. Liczyłam jego oddechy, rachując jednocześnie uderzenia swojego serca. Tylko ostrożnie, tylko delikatnie – mówiłam sobie, kontrolując ruchy i rozpaczliwe pragnienie, by wydostać się stąd teraz, zaraz, natychmiast. On oddychał coraz spokojniej, moje serce biło coraz szybciej. Najpierw wysunęłam się z objęć jego nóg, później zdjęłam z siebie jego rękę. Oby się tylko nie obudził. Wyślizgnęłam się z łóżka, nawet nie odsuwając kołdry, lekko i cicho. Jego głowa poruszyła się na poduszce, może nawet coś do niej wymamrotał. Tylko tyle, na szczęście. Pończochy, majtki, spódnica – zaczęło się rozpaczliwe kompletowanie garderoby malowniczo, ale mało praktycznie porozrzucanej na podłodze. Zanim z ubraniem w rękach cichutko zamknęłam za sobą drzwi sypialni, weszłam jeszcze na chwilę do łazienki. Nie chciałam, aby pozostało tu po mnie cokolwiek – żadnych śladów, żadnych pamiątek, żadnych dowodów rzeczowych. Zebrałam więc z brzegu umywalki wacik czarny od tuszu i bezużyteczne, skurczone płatki wyrzuconych szkieł kontaktowych. Nie chciałam, by rano znalazł cokolwiek, co mogłoby mu o mnie przypomnieć. Cokolwiek, co zaświadczyłoby, że w ogóle tu byłam. Niechaj pomyśli, że mu się to wszystko przyśniło. Że miał zły sen.

Koszulkę, którą miałam na sobie, odłożyłam na miejsce złożoną w kostkę. Oby nie przechowała molekuł mojego zapachu. Dobry Boże, ześlij na wszystkich pijanych sen głęboki jak odmęty. Nie pozwól im usłyszeć, jak zamykam za sobą drzwi i ubieram się w drugim pokoju. Płyta ustawiona na replay okazała się niespodziewanym błogosławieństwem – nie było słychać, kiedy szeptałam do słuchawki telefonu, że potrzebuję taksówki, tak, na nazwisko Kańska, owszem, jak najszybciej. Zgarniając swoje rzeczy do torebki, nie mogłam się powstrzymać przed drobnym błędem w sztuce znikania bez śladu – nacisnęłam „stop” na odtwarzaczu. W nagłej ciszy chrapanie Witolda rozległo się w całym domu. Jeszcze tylko płaszcz i buty; to pierwsze na siebie, to drugie w rękę. Nie chciałam, by stukot obcasów obudził tego, od którego uciekałam. To wszystko w małej mgiełce kilku dioptrii, które zniekształcały mi całą scenerię. Cholera, ślepi powinni lepiej przyglądać się rozkładom mieszkań mężczyzn, z którymi sypiają. Mimo trudności udało mi się w miarę bezszelestnie ominąć stopy butów i rafę przedpokojowych stojaczków. Poczułam wprost namacalną ulgę, kiedy zamykałam za sobą drzwi. Ze szpilkami w rękę – to były piękne, czerwone szpilki; szkoda, że Witold nie docenił ich walorów; już nie będzie miał okazji. Kamienna podłoga przejęła mnie chłodem, kiedy stanęłam na niej bosą stopą. Teraz głęboki oddech, buty na nogi i szybko w dół. Ale nie biegiem, odgłos biegu mógłby pokonać barierę dwojga drzwi. Miałam nadzieję, że nikt nie okradnie Witolda porzuconego w niezamkniętym na klucz mieszkaniu, że wszyscy złodzieje akurat tej nocy są zajęci w innej dzielnicy. Na zewnątrz moja ulga wymieszała się z chłodem wiatru, z ciemnością nocy, z jesienną mgłą. Udało się, nareszcie, zaraz będę u siebie. Nie zauważyłabym taksówki, gdyby nie neon – jesienna mgła nakładała się na wadę wzroku.

– Do domu – powiedziałam, gdy tylko usiadłam na tylnym fotelu. To, że taksówkarz ruszył po tym poleceniu bez zbędnych pytań, koniecznie należało docenić przy napiwku.

Kiedy już odjechałam, kiedy xanax był coraz bliżej, kiedy opustoszałe ulice nocnego miasta migły za szybami, sięgnęłam po telefon. Było późno, ale nie wątpiłam, że Filip zamiast spać, garniruje desery albo obmyśla przystawki. „Nie ma kaloryfera. Ani niczego innego też nie” – napisałam, wpatrując się krótkowzrocznymi oczami w stanowczo zbyt małe literki na ekranie, który oświetlał mnie swoim trupim, sinym blaskiem.

\*

„Przyjdź do Empiku na Nowym Świecie” – polecenie Wajnerta było jasne i krótkie. Nie wiedziałam, dlaczego chciał, bym pojawiła się właśnie tam, aż do chwili, gdy wysiadłam z tramwaju przy słynnej palmie. Tropikalne drzewo w centrum chłodnego miasta, plażowe konotacje przywoływane na ruchliwym rondzie, plastikowy kawałek Kalifornii w stolicy kraju z wiecznym niedostatkiem słońca. Palma stała tam już dwa lata, a ciągle budziła kontrowersje. Mnie się podobała, chociaż do Kalifornii wciąż było daleko. Charakterystyczny dla minionej epoki gmach kontrastował z palmą nieco surrealistycznie; napis „Cały naród buduje swoją stolicę” przesłaniała zmarszczona jesiennym wiatrem płachta. Listopad, socrealizm i palma – to się mogło zdarzyć tylko w tym mieście. Nagły podmuch wiatru uwolnił zadarty do góry materiał. „Spotkanie z Andrzejem Wajnertem. Autor podpisuje swoją nową książkę. Tylko u nas, 4 listopada, o godzinie 18.00”. Wiedziałam już, dlaczego kazał mi przyjść właśnie tutaj. Tylko po co?

Dochodziła dwudziesta, powinien już kończyć spotkanie z czytelnikami. A raczej z czytelniczkami – przecież to głównie kobiety kupują w Polsce książki. To one biegają do księgarni na spotkania z ulubionym autorem. To one podsuwają egzemplarz do podpisu, stawiają go na honorowym miejscu na półce i z dumą prezentują później dorastającym córkom. Wajnert chciał, żebym to zobaczyła? Żebym zobaczyła go śledzonego wieloma parami błyszczących oczu i otoczonego wianuszkiem wielbicielek? A może uznał, skądinąd nie bez podstaw, że jestem jedną z nich? Tylko że ja nie chciałam już być jedną z wielu.

Drzwi księgarni rozstały się przede mną, a plakaty patrzące oczami Wajnerta pokierowały w górę, na trzecie piętro. Spotkanie chyba rzeczywiście dobiegało już końca: kilkuosobowa kolejka – jakżeby inaczej – pań ściskających w dłoniach egzemplarze *Rzeczy o szaleństwie i ukojeniu*, pióro Wajnerta kreślące zamaszyste zawijasy na podsuwanych mu kartkach, usłużny pan z wydawnictwa z plastikowym kubeczkim i wodą mineralną. Wajnert był rozluźniony, zadowolony, może nawet szczęśliwy. Duże zainteresowanie, kolejka chętnych, jego książka w rękach obcych ludzi. Pomysły z jego głowy, serca i brzucha obleczone w materię powieści, intelektualna potencja zamieniona w upragniony akt, osobiste, które stało się uniwersalne. Rozumiałam go wtedy – rozumiałam jego zadowolenie i rozumiałam ekscytację stojących do niego w kolejce. *Rzecz o szaleństwie i ukojeniu* była piękna, a twórca piękna był tu, przy stoliku, na wyciągnięcie ręki, a raczej pióra. Stałam na końcu ogonka; na szczęście miałam książkę Wajnerta w torebce. Do czytania w tramwaju. I – jak się okazało – do podsunięcia mu przed nos. Nawet nie podniósł wzroku; tak jakby patrzył tylko na swoje nazwisko na stronie tytułowej.

– Dla kogo mam napisać?

– Dla Michaliny, która miała być chłopcem.

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym matowa zieleń spokojnych wód zamieniła się w roziskrzony fasetki szmaragdu.

– Cześć. Przepraszam, że musiałaś czekać, nie sądziłem, że to tyle potrwa.

Ależ oczywiście, że sądził, iż to właśnie tyle potrwa, a ja doskonale o tym wiedziałam, ale przecież można to było wybaczyć. Można było nawet zazdrościć. „Dla Michaliny, z nadzieją” – napisał. Podpis pozornie niedbały, ale perfekcyjnie wyćwiczony, rozbuchane zawijasy, pękate brzuszki i ozdobne

kreseczki. Pismo człowieka, który się nie hamuje i nie oszczędza.

– Z nadzieją na co? – zapytałam bez zastanowienia.

Wajnert się uśmiechnął.

– Na udany wieczór, oczywiście. To koniec na dziś, jak rozumiem? – zwrócił się do pana z wydawnictwa, który cały czas czujnie krążył gdzieś z boku. I z nabożną czcią wpatrywał się w Wajnerta.

– Oczywiście, bardzo panu dziękujemy, to dla nas wielki zaszczyt.

Może jednak to był po prostu sprzedawca z Empiku?

– Dobranoc. – Wajnert złapał mnie za rękę; znanym mi już chwytem otoczył dłonią mój nadgarstek. – To chodź, laleczko z porcelany.

Uznany za sprzedawcę rzucił mi nienawistne spojrzenie. On też chciał się przenieść spośród milczących regałów w sam środek napęczniałej słowami powieści? Księgarnia opustoszała; kiedy wychodziłam z Wajnertem, mężczyzna zaczął zwijać plakat z jego twarzą.

Wieczór był chłodny, a wiatr przejmujący. Polski listopad, kandydat do zwycięstwa w światowym konkursie smutku i beznadziei. Ciemno, zimno, ponuro – najpiękniejszy miesiąc w moim kalendarzu. Zapach perfum na skórze Wajnerta był silniejszy od deszczu, od wiatru, od brzydoty drzew bezlistnych i surowych. Szliśmy z Nowego Świata do jego mieszkania, znów przez plac Trzech Krzyży, który już zawsze będzie mi się kojarzył z Wajnertem. *Romans z placu Trzech Krzyży* – to mógłby być tytuł jego nowej książki.

– Pisziesz coś teraz? – zapytałam, kiedy chrobocząca winda zawiozła nas do bezpiecznej przystani jego mieszkania. Z daleka od listopada, poza jesienią.

– Daj spokój – powiedział, rozpinając mi płaszcz. Palce miał coraz bardziej niecierpliwe; drżały, kiedy dotarł do ostatniego guzika. Dziś zatem nie będzie o pisaniu – dziś będzie o życiu. Proza instynktu, poezja pożądania, dramat popędu. Wajnert rozbierał mnie rozedrganymi dłońmi; płaszcz upadł na ziemię jeszcze w przedpokoju, spódnica w drzwiach, bluzka spłynęła na dywan już w pokoju. Miałam majtki z czarnej koronki; poczułam jej fakturę gdzieś głęboko w sobie wraz z palcami Wajnerta. Wpychał je we mnie, wciskał, przebierał w zakamarkach punktów G, A i tych, którym amerykańscy badacze nie zdążyli jeszcze przyporządkować liter. Wysunęłam biodra, naparłam na jego rękę, chciałam, by napisał w ten sposób cały alfabet. Alfabet rozkoszy w rytmie ruchów jego palców. Nie pozwolił mi jednak dojść, miał dla mnie coś jeszcze. Na początek słowa.

– A teraz cię przelecę. Posunę. Zerznę. Będę cię pieprzyć, dymać, pierdolić.

Tyle pięknych słów. Tyle doskonałych czynności. Tyle rozkoszy zalewającej mnie jak fala. Trzymał mnie mocno za biodra, kiedy posuwał mnie od tyłu, jego ręka opierała się na moim karku, kiedy rznął mnie ułożoną na łyżeczkę z ciasno złożonymi nogami, obrysowywał dłońmi kształt moich pleców, kiedy pieprzył mnie, posadziwszy sobie na kolanach. Jego wytrysk był gorący i zbiegł się w czasie z wilgotnym szczytem aktywności wszystkich alfabetycznych punktów wewnątrz mnie. Tych znanych i tych niedocenionych, tych oczywistych i tych głęboko ukrytych, tych, które tylko mrowiły, i tych, które eksplodowały. Odpląnąłam naprawdę daleko; nawet w kilka dobrych minut od orgazmu nie mogłam powstrzymać skurczów, drżenia ud, szaleńczego tętna. Magiczne mięśnie odkryte przez doktora Kegla zaciskały się i rozkurczały zupełnie niezależnie od mojej woli, jakby wybiły się na nieprzynależną im autonomię. Jakby wyrwały się spod mojej kontroli. Jakby chciały dorównać szaleńczemu tempu bicia serca. Migotanie przedsionków na horyzoncie, bardzo gorąca krew tuż pod powierzchnią skóry, uderzenia i szумы. Czułam, że mam gorączkę – co najmniej trzydzieści osiem stopni, nie z przeziębienia, a z pierdolenia. Brzmiało podobnie, ale różnica doznań była zasadnicza. Długo jeszcze płonęłam, zanim chłód powietrza choć trochę mnie ostudził. Właśnie chłód powietrza, a nie stygnącego ciała Wajnerta –

Wajnert zdążył bowiem odgrodzić się ode mnie stolikiem do kawy jak tarczą, owinąć szlafrokiem i ukryć w fotelu. Sięgnęłam po papierosa; dym uporządkował myśli i przywrócił mi pamięć słów. Wtedy zdałam sobie sprawę, że wśród wszystkich czasowników, których użył – słownie i dosłownie – nie było czasownika „kochać”. Wajnert nie powiedział, że będzie mnie kochał, ale ja i tak wiedziałam, że przecież właśnie to musiał mieć na myśli. Chyba że to były moje myśli? Strzepnęłam te wątpliwości wraz z popiołem z papierosa. Mieliśmy przecież jednoczesny orgazm, a to musi o czymś świadczyć – takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach.

\*

– Ale ja uważam, że umiem więcej niż na trójkę!

Spodnie spadające z bioder, gumka od majtek na wierzchu – Calvin Klein, jakżeby inaczej – i krowie ruchy szczęk międlących orbit albo winterfresh. Do tego trochę nastoletniej niezdarności, odrobina męskiej pewności siebie i całkiem spora doza nonszalancji, właściwej wszystkim bogatym dzieciakom. Dzieciakom ze strzeżonych, zamkniętych osiedli albo z podwarszawskich willi. Takim, co to zawsze mieli życie podane na tacy – od markowych śpioszków przeszli płynnie do prywatnych przedszkoli z rozszerzonym angielskim, metodą Montessori i dietą bezglutenową, stamtąd do słono opłacanych podstawówek z jazdą konną i tenisem w programie zajęć, a później do szkół średnich, które być może nie miały najwyższego poziomu nauczania, ale za to niezawodnie gwarantowały całkowity brak kontaktu ze światem rzeczywistym. To była ostania klasa; ucząc maturzystów, zawsze zastanawiam się, jak te wychuchane, wyizolowane i chowane pod kloszem cieplarniane roślinki odnajdą się na uniwersytecie. Większość z nich wcale się tam nie kwalifikowała, ale oczywiście trafią tam wszyscy. I to do Londynu albo Nowego Jorku, Warszawa stanowiła raczej przykrą ostateczność. Ja wiedziałam, że wtedy dopiero się zacznie, oni – niekoniecznie. Tak jakby naprawdę wierzyli, że pieniądze tatusia są w stanie uchronić ich przed wszystkim. Z prawdziwym życiem włącznie.

– Doprawdy? Przykro mi, ale pozostanę przy swoim zdaniu.

Szkoła przyjazna uczniom – na ławce stała otwarta puszka z napojem energetyzującym i pudełko sushi z najdroższej restauracji. Uczniowie mają przecież prawo jeść wtedy, kiedy poczują głód. Nawet w środku lekcji. Chłopak niezadowolony ze swojej oceny trzymał nogi wyciągnięte na dostawionym do ławki krzeselku – uczniowie mogą przecież chłonać wiedzę w swobodnych pozach, nie można ograniczać ich młodzieńczej motoryki. Musieli też przechodzić do następnej klasy albo dostawać trójki, nawet jeśli umieli ledwie na dwóję – nie można przecież smucić rodziców tak zaangażowanych w regularne opłaty horrendalnego chesnego. Rodzice i nauczyciele – wszyscy wiedzieliśmy, czego oczekujemy od siebie nawzajem w tej świątyni fałszu i pozorów. Uczyłam tu historii i wiedzy o społeczeństwie na pół etatu; pensja z nawiązką rekompensowała dziewięć godzin tygodniowo wśród rozwydrzonych bachorów, które od czwartku były zajęte planowaniem weekendowego melanżu, a do środy dochodzeniem do siebie po metamfetaminie kupionej za kieszonkowe od tatusia. Tak naprawdę to właśnie ta pensja pozwalała mi regulować raty za apartament na Powiślu i składkę w funduszu inwestycyjnym, który miał mi gwarantować emeryturę pod palmami. Oraz dzielone z Ewą opłaty za coraz droższe utrzymanie coraz bardziej zaniedbanego domu w Burzeninie.

– Ale przecież wymieniłem cechy systemu parlamentarno-gabinetowego. – Chłopak nie ustawał w swoich pretensjach, mimo że nadszedł już czas na przerwę. Nadszedł czas, a nie zadzwonił dzwonek – dzwonek w nowoczesnej szkole to przecież stresujący przeżytek.

– Sprawdzian składał się z trzech pytań. Tylko na to jedno udzielił pan właściwej odpowiedzi. Naprawdę sądzi pan, że to wystarczy na czwórkę?

Pan, pani – niezbędny wyraz szacunku do ucznia ostatniej klasy, który podjeżdża pod szkołę jaguarem. A co najmniej bmw.

– A będę mógł się poprawić?

O nie, nie tutaj. Poprawki, indywidualne egzaminy, dodatkowe terminy – to wszystko mogłam ćwiczyć na uczelni, ale na pewno nie tu. Poza tym oni byli przecież za młodzi. Niedostatecznie uformowani. Ta niewyglądzona kanciastość, ta niepewność ruchów, to niedoskonałe dopasowanie do własnego, dorosłego już, ale jeszcze nie do końca poznanego ciała. Jak poczwardki, które jeszcze nie przeistoczyły się w motyle. Jak niezahartowana stal. Jak plastelina wciąż jeszcze ciepła od kształtujących dłoni rodziców. Student pierwszego roku kontra maturzysta – niby żadna różnica, a jednak. Tych tutaj nigdy nie postrzegałam w kategoriach innych niż sposób zarabiania pieniędzy. Bez dodatkowych przygód.

– Nie, nie będzie pan mógł.

– Łeee... No to chuj z tym. – Wyrazy niezadowolenia mieszały się z odgłosami zbierania się kilkudziesięciu osób do wyjścia. Ja też spakowałam swoje rzeczy – to była moja ostatnia lekcja. Jeszcze tylko krótka wypowiedź dla telewizji i będę mogła zacząć weekend. Który spędzę nad konstruowaniem wniosku o grant. Nieszczęsny Narodowy Program Rozwoju Humanistyki. Na zebraniu głos zabierali wszyscy, ale jakoś tak się złożyło, że pisanie szkicu ramowego przypadło mnie. „To oczywiście w związku z nieobecnością profesora Piekutowicza. Profesor będzie miał przecież znaczący wpływ na kształt badań, więc może dobrze, żeby pani o to zadbała w jego zastępstwie”. To było męczące, ale liczyłam na profity. Tym razem naprawdę robiliśmy skok na kasę.

– Cześć, kochanie. – Głos mojej siostry w słuchawce telefonu brzmiał nieznośnie szczęśliwie. Doktorek musiał wzorowo spełniać rolę narzeczonego. Żonaty, ale wzorowy. – Nie gniewaj się, ale to nie ja przyjadę cię dzisiaj nagrać. Marek akurat zorganizował sobie wolny wieczór i... sama rozumiesz.

– Zaśmiała się trochę konspiracyjnie, a trochę z zakłopotaniem. – Więc pomyślałam, że wyślę kolegę w zastępstwie. Może być, prawda?

Jakże mogło nie być? Jeśli nie prywatna praktyka, to obowiązki rodzinne – wolny piątkowy wieczór u profesora Misiaka nie zdarzał się raz na miesiąc. Ani nawet raz na dwa.

– Jasne, niech będzie.

– Dzięki, Michalina. Wpadnę jutro, to pogadamy.

– Jutro siedzę nad wnioskiem o grant.

– Daj spokój, wpadnę tylko na chwilę. Pójdziemy coś zjeść i już mnie nie będzie.

Moja siostra najwyraźniej miała mi do opowiedzenia jakąś historię. No cóż, opowieści są po to, by ich wysłuchiwać.

– Ten facet, twój kolega w zastępstwie, mnie znajdzie?

– Tak, jasne. Podam mu twój adres.

O nie, co to, to nie. Nigdy nie umawiałam się z dziennikarzami u siebie w domu – zawsze w pobliskim parku, nad Wisłą albo na terenie uniwersytetu. Skoro to nie moja siostra przyjeżdżała z kamerą, nie zamierzałam robić wyjątku.

– Niech się pojawi na placu Trzech Krzyży.

Nie wiem, dlaczego wybrałam akurat to miejsce. Miejsce, w którym od dziewięciu lat starałam się nie bywać.

– Dobra, będzie czekał o osiemnastej. To do jutra.

– Do jutra. I miłej zabawy.

Śmiech Ewy zastąpił podziękowanie. Najwyraźniej była szczęśliwa. Mimo żony Marka Misiaka, mimo jego rozlicznych obowiązków, mimo konieczności ukrywania się z romanssem. Moja siostra była tą drugą, tą utrzymaną w cieniu i tą zbierającą okruszki, ale była szczęśliwa. Może to wystarczy?

– Cześć. – Głos Wajnerta w słuchawce brzmiał przyjaźnie i spokojnie. Tak jakby jego właściciel miał dla mnie niespodziankę. Tę z gatunku przyjemnych.

– Cześć.

Lubiłam go słyszeć, uwielbiałam mówić do niego, chciałam, by dzwonił do mnie codziennie. Niestety, nie robił tego. Tym bardziej ucieszyłam się z dalszego ciągu, który nastąpił po przywitaniach.

– Posłuchaj, Michalina. Co robisz w sobotę?

„Czekam na ciebie. Tak jak w niedzielę i w każdy dzień powszedni” – miałam na końcu języka, ale powiedziałam oczywiście coś innego. Coś dużo bardziej stosownego, choć dyskusyjne jest, czy fałsz może brzmieć stosownie.

– Nic. Znaczący, nic ważnego. – Mała poprawka w imię bagatelizowania prawdy.

– Bo widzisz, w sobotę jest wręczenie Nagrody Nike...

Nie mogłam w to uwierzyć. Bardzo tego chciałam, marzyłam o tym, ale nawet nie przypuszczałam, że Andrzej Wajnert naprawdę może mi zaproponować, bym poszła z nim na wręczenie Nike. Najważniejsza nagroda literacka, warszawska śmietanka towarzyska, pisarze. Z kieliszkami zamiast piór, ale w komplecie.

– Jak pewnie wiesz, ja dostałem w zeszłym roku... – Wajnert kontynuował nieco nieśmiało. Też coś, jakże mogłabym nie wiedzieć. – I teraz muszę tam być. Będę wręczał jakieś wyróżnienie czy coś... – Cierpliwie czekałam, aż przejdzie do sedna. Wiedziałam już, co chce powiedzieć, i radowałam się z tego, ale nie mogłam przecież przyspieszyć jego prośby. – I chciałem zapytać, czybyś tam ze mną nie poszła. O dziewiętnastej. W Pałacu na Wodzie. W Łazienkach, znaczący. Najpierw wręczenie, a później bankiet. No i te sprawy. Może byś mogła?

Czybym mogła? Czy mogłabym pójść z Andrzejem Wajnertem, gwiazdą i samcem alfa polskiej literatury, na wręczenie najbardziej prestiżowej nagrody? To jak pytać gorliwej katoliczki, czy zgadza się, by papież udzielił jej ślubu.

– Mogłabym. Oczywiście, że bym mogła.

– To świetnie.

Nie wiem, czy mi się wydawało, ale usłyszałam w jego głosie coś na kształt westchnienia ulgi. Skąd to się wzięło? Przecież chyba nie wątpił w moją zgodę.

Potrzebowałam sukienki. Nie byle jakiej sukienki, tylko długiej, eleganckiej, najlepiej bez pleców. Jednej z tych, obok których nie można przejść obojętnie. Rzecz jasna, nie miałam takiej w swojej szafie. Nie uznając dzinsów, poniekąd specjalizowałam się w sukienkach, ale ostatnia długa, jaką nosiłam, miała postać szkolnego stroju galowego, w którym obowiązkowo musiałyśmy wystąpić na studniówce. To był komplet z przedwojennym sznytem i małą domieszką marzeń pedofila – czarna spódnica do pół łydki oraz marynarski kołnierz wykładany na białą bluzkę. Zupełnie nie nadający się na wręczenie Nike. Zresztą tuż po tym, jak zdałam maturę, wyrzuciłam cały ten ekwipunek do kosza. Wraz z obierkami ziemniaków. Do dziś pamiętam gniewny wzrok babki.

Miałam dwa dni na to, by coś zorganizować. Na sklep odzieżowy nie było mnie stać – w tym miesiącu musiałam kupić zimowe buty i nie był to wydatek, z którego mogłabym zrezygnować nawet w imię dobrego wrażenia wywartego na znajomych Wajnerta. Na szczęście nawet w Warszawie istniały lumpeksy. Umiałam w nich kupować – lata w internacie, kiedy to pieniądze przeznaczone na ciuchy rozchodziły się na książki i papierosy, nauczyły mnie sztuki wyławiania prawdziwych perełek spośród tysięcy wielobarwnych szmat. „Tania odzież z Zachodu” na Grochowskiej – to było to, czego

potrzebowałam. Wejście w zatęchłym podwórzu, zachęcający szyld „30 złotych za kilo”, kobiety, których wiek był nie do rozpoznania po tym, jak zostawiły przed wejściem wózki z niemowlętami albo kraciaste torby-emerytki. Już po kwadransie znalazłam to, czego szukałam. Była czarna, długa i miała karczek z koronki. A do tego rozcięcie z przodu do połowy uda. Chanel – głosiła wszywka od wewnętrznej strony szwu, którą wobec braku łatwo zauważalnej metki pracownicy tego przybytku musieli zbagatelizować. „Dwadzieścia złotych” – zażądała przy kasie kobieta w pikowanej kufajce, w ogóle nie zważając na to, że według wskazań wagi cena lekkiego fatalaska nie powinna przekroczyć ośmiu złotych. Nieważne, pomyślałam, płacąc jej tyle, ile chciała. Paragonu rzecz jasna nie było; kobieta z wyrazem zadowolenia na twarzy zamieszała kawę w szklance. Że też się nie bała, że poplami zakupy któremuś z klientów. Tłusty, czarny płyn ściekał po łyżeczce odłożonej wprost na ladę.

Sukienka była idealna. Małe krawieckie dzieło sztuki, które odsłaniało i skrywało jednocześnie. Leżało jak ulał na moim płaskim brzuchu i długich nogach.

– Wyglądasz jak milion dolarów. – Wajnert podzielał mój zachwyt. Sam na tę okazję zamienił swoją nieodłączną dżinsową kurtkę na marynarkę, ale pozostał wierny czarnej koszuli bez krawata. Oby tylko nie zauważył małego przetarcia na tkaninie mojej sukienki. Było na plecach; schowałam je pod włosami.

W taksówce mój towarzysz wydawał się spięty. Dużo bardziej niż ja, choć przecież powinno być odwrotnie. On znał tam wszystkich i był ze wszech miar na właściwym miejscu, ja stanowiłam tylko dodatek do kogoś, o kim uważałam, że dodatków nie potrzebuje. Nie potrzebuje, a jednak chce. Chce mnie.

Sponsorom Nike musiało bardzo zależeć na podkreśleniu statusu tej nagrody. A umieli to uczynić pewnie tylko przez sztafaż w hollywoodzkim stylu. Przed klasycystycznym pałacem nie mogło zatem zabraknąć odpowiednich rekwizytów rodem z krainy snów. Czerwony dywan, reflektory o bezlitosnej mocy, fioletowe i zielone iluminacje na majestatycznej fasadzie. Lustro wody nieruchomej i spokojnej odbijało całe to odświeżone wzmoczenie dekoracyjne. Właściwie trudno się było rozeznąć, czy czekają tu na pisarzy, czy może raczej na serialowe gwiazdy. Jednak na pisarzy – odetchnęłam z ulgą po tym, jak dostrzegłszy Wajnerta, organizatorzy gali powiedli go ku pierwszemu rzędom jako honorowego gościa. Honorowy gość miał towarzystwo, którego zdaje się nikt się nie spodziewał.

– Panie Andrzeju, pan z towarzyszką w tym roku....

Przemili panowie z obsługi patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Nie wiedziałam tylko, czy nie dowierzają, że Wajnert przyszedł z kimś takim jak ja, czy też że ktoś taki jak ja sprawił, że Wajnert wybrał jego towarzystwo. A może po prostu spodziewali się zobaczyć u boku znanego pisarza kogoś zupełnie innego? Jak się zorientowałam, posadzono nas w sektorze VIP-ów – obok sami nominowani, laureaci z poprzednich lat, mocno starsi panowie w profesorskich marynarkach, których identyfikowałam jako członków jury. Rozpoznałam pisarza, który przed laty zasłynął smutkiem opisywanego dzieciństwa i do dziś poza ów smutek i owo dzieciństwo nie wyszedł, oraz dziewczynę od najgłośniejszego – i najbardziej przereklamowanego – debiutu dekady. Autora niezwykle popularnej w Warszawie powieści z kluczem, w której bezlitośnie obsmarowywał upodobania seksualne kolegów, i genialnego twórcę nastrojowych obrazków z prowincji, który musiał uczynić wyjątek w swym umiłowaniu wsi, by przyjechać do miasta. Był nawet słynny gej, który na początku chciał być pisarzem, ale później uznał, że gejostwo wystarczy za pisanie. Kwiat polskiej literatury w aromacie nerwowego oczekiwania. Ciekawe, ilu z nich opíše tę galę? Chrobot przesuwanych krzeseł, szmer przyciszonych rozmów, chrzęst rozciąganych po podłodze kabli telewizyjnych. Oczywiście, relacja z wydarzenia kulturalnego, transmisja na wagę misji, czas antenowy trzeciej kategorii w cenniku dla reklamodawców. Aby biedni autorzy kryminałów i romansów, niegodni dopuszczenia na literacki parnas, mogli go sobie chociaż obejrzeć na

ekranie. Poza tym telewizja to zawsze prestiż w górę – wręczenie czołowej nagrody literackiej w kraju wymagało odpowiedniej oprawy i chyba udało się ją zapewnić. Nie było siermiężnie ani bibliotecznie – było sexy, o czym przekonywały nagie plecy prowadzącej galę. Prowadzącej tej co zwykle – pani od wszystkich ważniejszych gal w mieście. Zmieniał się co najwyżej rodzaj imprezy i lista wyróżnionych; jej osoba stanowiła element obowiązkowy. Bardzo zresztą ładny, w pełni profesjonalny i co roku młodszy.

– Wręczy pan nagrodę czytelników, wie pan wszystko, jak i kiedy? Pani Grażynka poprosi pana ze sceny, wtedy pan wejdzie i dostanie kopertę z nazwiskiem. Wszystko jasne, prawda?

Pan z obsługi osiągał szczyty przymilności, pochylając się nad Wajnertem ze swoimi szczegółowymi instrukcjami. Jakby mój towarzysz był co najmniej Jane Fondą, która ma wręczyć Oscara Andrzejowi Wajdzie. Może powinien przećwiczyć uścisk dłoni albo wejście po schodkach?

– Naprawdę nie wiadomo, kto dostanie?

– Naprawdę.

Kto jak kto, ale Wajnert musiał to wiedzieć. Czyli wszystkie te nerwowe uśmieszki, cała ta ekscytacja wyczuwalna w powietrzu, ta atmosfera gęsta od zawiesiny wielkich nadziei i zawistnych obaw, że to może konkurenta wyróżnią, nie mnie – to wszystko było prawdziwe. Nieszczęśni nominowani nie wiedzieli więc, na kogo w tym roku padnie wybór dostojnego jury, ale liczyli na jego trafność. Szansa jak jeden do ośmiu, sto tysięcy złotych, sława, chwała i wzrost nakładów na wyciągnięcie ręki. A raczej na wyciągnięcie pióra przewodniczącego komisji. Nie codziennie stać mnie było na gazetę, która cyklicznie prezentowała sylwetki – i portrety – nominowanych, nie rozpoznawałam więc wszystkich twarzy. Ale potrafiłam wskazać ich bezbłędnie; znakiem rozpoznawczym były zaproszenia ściskane w dłoniach jak programy w operze, które zawsze kupują ci, którzy przyjechali z daleka i nie wiedzą, co zrobić z rękami. Wajnert chyba też nie wiedział, bo trzymał je nienaturalnie wyprostowane na kolanach.

– Nie martw się, rok temu na pewno było gorzej. – Chciałam choć trochę złagodzić jego napięcie. Przecież chyba wręczenie nagrody nie może być bardziej stresujące od jej odbierania? Co chwilę ktoś podchodził się przywitać, machał z dalszych rzędów, posyłał uśmiech. Jednak Wajnert nie był chyba zbyt towarzyski; cóż, nie można mieć wszystkiego, wystarczy, że pisał tak jak nikt inny w tej sali i nie było nikogo lepszego, z kim można by tu przyjść – starałam się nie zerkać w stronę tego, który przyjechał ze swojej wsi i rozglądał się nieco bezradnie po twarzach gładko wygolonych i umalowanych, po starannie odprasowanych garniturach i lśniących sukniach wieczorowych. Pisał tak, że miało się ochotę natychmiast rzucić wszystko i jechać za nim na koniec świata, do chałupy bez wody i prądu.

– Na bankiecie i tak będę musiał porozmawiać z tymi wszystkimi debilami. – Stosunek Wajnerta do kolegów po piórze był jasno określony i dowodził, że być może wiele można by mu zarzucić, ale na pewno nie brak poczucia własnej wartości. Może słusznie, może akurat on ma do tego prawo? Nie było takiej rzeczy, której nie usprawiedliwiłabym u Wajnerta. Odwróciłam wzrok od piewcy rubieży; nie oddał do szatni swojej kurtki na baranku i teraz rozpaczliwie mocował się z jej ułożeniem na oparciu krzesła sąsiada.

– Szanowne jury, państwo nominowani, drodzy goście. Witamy serdecznie na gali wręczenia Nagrody Literackiej Nike.

Laudacje, laurki, nazwy sponsorów powtórzone odpowiednią ilość razy. Wszystkie kluczowe nazwiska wymienione z odpowiednią atencją, gorące podziękowania za przybycie, przydługie wstępy. I ogromnie męcząca część artystyczna.

– Specjalnie dla państwa wystąpią dziś wirtuozi nowoczesnego jazzu, mistrzowie nowych, zaskakujących brzmień, wschodzące gwiazdy polskiej sceny alternatywnej. Przed państwem Kwartet Strun Wszechświata.



Pretensjonalność nazwy była adekwatna do zadęcia wykonania.

– Co za nowomodne gówna – westchnął Wajnert. – Zrób zachwyconą minę. Na wypadek gdyby nas pokazali w telewizji.

Na szczęście prezentacje nominowanych autorów były zrobione w starym stylu. Sprawdzone rozwiązania w postaci nastrojowych kadrów, podretuszowanych, czarno-białych zdjęć i profesjonalnie aksamitnych głosów aktorów czytających fragmenty wyróżnionych utworów zdały egzamin i tym razem. Jerzy Radziwiłowicz – albo jeszcze lepiej: Bogusław Linda – czytający fragment twojej książki. To musiało robić wrażenie na autorach; niczego w życiu nie napisałam, ale i tak to poczułam – te rozkosznie mrowiące bąbelki satysfakcji i pragnienia więcej. Trochę w brzuchu, ale głównie na języku.

– Zwycięzca otrzyma czek na sto tysięcy złotych oraz statuetkę dłuta Gustawa Zemły.

Piękna pani prowadząca zapowiedziała to po raz dziesiąty, podkreślając nazwisko twórcy statuetki, jakby był co najmniej Dunikowskim. Może zresztą tak było, a może po prostu wzorowo wywiązywała się z obowiązku dodawania wartości, prezentowania powagi przedsięwzięcia, podnoszenia prestiżu.

– Na początek jednak nagroda publiczności.

Gra wstępna poprzedzająca orgazm, naturalna, ale nieco uciążliwa kolej rzeczy, wyraz narastającego oczekiwania na twarzach.

– Nagrodę tę wręczy nasz ubiegłoroczny laureat. Wyróżniony za powieść *Skradziona modlitwa* wybitny prozaik Andrzej Wajnert. Andrzej, zapraszamy cię do nas.

I chociaż to on ze swoim dorobkiem był tu o wiele bardziej na miejscu niż prowadząca z nagimi plecami, to jednak wyglądał na zagubionego na wielkiej scenie. Poprawił sobie okulary, ale nie nasunął ich na nos na tyle, by nie mógł patrzeć ponad szklami. Charakterystyczne spojrzenie, upodobanie, któremu był wierny, styl na uważnego intelektualistę mierzącego rozmówcę badawczym wzrokiem. Jeden z usłużnych asystentów podał Wajnertowi kopertę z nazwiskiem laureata. Ręce mu drżały, kiedy mocował się z jej otwarciem.

– Nagrodę publiczności Nike 2004 otrzymuje Antoni Makulewicz za powieść *Gryzonie*.

Właśnie takiego wyboru czytelników można się było spodziewać. Przemoc domowa, ostry język, traumatyzowany bohater. Ludzie to lubią. Makulewicz uśmiechał się i ścisnął dłoń Wajnerta, ale niewątpliwie liczył na więcej. Nagroda czytelników to tylko dziesięć tysięcy. Mój towarzysz odetchnął, powróciwszy na miejsce.

– Nie sądziłam, że tak bardzo tego nie lubisz. – Miałam na myśli publiczne występy.

– To nic w porównaniu do tego, jak nie lubię pisać. A też muszę.

Byłam zbyt młoda i za mało wiedziałam o pisaniu, by docenić wagę tego wyznania. A może Wajnert był na tyle dojrzały i wystarczająco dużo wiedział o życiu, że powinien był mi je wytłumaczyć?

Tymczasem na scenie Makulewicz triumfował po raz drugi. Co się rzadko zdarza, wybór czytelników pokrył się z upodobaniami jury. Młody pisarz ścisnął w dłoniach statuetkę i czek – to drugie o wiele bardziej kurczowo niż to pierwsze – i plątał się w rzewnych wyznaniach, ociekających wazeliną podziękowaniach dla wydawcy i mętnych zapewnieniach, że teraz będzie pracował jeszcze ciężiej.

– Nie wysilaj się, drugi raz i tak ci nie dadzą – skomentował to Wajnert; bardziej do siebie chyba niż do mojego ucha.

– No wreszcie. Czas na bankiet. – Westchnienie pełne ulgi dotarło do mnie gdzieś zza pleców, kiedy wyróżniony literat skończył wreszcie swoje godne oscarowego przemówienie. Podziękował nawet ciotecznej babce ze strony wuja i pierwszemu mężowi swojej drugiej żony; dobrze, że chociaż opanował te koligacje na pamięć i nie musiał czytać z kartki.

– Że też dali temu miernemu pisarzynie – usłyszałam z którejś strony wśród chrobotu odsuwanych krzeseł i szelestu unoszonych brzegów sukien. Kilka kroków w kierunku innej sali, błysk fleszy, laureat

już tam był, pozując fotoreporterom do zdjęć. Ten sam głos ociekał teraz słodyczą:

– Gratuluję ci, Antoni, serdecznie ci gratuluję. Ze wszech miar zasłużona nagroda.

Mocny uścisk dłoni, promienny uśmiech, wspólne zdjęcie dla którejś z gazet. Wajnert też najwyraźniej chciał takie mieć – przypilnował, by zamienić kilka słów z Makulewiczem i stanąć obok niego, póki jeszcze trwało apogeum zainteresowania fotoreporterów. Parę słów do jakiejś kamery i prośba o komentarz do dyktafonu dziennikarza radiowego też spotkała się z jego aprobatą. Nie znałam tu nikogo, nie miałam co ze sobą zrobić, a Wajnert był zajęty. Nie pozostało mi więc nic innego, jak udać się na obiecany bankiet. Ludzi było jeszcze niewielu; większość wciąż tłoczyła się tam, gdzie świeciły lampki kamer i trzaskały migawki aparatów. Nic dziwnego natomiast, że do części bankietowej nie wpuszczono dziennikarzy – stoły ugięły się od kieliszków wszelkiej wielkości i gramatury, obok beczulek z piwem stały małe kraniki z wódką, a butelek wina było co najmniej tyle, ile kolorów drinków przyrządzanych na bieżąco przez zręcznych barmanów. Do tego jakieś kanapeczki, mikroskopijne przekąski, koreczki z egzotycznych składników. Znaczący się mało treściwie, za to elegancko i przede wszystkim – wysokoprocetowo. I na każdy gust; wybitny pisarz od smutku prowincji krzątał się obok nalewek spirytusowych. Widać kurtka na baranku nie grzała go wystarczająco. Wajnert na szczęście pojawił się dość szybko – zainteresowanie fotoreporterów musiało jednak skupiać się na Makulewiczu. Popatrzył na całe to alkoholowe bogactwo jakoś dziwnie przeciągle i uważnie; tak jakby obliczał, ile może wypić i czy warto w ogóle zaczynać.

– Co pijesz? – zapytał.

– Chyba drinka. A ty?

Milczał trochę dłużej, niż powinien po tak prostym pytaniu. A wreszcie odpowiedział:

– Wiesz, ja dzisiaj nic.

Zdziwiłam się, piliśmy przecież brandy u niego w mieszkaniu. Ale widać są ludzie, dla których granica między pić w domowym zaciszu a na publicznej imprezie jest nie do przekroczenia. Nie rozumiałam tego, ale intuicyjnie czułam, że może lepiej, by tak zostało. Ja miałam więc swojego drinka, a Wajnert szklanekę z sokiem. Miał tu też mnóstwo znajomych, ale nie wszystkich zaszczycał rozmową dłuższą niż zdawkowe „dzień dobry, co słyhać, co powiesz o wygranej Makulewicza?”. Dla mnie był to wieczór zawierania znajomości. Najbardziej rzecz jasna interesowali mnie pisarze, ale Wajnert wolał raczej towarzystwo pań z telewizji, wpływowych redaktorów naczelnych i autorów recenzji literackich.

– Kopę lat, Rysiu!

– A na pewno ze dwa miesiące. Tyle będzie od ostatniego razu u Adama, nie?

– No chyba będzie. Ale nadrobimy?

– No pewnie. Trzeba się spotkać.

– Koniecznie.

– To się dzwoniemy.

Czołowy krytyk literacki największego tygodnika w Polsce wydawał się blisko zaprzyjaźniony z Wajnertem. Aż na tyle blisko, by zażyłość ta mogła rodzić pytania o stopień obiektywizmu entuzjastycznej recenzji ostatniej książki Wajnerta?

– Chcę, żebyś kogoś poznała. Koniecznie.

Oczy Wajnerta zabłysły, kiedy wypatrzył wśród oblegających kraniki z wódką kogoś szczególnie istotnego. Złapał mnie za nadgarstek tym swoim charakterystycznym gestem i powiodł w stronę dostrzeżonego znajomego. Nagle zrobiło mu się jakoś spieszno; po drodze prawie wpadliśmy na słynnego poetę.

– Andrzej... To był przecież Ptaszyński! – Nie sądziłam, że kogoś takiego można tak po prostu spotkać na bankiecie. Chociaż przestrzeń dla palących była kawałek dalej, trzymał w palcach dymiącą fajkę. Tak

nieodłączną, jakby to właśnie ona czyniła zeń słynnego poetę.

– Ptaszyński, Ptaszyński. Kiedy indziej cię z nim poznam. – Wajnerta interesowało już tylko jedno; i na pewno nie było to karmienie moich literackich fascynacji. – A tu jest ktoś, kogo musisz poznać teraz, zaraz. – Dobrześliśmy wreszcie do celu. Szara marynarka opinająca nieco przygarbione plecy, jasne, przerzedzone z tyłu głowy włosy, szerokie ramiona. Nasz cel odwrócił się i błysnął filmowym, aczkolwiek nieco już przywiedłym, uśmiechem. Mecenas Palicki z popularnego serialu o perypetiach rodziny prawników. To jego miałam poznać zamiast tych wszystkich pisarzy, dramaturgów, eseistów?

– Michalino, pozwól. To jest mój przyjaciel jeszcze z wrocławskich czasów, Marek Błądek. – Skojarzyłam coś mętnie, że przed wielce zyskownym, i dość głośno krytykowanym, romansiem z serialem w komercyjnej telewizji rzeczywiście był znanym aktorem wrocławskich teatrów. Jakieś awangardowe przedstawienia, kilka nagród, garść dawno minionych ambicji, które zgrabnie zastąpiła willa na kredyt udzielony na podstawie długoterminowej umowy z producentem telewizyjnego tasiemca. Ot, jeden z tych, co zapredali duszę kapitalistycznemu diabłu, nic ciekawego. – A to jest moja... znajoma. Michalina Kańska.

Znajoma. I to po dość znaczącej pauzie. Zabolało, ale starałam się nie zwracać uwagi.

– Dobry wieczór, miło mi pana poznać. Jako Palicki jest pan znakomity.

Nie był, pewnie już mu się nie chciało, ale co tam. Postanowiłam być miłą dla znajomych Wajnerta.

– Mnie również bardzo przyjemnie. Andrzej sporo mi o pani opowiadał.

– Doprawdy? – „Ciekawe co” tkwiło na końcu mojego języka i łaskotało, by z niego spaść. Ścisnęłam koniuszek języka zębami.

– Jak najbardziej. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. – Dziwne, ale mówiąc to, patrzył raczej na Wajnerta niż na mnie.

– Świetnie. To co, Marek, dzwoniśmy się? – Wajnert porozumiewawczym gestem dotknął kieszeni marynarki. To już, tylko tyle, cała konwersacja?

– Jasne, oczywiście. Dzwon albo pisz.

Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ci dwaj umawiają się na coś więcej niż zwykłe spotkanie starych przyjaciół. I na coś o wiele bardziej konkretnego niż kawa czy obiad w bliżej nieokreślonej przyszłości.

– Urywamy się już chyba, nie? Nie masz nic przeciwko?

Nie spodziewałam się takiego obrotu sytuacji. Nikogo nawet jeszcze nie zdążyłam poznać. O rozmowie o książkach nie wspominając. Nawet jeszcze nie zdążyłam się nacieszyć, że jestem tu z Wajnertem.

– A chcesz już iść?

– Chyba nie ma co tu siedzieć. Pójdźmy.

No cóż, skoro tak wolał. Z nas dwojga to on miał zaproszenie. Było mi trochę żal, kiedy podawał mi płaszcz w szatni. Oczywiście nie wyszło tak zgrabnie, jak powinno – rozbierając się, wcisnęłam szalik do rękawa i teraz moja ręka uwięzła w bezowocnej próbie wśliźnięcia się w materiał.

– Stary przedszkolny zwyczaj. – Uśmiechnęłam się przeproszająco. Ręce Wajnerta drżały podejrzenie mocno.

– Zdarza się. Nie jest to eksces – powiedział tak, jakby miał w głowie gotową listę ekscesów jako materiał porównawczy.

Nie musieliśmy czekać na taksówkę na jesiennym chłodzie. Zapobiegliwi i głodni zarobku kierowcy już czekali przed wejściem. Ale chyba nie spodziewali się klientów tak wcześnie, bo zamiast siedzieć w samochodach i grzać silniki, palili papierosy zbici w gromadkę gdzieś na boku. Kiedy nas zobaczyli, jeden z nich oderwał się od reszty. Ognik papierosa zniknął pod podeszwą. W Parku Łazienkowskim, obszarze chronionym i reprezentacyjnym.

– Dobry wieczór, taksóweczka dla państwa?

Chyba rozpoznał Wajnerta, bo ustawił lusterko wsteczne tak, by widzieć w nim jego twarz. Może liczył na to, że dowie się, dlaczego tak wcześnie wychodzimy? Auto skręciło przy parkowej bramie i wyjechało na Agrykołę. Ręka Wajnerta zawędrowała na moje kolano.

– I co sądzisz o Marku?

– Cóż mogę sądzić, nie gadaliśmy długo. Ale wydaje się sympatyczny.

– A nie miałabyś ochoty, żebyśmy się z nim spotkali?

Palce Wajnerta zaczęły zataczać kółka na moim kolanie. Taksówka wjechała w Aleje Ujazdowskie, puste o tej porze i posępne. Wartownicy przed budynkami ambasad nadawali im wygląd jednej z tych szerokich, wyludnionych arterii w centrach stolic totalitarnych reżimów. Kijów przed pomarańczową rewolucją. Albo Pjongjang po defiladzie. Na mniejszą skalę, ale w tym samym stylu.

– Jak to: spotkali się?

– No normalnie, spotkali się. Ty, ja i on. We trójkę. To fajny facet, spodobałoby ci się.

Nie do końca jeszcze rozumiałam, co miałoby mi się spodobać. Drzenie palców Wajnerta na moim kolanie zaczynało objawiać mi charakter tej propozycji. To nie mogło być to, o czym pomyślałam.

– Dzisiaj. Nawet teraz u mnie, jeśli chcesz. Będzie fajnie, zobaczysz. – Jego ręka przesunęła się na moje udo i zacisnęła na nim. Nie wiem, czy zrobił to z żądy, czy tylko po to, aby powstrzymać drzenie swoich palców. Taksówkarz musiał cały stać się słuchem; przysięgłabym, że widać, jak strzyże uszami. Wajnertowi to nie przeszkadzało; wydawał się nie mieć tajemnic przed kimś, kto tylko wykonywał dlań usługę. Może myślał, że kierowca to część wyposażenia taksówki?

– Andrzej, czy ty mi proponujesz trójką z swoim przyjacielem?

Maksymalistyczna architektura Alei Ujazdowskich przeszła w jakże doskonale mi znany plac Trzech Krzyży. Do mieszkania Wajnerta już bardzo blisko. Marek Błądek na odległość jednego esemesa albo telefonu.

– Zrobimy ci dobrze, spodoba ci się. – Tchnął mi wprost do ucha, a jego oddech na mojej szyi był gorący jak nagły powiew tropików wśród jesiennej nocy. A może żar tropików był tak naprawdę smutkiem?

– Przepraszam, czy może się pan zatrzymać? – Złapałam za zagłówek fotela kierowcy; to było jedyne, czego mogłam się w tej chwili przytrzymać.

– Michalina, daj spokój. – Wajnert brzmiał całkiem spokojnie. Ot, propozycja zabawy, z której nie chciałam skorzystać. Moja strata.

– Chcę wysiąść, proszę się zatrzymać.

Na placu było pusto, kierowca akurat skręcał w lewo; kolistą zawrotką tuż przy kościele Świętego Aleksandra zmierzał już prawie w Mokotowską. Zatrzymał się na chwilę; nie wiem, czy spodziewał się, że wysiądę, czy może raczej dalszego ciągu sceny. Jednak ja już wtedy wiedziałam, że żadnego ciągu dalszego nie będzie.

– Michalina, przestań. Nie rób awantur.

Propozycja niegodna awantury, ale za to na wagę rozwianych złudzeń. Na miarę uderzenia prosto w serce.

– Wracaj! – zawołał za mną Wajnert, ale jednak nie wysiadł. Wtedy zresztą nawet chyba nie chciałam, by wysiadł, choć jeszcze tej samej nocy analizując tę sytuację wzdłuż, wszerz i na boki, doszłam do wniosku, że powinien być. Za to ja wysiadłam i pomaszerowałam prosto w zimną noc. Na moich bardzo wysokich i nieadekwatnych do pory roku szpilek, przed siebie, w dół, nie licząc się z konsekwencjami. Przy Muzeum Narodowym udało mi się złapać ostatni tramwaj na Pragę; kiedy wsiadałam, zaplątałam się we własną sukienkę. Nie wiedziałam, czy to przez to, że była długa, czy raczej dlatego, że niewiele

widziałam. Ból powlókł moje oczy jakąś dziwną siateczką smug, błysków i plam. Świat się zniekształcił. Albo może to właśnie było jego prawdziwe oblicze?

\*

„Droga Pani, czekam przy salonie Ferrari” – napisał mi w esemesie zastępca mojej siostry, i przyznam, że dobór przymiotnika przypadł mi do gustu. Zazwyczaj jeśli musiałam przejść przez plac Trzech Krzyży, robiłam to jak najszybciej i nie rozglądając się na boki. Nawet siedząc parę miesięcy temu w Szpilce z Filipem, starałam się nie wypatrywać w mroku zapamiętanych lata temu kształtów. Dzisiaj przyjrzałam się temu miejscu dokładnie – wyglądało nieco inaczej niż w moich wspomnieniach sprzed dziewięciu lat; i sprawił to nie tylko salon Ferrari. Idąc ku dawnemu KC, zerknęłam na lokal po prawej. Knajpy, w której po raz pierwszy spotkałam się z Wajnertem, już nie było. „W. Kruk” głosił teraz szyld nad tym miejscem. Towarzyszyły mu ogromne złote litery – „Rolex”. Czyli pseudoekskluzywną knajpę zastąpił rzeczywiście ekskluzywny jubiler. Błysk złota, kolekcja drogocennych zegarków, piękne panie i atrakcyjni panowie na poustawianych w tle reklamowych fotosach. Puszyste, szkarłatne poduszeczki i odpowiednie oświetlenie punktowe zastąpiły restauracyjne stoliki, a obsługa w garsonkach i garniturach – leniwych kelnerów. Przypomniałam sobie szczęk odkładanych sztucców, smak tiramisu, lekko gryzący zapach dymu papierosowego wymieszany z Chanel Égoïste Platinum. Duchy złej przeszłości, dawno przegonione i zdematerializowane. Po modnej niegdyś knajpie nie było dziś śladu, miasto zmieniało się, płynęło jak rzeka, nie można było wejść w nie dwa razy. Poczułam uścisk palców zaciskających się wokół mojego nadgarstka – zmysłowy flashback, wspomnienie odgrzebane w mrokach pamięci; tylko dłoń była jakby chłodniejsza.

Minęłam wielką budowę, której kiedyś nic nie zapowiadało w tym miejscu; zmieniło się tu jeszcze parę innych rzeczy. Na przykład przybył generał de Gaulle – w spizowym mundurze i z wojskową czapką maszerował na cokole pomnika. Niezbyt okazałego, ale za to całkiem udanego. Stał tu już od paru lat, ale jakoś nie mogłam się doń przyzwyczaić – dla mnie nigdy nic tu nie było poza nierównym chodnikiem i pewną odrobinę wstydliwą pustką. Chodnik nadal był nierówny, ale atmosfera opuszczenia zniknęła bezpowrotnie – ktoś tchnął wreszcie jakieś życie w gmach dawnego KC i postanowił wykorzystać jego monumentalny potencjał w celach handlowych. Salon Ferrari w dawnym domu partii – to zakrawało co najmniej na dobry żart. A może nawet na chichot historii. Wstawiono tu wielkie okna wystawowe; lśniące auta o opływowych kształtach i zachwycających liniach zerkały zza nich na przechodniów migdałowymi oczami reflektorów. Wyglądały na świadome swojej zawrotnej wartości i żywe, choć uśpione; w leniwej i nieporuszonej pewności siebie przypominały kobiety – te rzadkiej, wyjątkowej urody – albo koty drzemiące na dachu. Można było przypuszczać, że przekręcenie kluczyka i ryk silnika wyrywa je z tego dostojnego bezruchu i majestatycznego odrętwienia – wtedy piękne kobiety ruszają w kierunku mężczyzn, których upatrzyły sobie na przyjęciu, a koty podrywają się do polowania. Ich bezruch skrywał bowiem obietnicę mocy, siły, pędu powietrza, który zapiera dech. Kabriolety, unoszone drzwi w kształcie skrzydeł, niebezpiecznie niskie zawieszenie.auta ze snów erotycznych; tak piękne, że aż nierzeczywiste – drogocenne dzieła sztuki ze słonecznego włoskiego Maranello w polskiej prząsnej Warszawie. Ciekawe, czy ktoś je w ogóle kupuje, czy ktoś jeździ nimi po polskich drogach. Nawet jeśli nie, stanowiły doskonałe obiekty samego tylko podziwu. Nie mogłam się powstrzymać przed penetrującym spojrzeniem, przed podejściem bliżej, przed położeniem palców na szybie, która jak tama zatrzymała moje łakomstwo. A może pożądanie? Niewątpliwie było w tych samochodach coś seksualnego; i nie chodziło tylko o rumaka na kratownicy. Ich oczy były leciutko zmrużone, kształtne tyłki wysoko uniesione, kolory wyjęte z ekskluzywnych pokazów mody. Czerwony jak krew, żółty jak miód,

biały jak śnieg. Wszystko aż boleśnie wyraziste, wszystko dopracowane w każdym centymetrze lśniącego lakieru, wszystko bezlitośnie piękne.

– Zawsze kiedy tędy przechodzę, muszę przystanąć choćby na chwilę i popatrzeć na nie. To silniejsze ode mnie.

Głęboki, aksamitny głos; głos, w którym pobrzmiwała jakaś niespodziewana delikatność.

– Ja się staram tędy nie przechodzić.

Nie było potrzeby wyjaśniać, że moje powody są inne niż ferrari; gdyby chodziło tylko o ferrari, mogłabym przychodzić tu codziennie. Zawsze lubiłam patrzeć. On chyba też, sądząc po wzroku, jakim prześlizgnął się po mnie. Był pełen zainteresowania, ale ani odrobinę nie uwłaczający.

– Pani Michalina, jak mniemam? Jest pani trochę podobna do Ewy. Nie uderzająco, ale na tyle, bym panią poznał.

Byłam dość znaną postacią wśród reporterów Kanału Szóstego; zapewne kojarzył moją twarz zupełnie skądinąd niż przez podobieństwo do Ewy, ale spodobało mi się, że powiedział właśnie tak. Lepiej być rozpoznawalną dzięki więzom krwi – to takie intymne, osobiste i wymagające pewnej spostrzegawczości – niż dzięki roli żelaznego komentatora, który widząc włączoną lampkę kamery, może mówić dowolnie długo na dowolny temat.

– To o czym dziś rozmawiamy?

Uśmiechnął się, a uśmiech miał łagodny. W nim całym była jakaś łagodność, delikatność, spokój. Grzeczny chłopiec z dobrego domu. Taki, co to nie przeklina, nie pali i nie pije; taki, któremu możesz zaufać.

– Nowe otwarcie w Ruchu Palikota, sobotni kongres, przewidywania co do zmiany nazwy partii... Przepraszam, nie przedstawiłem się. Krzysztof Zborniak.

To ja zachowałam się niegrzecznie, ale on przeprosił. Podobało mi się jego podejście do kobiet. Od razu skarciłam się za tę myśl: daj sobie spokój z panami z telewizji – po ostatnim występie znajomego Filipa moja opinia o reporterach nie była najlepsza.

– Od razu muszę coś wyjaśnić. Ewa przekazała mi wszystko, o co mam pytać i w ogóle, ale tak naprawdę nie jestem reporterem, zwykle nie jeżdżę z kamerą.

Lata całe nie trafił mi się mężczyzna, który opanował sztukę czytania w myślach. Może to zasługa tego miejsca? Plac Trzech Krzyży i Dodatkowych Atrakcji – nie wracaj tu nigdy więcej.

– Tak naprawdę jestem producentem i tylko Ewa poprosiła mnie o zastępstwo – kontynuował mój rozmówca. – Wyjątkowe okoliczności, rozumie pani.

Rozumiałam pewnie lepiej od niego – profesor Misiak i jego nienaganne maniery, staroświecki *charme* i pociągająca elokwencja. Do tego głęboka wiedza medyczna i jej praktyczne zastosowanie poza salą operacyjną; neurochirurg musi przecież bezbłędnie lokalizować wszystkie zakończenia nerwowe. Miałam nadzieję, że moja siostra dobrze się bawi.

– Oczywiście, nie ma problemu. Nagrywajmy.

Krzysztof Zborniak musiał najpierw przywołać operatora; stał kilka metrów od nas, wpatrując się jak urzeczony w jeden z samochodów za szybą. Obiekt jego westchnień był w kolorze dojrzałych wiśni, z kremową tapicerką. Mężczyzna z rezygnacją odwrócił wzrok od tego cudu motoryzacji i wzornictwa; na pewno podziwianie go było przyjemniejsze niż dźwiganie ciężkiej kamery, ustalanie ostrości i balansu, a potem filmowanie piątego tego dnia politologa, który po raz piąty opowiadał o możliwych zmianach na scenie politycznej. Przez całe nagranie mężczyzna zerkał na mnie znad kamery z chłodną niechęcią; przewidywalny kadr, żadnego pola do popisu operatorskiej inwencji, standardowa nuda. Dla kogoś, kto chciał robić dobre zdjęcia, praca w kanale informacyjnym musiała być czymś w rodzaju degradacji. Nieco wstydliwego wyjścia awaryjnego, które pozwalało zarobić na ratę kredytu mieszkaniowego i na

szkołę dla dzieci. A na ferrari można było sobie tylko popatrzeć, chociaż przecież kiedyś miało się nadzieję na plany filmowe Hollywood zamiast Kanału Szóstego. Świat – a może tylko plac Trzech Krzyży – jest pełen ludzi, którzy mieli kiedyś na coś nadzieję.

– Dziękuję pani bardzo. – Znajomy mojej siostry serdecznie uścisnął mi rękę, kiedy nagranie wreszcie dobiegło końca. Operator pakował swój sprzęt, rzucając przy tym pożegnalne spojrzenia w kierunku wystawy dawnego domu partii. Dziennikarz tymczasem patrzył przez cały czas na mnie – pełne skupienie, żadnych ukradkowych spojrzeń w kierunku floty z marzeń; musiał być zdyscyplinowany i naprawdę dobrze wychowany.

– Ja też dziękuję. Również w imieniu Ewy, że zgodził się pan ją zastąpić.

– Absolutnie nie ma problemu.

Redaktor Zborniak był jednym z tych uczynnych, usłużnych mężczyzn, o których kobiety mówią między sobą, że jest miły. Przymiotnik o letniej temperaturze i gładkich krawędziach; ani szczególnie przystojny, ani ekscytujący, ale za to taki miły.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie mogłem panią poznać. Ewa zawsze tyle dobrego mówi o pani.

Moja siostra już od dzieciństwa nieźle kłamała; tak naprawdę powinna rozważyć przejście do pracy w PR.

– Mnie również było przyjemnie.

Podaliśmy mu rękę; uścisk jego dłoni był mocny i solidny. Mężczyzna, który budzi zaufanie – miał około trzydziestu lat, zapewne dawno temu skończył studia i nie był z tej bajki, z której zazwyczaj pochodzili mężczyźni, których brałam sobie do łóżka. Ale może warto zrobić wyjątek? Może nadawałby się do tego, by go przelecieć? Zastanawiał się chyba nad tym samym, choć pewnie zamiast „przelecieć” w jego myślach pojawiło się „umówić się” albo „poznać ją bliżej”, bo nie odchodził mimo pożegnania i mimo ponaglących spojrzeń operatora, który już odwrócił się plecami do niespełnionego wiśniowego marzenia. Z nich dwóch tylko jeden miał jeszcze na coś nadzieję.

– Do widzenia panu. – Postanowiłam, że nie; nie będę mu ułatwiać. Zwłaszcza że zbyt porządni i pełni zapału mężczyźni zazwyczaj oznaczają problemy.

– Do widzenia. Mam nadzieję, że jeszcze będzie okazja.

Żal pobrzmiewający w jego głosie sprawiał wrażenie autentycznego. Chłopak prędko się angażował; może w łóżku też by się nie lenił? Pomyślę o tym; ostatecznie zawsze mogę poprosić Ewę o jego numer. Zrobiłam w myśli szybki przegląd swoich ostatnich kochanków – jak dotąd nie było tam nikogo z miejsca pracy mojej siostry. Może warto chwilowo przenieść się na jej teren? Student Baślak Bogu dzięki nie poszedł do dziekana, ale tanta historia nieco mnie poruszyła. Podobnie jak ów śmiałek, który nadmiernie się rozochocił po dwóch wizytach w moim mieszkaniu. I po moich pięciu orgazmach, gwoli ścisłości. Może nadszedł czas na zmianę? Może porażka z Show TV nie powinna oznaczać skreślenia Kanału Szóstego? Odwróciłam się na chwilę, chociaż oddalałam się już w stronę Powiśla. Redaktor Zborniak patrzył za mną takim wzrokiem, jakim jego operator chwilę temu mierzył ferrari za pancerną szybą wystawy.

\*

„Jesteś zła za tamto?” – esemes od Wajnerta był dowodem na istnienie telepatii. Na to, że intensywnością myśli można wpłynąć na czyjeś czyny, że da się kogoś na odległość i bezgłośnie wezwać, ściągnąć, sprowadzić. Że myślą można nakarmić rzeczywistość, nie tylko tę wyobrażoną, ale i obiektywną. Że przy odpowiedniej kumulacji siły woli i mocy pragnienia zaklęcie zadziało. Rzecz jasna, trzeba było zachować rytuał – co wieczór o tej samej porze zamykać oczy i cofać taśmę z filmem, w którym

wysiadłam z taksówki. Przewijać ją do momentu, kiedy mogłam jeszcze powiedzieć: „Tak, wszystko, czego chcesz”, i dopowiedzieć sobie w myśli: „Jeśli taka jest cena”. I obiecywać poprawę następnym razem. I patrzeć na telefon jak na narzędzie kultu, i błagać: „Odezwij się do mnie”. Powtarzać to bezgłośnie odpowiednią liczbę razy. Myślenie ewidentnie magiczne, za które zrugaliby mnie nawet mało rozgarnięty doktorant, któremu zdarzało się czasem prowadzić z moją grupą wyjątkowo nudne ćwiczenia z antropologii. Ale nawet nie było mi wstyd – choć wiedziałam, że znalazłam się niebezpiecznie blisko rozstajnych dróg, pełni księżyca i zakopywania kołtunów. Mimo żenujących konotacji miałam nadzieję, że zadziałało. Że Wajnert usłyszał coś z moich myśli i wziął je do siebie. Że podpłynęły do jego duszy i jakimś cudem sforsowały jej zamki. Jedyne, czego nie chciałam do siebie dopuścić, to ewentualność, że chodzi po prostu o nudę. Nie chciałam nawet pomyśleć, że mógłby napisać do mnie z braku wrażeń, z pustki długich jesiennych wieczorów, z czystej kalkulacji widoków na rozrywkę podzielonych przez konieczność kłopotliwego wyjaśniania pewnych nieporozumień. Szary listopad przechodził właśnie w bury grudzień – apogeum jesieni mokrej, ciemnej i złej. Już bez liści, ale jeszcze bez śniegu, już bez kolorów, ale jeszcze bez bieli. Najkrótszy dzień roku był coraz bliżej. Światło pochłonięte, ale nigdy nie odbite, noc polarna, czas mroku, czarów i depresji. Wszechobecne błoto uparcie przyczepiało się do butów, do brzegów płaszczy, do serc. Łatwo się było ubrudzić, łatwo było pomylić drogi, łatwo się było zaplątać gdzieś we mgle. Siły ciemności miały chwilową przewagę nad mocami światła. Ludzie w strachu przed ich panowaniem chowali się po domach, a diabły wychodziły ze swoich kryjówek. Na ile bezwiednie, a na ile świadomie poprosiłam je o wstawiennictwo?

„Nie, nie jestem zła” – napisałam. Nie potrafię się złościć na ciebie – posłałam mu kanałem myślowym. „Pomyślałam tylko, że możesz mieć ochotę”. Za kogo mnie wziął, z kim mnie pomylił, czym sobie na to zasłużyłam? „Nie mam. Mam ochotę na Ciebie”. „Za dwie godziny u mnie?” I już, tamto nieważnione, wracamy do punktu wyjścia. Jakie to proste. A może jednak całkiem trudne? Moja ręka nie chciała równo narysować kreski na powiece. Zamiast czystości linii jednego zgrabnego pociągnięcia wyszły mi jakieś rozedrgane, niepewne ruchy odbite nad rzęsami poszarpanym szlaczkiem. „Chciałabyś coś specjalnego na taki chłodny wieczór?” Pewnie pytał, czy chcę się napić i czy będzie musiał w związku z tym uzupełnić zapasy. Pomyślałam jednak o czymś zupełnie innym niż alkohol. *Dear Heather*, finał kilku lat oczekiwania, nowa płyta Leonarda Cohena. Widziałam plakaty – papierowe, starą modą porozwieszane na mieście. Poza tym czytałam recenzję, i to w „Kulturze”, w której skądinąd pracował Wajnert. „Piękne, poruszające, bardzo smutne”. Uwielbiałam Cohena, byłam jedną z tych nielicznych, którzy nie tylko mówią, że go słuchają, lecz także robią to rzeczywiście. Zakochałam się w nim już w dzieciństwie, miłością wczesną, lecz dojrzałą na tyle, by trwać całe życie. Pamiętam, że matka słuchała Cohena z kaset magnetofonowych – kiedy byłam dzieckiem, czasem jeszcze zdarzały się jej dni dobre na tyle, by słuchać muzyki. Pamiętam szaro-białą okładkę, na której mały, zasuszony Kanadyjczyk je banana na środku ulicy. Odkąd uwiodła mnie aksamitna chryпка, mój gust muzyczny został ukształtowany na zawsze. Smutne piosenki jedna podobna do drugiej, melodie, w których jest więcej tęsknoty niż akordów, słowa równie ważne jak nuty. Bardzo chciałam mieć tę płytę i chociaż wydatek czterdziestu pięciu złotych był akurat dla mnie nieosiągalny, wiedziałam, że prędzej czy później uda mi się wejść w jej posiadanie. Właściwie czemu by nie spróbować prędzej? „Wyszedł nowy Cohen. W sam raz na taki wieczór”. „Doskonale, jestem właśnie w Empiku”. Nie wiem, czy naprawdę był, czy dopiero musiał się tam udać, ale tym bardziej mnie to ucieszyło. Ja, Wajnert i Cohen. Razem w długi grudniowy wieczór. Ze szminką poszło mi już dużo lepiej niż z kredką do oczu; może dlatego, że podeszłam do lodówki i do kubka do kawy – właściwie dlaczego nikt w tym akademiku nie ma kieliszków? – wlałam sobie solidną porcję wódki z urodzinowej butelki koleżanki z pokoju obok. Niezbędny dekolt na odwagę, magiczny napój, który miał wspomóc działanie zaklęć oraz dodać mi



kurażu. I większej pewności gestów – dwa płynne pociągnięcia szminką, żadnego wychodzenia poza kontur, zgrabnie.

Wysiadłam z tramwaju przy Muzeum Narodowym; pierwszy przystanek po właściwej stronie Wisły. Do mieszkania Wajnerta nie było stamtąd daleko, aczkolwiek miałam kawałek do przejścia. Kawałek do bicia się z własnymi myślami. Czy właściwie powinnam tam przychodzić? Czy można puścić w niepamięć propozycję, która nie tylko obraża, ale też boli? Czy uczucie należy cenić wyżej niż godność? To było najważniejsze pytanie, ale je akurat uporczywie odganiałam od siebie. Głupi pomysł, chwilowe zaćmienie umysłu i taktu, on już nigdy więcej tego nie robi. Tylko czy myślałam tak naprawdę, czy po prostu bardzo chciałam tak myśleć? Doskonale wiedziałam, że nie pali się, idąc, ale tym razem nie mogłam wytrzymać bez brzydkiego odstępstwa od zasad dobrego wychowania. Wiatr nie pozwalał mi w pełni poczuć smaku dymu, ale jego uspokajające właściwości zdawały się spełniać swoją rolę. To nie był długi spacer – wiedziałam, że za chwilę skończy się i droga, i papieros. Że za chwilę trzeba będzie stanąć przed Wajnertem i udawać, że nic się nie stało, że wszystko jest, jak było, że ani trochę się nie bałam, idąc do niego przez miasto przytłoczone późną jesienią, mgłą i szarością. Że wcale nie czuję tego, co czuję, i że dołożę wszelkich starań, by wziąć rzeczy za coś innego niż to, czym są.

– Dobrze, że jesteś. – Wajnert powitał mnie w drzwiach jak ktoś, kto długo czekał i zdążył się stęsknić. Prawie mu uwierzyłam.

Przepadałam za jego mieszkaniem – brązy jak z obrazów flamandzkich mistrzów, półki uginające się od książek, miękkie kanapy zachęcające, by wziąć sobie coś do czytania, położyć się i rozgościć. Ulubiony pisarz Wajnerta, Andriej Płatonowicz Klimientow znany jako Płatonow, zerkał na nas ze ściany spod niskich brwi i opadających powiek. Patrzył posepnie – może ubolewał nad swoim brakiem popularności; jeśli tak, to na pocieszenie miał uwielbienie Wajnerta. Żadne z nas nie powiedziało słowa o okolicznościach, w których widzieliśmy się po raz ostatni. Wymazana niezręczność, nieistniejący temat, drobiazg, do którego nie warto wracać. Coś, o czym nie wiemy, nie istnieje. Czy jeśli wiemy, to wystarczy nie mówić, by nie istniało?

Wajnert miał ciepłe dłonie; idealnie rozgrzewały moją skórę schłodzoną przejmującym wiatrem. Miał jasne oczy; ich blask doskonale rozpraszał mroki jesieni. Miał spragnione usta; ich suchość zabierała precz wszelki deszcz i wilgoć osiadającą na twarzach, na rzęsach, na duszach. Kiedy mnie całował, chciałam roztopić się pod jego językiem. Rozpłynąć w jego ślinie, wymieszać z nią i dać mu się połknąć.

– Uwielbiam twój oddech – powiedział po tym, jak na chwilę wyplątał swój język z uścisku moich ust. – Jest w nim trochę wódki. – Odchylił moją głowę do tyłu. – Trochę papierosów. – Jego zęby skubnęły moją wargę. – A trochę podtekstów.

Ręce Wajnerta gorączkowo szukały mojego ciała pod warstwami jesiennych ubrań; przestały się trząść dopiero wtedy, gdy palce trafiły tam, gdzie było ciepło, miękko i już bardzo mokro. Chciałam mieć go w sobie – całego i głęboko. Nie wyjmując ze mnie palców, przesunął się w dół, tak, by do ciepła swych rąk dołożyć jeszcze gorąco języka. Całował się z moimi wargami tak, jakby to były usta. Jego ślina mieszała się z moim śluzem, wszystko było mokre i rozkosznie miękkie, poza łechtaczką, która rosła i twardniała pod lekko szorstkim dotykiem jego języka. Pieprzył mnie swoją twarzą, pieprzył mnie całym sobą, przechodził moim smakiem i przesiąkał moim zapachem. I wtedy zrozumiałam to zdanie z Kundery, w którym Teresa nie może wybaczyć włosom Tomasza, że pachniały inną kobietą. Ścisnęłam jego głowę kolanami, splotłam nogi na jego grzbiecie, przycisnęłam stopy do pleców. Chciałam go tam zatrzymać, chciałam, by tak trwał z głową między moimi nogami, wessany we mnie i wczepiony językiem. By tam zasnął, zamieszkał, został – na zawsze, a przynajmniej aż do wiosny. Żebyśmy tak przeczekali całą tę złowrogą ciemność, ten przejmujący chłód, wszystek ten upiorny czas.

– Cohen. Kupiłem go dla ciebie – przypomniał sobie, odrywając ode mnie głowę. Miał ślady wilgoci wokół ust, a ja wciąż jeszcze drżałam od gorączkowej rozkoszy; z żalem wypuściłam z siebie jego palce, które teraz zajęły się zrywaniem folii z płyty. To szło mu nieco gorzej, ale kiedy wreszcie udało mu się otworzyć opakowanie i włożyć kompakt do odtwarzacza, Cohen wynagrodził mi tę przerwę w rozkoszy. Dźwięki jednocześnie nowe, ale i znajome, dyskretny urok przewidywalnej przyjemności, ta sama tęsknota w nieco innych aranżacjach. To było jak seks z Wajnertem – znałam go, wiedziałam więc, czego się mogę spodziewać, ale wciąż odkrywałam przy tym coś nowego. Nieznane rejony przyjemności, ukryte w zakamarkach mojego ciała łądy ekscytacji, tajemnicze obszary szalów i uniesień odsłaniane pod jego dotykiem. Obszary, w których życie mieszało się z literaturą, trudna praktyka z łatwą teorią, a całkowita jasność i pewność intencji z serią nieporozumień skrytych za jesiennymi mgłami. Nostalgia wypełniała pokój wraz z zachrypniętym głosem starego hipisa, a Wajnert wchodził we mnie i rozpychał się w środku. Przecież jego celu nie mogło stanowić tylko moje ciało – za dużo w tym było pasji, zbyt wiele treści, nadmiar znaczeń. *Dear Heather. Please walk by me again with a drink in your hand. And your legs all white from the winter* – docierało z głośników. Zima, jesień, wszystko jedno – i tak było beznadziejnie ponuro i wstrząsająco smutno. Czułam to w brzuchu – tak jakby wraz z Wajnertem wcisnął się we mnie cały mrok. Recenzent z „Kultury” napisał, że Cohen żegna się tą płytą. Chyba miał rację, bo nikt, kto chce jeszcze zostać, nie pozwala sobie na taki ładunek niczym nieokiełznanej goryczy. Mój kochanek położył mnie na boku; lubił ten ciasny układ złączonych ud, ten widok lekko wypiętych pośladków i wygiętych pleców, tę krągłość biodra wypchniętego do góry. Nawet nie wiedziałam, kiedy zapalił papierosa; czułam Wajnerta w podbrzuszu, a w nozdrzach – dym przefiltrowany przez jego płuca. Sięgnął ponad mną do stołu po popielniczkę i postawił ją na moim biodrze. Chłodny dotyk, lekki ciężar, chmura kontekstów. Pieprzył mnie jak w burdelu – paląc papierosa i strzepując popiół do popielniczki dla jego wygody ustawionej na mnie. Żarzący się koniuszek papierosa o centymetr od mojej białej skóry. Znaczenia jakby gdzieś się ulotniły, zostały tylko rytmiczne ruchy z satysfakcją na horyzoncie. Brudny, brzydki grudzień roztaczał swoje uciążliwości tuż za oknem, a Cohen śpiewał tak jak zwykle, tylko smutku w jego głosie było więcej. O wiele, wiele więcej. Kto wydaje taką płytę, kiedy dni są najkrótsze, a cienie najłatwiej nas dosięgają? Dym szczypał mnie w gardle i piekł w oczy; to na pewno jego gryzące właściwości sprawiły, że brzegi moich powiek się zaczerwieniły. Pchnięcia Wajnerta zdawały się zmierzać do końca; dobrze, że nie widział mojej twarzy. Kiedy schwycił mnie mocniej w pasie, jęknął i ugryzł w ramię, Cohen właśnie na nowo uczył się mówić. *Dear Heather.*

Jego prośba do wyimaginowanej – a może rzeczywistej? – Heather przybierała formę rozpaczliwej litanii, którą odmawia się mimo całkowitego braku wiary w jej wysłuchanie. Powtarzał tych kilka linijek tekstu, rozbijając je na poszczególne wyrazy, sylaby, a później nawet na litery. Tak jakby stracił zdolność mówienia i na nowo uczył się tej sztuki – jak człowiek dotknięty afazją czy może tylko chwilową luką w pamięci. A może krzywdą tak wielką, po której wszystkiego trzeba się uczyć raz jeszcze? Jakby ze słów rozbijanych na czynniki pierwsze i obracanych w nieskończoność próbował zbudować coś nowego, coś trwałego, coś dobrego. Coś, o czym i tak wie, że jest skazane na niespełnienie.

– To najsmutniejsza płyta, jaką słyszałem – powiedział Wajnert, wciąż jeszcze tkwiąc we mnie, wiotcząc i stygnąc w moim wnętrzu.

– Jest piękna.

Wysunął się ze mnie i już odchodził. Po szlafrok, na fotel, gdzieś daleko ode mnie.

– Bardzo piękna. W sam raz dla samobójców – stwierdził głosem, w którym nie było śladu żartu. Cohen umilkł w połowie frazy po tym, jak Wajnert brutalnie nacisnął przycisk „stop” na odtwarzaczu. – Może trzeba będzie jej posłuchać w innych okolicznościach. – Wyjął płytę i schował ją do pudełka. To nie był sygnał trudny do rozszyfrowania: jest zmęczony, chce mu się spać, koniec na dziś. Miałam jechać

do domu. Jak prostytutka, którą się wzywa przez telefon i o której wiadomo, że nie zabawi dłużej niż powinna. Ubrałam się więc, ale wciąż zwlekałam z włożeniem płaszcza. Przecież powinien dać mi tę płytę, to miał być prezent. Malowanie ust nie poszło mi tak gładko jak za pierwszym razem – szminka odrobinę rozmazała się w kąciku. Może dlatego, że starałam się ze wszystkich sił nie widzieć w lustrze wyrazu swojej twarzy.

– To co, będziemy w kontakcie? – zapytał, stwierdził, zaproponował. A może raczej rzucił jak ochłap?

– Jasne.

Nie mógł przecież wypuścić mnie w te ciemności, w ten chłód i wiatr, nie dając mi zupełnie nic. Nawet tej płyty, od której smutek robił się jeszcze smutniejszy.

– Dobranoc.

Ścielił łóżko w sypialni, nawet nie myśląc o tym, by odprowadzić mnie do drzwi. Zatem tak to wygląda – za każdym razem jest mniej, gorzej, bardziej niedbale. Za pierwszym razem odprowadza do taksówki, za drugim do drzwi, a za trzecim czeka po prostu, aż wyjdiesz. Ciekawe, czy jest coś jeszcze w tym łańcuchu postępującego lekceważenia. Ciekawe, czy może boleć jeszcze bardziej? Kiedy zamykałam za sobą drzwi, biel i czerń okładki nowej płyty Leonarda Cohena kłuły mnie w oczy. Niedbale naszkicowana twarz kobiety wydawała się patrzeć na mnie z politowaniem; w kącikach jej narysowanych ust dostrzegłam leciutką drwinę. A może to było współczucie?

\*

– I powiedział, że się rozwiedzie!

Głos Ewy pełen był żarliwej wiary. Miłość jeszcze mogłam zrozumieć, wiarę już nie za bardzo.

– Wreszcie go zapytałam, jak on to widzi. Z żoną i w ogóle. A on powiedział, że się rozwiedzie! Sam to zaproponował, tak lekko i gładko.

Można się było spodziewać, że ten moment nadejdzie. Fałszywe nadzieje, wymuszone deklaracje, obietnice nie do spełnienia. Moja mała siostra miała już dwadzieścia siedem lat, a wciąż jeszcze nie zdążyła wykorzystać całej puli złudzeń i iluzji przynależnych młodości.

– A dzieci? A majątek? – zaczęłam ostrożnie, od najbardziej oczywistych argumentów.

– Majątek jest nieważny. Przyjmę Marka choćby z jedną tekturową walizką.

Moja siostra rzeczywiście pożałowała profesora Misiaka, a nie jego dóbr materialnych, i było to chwalebne. Wątpiłam tylko, czy i on ma tak samo lekceważący stosunek do dorobku swojego życia.

– A dzieci będzie odwiedzał, oczywiście – Ewa kontynuowała niezrażona. Nie mogłam się opędnąć od mało korzystnego dla niej skojarzenia, że cały ten wywód brzmiał jak pobożne życzenie gimnazjalistki. Siostra musiała wyczuć moje myśli; często robiłyśmy to sobie nawzajem. – Nie cieszysz się?

Cóż miałam powiedzieć? Że nie cieszę się ani trochę, bo wiem, jak będzie bolało? Że nie cieszę się nic a nic, bo łudziłam się, że chociaż jej pewne nieszczęścia zostaną oszczędzone? Że nie cieszę się nawet odrobinę, bo zdaję sobie sprawę, jak to jest zderzyć się ze ścianą? Marek Misiak miał chociaż tyle litości – albo był aż takim tchórzem – by obiecywać jej złote góry. Nie wiadomo już, co gorsze: od razu wiedzieć, że się niczego nie dostanie, czy dać się zwodzić fałszywym zapewnieniom. Nie chodziło o to, że wątpiłam w szczerłość afektu profesora Misiaka. Może rzeczywiście na swój sposób kochał moją siostrę, może naprawdę chciał ją zatrzymać. Tylko co mógł jej zaoferować? Chwile ukradkowych rozkoszy i piątkowe popołudnie raz na pół roku skradzione pacjentom, żonie i dzieciom? Albo wyjście na randkę w godzinach pracy – ku uciesze mojej siostry miał na tyle fantazji, by wymykać się do niej w trakcie operacji albo z prywatnej kliniki po przyjęciu ostatniego pacjenta, który rzekomo miał być przedostatni. Na pewno nie mógł jej dać tego, co właśnie nieopatrznie obiecał. Tacy jak on się nie

rozwodzą – ożenił się późno, jego dzieci były małe, a żona doskonale świadoma pozycji, którą zdobyła dzięki temu małżeństwu.

– Cieszę się – skłamałam w imię siostrzanej solidarności emocjonalnej. – Ale przecież sama zawsze mówiłaś, że on się boi żony.

Gwoli ścisłości, sama Ewa też się jej bała. Zwłaszcza odkąd dostała odpowiedź z telefonu kochanka na swojego erotycznego esemesa: „Miło mi. Beata Misiak”.

– No może się i boi... – Spadek entuzjazmu był wprost proporcjonalny do skali problemu. Marek Misiak miał bowiem prawie pięćdziesiąt lat, tytuł profesora zwyczajnego i kilkadziesiąt tysięcy wielce skomplikowanych operacji mózgu w swoim dorobku wybitnego chirurga. Ale miał też żonę, która sprawdzała każdy jego kwit z parkomatu, każdy paragon i każde połączenie na billingu rozmów telefonicznych. A co w tym wszystkim najdziwniejsze, on się na to zgadzał.

– Ale mam nadzieję, że przestanie. Pomogę mu w tym.

Zapał Ewy był wzruszający, ale jak można pomóc mężczyźnie, który pozwalał, by żona rozpisywała mu plan dnia co do kwadransa? Beata była mistrzynią kontroli; zawsze musiała wiedzieć, co w danej chwili robi jej drogocenny mąż. Kiedyś Misiakowi udało się wyjechać z Ewą na popołudnie do domku letniskowego, który miał na Mazurach. Jego małżonka dzwoniła co najmniej piętnaście razy, każdą rozmowę zaczynając od sakramentalnego pytania: „Gdzie jesteś?”. Misiak rzecz jasna grzecznie odpowiadał i za każdym razem udzielał wyczerpujących informacji, jak to sprząta oboje, naprawia płot i szykuje domek na przybycie jej i dzieci.

– Narody uciskane wyzwalają się. – Ewa starała się uśmiechem przykryć swoje wątpliwości. Niestety, były one uzasadnione. Szczerze mówiąc, przy tym stopniu inwigilacji byłam pod wrażeniem, że Misiakowi w ogóle udało się nawiązać romans. Już samo nabycie karty prepaidowej i dodatkowego telefonu, który musiał ukrywać przed czujną małżonką, stanowiło wyczyn godny podziwu. Podobnie jak ekwilibrystyczne kombinacje z rozpisaniem przez Beatę harmonogramem dnia, tak by na przejazdach albo przy okazji odbioru dzieci z przedszkola ukraść dwadzieścia minut na kawę z kochanką. Ale nie chciałabym wiedzieć, co się stanie – zwłaszcza z moją siostrą – kiedy ten romans wyjdzie na jaw. Bicie parasolką, wyrywanie włosów i cały arsenał tym podobnych środków z komedii slapstickowych będzie zaledwie początkiem przedstawienia, które się wówczas rozegra. Agresywna, groźna i zdecydowana bronić swojej własności – taka była kobieta, z którą moja siostra szła właśnie na wojnę. Kiedyś z ciekawości znalazłyśmy ją na Facebooku; Ewa koniecznie chciała się dowiedzieć, jak wygląda ta, której miejsce zamierza zająć. Wszystko okazało się zgodne z naszymi przypuszczeniami – od tlenionych włosów przez białą błyszczącą garsonkę aż po tipsy french manicure. Pani Misiakowa używała wściekle purpurowej szminki i na swoim zdjęciu profilowym ścisnęła ramię męża gestem tyleż władczym, co nie pozostawiającym wątpliwości co do tego, kto tak naprawdę rządzi w ich małżeństwie. Oprócz prywatnego profilu miała też ogólnodostępną stronę internetową – hodowla psów rasowych, krycie i szczeniaki, tresura oraz układanie. W tym ostatnim musiała być świetna; ze względu na wieloletni trening na mężu, rzecz jasna.

– Zostawi ją, zobaczysz. Tak przecież nie można żyć.

Ewa uważała, że zbyt krótka smycz kończy się zerwaniem. Żona Misiaka była innego zdania, a ostatecznie przecież to ona hodowała psy.

– Wiesz, co on mi powiedział ostatnio? – Miałam nadzieję, że nie to, iż po rozwodzie zamierza zabrać choć parkę amstaffów. To mogłoby być zbyt wiele dla mojej siostry, dla której piknik w parku z butelką wina był całkowicie wystarczającym stopniem kontaktu z przyrodą. – Wyznał mi, jakie jest jego największe marzenie. No, powiedz, jakie może być największe marzenie kogoś takiego jak on?

Mimo wszystkich osiągnięć profesora Misiaka Nagroda Nobla wydawała się jednak nieco za

wysokimi progami. Ale posada kierownika zespołu w jakimś wiodącym amerykańskim ośrodku badawczym – już nie. Albo autorstwo przełomowego wynalazku, pionierskiej techniki medycznej, spektakularnego odkrycia. Ostatecznie przecież był wymieniony w *Kronice XX wieku*. I przecież był wybitny.

– On, profesor doktor habilitowany nauk medycznych, światowa sława, autor siedmiu podręczników marzy o tym, by móc wyjść z domu, nic nikomu nie mówiąc i tak po prostu pójść sobie na spacer albo na zakupy do Arkadii. Wyobrażasz sobie?!

Nie, tego akurat sobie nie wyobrażałam. Patrzyłam przez chwilę na Ewę, a kiedy zrozumiałam, że ona nie żartuje, wybuchnęłam śmiechem. Cokolwiek histerycznym.

– A poza tym bardzo by chciał zjeść sobie schabowego. A potem w spokoju poczytać gazetę na kanapie. – Śmiech zaczynał się udzielać także Ewie. – Twierdzi, że nie robił tego od dziesięciu lat. Bo żona uważa, że szpital i akademia medyczna to za mało i zmusza go, by pracował jeszcze w dwóch prywatnych klinikach i trzech przychodniach.

Nadal się śmiałam, ale coraz mniej histerycznie, a coraz bardziej pogodnie. Skoro sprawy tak się przedstawiały, to może rozwód nie był wcale aż tak nieprawdopodobny, jak myślałam na początku. Może coś jeszcze da się zrobić; nie tylko dla Ewy, lecz także dla polskiej nauki.

– No to może się rozwiedzie.

Biedny doktor o wybitnych zdolnościach i żenująco przyziemnych marzeniach. Nieszczęsny geniusz zmuszony do rozmiękania swego talentu na drobne. Niewolnik psów, dzieci i nienasyconej żony w białym błyszczącym kostiumiku. Ciekawe, czy szła w nim do amstaffów, czy to był strój tylko do kościoła?

– Oczywiście, że się rozwiedzie. – Ewa była pewna swego. – Obiecał mi.

Gdyby obietnice mężczyzn stanowiły wiążącą podstawę roszczeń, życie kobiet byłoby o wiele prostsze.

– Mam nadzieję. – Sceptycyzm w moim głosie był już nieco mniejszy, ale wciąż zbyt duży jak dla mojej siostry, jej nadziei i entuzjazmu.

– Daj mu szansę. I sobie też – dodała, zmieniając ton na o wiele dostojniejszy.

– Sobie? Co masz na myśli?

– Raczej kogo. Mojego kolegę Zborniaka. To naprawdę porządny chłopak.

Co do tego akurat nie miałam wątpliwości, ale czy była to wystarczająca rekomendacja, by go przelecieć? Ostatecznie przecież nic innego mnie nie interesowało i kto jak kto, ale moja siostra powinna to wiedzieć.

– Daj sobie szansę, już chyba czas. Tylko tyle. – Obronnym gestem rozłożyła rękę. Obie wiedziałyśmy, że to raczej „aż tyle” niż „tylko”, ale lepiej było nie rozpoczynać pewnych dyskusji.

– Ewa – powiedziałam, patrząc jej prosto w oczy. Były koloru bursztynów, z zygzakami zastygłej, brązowej żywicy. Zdziwiłam się, jak dalece miłość rozjaśniła jej spojrzenie. – Ewa, ja nie chcę nikomu zrobić krzywdy.

– To nie rób – poradziła mi, jakby to stanowiło najprostszą rzecz na świecie. Może rzeczywiście tak było, jeśli tylko człowiek odważyłby się spróbować?

\*

Grudzień był ponury, brzydki i zły. Niezamarnięte kałuże, wiatr porywający parasole, wszystko nagie i surowe bez śnieżnego okrycia. Pełznący przymrozek jak bezbarwna skorupa znikająca o świcie, mrok jak całun narzucony na świat. Ziemia jałowa, którą kryją ciemności. Jednak ani T.S. Elliot, ani Jerzy

Andrzejewski nie pomagali na wieczne zero – stopni, śniegu, widoków na białe Boże Narodzenie. Jakby jesień i zima nie mogły się porozumieć co do tego, czyj czas nastał. Jakby świat postanowił wyglądać dokładnie tak jak wnętrze mojej duszy. Święta wypadały w tym roku w sobotę; dziekan w swej łaskawości dał nam wolne już od środy. Wigilia była w piątek – czekałam aż do rana z wyjazdem do domu. Bo może się odezwie, bo może zadzwoni, bo może powie, że nie ma z kim spędzić świąt i że mu smutno. Choć przecież nie odezwał się do mnie przez cały ten czas od upiornego wieczoru z Cohenem w tle. Choć przecież pewnie już zdążył o mnie zapomnieć. Choć przecież z nas dwojga to mnie było smutno.

– Babka jest wściekła, że tak późno przyjeżdżasz – ostrzegła Ewa, która odebrała mnie z dworca. Dwudziestego piątego listopada skończyła osiemnaście lat; pierwszego grudnia już zdawała egzamin na prawo jazdy. O dziwo, nie tylko go zdała, ale też zyskała od ojca pozwolenie, by kilka razy wziąć jego samochód. Choć to ostatnie nie było może aż takie dziwne – ojcu było coraz bardziej wszystko jedno, także w kwestii auta. Stary, rozklekotany polonez czekał teraz na mnie przed sieradzkim dworcem kolejowym; ojciec używał go wyłącznie do jazdy na pole – zamiast szyby w tylnym oknie powiewała foliowa plandeka, a warstwy brudu zdawały się stanowić naturalny kolor tego krążownika dróg szutrowych. Silnik wył przy każdej zmianie biegów; nie wiem, ze starości czy dlatego, że Ewa wrzucała je nieumiejętnie.

– Musisz ją jakoś udobruchać. Tym bardziej że wszystkie przygotowania zostały na jej głowie. Matka pojechała rano do pracy, a później zamknęła się w sypialni z Peryklesem i z migreną.

Perykles był yorkshire terrierem, aktualnym psem naszej matki; matka była opiekunką w domu starców. Rozumiałam ją – wigilia pensjonariuszy o wiele wcześniej niż pierwsza gwiazdka, za to w zgodzie z możliwościami przerobowymi kuchni, trzęsące się ręce i podbródki, bo syn czy córka znów nie dali rady przyjechać w odwiedzin, na białym obrusie plama z barszczyku doprawionego łąkami. Rzeczywiście matka mogła mieć dość. Tak naprawdę chyba miała dość już od dawna.

– Ojciec powiedział, że zrobi kotlety – Ewa kontynuowała donoszenie mi domowych nowin. – Babka nawet mu nie tłumaczyła, bo uważała, że to oczywiste. Że rybne mają być, nie? A on zrobił mielone! – Śmiech mojej siostry zagłuszył warkot silnika i świst wiatru w folii zastępującej szybę. Śmiała się tak głośno i serdecznie, że i ja nie mogłam się nie uśmiechnąć. Choć przecież ani trochę nie było mi do śmiechu. – Dobrze, że i w tym roku darowała nam ubieranie choinki, bo pewnie zamiast światełek przyniosłby węża ogrodowego.

– Nie jest tak źle, mielone można zjeść jutro. – Byłam jej wdzięczna za to, że mi pomaga, chociaż wcale o tym nie wie. Może da się nie myśleć o tym, co nie chce przestać boleć?

Od razu gdy przyjechałyśmy do domu, babka znalazła dla mnie mnóstwo zajęć. Ostatnie zakupy, polerowanie sztućców wyjmowanych tylko na wyjątkowe okazje ze specjalnej walizeczki ukrytej w czeluściach pawlacza, pilnowanie schowka z butelkami świątecznej wódki, by ojciec nie zaglądał tam zbyt często. Choć sądząc po jego wyjątkowo dobrym humorze, parę razy chyba i tak już mu się udało. Suszone grzyby pachniały w całym domu, kwaszona kapusta zyskiwała ostatnie walory smakowe na wolnym ogniu, z szafek wypadały mandarynki i cukierki w błyszczących papierkach. Wiadomo już było, że nie da się uniknąć świąt. Zmierzch zapadał nad małym miasteczkiem. W ramach bożonarodzeniowego szaleństwa władze gminy udekorowały rynek sznurami kolorowych lampek; w ich świetle twarz Piłsudskiego na pomniku do złudzenia przypominała Stalina. Matka wychynęła z sypialni – i ona, i jej pies mieli spiczaste, wymizerowane twarze. Kompot wykopiał na kuchenkę, babka odwiesiła fartuch gestem pełnym zmęczenia raczej niż radosnego oczekiwania, za oknem błysnęły światła ostatniego autobusu, który odjechał z przystanku. Następny będzie za trzy dni. A jutro urodzi się Bóg i wszyscy będziemy szczęśliwi.

„Wszystkiego dobrego na święta” – wystukałam na klawiaturze telefonu. Zadzwoił po dwóch minutach.

– Michalina! Tobie też dużo dobrego na święta i jeszcze więcej jeszcze lepszego na długo po świętach. – Andrzej Wajnert brzmiał tak, jak powinno się brzmieć, składając życzenia bożonarodzeniowe. Szczerze, radośnie, serdecznie. – Szczęścia, wszelkiej pomyślności i łask Bożych.

Właśnie na mnie spłynęły. Czułam je w ortodoksji serca i na obrzeżach herezji podbrzusza.

– Gdzie jesteś? – pytał lekko i z prawdziwym zainteresowaniem.

– W domu. A ty? – Bałam się usłyszeć, że tkwi sam w wieży swojego zamku na Mokotowskiej.

– Jestem u matki w Szczyrku. – Rzeczywiście, skojarzyłam teraz, że jego droga do kawalerskiego lokum w Warszawie wiodła przez wrocławskie mieszkanie dzielone z żoną, ale zaczęła się w starej willi w cieniu Skrzycznego i Klimczoka. – Tak sobie tu siedzimy we dwoje... I wiesz, mam trochę czasu, żeby pomyśleć.

Nic w tonie jego głosu nie wskazywało na to, że ma mi do przekazania jakieś istotne nowiny, ale i tak uwierzyłam już w tę dobrą.

– Pomyślałem o tobie – kontynuował spokojnie, ale z iskierkami zaangażowania. Słyszałam, jak rozbłyskują w jego głosie. Jak pierwsza gwiazdka na niebie. – Mówię o sylwestrze. Mam czterdzieści dziewięć lat, uznałem, że to może ostatnia okazja, by zrobić coś takiego.

Ten wstęp brzmiał jakoś dziwnie, ale nie tak łatwo było zachwiać moim świeżo nabytym, acz silnym przekonaniem. Przekonaniem, że Bóg, który ma się urodzić tej nocy, odmienił jego serce.

– Myślałem o tym, żeby zrobić imprezę, zaprosić kilka dziewczyn i się zabawić. Ale na serio się zabawić. Wódka, koks, mała orgietka. Pewnie po raz ostatni.

Czułam się, jakbym błyskawicznie cofnęła się w czasie. Jakby wróciły święta sprzed lat. Znow byłam dzieckiem, które pod choinką zamiast wymarzonej lalki znajduje ciepły szalik albo praktyczne skarpety. Tylko tym razem było gorzej – od szalika ani skarpet nie robi się niedobrze.

– Pomyślałem o kilku moich byłych, żeby je tak raz zebrać do kupy. Przynajmniej kilka tych ostatnich. – Zaśmiał się tak, jakby to naprawdę mogło być śmieszne. – Jakby co, to zawsze można domówić z agencji. Dziewczynkę czy chłopca, jak kto woli. No i zapraszam cię, oczywiście. Sądzę, że może być fajnie. Takie ostatki przed czasem powagi.

Nie miałam pojęcia, o jakim czasie powagi mówi – czyżby to pięćdziesiątka na horyzoncie tak go nastroiła? – ale nawet nie chciałam tego wiedzieć. Niczego już więcej nie chciałam wiedzieć; dość usłyszałam.

– No chodźże już, siadamy. – Babka zajrzała do mojego pokoju; pewnie tylko mnie brakowało przy stole.

– Pomyślę o tym – powiedziałam do niego całkiem bez sensu. – Dziękuję ci za życzenia. – Nie wspomniałam, że łaskę Bożą wyobrażałam sobie trochę mniej jak małą orgietkę, a trochę bardziej jak wielką miłość. – Do widzenia.

– No trzymaj się, trzymaj. Jeszcze raz najlepszego i pamiętaj, że jesteś zaproszona.

Postałam jeszcze chwilę w ciemnym pokoju z głuchym telefonem przy uchu. Rodzina czekała na mnie, ale nie mogłam tak od razu do nich wyjść; potrzeba było czasu, by moja twarz wróciła do znanego im wyrazu. Nie chciałam, aby się przestraszyli. To przecież radosne święta – Bóg się rodzi i ci, którzy nie potrafią płakać, nauczą się.

Łzy kapały na biały obrus i na opłatek, którym zgodnie z wolą dziadków, a wbrew niechęci rodziców, musieliśmy dzielić się choćby symbolicznie, na talerz ze śledziami i do kieliszka z jeszcze postną, a właściwie już świąteczną wódką. Na obejmującą mnie rękę Ewy i na pytające spojrzenia babki.

– Co tu się dzieje, do cholery? – W połowie karpia z grochem matka zorientowała się, że coś jest nie

tak. Może Perykles jej to podpowiedział; przechylał łebek i patrzył tak, jakby rozumiał, a przecież miał dziś zdolność mówienia ludzkim głosem. Co miałam jej powiedzieć? Że Bóg się rodzi – dla niej, dla świata, nie dla mnie?

– Wszystko się zepsuło.

Takie wyjaśnienie musiało ją zadowolić; mnie natomiast nie mogło. Przecież siły światła mierzyły się z mocami ciemności w ostatecznym starciu przesilenia – odwieczne prawa natury z góry przesądzały wynik. Dlaczego więc cud się nie dokonał, skoro od dawna był zwiastowany? Nie mogłam przestać ćwiczyć swojej świeżo nabytej umiejętności. Makowiec też był ze łzami.

– Wiem, że Wigilia, post i te sprawy. Ale może chcesz kotleta? – Ojciec, który niepostrzeżenie zniknął w kuchni, stał teraz przede mną z patelnią pełną mielonych. Ich skórka połyskiwała od tłuszczu, a kształt zbliżał się do ideału okręgu. – Odgrzałem specjalnie dla ciebie. Skoro wszystko się zepsuło, to może chociaż zjesz kotleta?

Płakałam jeszcze długo po tym, jak kotlet wystygł, babka wróciła z pasterki, a matka i jej pies uznali mnie za historyczkę.

\*

Taras w moim mieszkaniu zajmował piętnaście metrów. Miałam tam wszystko, co potrzeba – stół i fotele, leżak do opalania się w słoneczne dni, a nawet kilka ozdobnych roślin w doniczkach, które dawno by zdechły, gdyby nie obowiązkowość mojej ukraińskiej sprzątaczkii. Miałam też widok na Port Czerniakowski i Wisłę. W ładne, słoneczne dni połyskiwała jak rybia łuska, w brzydkie była szaro-bura jak błoto na ulicach. Latem jej brzegi rozkwitały knajpami, barami, restauracjami, w których długo w noc grała muzyka na żywo i których bywalcy przedkładali hipsterskie leżaczki nad eleganckie stoliki. Barka oświetlona kolorowymi lampkami o każdej porze roku przypominała, że czasem zdarza się Boże Narodzenie. Był początek października – nadwiślańskie knajpy dokonywały właśnie tegorocznego żywota, a zielone łąchy dzikich miejskich plaż świeciły już pustkami. Co najwyżej trafił się gdzieś samotny wędkarz. Obserwowałam właśnie z daleka jednego z nich – wysłałam na taras z kieliszkiem wina. Leniwy, niedzielny zmierzch zapadał nad miastem; nie można się było nie napić przed robotą, która mnie czekała. Już trzeci wieczór z rzędu spędzałam z projektem wniosku o grant. „Przemiany archetypu republiki w postsolidarnościowym dyskursie publicznym” – osobiście wątpiłam, by nawet takie dinozaury jak profesorowie z kapituły Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki były skłonne dać nam pieniądze na coś tak bezsensownie abstrakcyjnego. Ale zamierzałam się o to postarać, zwłaszcza że tym razem lwia część roboty miała spaść na nowego doktoranta, nieopierzonego chłopaczka, który zrobił magisterium z dziedzictwa antycznego republikanizmu i jego współczesnych wypaczeń. Nie umiał jeszcze pisać wniosków, stąd mój pracowity weekend, ale profesor zapewnił mnie, że nie wziął go do zakładu nadaremno. Na razie tylko nieformalnie; nie dostaliśmy nowego etatu asystenta ze względu na dodatkową – moją – posadę adiunkta, ale chłopak i tak pewnie cieszył się, że może z nami pracować. Rozwijaliśmy się; mieliśmy jeden z najlepszych wskaźników zdobytych dofinansowań i ogłoszonych publikacji. Nie tylko na wydziale, ale też na całym uniwersytecie. Pisali o nas w gazetach, kiedy trzeba było zaprzeczyć stereotypowi chudego literata i ubogiego humanisty. Zamykaliśmy właśnie jeden grant, a profesor Piekutowicz nie lubił przestojów – miał troje dzieci z dwiema byłymi żonami; alimentował całe to towarzystwo.

Czekałam, aż Sławek Jeżewski przyśle mi mailem swoją część zarysu projektu; miał na koncie kilka publikacji na temat republikanizmu i właściwie to na niego najbardziej liczyłam w kwestiach merytorycznych, nie będę przecież zawracać głowy profesorowi zajętemu w Baton Rouge czymś zupełnie



innym. Kiedy mój telefon zadzwijał sygnałem esemesa, uznałam, że to na pewno Sławek, i to niechybnie z wieścią o opóźnieniu. Myliłam się i była to całkiem przyjemna pomyłka. Redaktor Zborniak zapytywał nieśmiało, czy mógłby mnie jeszcze zobaczyć. Szybki rachunek pracy i sumienia – nie skończę tego wniosku, dopóki nie dostanę wkładu Sławka. A on na pewno się spóźni; zwłaszcza że ma teraz nowe, pochłaniające go zajęcia – na radzie wydziału udało mi się spełnić tamtą prośbę i załatwić jego protegowanej przyjęcie na pierwszy rok bez egzaminu. To znaczy, że Sławek oprowadza ją właśnie po willi i za pomocą dyskretnych sugestii daje do zrozumienia, w jakiego rodzaju ubrania powinna się zaopatrzyć. Trudno przecież, aby w obliczu tak przyjemnych zajęć poświęcał uwagę przekształceniom idei republiki na przestrzeni wieków. Poza tym i tak wypiliśmy już jeden kieliszek wina, drugi więc – tym razem w towarzystwie – też mi nie zaszkodzi. Rachunek wykazywał zatem niezbitcie – wniosek może poczekać. „Z przyjemnością” – odpisałam. Skoro Zborniak się odważył, to znaczy, że należy dać mu szansę. Zwłaszcza w obliczu pochwał, jakie usłyszałam pod jego adresem z ust siostry. Może ona ma lepszego nosa do mężczyzn niż Filip? Może ja naprawdę powinnam dać sobie spokój ze studentami pierwszego roku?

„Znam fajne miejsce na Chmielnej, nazywa się Mąka i Woda. Może mógłbym zaprosić tam Panią na kolację?” – napisał ku mojemu zdziwieniu. Jak to, czyli nie chce wprosić się do mnie do domu? Czyżby to oznaczało, że nie chce też iść ze mną do łóżka? Zaniepokoiłam się, ale tylko na chwilę. Wytłumaczyłam sobie jego zachowanie przywiązaniem do staroświeckich form i zwyczajów. Widać Krzysztof Zborniak był jednym z tych, którzy aby pójść z dziewczyną do łóżka, muszą najpierw zaprosić ją na kolację. Tak jakby seks bez kolacji był niedozwolonym ekscesem. „Z przyjemnością. Będę o 20.00” – odpisałam. Niechże stanie się zadość stereotypom, którym hołdują nieszczęsne ofiary dobrego wychowania. Miałam jednak nadzieję, że nie był aż tak dobrze wychowany, by powstrzymać się od seksu na pierwszej randce – pomimo chłodu wczesnej jesieni pod sukienkę włożyłam eleganckie koronkowe figi i pończochy. Przeworna zawsze ubezpieczona, a przygotowane nie muszą później przeproszać na chwilę i niezręcznie znikać w łazience, uprzedzając moment, w którym kochanek wsunąłby rękę w sprane bawełniane majtki albo rozciągnięte rajstopy.

Niestety, moja zapobiegliwość tym razem okazała się zbędna – dwie godziny później, siedząc przy restauracyjnym stoliku naprzeciw Krzysztofa Zborniaka, wiedziałam już, że dziś seksowna bielizna na nic się nie przyda. Ten wieczór to było fiasko – no chyba że ktoś lubi sympatyczną rozmowę i powolne tkanie nici porozumienia. Kochanek *in spe* okazał się raczej kandydatem na przyjaciela – zapoznawcze rozmowy o życiu zamiast sygnałów erotycznego zainteresowania, eleganckie gesty w miejsce pożądliwych spojrzeń, pytania znamionujące rzeczywiste zainteresowanie zamiast konwencjonalnej gry kokieterii i uwodzenia. W ogóle niewiele w tym było z uwodzenia – Krzysztof Zborniak zdawał się bardziej cieszyć moim towarzystwem, niż mnie uwodzić. Nie zamierzałam mu się zwierzać, ale dobrze, mogłam dla odmiany po Show TV i Twitterze porozmawiać o prawdziwym życiu.

– Słyszałam, że to wielka rzadkość, by już rok po doktoracie objąć stanowisko adiunkta.

– Owszem. Ale niech pan nie myśli, że obyło się bez wysiłku.

W zeszłym roku, tuż po obronie dysertacji, miałam wyjechać na rok do Berkeley. Kalifornia, w której nigdy nie pada, serpentyny dróg wijących się nad oceanem i jeden z najbardziej wolnomyślicielskich uniwersytetów Ameryki. Nie pojechałam; Piekutowicz kończył wtedy książkę, która miała być ukoronowaniem jego kariery akademickiej. I była – w zamian zorganizował dla mnie etat adiunkta i zadbał o odpowiednio określone wymogi konkursowe. A na otarcie łez – i kiedy dziekan zaczął wygłaszać pretensje o zmarnowane stypendium – zamiast roku w Berkeley załatwił mi trzy miesiące w Berlinie. Bez konkursu, bez planu badawczego, po przyjacielsku u starego znajomego. Ledwie tam wytrzymałam; wprawdzie zajęcia w ramach międzynarodowej wymiany doktorów odbywały się po

angielsku, ale poza uniwersytetem – jak to w Niemczech – wszyscy mówili po niemiecku. A ja nie rozumiałam ani słowa; nigdy się nie nauczyłam, choć zawsze uważałam, że to najseksowniejszy język świata. Ostrzegałam Piekutowicza, że pomysł tego wyjazdu jest wątpliwy, ale bez zmruczenia oka odpowiadał, że trzeba podnosić wskaźniki zagranicznych stypendiów w naszym zakładzie. Wolał wysłać mnie na trzy miesiące do Berlina niż na rok do Ameryki, z jego punktu widzenia było to zrozumiałe. Tyle tylko, że ja nie miałam z tej zamiany żadnych pożytków. Może poza małym wyjątkiem natury erotyczno-poznawczej: udało mi się przespać z kilkoma Niemcami. Wszyscy bardzo aryjscy – wysocy, błękitnoocy blondyni jak z broszurek Lebensbornu. Z dwoma byłam nawet w łóżku jednocześnie; kiedy mówili do mnie tym gardłowym, chrapliwym językiem, w którym pobrzmiwało odległe echo poszczekiwania owczarków, wykrzykiwanych rozkazów i szelestu idealnie skrojonych mundurów, dochodziłam o wiele szybciej i bardziej mokro niż zazwyczaj.

– Nie wątpię, że musiała pani włożyć w to dużo wysiłku.

Uśmiechnęłam się. Krzysztof Zborniak nie był kimś, komu mogłabym opowiedzieć akurat o wysiłkach tego rodzaju, jakim oddawałam się w Berlinie.

– A wiadomo, jak jest na polskich uniwersytetach. – Nie umiałam oszacować, na ile naprawdę zna realia, ale mówił z przekonaniem. – Nie myślała pani nigdy, żeby wyjechać za granicę? Przy pani osiągnięciach...

Mimo wrażeń z Berlina byłam zadowolona, kiedy wróciłam i mogłam komu innemu przekazać obowiązek podnoszenia wskaźników stypendialnych. Wtedy, we wcale nieodległych Niemczech, rozumiałam, że tak naprawdę nie nadaję się do wyjazdów. Ani tym bardziej do pracy, która wymagałaby ciągłych podróży i którą kiedyś w swojej naiwności chciałam podjąć. To było już pięć lat temu, ale czasami myślałam, co by było, gdyby wtedy mnie przyjęto. Gdybym teraz, zamiast walką o granty i artykułami w „Przeglądzie Politologicznym”, zajmowała się jeżdżeniem po świecie z wątpliwą misją i jeszcze bardziej wątpliwym zabezpieczeniem.

– Wie pan, może zabrzmiało to naiwnie, ale chyba nie potrafiłabym wyjechać stąd na stałe. Ani nawet na dłużej niż kilka miesięcy. – Sama zdziwiłam się sobie, że mu to mówię. Tak szczerze i otwarcie; choć znaliśmy się dopiero od niedawna, było w nim coś, co zachęcało do nieprzemysłanych wyznań. Nawet tych dotyczących zawiedzionych nadziei. Jak widziałam teraz, tamte nadzieje były bezsensowne i nawet do mnie nie przystawały, ale aktualna świadomość nie znosi przecież dawnego rozczarowania. – Ja nie jestem stąd. Przyjechałam do tego miasta, mając dziewiętnaście lat. Wcześniej przeprowadzałam się z rodzicami kilka razy, mieszkałam w internacie u sióstr zakonnych, takie tam. Nigdy nie czułam, że gdziekolwiek przynależę. Dopiero teraz, tutaj.

Patrzył na mnie z uwagą. Skupiony, zainteresowany, całym ciałem pochylony w moją stronę. Może naprawdę można mu zaufać? Może był właściwą osobą, by mówić z nim o miłości? Bo przecież o to w tym chodziło – kochałam to miasto. To brzydkie, eklektyczne i rozedrgane miasto. Kiedy ja zapuszczałam w nim korzenie, ono wrastało we mnie. Wytwarzało sieci połączeń, wtapiało się w tkanki emocji, rozgałęziało i łączyło z tym, co w środku. Chwile dobre i złe, różnobarwne wspomnienia, kawał życia i długa droga do Michaliny Anno Domini 2013. Wiedziałam już, że nie dla mnie żadne zagraniczne misje ani nawet uniwersytety – że gdziekolwiek pójdę, to miasto ciągle będzie tkwiło we mnie wczepione swoimi mackami.

– Podziwiam panią. Ja nigdy nie czułem się tu u siebie. Wychowałem się i studiowałem zupełnie gdzie indziej. Dopiero trzy lata temu przyjechałem do Warszawy za pracę.

Był zatem z innej bajki – przyjechał nie po to, by szukać siebie, swoich szans i przypadkowych ścieżek w asfaltowej dżungli. Nie po to, by na chybił trafił układać sobie życie. Przyjechał po coś, konkretny i ukształtowany. I zostawiał coś za sobą. Pewnie tęsknił; założyłam, że zdążył mieć za czym.

– A skąd pan jest?

– Z Krakowa.

Ludzie, którzy zamiast pracować, karmią gołębie i przesiadują w knajpach na Rynku, *Moralność pani Dulskiej*, podręczny zestaw cnót mieszczańskich oszczędnie i ekonomicznie zapakowanych w walizeczkę ze skaju – cały wachlarz automatycznych skojarzeń. Może odrobinę krzywdzących, aczkolwiek nieodpartych.

– Tylko proszę sobie nie myśleć tych wszystkich złych rzeczy o krakusach. – Uśmiechnął się na poły żartobliwie, a na poły poważnie.

– Ależ skąd. Nie jestem uprzedzona – skłamałam, licząc na istnienie wyjątków potwierdzających regułę. Na szczęście nie pomyliłam się; przynajmniej nie był centusiem.

– Zje pani coś jeszcze? Albo napije się więcej wina?

To ostatnie raczej nie wchodziło już w grę; restauracja, w której byliśmy, stawiała na włoski styl domowy. Czyli dużo oliwy, jeszcze więcej wina i pizza na cienutkim cieście według tradycyjnych receptur. Filip mówił mi kiedyś, że to jedyna warszawska knajpa, która ma oryginalny włoski piec na węgiel drzewny, sprowadzony z Neapolu na specjalne zamówienie. Rzeczywiście, karmili dobrze, ale choć kulinarnie pozostali wierni tradycji, to w kwestii wystroju wnętrza ulegli powszechnej modzie na nowoczesność. Kucharze wałkujący ciasto na oczach gości – koncept nieco już zużyty, ale tutaj chyba koniecznie chciano zaprezentować ów neapolitański piec w całej okazałości. Do tego dużo szkła, linii prostych i obrusów, które trochę za mało przypominały toskańską pizzerię, a odrobinę za bardzo Dukę czy inny równie modny Almi Decor. Zdaje się, że właściciele podjęli dość karkołomną próbę połączenia elegancji minimalizmu z włoskim rozpasaniem; tak jakby Giorgio Armani nie obwieścił już dwie dekady temu, że minimalizm jest estetyczną pułapką. Dobrze, że nie próbowano go tu zaprowadzić chociaż w kwestii alkoholu – podawali naprawdę znakomite *autentico italiano* pinot grigio. Wypiliśmy już dwie butelki, a ja nigdy nie lubiłam wychodzić na pijaczkę od razu na pierwszej randce.

– Wina to chyba już nie.

– W takim razie może deser? – zaproponował hojnie, pewnie chcąc zatrzeć niezręczny efekt wyznania o swym krakowskim pochodzeniu.

Na deser przystałam; słynne tutejsze budino miało mieć smak czekoladowy złamany płatkami soli morskiej, a tymczasem było po prostu tłusto-mdłe. Wyjadając je długą łyżeczką z wysokiej szklanki, zastanawiałam się, czy to aby na pewno ostatni punkt programu na dzisiaj. Może jednak wieczór nie jest spisany na straty i uda się zaciągnąć Krzysztofa Zborniaka do łóżka?

– To co dalej? – zapytałam odważnie, ale niestety mój towarzysz dość opacznie zrozumiał tę odwagę.

– Bardzo chciałbym jeszcze się z panią spotkać. Kiedy tylko znajdzie pani czas. – Głos miał poważny, a spojrzenie szczere. Dopiero teraz przyjrzałam się jego oczom – były zielone.

– Mam na imię Michalina. – Pochyliłam się ku niemu przez stół w poszukiwaniu szmaragdowych błysków. Były tam: odrobinę schowane, przytłumione dobrym wychowaniem, ale całkiem podobne. – I oczywiście, znajdę czas.

Sprawił wrażenie zachwyconego, poza tym naprawdę potrafił się zachować. Nie tylko zapłacił rachunek, ale też dał kelnerce hojny napiwek, a po wyjściu na zewnątrz zaproponował, że odwiezie mnie taksówką do domu. Prawdziwy dżentelmen; podczas wspólnej jazdy na tylnej kanapie ani razu nie rzucił okiem w stronę moich ud, choć postarałam się usiąść tak, by odsłonić brzeg koronki u pończochy.

– Dobranoc, Michalino – powiedział, gdy dojechaliśmy pod bramę mojego apartamentowca. Wsiadł tylko po to, by odprowadzić mnie do drzwi, i ani półsłówkiem się nie zająknął, że chciałby wejść na górę. Była cicha, niedzielna noc październikowa – Wisła szemrała gdzieś w oddali, a jesienny chłód unosił się już nad wilgotnym chodnikiem. Mimo to zrobiło mi się ciepło, kiedy Krzysztof dotknął mojego

policzka. Poczułam niespodziewany, bolesny skurcz w dole brzucha; tak bardzo chciałam, aby przeniósł rękę z mojej twarzy na dłoń, aby zastosował magiczny gest, aby otoczył uściskiem mój nadgarstek. Przez moment myślałam już, że to zrobi, już miałam nadzieję, już chciałam pomyśleć, że to niezwykajne i na pewno znaczące. Ale nie, nie dotknął mojej ręki. Uśmiechnął się tylko na pożegnanie i patrzył za mną, dopóki nie zniknęłam w prostokacie światła drzwi wejściowych.

\*

W sylwestra Andrzej Wajnert nie napisał już do mnie ani też ja do niego. Nie wiedziałam – ani nawet nie chciałam wiedzieć – jak powitał Nowy Rok. Pojechałam do przyjaciółki z liceum; w ciągu pół roku między maturą a sylwestrem zdążyła bogato wyjść za mąż i urządzić się w ogromnej willi małżonka. Z sylwestrowej nocy pamiętałam tylko przeciągi hulające w wielkich, pustych pokojach, potłuczone szkło na puszystym dywanie, nadmiar czerwonego wina. Przygnębienie jak podstępny złodziej, który napada w nocy i wcale mu nie przeszkadza, że to akurat noc wszechobecnej, choć nieco wymuszonej wesołości. Tym lepiej – wszyscy zajęci mniej lub bardziej udawaną zabawą; można łupić, pustoszyć, odzierać ze złudzeń. A na koniec ukraść wszystkie bąbelki z szampana. Zimne ognie, sztuczny uśmiech, choć trochę mniej nieszczęśliwego Nowego Roku – sylwester do przetrwania, nie do zapamiętania.

Nie było łatwo, także kiedy drugiego stycznia przyjechałam do Warszawy. Miasto, do którego wróciłam, wydało mi się o wiele brzydsze niż to, które opuszczałam przed świętami. Przyciężkie budynki straszyły betonem i szkłem na tle nieba w kolorze ścierki do podłogi. Wciąż bez śniegu, bez słońca, bez mrozu. Zima niezdecydowana i nijaka, Nowy Rok bez wyrazu i bez nadziei. A co, jeśli tak będzie już zawsze? Wolałam o tym nie myśleć. Nie umiałam o tym nie myśleć.

– Pani Michalino, czy może pani zostać chwilkę po zajęciach?

Doktor Jeżewski – uniwersytecki humanista w starym stylu, specjalista od filozofii na gościnnych występach, znawca dziejów idei. Jeden z najlepszych wykładowców; prowadził z nami ćwiczenia z historii filozofii. Pewnie dlatego on, filozof polityki, bo żaden z poważnych specjalistów od zagadek bytu nie chciał tracić czasu na polonistki.

– Właściwie to nie moja sprawa i w ogóle... Ale nie mogę nie zapytać. – Płatał się w swoich notatkach do zajęć, w swojej tweedowej marynarce, w swoich dobrych intencjach. – Czy z panią... Czy u pani... – Płatał się również w ograniczeniach, które narzucały mu jego nienaganne maniery. – Czy wszystko w porządku?

Lubiłam doktora Jeżewskiego. Lubiłam czytać wszystkie zadane przez niego lektury, lubiłam wymieniać z nim poglądy na temat Platona i wyklócać się o Arystotelesa, podczas gdy koleżanki z mojej grupy zajęte były piłowaniem paznokci lub czytaniem pod ławką podręcznika gramatyki opisowej. Widać doktor Jeżewski też mnie lubił. A może raczej nie przepadał za ciszą na swoich zajęciach?

– Tak, w porządku. – Jego oczy za szklami modnych okularów wydawały się mi nie dowierzać. Cieniutkie oprawki, wełna, tweed i skóra, zapach dobrej wody kolońskiej. Styl koledzowy, tak to się chyba nazywa. – Może nie do końca, ale...

– Pani Michalino. Mogę zrozumieć, że się pani nie odzywa, ale nie może pani płakać na zajęciach.

Drzwi zamknęły się za ostatnią wychodzącą studentką, która nieco dłużej od reszty zbierała swoje rzeczy. Zostaliśmy sami wśród sfatygowanych, brązowych ławek z rozkładanymi pulpitami, oboje na podwyższeniu staromodnej katedry, wśród drobinek kurzu i kredy tańczących przed niezapisaną tablicą. Wszystko było tu w starym stylu – wystrój bez żadnych elektronicznych ekscesów nowoczesności, doktor Jeżewski i szlachetne tradycje akademickie, które uosabiał, ja i moja żarliwa wiara, że życie może być zgodne z naszym wyobrażeniem. Z przekonaniem powziętym na podstawie przesłanek tak kruchych jak

książki i wyobrażenia. Ciężar sfalsyfikowanych hipotez, żal obalonych teorii, manowce błędnych twierdzeń.

– Ja... mam problemy osobiste. Przepraszam.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płakałam. Odkąd opanowałam tę sztukę, nie potrafiłam przestać się w niej doskonalić. W środku zajęć, zupełnie bez powodu, podczas wywodu o reformacji jako narodzinach etosu indywidualistycznego w dyskursie publicznym. Doktor Jeżewski rzeczywiście mógł czuć się skonfundowany. A może nawet przejęty?

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

Miał długie, szczupłe palce, inteligentne spojrzenie i doskonałą lekkość konwersacji wyćwiczoną podczas stypendium na angielskim uniwersytecie. Pewnie miał też dużo książek w domu. Ale chyba nie czytaliśmy tego samego.

– Dziękuję, ale nie. Nie trzeba. To nic takiego. Ja... jeszcze raz przepraszam.

– Może... to przez studia? Może one pani nie odpowiadają? Ta polonistyka dla kogoś takiego jak pani...

Zaskoczył mnie. To na pewno nie studia były winne. Chociaż one też okazały się inne niż te z moich wyobrażeń. Wnioski wyprowadzane z fałszywych przesłanek są zawsze najbardziej niebezpieczne, zwodzą nas bowiem pozorem prawidłowości rozumowania.

– Ze studiami wszystko w porządku. Ale pomyślę o tym. – Przewieszając sobie płaszcz przez ramię, przypadkiem dotknęłam jego dłoni. Była ciepła, a on mądry i dobry; przeczytam na za tydzień wszystkie zadane przez niego lektury. Nauczę się nie tylko prawidłowego formułowania wniosków, ale też oceny przesłanek. Wyeliminuję sądy *a priori* zakłócające proces poznania. Albo przynajmniej spróbuję. – Dziękuję panu.

– Mam dyżury na filozofii co wtorek i co czwartek na politologii. Proszę przyjść, jeśli będzie pani chciała. Porozmawiać, oczywiście.

Może kiedyś będę chciała. Porozmawiać o tym, czy każde wyobrażenie jest tylko złudzeniem. I o tym, dlaczego coś, co jest logicznie błędne, więc niemal zupełnie nieważne, tak bardzo boli. Boli na tyle, że wyciska łzy z oczu podczas wykładu o zbuntowanym mnichu z Wittenbergi, który w centrum wszechświata ponad logiką ustawił łaskę – niepojętą i nieodgadnioną, ale zdolną odmienić wszystko.

\*

Trzy kawy, dwie kolacje i jedno kino później nie byłam ani trochę bliżej pójścia do łóżka z Krzysztofem Zborniakiem. Te zabawy w chodzenie ze sobą stawały się nieco uciążliwe. Ileż można spotykać się w knajpach, odprowadzać się do domu i rozstawać przed drzwiami? Rozmowy z nim nie były nieprzyjemne, ale nie szukałam przecież przyjaciela – przyjaciół już miałam. Szukałam kochanka, czy też narzeczonego, jak twierdziła Ewa, powołując się na terminologię naszej babki. Ale może u grzecznych chłopców seks obowiązkowo musi być poprzedzony przyjaźnią? Może istnieje zestaw niezbędnych rytuałów, które koniecznie trzeba odprawić, zanim damy sobie nawzajem do zrozumienia, co tak naprawdę nas interesuje? Jakby poznawanie życiorysu partnera i wymiana poglądów politycznych była niezbędna, by zacząć się pieprzyć. Nie uważałam tak, ale ten raz byłam gotowa dostosować się do konwencji. Rozmawiałam więc z nim o życiu, usiłowałam nawet o literaturze, ale nie był wytrawnym czytelnikiem. Pytałam go, co słyhać, i pozwoliłam pytać, jak minął mi dzień, wymieniałam idiotyczne esemesy na dzień dobry i na dobranoc, pisałam z nim długie maile o tym, co zdarzyło się na uniwersytecie, a co w telewizji. Październik przeszedł w listopad, nastał najgorszy, szary czas, a ja zaczynałam już wątpić, czy to wszystko ma sens. Piekutowicz wrócił z Baton Rouge i ku mojemu

zdziwieniu stwierdził, że sam napisze artykuł na podstawie materiału, który stamtąd przywiózł. Zamknęliśmy poprzedni grant, a na decyzję w sprawie nowego wciąż czekaliśmy. Miałam więc wyjątkowo dużo czasu tej jesieni. Czasu na budowanie naszego związku, jak nazywał to Krzysztof, albo na kręcenie się w kółko, jak ja to nazywałam. Dopiero pewien deszczowy dzień w połowie listopada przyniósł nadzieję na odmianę, na przełom, na przejście do wyższego etapu w grze. Rzecz jasna, nie obeszło się bez odrobiny inscenizacji. Nie wybrałam sobie jeszcze w tym roku akademickim żadnego studenta, a ileż można obywać się bez seksu? Czas był najwyższy, by przyspieszyć bieg wydarzeń. „Zapraszam Cię dzisiaj w odwiedziny” – napisałam jednego z tych dni, kiedy – jak wiedziałam od Ewy – Krzysztof nie pracował na wieczornej zmianie. „Przyjdę z chęcią” – odpisał.

Okazało się, że nie tylko z chęcią, ale też z bukietem róż. Nie dałam po sobie poznać, że wolałabym butelkę alkoholu albo czekoladki.

– Piękne – powiedziałam, wstawiając je do wazonu. Cięte kwiaty: zupełnie bezużyteczne, skazane na więdnienie, prawie martwe.

– Specjalnie dla ciebie. Podobają ci się?

Zwlekałam przez moment z odpowiedzią. Chyba wypadało lubić róże? Jeden z tych niezbędnych, rytualnych rekwizytów z gatunku „mężczyzna kobiecie”. „Przyniosę ci kwiaty, a ty pozwolisz mi włożyć sobie kutasa”. Tak jakby nie było kobiet zainteresowanych kutasem. Bez dodatków.

– Przepadam za kwiatami. Dziękuję.

Ludzie tak mówią. Ludzie tak robią. Postanowiłam dać szansę jemu i sobie – musiałam uczynić wszystko, by się nie zniechęcać. Tymczasem Krzysztof był jak najdalszy od zniechęcenia; rozglądał się po moim mieszkaniu z prawdziwym zainteresowaniem, a może nawet z odrobiną podziwu. Pewnie zaliczał się do tych, którzy myślą, że pracownik naukowy ledwie wiąże koniec z końcem.

– Ładnie mieszkasz.

– Niewielka w tym moja zasługa. Wnętrze urządził architekt. – Nie wspomniałam, że obowiązywały go ściśle wytyczne: żadnego brązu. – Siadaj, proszę.

Kiedy Krzysztof zajmował miejsce na granatowej kanapie, ja zniknęłam w kuchni. Wprawdzie miałam w lodówce co najmniej dwie butelki wina, ale uznałam, że taka okazja wymaga czegoś mocniejszego.

– Pijesz jak mężczyzna – powiedział, kiedy postawiłam przed nami szklanki ze szkocką z lodem. Tylko kilka kropli soku z cytryny, żadnej coli ani wody. Uśmiechnęłam się na ten komentarz; biedny Krzysztof nie wiedział, ile innych rzeczy robię jak mężczyzna. Ale właśnie chcę przestać. I w imię tej chęci godzę się konwersować o pogodzie, o ostatnim filmie Woody’ego Allena i o tym, jak dzisiaj przebiegało rozstawianie telewizyjnych wozów transmisyjnych. I to wszystko w stosownej odległości naszych ciał. Którą udało mi się zmniejszyć dopiero przy trzeciej szklance whisky. Wiedziałam, że nie mogę już zrobić nic więcej – następny krok musiał należeć do niego. A on tymczasem zdawał się czekać na odpowiednio nastrojowy utwór w radiu. Pewnie po to, aby słysząc go, móc później wzdychać za każdym razem: posłuchaj, grają naszą piosenkę. Ja jednak nie wytrzymałam do końca reklam – pochyliłam się do niego najbliżej, jak się dało, kolanem prawie dotknęłam jego nogi, popatrzyłam mu prosto w oczy. Nie mógł już dłużej niczego nie robić. Usta miał zaskakująco miękkie, jakby wcale nie szedł do mnie przez jesienny chłód i wiatr. Całował dobrze, energicznie, z iskrą Bożą i z fantazją, która pozwalała mu na coś więcej niż monotonne obroty języka. Poczułam przypływ nadziei – może jednak coś z tego będzie.

– Tak długo na to czekałam.

Nie chciałam psuć nastroju, tłumacząc mu, że wcale nie musiał. Podobała mi się determinacja, nagły pośpiech i zdecydowanie, z jakim zaczął zdejmować ze mnie ubranie. Pomogłam mu z majtkami, tak aby miał czas zająć się swoim rozporkiem. Kiedy już się z tym uporał, usiadłam na nim; wtedy zdziwił się nieco. Pewnie czuł się w obowiązku odprawić te wszystkie rytuały pocałunków i dotknięć poprzedzające

zasadniczą część programu, ale dość już dziś grałam według nie swoich zasad – teraz ja też wreszcie chciałam coś z tego mieć.

– Któreś do łóżka?

Ciii. Przytknęłam palec do jego warg, przesunęłam nim w dół, a potem wepchnęłam mu go do ust. Nic nie mów, chłopczyku, po prostu chodź do mnie. Do środka i głęboko. Ścisnęłam go udami, objęłam za szyję, patrzyłam mu prosto w oczy, wkładając go w siebie, poruszając się na nim, unosząc i opadając w rytm przyspieszającego tempa cielesnej melodii. Zieleń jego oczu tak wiele ułatwiała. Pozwoliła mi nawet zatracić się na chwilę, zapomnieć o stole, o szklankach z niedopitą szkoeką, o tym, jak łatwo szpilka mojego niezdjętego buta zahaczyła o kruchą przeszkodę. Bursztynowy płyn rozlał się po gładkiej drewnianej powierzchni i cieniutkim strumyczkiem spłynął na podłogę, mokra plama urosła na dywanie, a okruchy potłuczonego szkła załśniły w przytłumionym świetle lampy. Ich blask był jednak niczym w porównaniu z opalizującą zielenią tęczówek mężczyzny unieruchomionego przede mną. Krzysztof? Tak miał na imię? Nie pamiętałam w tej chwili; pamiętałam tylko, by patrzeć w jego oczy i kołysać się coraz mocniej, coraz bardziej rytmicznie, coraz szybciej. Wygięłam plecy do tyłu, dreszcz wzdłuż kręgosłupa był ekscytująco nowy i niepokojąco znajomy jednocześnie. Puściłam na chwilę szyję kochanka, moja dłoń wyrzucona do tyłu uderzyła w drugą szklankę. Żaden hałas, żaden brzęk, żadne zakłócenia nie mogły mnie już zatrzymać. Niech upada, niech się tłucze, niech będzie przeklęte. Rozlana whisky barwiła wszystko na bursztynowo, kanapa nie była już granatowa, zieleń i brąz mieszały mi się przed oczami w coraz intensywniejszym napięciu. Coś rosło we mnie, rozrywało mnie od środka, pęczyło rozkosznie i obiecująco. A może po prostu znajomo? Może wreszcie tak jak kiedyś? W końcu wybuchło mieszkanką barw, blasków i dźwięków. A także krzyków; moich krzyków, których nie potrafiłam powstrzymać, mimo że już po mgnienu chwilowo utraconych zmysłów z powrotem wiedziałam, gdzie i z kim jestem. Na Powiślu, w roku 2013, z mężczyzną, który miał, owszem, zielone oczy, ale nic poza tym. Czy to znaczyło, że tyle wystarczy?

– Kocham cię.

W głosie Krzysztofa pobrzmiwały jeszcze echa uderzeń jego nasienia o ścianki mojej pochwy. Czym prędzej zamknęłam za sobą drzwi łazienki; niechaj pomyśli, że nie słyszałam. Kiedy wróciłam, zdążył wytrzeć rozlany alkohol i zebrać stłuczone szkło.

– Stłukłaś na szczęście – powiedział, całując mnie w czoło. Oby tylko nie zechciał się teraz przytulać przez kwadrans bez sensu i potrzeby. I obym ja zachowała się jak należy; to był trudny moment. Moment, w którym zazwyczaj dzwoniłam po taksówkę albo mówiłam chłopcu, że chyba zrobiło się późno. Tym razem czekał mnie większy wysiłek.

– Oczywiście, że na szczęście. – Uśmiechnęłam się do niego. – Dziękuję, że posprzątałeś.

– Lubię porządek.

Mała lampka ostrzegawcza zapaliła się w mojej głowie – przedmioty ułożone pod linijkę, pedanteria tyleż śmieszna, co straszna, kontrola kurzu za meblami i pod kanapą. Potrząsnęłam głową, aby odpędzić te skojarzenia; Krzysztof nie zasługiwał na nie, przynajmniej na razie. Na razie trzeba było coś postanowić w sprawie noclegu.

– Mogę skorzystać z łazienki?

– Oczywiście. Zaczekaj chwilę, dam ci ręcznik.

– Masz też może jakąś szczoteczkę do zębów?

– Poszukam.

Czas się przyzwyczajać – obcy człowiek będzie miał teraz swój ręcznik i swoją szczoteczkę w mojej łazience. Niedługo pewnie także swoje ubrania w mojej szafie, swoje gazety na moim stoliku, swoje buty w moim przedpokoju. Ktoś będzie pił z mojego kubeczka. I – wiedziałam, że to już nieuniknione – ktoś

będzie spał w moim łóżeczku.

Przygotowałam sobie jeszcze jedną whisky z lodem, w czasie gdy intruz brał prysznic. Nie myśl tak o nim! Karciałam się usilnie, ale dość bezskutecznie. Alkohol na pewno pomoże mi zasnąć, będzie dobrze, a może nawet przyjemnie. Ostatecznie niektórzy ludzie wiele by oddali za to, by móc spać ze swoim kochankiem – Ewa zdręczała mnie opowieściami, jak marzy o choćby jednej wspólnej nocy ze swoim doktorkiem. Może powinnam nauczyć się cieszyć tym, co mam? Krzysztof był całkowicie nieświadom moich rozterek. Położył się do łóżka w samych majtkach, nastawił budzik w telefonie, wyraził rozczarowanie, że raz jeszcze znikam w łazience.

– Ach, no tak, makijaż – mruknął ze zrozumieniem.

Nie tylko makijaż – także drink, którego chciałam w spokoju dokończyć, ale tego już nie musiał wiedzieć. Kiedy wreszcie położyłam się obok niego, otoczył mnie ramieniem.

– Rano usmażę nam dobrą jajecznicę na śniadanie.

Na śniadanie piłam kawę, ale powiedziałam:

– Świetnie.

Krzysztof był niezły w seksie i sympatyczny w konwersacji, przynosił kwiaty i miał poważne zamiary, troszczył się o mnie i akceptował bez makijażu i po kilku drinkach. Może naprawdę na tym polega „świetnie”?

\*

Styczeń mijał swoim rytmem wciąż jeszcze zbyt krótkich dni i zimnych nocy. Język staro-cerkiewno-słowiański i meandry gramatyki historycznej tworzyły ramy mojej rzeczywistości – sesja egzaminacyjna ratowała mnie od nieustannego myślenia o milczeniu Wajnerta. Teraz mówił do mnie tylko tak jak do wszystkich innych czytelników – przez swoje książki, a tym razem także przez wywiad w prasie. Chociaż nieco zdziwiło mnie, że postanowił rozmawiać akurat z „ekskluzywnym miesięcznikiem dla kobiet z klasą”, jak redaktorzy „Damy” nazywali swoją gazetę w podtytule. „Gwiazda polskiej literatury o życiu, pisaniu i przemijaniu” – poważny wywiad wciśnięty gdzieś między poradę „w tym sezonie postaw na spódnice z piór marabuta” a reklamę kremu za trzysta złotych. Niemniej sama rozmowa była znakomita – Wajnert jak zwykle błyskotliwy, z małym dodatkiem zimowego spleenu. „Uwielbiam tu przychodzić i patrzeć” – głosił podpis pod artystyczną fotografią na błyszczącym papierze luksusowego pisma. Przydymione kolory, szarość i czerń, Wajnert na antresoli Dworca Centralnego wpatrzony w morze ludzi przelewające się przez halę. Warszawski dworzec jak loftowy Manhattan, jak postindustrialny krajobraz księżycowy, jak betonowy schron, gdzie według łaskawych norm estetycznych rozedrganej współczesności brzydota staje się sexy, surowość – interesująca, a nieusuwalne piętno minionej epoki zamienia się w atrakcyjną powłoczkę nostalgii. Wajnert w wywiadzie mówił o swojej samotności, na zdjęciu palił papierosa na peronie i patrzył przed siebie wzrokiem, w którym były cała wiedza i cały smutek świata. Przecież ktoś taki musiał mieć do zaoferowania coś więcej niż orgię, coś więcej niż seks wyzuty z metafizyki, coś więcej niż materię oderwaną od ducha. O wiele, wiele więcej.

„Pamiętasz mnie?” – wystukałam na klawiaturze telefonu. Nie było mrozu, ale ręka zdrętwiała mi nieco, kiedy pisałam te dwa słowa. Na dworze, przed pustoszącym budynkiem mojego wydziału, pod niebem niskim i bezbarwnym. Właśnie zdałam ostatni egzamin – same piątki, pierwsze stypendium naukowe, indeks tuż obok „Damy” w torebce. Strona z wywiadem z Wajnertem była szara od odcisków moich zrozpaczonych palców. „Oczywiście, że pamiętam” – odpowiedź przyszła na tyle szybko, by mnie ucieszyć. Niestety, miała ciąg dalszy. „Już po sylwestrze”. Oferta ograniczona nie tylko jakościowo, ale też w czasie. Nie skorzystałaś, huk fajerwerków już umilkł, do widzenia. „Myślę o Tobie” – nic lepszego



nie przyszło mi do głowy, więc to desperackie i wątle literacko wyznanie musiało wystarczyć. Ostatecznie to on z nas dwojga był przecież literatem. Ja byłam tylko najlepszą studentką na roku – sesja właśnie się skończyła, nie miałam już czym zająć myśli, nie miałam czym się przytłumić, nie miałam już nic, co mogłoby przysłonić prawdziwą literaturę. A może prawdziwe życie? „Musisz przestać”. Odpowiedź Wajnerta krótka i bolesna jak cała z nim znajomość. „Teraz buduję, nie mogę inaczej. Trzymaj się”. Właściwie nie wiem, co było gorsze – to żalosne pocieszenie na koniec czy wcześniejsze wyznanie, które z taką lekkością unieważniało wszystko. Drżenie jego rąk na moich piersiach, jego niecierpliwość i moją nadzieję, wspólne poszukiwanie wyjścia z jaskini cieni. Wszystko pominięte, wszystko przekreślone, wszystko zniesione. Na rzecz budowy – enigmatycznej, niejasnej, z inną kobietą majaczącą w tle. Pisarz, który stał się architektem, podstarzały niebieski ptak, który postanowił wykorzystać ostatnią szansę na uwicie gniazda? Sylwestrowa orgia miała więc być pożegnalnym akordem beztroski i libertynizmu? Zabrział mi w uszach „czas powagi”, o którym mówił, zapraszając mnie na tę pożałowania godną imprezę. Prawem skojarzeń najmniej kontrolowanych, a więc tych najtrafniejszych, ów „czas powagi” połączył mi się ze zdjęciem w ramkach na jednej z półek u Wajnerta. Niewyraźny zarys innej kobiety zaczynał nabierać kształtów, a nawet zyskiwał twarz. Uśmiechnięta blondynka, niebrzydka, choć dość pospolita, nie więcej niż trzydzieści lat. Może to wcale nie była jego córka?

Cofnęłam się do budynku wydziału – biblioteka świeciła pustkami; widać ci, którym zostało jeszcze coś do zaliczenia, uznali, że i tak nie ma już sensu doczytywać niczego w ostatnim dniu sesji. Usiadłam przy komputerze, nawet nie zdejmując kurtki; bibliotekarka swoim krzywym spojrzeniem dała mi do zrozumienia, co o tym myśli, ale jednak stałym bywalcom nie okazywała dezaprobaty werbalnie. Nie byłam komputerowym geniuszem – lekcje informatyki w moim liceum ograniczały się do gry o wojowniczym władcy, której finał wzorowo promował wartości chrześcijańskie: „Wracasz z wojny z bogatymi łupami, królowa rodzi ci bliźnięta”. Niemniej potrafiłam znaleźć coś w internecie; jak się okazało, nawet całkiem sprawnie. Ratlerek.pl: „Znany pisarz i była tenisistka razem na premierze w Teatrze Współczesnym”; Konkret.pl: „Andrzej Wajnert cieszy się z przyjazdu Moniki Gawłowicz. Była tenisistka zimę spędza w Szwajcarii, ale w nowym roku postanowiła odwiedzić swojego przyjaciela”, SportSerwis.pl: „Jedna z najlepszych polskich tenisistek po zakończeniu kariery zamierza postawić na życie rodzinne i towarzyskie. Jest widywana ostatnio u boku sporo od niej starszego znanego pisarza”. Dowiedziałam się jeszcze, że Monika Gawłowicz – lat 29, znak zodiaku: Waga, 185 cm wzrostu – „została zmuszona do przedwczesnego zakończenia świetnie zapowiadającej się kariery sportowej z powodu uporczywej kontuzji kolana”. Znaczący się, typowa historia wielkich nadziei i pecha polskich sportowców. Miały być korty Wimbledonu, a było jakieś trzechsetne miejsce w światowych rankingach tenisistek. Dość rozczarowujące, zwłaszcza wobec wcześniejszych oczekiwań, ale wciąż pozwalające na zgromadzenie pół miliona dolarów na koncie w ciągu kilku lat kariery. „Monika Gawłowicz szuka dla siebie nowej drogi. Prawdopodobnie będzie pracować w telewizji, komentując mecze tenisowe”. Powrót ze Szwajcarii, urządzenie się w nieco zapomnianych polskich realiach, „teraz buduję”. A do tego pożegnalna orgia i tysiące dolarów na koncie, które może stać się wspólne. Wszystko złożyło mi się w całość. Na tyle zgrabną i obrzydliwie konwencjonalną, by zupełnie nie pasowała do męczyzny, który opowiada w wywiadzie o codziennej lekturze Księgi Koheleta, o błogosławieństwach i przekleństwach samotności, o cierniach w ogrodzie rozkoszy ziemskich. To się nie może udać – pomyślałam automatycznie i właściwie nawet w oderwaniu od siebie. Czas powagi z zyskiem w tle – coś takiego wydawało się stanowczo zbyt odległe od Wajnerta. Po prostu, jego papieros nie pasował do rakiety tenisowej. Przecież jest jakaś granica ceny, którą można zapłacić za pieniądze.

– Już zamykamy, dzisiaj mamy krócej czynne. Nie widziała pani kartki na drzwiach? – bibliotekarka

nie brzmiała jakoś szczególnie ostro; chyba raczej była zmęczona. – Kto to? – dodała, zerkając na monitor przede mną. – Brzydka.

– Dziękuję.

Zdziwiony wzrok bibliotekarki odprowadzał mnie do drzwi wraz z treścią esemesa Wajnerta, który za sprawą jakiejś czarodziejskiej sztuczki zamienił się w dźwięk, w melodię, w szmer w moim uchu. „Trzymaj się”. Pożegnalna porada, ochłap z resztek przyzwoitości i szczypty poczucia winy czy tylko pusta formułka? „Trzymaj się”. Tak jakbym miała czego.

\*

– Zobaczysz, naprawdę będzie ładnie. I nastrojowo.

Już od kwadransa podziwiałam, jak się krząta. Najpierw zaskoczył mnie, stając w drzwiach z ogromną choinką. „Niespodzianka na święta!” – wołał już od progu, cały zasłonięty płataniną gałęzi i igieł. Później ustawił donicę z drzewkiem w rogu pokoju i nie bacząc na moją minę, przystąpił do dekoracji. Miał ze sobą dwie reklamówki świecidełek – bombki, lampki, łańcuchy i całą resztę choinkowej tandety. Wszystko nowe, w nienaruszonych pudełkach, zapewne kupione przed chwilą w jakimś centrum handlowym pogrążonym w odmętach świątecznego szaleństwa. Szaleństwa, które niewątpliwie ogarnęło i Krzysztofa. Teraz rozwieszał cały ten kram, bawiąc się w małego elektryka, który sprawdza podłączenie i siłę kolorowych światełek. Stałam pod ścianą, patrząc na to jarmarczne przedsięwzięcie instalowane właśnie w moim dizajnerskim salonie – na migające elektryczne iskierki, na pachnące igły, które zdążyły już osypać się na podłogę, na otwarte pudełka, w których pobłyskiwały lśniąca bombki.

– No chodź, zrobimy to razem. Założę się, że dawno nie ubierałaś choinki.

Dawno to mało powiedziane. Uświadomiłam sobie, że nie miałam choinki w domu od dzieciństwa. „Ubieracie przecież choinkę w internacie, w domu już nie potrzeba” – babka zgrabnie skorzystała z okazji od razu w pierwszym roku mojej nauki w Kaliszu. A mnie samej po tych wszystkich latach nigdy nie przyszło do głowy, by sprawić sobie drzewko i obwieszać je czymkolwiek. Krzysztof tymczasem zdawał się widzieć w tym coś więcej niż obwieszanie.

– Zrobimy sobie nasze własne święta.

Tak naprawdę oboje wyjeżdżaliśmy jeszcze przed Wigilią. On – do Krakowa do matki, która gdyby nie jego przyjazd, spędzałaby Boże Narodzenie zupełnie sama. Ja – do domu na wsi. Babka nie miała już wprawdzie tyle energii, co kiedyś, ale tę, która jej jeszcze pozostała, włożyła w przygotowanie świąt i kategoryczne żądanie przyjazdu ode mnie i od Ewy. Ona wykręciła się dyżurem w pracy, ja musiałam pojechać i znieść chociaż Wigilię i pierwszy dzień zupełnie nieświętecznych świąt w domu rodzinnym. Później planowaliśmy upić się z Filipem, by przy zmrożonej półlitrowce i resztkach wykwinnych dań z jego restauracji odreagować całą tę karpiowo-barszczykową traumę. Tymczasem Krzysztof chciał teraz wyprzedzać kalendarz i czynić zadość świątecznym tradycjom w naszym wąskim gronie.

– Te powinny ci się spodobać.

Przesunął w moim kierunku jedno z pudełek z ozdobami. Straszny kicz, ale ten rzeczywiście był wyjątkowo uroczy. Na granatowym szkiełku bielą chatka, zieleniły się świerki, srebrzył się śnieg. Zapewne ręcznie malowane, dopracowane, a jednocześnie autentyczne w pewnej niedoskonałości pociągnięć pędzelka. Bajkowy, zimowy krajobraz jak ze starej pocztówki albo z kalendarza adwentowego. Jak z bardzo dawnych czasów, jak gdzieś z „hen, za górami, za lasami”, jak skądś, gdzie nigdy nie byliśmy, ale gdzie zawsze chcieliśmy się znaleźć. Odległa kraina, w której istnienie nauczono nas wierzyć; zawsze wyobrażona, nigdy nieodwiedzona. Mały domek odcięty od świata, śnieg, który zasypał wszystkie drogi, czas zatrzymany i zaciśnięty w dłoni jak aksamitna wstążka w kolorze nieba

w mroźną noc.

– Dobrze, niech ci będzie. – Długo wpatrywałam się w malunek, zanim zawiesiłam bombkę na choince. Nie powinnam o tym myśleć; nie powinnam myśleć o małych domkach zasypanych śniegiem. Ani tym bardziej o starych domach w małych miasteczkach. Już bezpieczniej było sięgnąć głębiej; przypomniał mi się czas licealnego internatu i ozdoby przechowywane przez siostry jak najcenniejsze skarby. Niektóre pochodziły jeszcze sprzed wojny, zakonnice trzymały je w pudełkach wyściełanych watą i przy corocznym obowiązkowym ubieraniu choinki w świetlicy internatu powtarzały: „Tylko ostrożnie, dziewczynki, tylko nie stłuczcie”. Przed oczami mignął mi cały ten rytuał – na święta w szkole stawała nie tylko choinka, pojawiały się też świerkowe stroiki wieszane na przezroczystych żyłkach rozciągniętych między piętrami. Cała klatka schodowa pachnąca świerkiem, cztery piętra osypujących się igieł i białych aniołków umoszczonych na gałęziach. Straszły oczami z guzików; zwłaszcza w nocy, gdy nielegalnie chodziło się po opustoszałych i ciemnych piętrach szkolnych. Lubiłam wtedy wychylić się przez poręcz na ostatniej kondygnacji i patrzeć w dół. Czasami widziałam, jak skaczą. I jak lecąc, zrywam wszystkie stroiki po kolei.

Poczułam to samo, kiedy Krzysztof włączył kolędy z iPhone’a. O nie, tego już za wiele. Wieszanie świecidełek, okręcanie gałęzi łańcuchami, wiązanie kokard jeszcze mogłam znieść. Ale kolęd z iPhone’a już nie.

– Czas na śledzika. – Postawiłam na stole butelkę i świąteczną zakąskę.

– Z przyjemnością. Za nasze pierwsze wspólne Boże Narodzenie. – Nalał nam obojgu i podniósł swój kieliszek. Wódka była dobra, zmrożona, jak się okazało, idealna na podniosłe okazje. Czy tylko mi się wydaje, czy on naprawdę już planował naszą przyszłość? Znow ktoś uległ czarowi starego domu zasypanego śniegiem. Krzysztof, trzydziestoletni poważny pan dziennikarz, uwierzył w rysunek na dmuchanym szkle. Biedactwo, tyle już miał za sobą, a wciąż jeszcze nie wiedział, że bombki łatwo się tłuką. – Idąc do ciebie, spotkałem po drodze Świętego Mikołaja. Poprosił, bym przekazał ci coś od niego.

Paczka w jego ręce wyglądała aż nazbyt solidnie; była duża, prostokątna, zapewne dość ciężka. Wymiana prezentów – na tym gruncie poczułam się pewniej; wiedziałam, że nie obejdzie się bez podarunków, byłam więc przygotowana.

– Ja też mam coś dla ciebie.

Jakżeby inaczej na święta; podarunek od serca.

– Chanel Égoïste Platinum – przeczytał na głos nazwę z etykiety na butelce. – Nie znam – powiedział, przyglądając się, jak lampki choinkowe rysują na przezroczystym flakonie różnokolorowe świetlne refleksy.

– Ja też nie. Ale spodobała mi się próbka w drogerii.

Skłamałam, zaciskając palce na moim prezencie. Warstwa ozdobnego papieru kryła coś twardego. Nie potrafiłam zapanować nad zaskoczeniem na twarzy, kiedy wreszcie uporałam się z opakowaniem. Tego się nie spodziewałam – Krzysztof przygotował coś unikalnego, coś trudnego do zdobycia, coś specjalnie dla mnie. Musiał nie tylko wykazać się inwencją, ale i zadać sobie dużo trudu. Już widziałam, jak snuł się po antykwariatach, przeszukiwał aukcje na specjalistycznych portalach, nawiązywał kontakt z kolekcjonerami lub odwiedzał w ciasnych, zakurzonych mieszkaniach zubożałych inteligentów, których los zmusił do wyprzedaży skarbów z księgozbioru pradziadka. *Platon. Dzieła* – trzy bardzo stare tomy w odrobinę poszarpanych okładkach. Poznań rok 1858, 1870–73, 1884. Pierwsze wydanie pierwszego polskiego przekładu greckiego filozofa. Zabytkowe egzemplarze, bibliofilski rarytas, księgarska perełka. Oczywiście archaiczny przekład Antoniego Bronikowskiego nie nadawał się do czytania, ale nie zmieniało to faktu, że Krzysztof sprawił mi wyjątkowy prezent. Zdziwiający, że udało mu się zebrać

wszystkie trzy tomy – musiał trafić na likwidację jakiegoś księgozbioru albo na antykwariusza w potrzebie. Zresztą nieważne jak, ważne, że to zrobił. Dla mnie, z chęci sprawienia mi przyjemności, w imię moich upodobań. Pleśniowy zapach starego, pożółkłego papieru przyćmił nawet aromat choinkowych igieł. O Chanel Égoïste Platinum rozpylonym na nadgarstku Krzysztofa nie wspominając. On nie poszedł na łatwiznę, nie zadowolił się oczywistością perfum albo biżuterii. I kupując prezent, na pewno myślał o mnie. Wyłącznie o mnie. Kiedy go wybierał, jasności intencji nie mąciły mu żadne stare cienie. I na pewno nikt nie stał mu za plecami – nie tak jak mnie w drogerii, kiedy nie dotykając nawet żadnych próbek, sięgałam od razu po jedyną właściwą buteleczkę.

\*

Ewa przyjechała do mnie na jeden z dwóch tygodni ferii zimowych. Miałyśmy je, dzięki Bogu, w tym samym terminie; od dawna planowałyśmy, że przyjedzie, by rozejrzeć się na uczelni, odwiedzić swój przyszły wydział, skorzystać z dni otwartych na uniwersytecie, który – wobec zagrożenia wchodzącym w dorosłość niższym demograficznym – już zimą rozpoczynał starania o pozyskanie październikowego narybku. Na kilka dni Krakowskie Przedmieście zaroilo się od maturzystów z całej Polski, którzy z zaaferowaniem na twarzach i z folderami informacyjnymi w dłoniach poszukiwali budynków i sal, w których ich przyszli wykładowcy zachwalali zalety swoich wydziałów, instytutów i katedr. Wśród poszukiwaczy przyszłych uniwersyteckich ścieżek była także moja siostra. Zupełnie nielegalnie i wbrew przepisom Domu Studenckiego nr 3 wykorzystaliśmy nieobecność mojej współlokatorki. Przemyciona do akademika Ewa zajęła jej łóżko; ciekawe, jak to przyjmie Maszerek, gdy już ktoś usłużny doniesie jej o tym incydencie.

– Jeszcze nawet nie zaczęłaś studiów, a już waletujesz w akademiku. – Uśmiechałam się do niej, prezentując w całej okazałości wszystkie wątpliwe wdzięki mojego aktualnego miejsca zamieszkania. Dyskusyjne uroki jarzeniówek na suficie, par obściskujących się po mrocznych kątach korytarzy, słoików z petami ozdabiających parapety. Wartości estetyczno-użytkowe pokoju z kratami w oknach, wąską szafką pracowniczą, która miała pełnić funkcję garderoby, i wypaczonego linoleum na podłodze. Trudno byłoby o miejsce brzydsze i mniej przyjazne; nawet przyklasztorny internat z licealnych czasów był przy tym niemalże apartamentem. Jakby upływ czasu i tysiące poprzednich lokatorów nieodwołalnie naznaczyły to miejsce. Brudem, nieuchronnym poczuciem przejściowości, rozpaczliwym pragnieniem, by ten etap już się skończył i by można było iść dalej.

Co było do przewidzenia, Ewie nie spodobał się ten przybytek ani panująca w nim atmosfera; musiała mieć zupełnie inne wyobrażenie o życiu studenckim. To, które zobaczyła w akademiku na Kickiego, sprowadzało się do mało emocjonujących spotkań w kilkuosobowym gronie ludzi przypadkowych i tak naprawdę w ogóle sobą nie zainteresowanych. Ty z prawa, ja z dziennikarstwa, Zenek z filozofii – a zamiast fermentu intelektualnego czy choćby dobrej zabawy były przerywane momentami krępującej ciszy rozmowy o sytuacji na rynku pracy i o perspektywach finansowych absolwentów poszczególnych kierunków. Kilka butelek piwa, nieustannie przerabiane tematy pracy i pieniędzy, muzyczna papka z radia – tak właśnie wyglądały imprezy w akademiku. Było to na tyle odległe od studenckich anegdot ludzi w wieku naszych rodziców, że aż budziło zażenowanie i niebezpieczne pytania o kondycję świata. Czy naprawdę wszystko mogło zepsuć się aż tak? Czy rzeczywistość aż tak bardzo musi różnić się od opowieści?

To Ewa pomogła mi przetrwać. Przetrwać bez zbawiennej rutyny życia zorganizowanego przez uniwersytet, bez wytyczonych ram zajęć, które trzymały mnie w ryzach porządku, bez wysiłku nauki, który nie pozwalał rozplątać się w smutku. Sesja skończona, pustka rozpoczęta – nie wiem, jak dałabym sobie

radę bez Ewy wśród tych dni zimowych, ale po jesiennemu szarych, wśród tych jałowych wieczorów, wśród tego całego smutku. Wszystko było szare, jałowe i smutne, bo nie mogło być inne – Wajnert mnie zostawił, i to w sposób mający tyle wspólnego z dobrym stylem, co harlequin z literaturą, a moje wielkie nadzieje okazały się pobożnymi życzeniami. Zamiast pięknie się rozwijającej fabuły znów miałam tylko jakąś nędzną podróbkę opowieści, w której zamiast wielkich emocji i wyrazistych bohaterów była tylko nuda podobnych do siebie pustych dni i samotność wśród ludzi, z którymi zupełnie nic mnie nie łączyło poza przypadkiem, który kazał nam zamieszkać w tym samym miejscu czy studiować na jednym kierunku. Wszystko bez smaku, bez sensu i bez nadziei. Jak wino, kupione za dwanaście złotych w całodobowym sklepie spożywczo-monopolowym Galeon, które sprawiłyśmy sobie z Ewą w jeden z tych wspólnych wieczorów. Z braku kieliszków piłyśmy oczywiście ze szklanek; stół z nierównymi nogami chybotął się pod ich ciężarem, a wyposażenie akademika nie przewidywało zasłon, do pokoju zaglądały więc gałęzie drzew i chłód wilgotnej nocy. Jakimś prawem anomalii pogodowych – albo dyktatem brzydoty – ten przełom stycznia z lutym przypominał raczej listopad; wciąż nie było śniegu ani mrozu, tylko ta wieczna breja z deszczu, wiatru i szarości, która przyklejała się od zewnątrz do okien i robiła wszystko, by wedrzeć się do środka. Nie byłam pewna, czy szyba i mury to wystarczająca ochrona; na wszelki wypadek paliłyśmy dużo świateł. Ale czy sztuczne światło wystarczy, kiedy mrok robi się tak gęsty, że można poczuć lodowato zimne paluszki przebiegające wzdłuż kręgosłupa? Są lata, w których o tej porze wygląda się już wiosny, w tym roku nawet jeszcze zima nie zdążyła nadejść. Ile to jeszcze potrwa, jak długo, czy aby nie zostanie na zawsze?

– No więc na prawie było obiecująco. Dopóki mówili o świetlanych perspektywach absolwentów i o zasobności wydziału. Zrobiło się trochę gorzej, kiedy zaczęli o wymaganiach rekrutacyjnych – Ewa relacjonowała mi przebieg spotkania informacyjnego dla chętnych do studiowania kodeksów, paragrafów i przepisów. Była pierwszym rocznikiem nowej matury; musiała odpowiednio wybrać zdawane przedmioty, jeśli zabraknie jej punktów, nie będzie już szansy, by to nadrobić na egzaminie wstępnym. Z samą maturą na studia – mnie wydawało się to nieco abstrakcyjne; zbyt dobrze pamiętałam swój egzamin, na którym przemaglowano mnie z dziewiętnastowiecznej literatury europejskiej tak dokładnie, że jeszcze przez kilka tygodni Julian Sorel i pani Bovary śnili mi się po nocach. – No więc musiałabym zdawać historię i WOS, kurczę, sporo tego.

Słuchałam jej oczywiście, ale pewnie nie tak uważnie, jak by sobie tego życzyła. Wilgotna czerń za oknem i mój telefon leżący na stole absorbowały mnie trochę bardziej, niż powinny. A może napisać do niego jeszcze raz? Może spróbować? Może poszukać pewniejszego schronienia przed ciemnością i chłodem niż światło lampy i zawartość butelki?

– Na administrację wystarczyłoby, żebyś zdawała sam WOS, no ale to chyba trochę słaby kierunek...

Moja siostra kontynuowała swoją opowieść i chyba oczekiwała ode mnie rady. Tak jakby to, na jakie studia pójdzie, miało jakieś znaczenie. Cokolwiek wybierze, i tak się rozczaruje. Przyłoczona swoim własnym rozczarowaniem i odrobinę zachęcona winem sięgnęłam po telefon. Nie od razu, nie tak szybko, na razie po prostu się nim bawiłam. Przesuwałam palcem wzdłuż plastikowych krawędzi, przecierałam wyświetlacz, pięściłam wypukłości przycisków z literkami.

– Myślałam też o dziennikarstwie, ale to raczej jako rezerwa. Wiesz, jakby z prawem nie wyszło...

„Spotkamy się?” – mógł odebrać jako za suche, nazbyt uczuciowych wyznań mógłby się przestraszyć. Co napisać? Co napisać mężczyźnie, który pewnie czytał już wszystko?

– Tylko że dziennikarstwo to trochę bez sensu, sama przyznasz... Nikt z zawodowych dziennikarzy nie jest po dziennikarstwie.

Nie wiedziałam, czy to prawda, ale wiedziałam już, jakie słowa wybrać. „Masz ochotę na kobietę, która nie może przestać myśleć o Tobie?” – napisałam, a może raczej zaoferowałam się. W nader

dosłownym sensie.

– No ale skoro to musi być coś humanistycznego, to już lepiej jakiś konkret.

Humanistyczny kierunek studiów był przesądzony w obu naszych przypadkach – rozwiązanie jakiegokolwiek zadania z fizyki czy obliczenie masy molowej substancji przekraczało możliwości zarówno moje, jak i Ewy. Szkoda, lekarz to taki dobry zawód. W gruncie rzeczy o wiele uczciwszy niż na przykład pisarz.

– Michalina, czy ty mnie słuchasz? Wpatrujesz się w ten telefon jak w monstrancję.

To rzeczywiście było trafne określenie; solidna katolicka edukacja stwarza szerokie możliwości słownikowe. Szkoda, że nawet najładniejsze słowa nie przez wszystkich uznawane są za godne odpowiedzi. Ubóstwiony telefon milczał uparcie, choć raport doręczenia pokazywał niezbitcie, że moja propozycja dotarła do adresata. Dolałam sobie wina; było kwaśne, podłe i pozostawiało na podniebieniu cierpki posmak. Nie odpisze, po prostu nie odpisze. Tak jak zrobił już paręnaście dni temu; wtedy też nie powstrzymałam się przed wysłaniem mu wiadomości z dna tęsknoty i zawodu.

– Przepraszam cię, Ewa. Przepraszam. Mam... – Już chciałam powiedzieć „kłopoty osobiste”; kalka sformułowania, którym poczęstowałam zaniepokojonego doktora Jeżewskiego. Przecież tak nie może być; moja siostra zasługuje na więcej. Może nawet zasługuje na ostrzeżenie i przestrożę? – Wdałam się w złą historię. Złą historię ze złym facetem.

– To dlatego! Dlatego płakałaś w Wigilię, chociaż nigdy nie płaczesz.

Nie było sensu zaprzeczać, trzeba było wszystko wyjaśnić. Kiedy powiedziałam, o kogo chodzi, oczy Ewy zogromniały. Wcześniej żadne szczegóły rekrutacji ani wymagania żadnego wydziału nie miały na nią takiego wpływu. Trzeba to było przyznać – Andrzej Wajnert robił wrażenie.

– Boże, to prawie tak, jakbyś miała romans z gwiazdą rocka.

Twarz mojej siostry składała się wyłącznie z wielkich, brązowych oczu otoczonych posklejanymi rzęsami; w szkole zakonnej nie miała zbyt wielu okazji, by ćwiczyć sztukę nakładania tuszu. Posklejane rzęsy, pogmatwana historia.

– I jak gwiazda rocka Wajnert ma wiele fanek. – To była ta gorsza część historii; blask w oczach Ewy stopniowo gasł, kiedy słuchała o tym, o czym ja wcale nie chciałam opowiadać. O czym milczenie mojego telefonu świadczyło bardziej dobitnie. Jej oczy najpierw wróciły do normalnych rozmiarów, a później zmrużyły się, zmniejszyły, skurczyły do wąskich szparek.

– No nie, ja pierdołę.

Zasadniczo w akademiku na Kickiego obowiązywało niepisane porozumienie o niepaleniu w pokojach. Od tego były kuchnie, korytarze, parapety. Jednak tym razem uczyniłam wyjątek od obowiązku wycieczek na papierosa; Marty Maszerek miało nie być jeszcze przez kilka dni, dym zdąży się wywietrzyć, a wcześniej jego kojące właściwości pomogą – mojej siostrze na wściekłość, mnie na żal. Albo odwrotnie.

Paliłyśmy w milczeniu, mając przed sobą niebieski duraleksowy talerzyk w roli zaimprovizowanej popielniczki. Szklanki zamiast kieliszków, talerzyk w miejsce popielniczki, kwaśny cienkusz na wyrost nazywany winem. Przypadkowe rekwizyty, źle obsadzone role, protagonista, który okazuje się czarnym charakterem.

– I po cholere teraz do niego pisałaś? – Posklejane rzęsy Ewy powlekły się dodatkową warstwą, tym razem dymu, a nie wosków i gliceryny.

– Nie wiem.

Nawzajem dmuchałyśmy sobie dymem w twarze; dziewczęta z katolickiej szkoły, palenie było tam w repertuarze obowiązkowym. Po prostu nie dało się inaczej.

– I często tak zamierzasz jeszcze pisać do niego? Oferować się i przypominać, i narażać na to, że ci nie

odpisze? – Pod pozornie spokojnym tonem mojej mądrej siostry kryła się złość już nie tylko na niego, lecz także na mnie. Błogosławieni, którzy mają poczucie własnej wartości wysokie na tyle, by nie ulegać perwersyjnym urokom masochizmu i wystawiania się na poniżenie.

– Często.

– Jak często? Ile razy jeszcze ma ci odmówić, zlekceważyć cię, dać ci kosza? Jak długo będziesz jeszcze pisać do niego te skazane na klęskę wiadomości?

Błogosławieni, u których instynkt przetrwania zawsze wyprzedza chęć rzucenia się na oślep. Którzy nawet chodząc ciemną doliną, potrafią chronić samych siebie.

– Co dwa tygodnie do końca życia.

Papieros mojej siostry zgasł, mój jarzył się zawzięcie, choć został z niego już tylko filtr. Uparty niedopałek w moich palcach. Ewa westchnęła; była w tym westchnieniu rezygnacja, był też nieprzyjemny cień politowania. Błogosławieni, którzy godność cenią wyżej od miłości.

\*

– To chyba już.

Ewa pierwsza wzniosła w górę pusty kieliszek; miała rację, domagając się jego napełnienia – z zewnątrz dobiegły pierwsze odgłosy wystrzałów. U nas wystrzelił korek od szampana.

– No to już. – Filip rozlał spieniony płyn. Moët & Chandon Grand Vintage rocznik 2006 ukradziony z zapasów Pracowni Smaku. – Szczęśliwego Nowego Roku.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

– Oby był lepszy od poprzedniego.

– Oby nam się.

Kontrolowane zderzenia wąskich kieliszków na smukłych nóżkach, syk bąbelków, za oknem coraz głośniejsze wybuchy petard. Byliśmy w mieszkaniu Filipa na Saskiej Kępie; rozbłyski sztucznych ogni za oknem wydobywały z mroku sylwetkę stadionu. Teraz już Narodowego, nie Dziesięciolecia – znów sport zajął miejsce handlu, a nowoczesna funkcjonalność zastąpiła szemrany urok bazaru. Teraz nie chodziło się tam po dzinsowe spódniczki, tylko na wielkie widowiska. Nie było już Jarmarku Europa. Może nie ma czego żałować? Może nowe niesie lepsze? Zmrożone niebo rozbłyskiwało wielobarwną konkurencją dla gwiazd – jaskrawe kwiaty w środku zimy, płomienie szybko gasnące i zupełnie niegroźne, kolorowy deszcz rozpluwający się w mroku, zanim jego krople spadną na ziemię. Światłami rozpraszamy ciemności, hukami odganiaamy zło, życzeniami zaklinamy los. Pogańskie rytuały, uroczyste toasty, wszystko na szczęście. I choć za każdym razem jesteśmy coraz starsi, to zawsze mamy te same nadzieje. I zawsze wszystko kończy się tak samo – nowy rok, stare błędy. Może nie tym razem? Może teraz inaczej? Szampan miał lekki posmak biszkoptu, tortu, kremu; jego bąbelki przyjemnie musowały na języku i zdradziecko szybko szły do głowy. Wykwintny trunek na dobry początek, na dobrą wróżbę, na dobry rok. Krzysztof dotąd ogrzewał pałeczki zimnych ogni w płomieniu zapalniczki, dokąd nie zaczęły sypać iskrami. Wręczył każdemu po jednej; staliśmy tak przez moment wokół stołu, każdy z kieliszkiem szampana w jednej, a zimnym ogniem w drugiej ręce. Przecież zimny, przecież sztuczny, może nawet wcale nie ogień, a jednak hipnotyczny. Dopiero kiedy ostatnie opiłki żelaza sfrunęły iskrami z oszukańczych pałeczek, zaczęły się pocałunki, objęcia, życzenia. Indywidualnie szeptane każdemu na ucho. Ciekawe, czy tylko mnie wszyscy mówili to samo.

– ...I oczywiście powodzenia z Krzysztofem. Oby wam się ułożyło jak najlepiej.

– ...i dużo miłości. Nareszcie.

– ...szczęścia w miłości.

Tego samego życzył mi nawet mężczyzna, którego widziałam po raz pierwszy w życiu. Patryk Wężyk, najnowszy obiekt westchnień Filipa. Kuchnia – jedyna stała miłość mojego przyjaciela – była kapryśną kochanką, dlatego niekiedy zdarzało mu się uciekać od niej w chwilowe fascynacje. Aktualny przedmiot fascynacji miał wściekle błękitne soczewki kontaktowe, inteligentne spojrzenie i pewną uroczą nieśmiałość gestów. Niestety miał też brodę, włóczkowy szalik i najnowszego MacBooka schowanego na czas sylwestrowego przyjęcia w torbie, na którą zerkał raz po raz tęsknym wzrokiem. Jednym słowem, chłopak modny, obyty, wystylizowany – wszystko jak hipsterski Pan Bóg z placu Zbawiciela przykazał. Tyle tylko, że w odróżnieniu od innych zasiedziały w Charlotte i Planie B, sączących przez cały dzień jedno latte na odtłuszczonym mleku, Patryk Wężyk nie musiał sobie niczego odmawiać. Ani tym bardziej spędzać godzin w kawiarniach przez wzgląd na darmowe wi-fi. Miał bowiem firmę PR-owską, która – wnioskując z tego, o czym zdążył wspomnieć mi Filip – prosperowała całkiem nieźle. Na tyle nieźle, że w chwilach wolnych zarówno od pracy, jak i od stylizacji uroczy Patryczek mógł się zabawiać, utrzymując deficytowy, ale bardzo perspektywiczny portal. Portal o polityce, który nosił dźwięczną nazwę Brudna Gra – polubiłam Patryczka już w chwili, gdy podał mi ten tytuł. A kiedy przy szampanie i fajerwerkach okolicznościowo zbrataliśmy się w noworocznym uścisku, wprost go już uwielbiałam.

– No więc Filip kazał mi życzyć ci szczęścia w miłości.

– Dziękuję – odpowiedziałam mimo niejakich wątpliwości, czy tę wdzięczność winna jestem jemu, czy Filipowi.

– Ale ja myślę, że wystarczy życzyć ci po prostu szczęścia.

Uśmiechnęłam się do niego. Cóż za miły chłopak. I perspektywiczny pewnie prawie tak jak jego portal. Następna do uścisku była Ewa – na widok jej lekko zmaczonego wzroku poczułam ukłucie niepokoju. Im więcej alkoholu trafiało do żołądka mojej siostry, tym trudniej przychodziło jej ukryć rozdrażnienie. Sylwestrowa atmosfera serdeczności, wszyscy – tym razem nawet ja – w parach, noworoczne życzenia i nadzieje oscylujące nieuchronnie wokół związków, uczuć i oświadczeń. I ona. Sama, bardzo daleka od profesora Misiaka, który zapewne spędzał sylwestra w rodzinnym gronie w swojej willi pod Warszawą. Ewentualnie na bardzo eleganckim balu z małżonką, która niechybnie ma na sobie suknię z szeleszczącej tafty; z dekoltem, trenem, a może nawet i piórami.

– Nie martw się, kochanie. Na pewno źle się bawi.



– Oby to był ostatni sylwester, który spędza beze mnie.

– Oby. – Objęłam ją. Serdecznie, po siostrzanemu, tak jak w dzieciństwie.

– Przysłał mi esemesa, że tęskni.

Może i tęsknił, ale nie na tyle, by się z nią spotkać. Ani dziś, w sylwestra, ani przez ostatnie dwa tygodnie. Opieka nad dziećmi, które mają wolne w przedszkolu, przyjmowanie gości, pieczenie mięs i ciast – święta to nie jest czas na kochankę. Ani tym bardziej na rozwód.

– Przecież nie mógł zostawić jej przed Bożym Narodzeniem. – Ewa mimo własnego żalu dzielnie broniła swojego doktora. – Rozwiedzie się z nią, na pewno. Tylko nie mógł tego zrobić teraz.

Oczywiście, nie zostawia się żony przed świętami. Ani na Nowy Rok. Ani wtedy kiedy dzieci mają ferie. Ani w ogóle nigdy się jej nie zostawia, jeśli jest z nią tak wygodnie, a gmach wzniesiony z cegieł przyzwyczajenia wzmocniono zaprawą strachu.

– W tym roku pojedziemy do Stambułu. Tym razem już na pewno.

To pocieszenie było już nieco zużyte, ale Ewa wierzyła, że i tym razem zadziała. Zwłaszcza w połączeniu z długim łykiem szampana o cukierniczych nutach smakowych. Stambuł – miasto marzeń profesora Misiaka, miasto-widmo powracające wciąż w jego obietnicach, miasto cel romantycznej pielgrzymki. Podróż do wyidealizowanej i tajemniczej dawnej stolicy minionego imperium była *idée fixe* profesora Misiaka. Przyznaję, że podziwiałam go za oryginalność – nie interesował go żaden żałośnie oczywisty Paryż, nie Rzym z turystycznego folderu „wycieczki dla zakochanych”, nie ulubione przez nowożeńców Wyspy Kanaryjskie. Profesor Misiak chciał wyjechać z Ewą do Stambułu – miasta melancholii i śladów upadłych cywilizacji, miasta strzelistych minaretów i krągłych kopuł, miasta europejskiej elegancji i orientalnego szaleństwa. Chciał zwiedzać labirynt portowych uliczek i szerokie bulwary w kosmopolitycznych dzielnicach dla bogaczy, popijać kawę z kardamonem w małych kafejkach, wśród podupadłych budynków z nadkruszonym tynkiem szukać śladów dawnego bizantyjskiego przepychu. Nie mam pojęcia, skąd wziął mu się ten Stambuł – wątpię, by czytał Pamuka – ale z uporem człowieka, który naprawdę czegoś pragnie, roztaczał przed Ewą wizje ich podróży do Turcji. I, co ważne, koniecznie mieli odbyć ową podróż pociągiem; chociaż na wszystkie kongresy medyczne i konferencje naukowe profesor Misiak latał samolotem, to na wycieczkę ze swoich snów koniecznie chciał jechać pociągiem. Dalekobieżnym z wagonami sypialnymi; to miałyby być ich własny Orient Express, niespiesznie uwożący ich w rytm stukotu kół gdzieś na rubieżę Europy, gdzieś na skraj Azji, gdzieś gdzie smaki, zapachy i kolory swoją intensywnością rozbudzają zmysły. Gdzieś bardzo daleko stąd; tak daleko, że wcale nie wiadomo, czy się stamtąd wróci. Ani czy to miejsce naprawdę istnieje.

– Oczywiście, że pojedziecie. – Dolałam jej szampana. Niech pije na zdrowie, na wyobraźnię i na pociechę. Może naprawdę pojedą na wiosnę do Stambułu. Może tym razem będzie inaczej. Może ludzie kłamią, mówiąc, że lata parzyste są gorsze.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, kochanie. – Krzysztof objął mnie ramieniem. A potem odsunął na jego odległość i popatrzył mi prosto w oczy. Pachniał Chanel Égoïste Platinum; teraz, kiedy zrozumiałam, że będę czuć ten zapach codziennie, pożałowałam, że mu go kupiłam.

– Tobie również najlepszego.

Wiedziałałam, że miał wielkie nadzieje, ale po raz pierwszy chciałam je z nim dzielić. Albo powiedziałam sobie, że chcę. Symboliczny moment, podniosła atmosfera, nowy początek. W sam raz na to, by z optymizmem tyleż odważnym, co lekkomyślnym odrzucić wątpliwości. Uczyniłam postanowienie noworoczne; niechże magia okolicznościowych zaklęć zadziała. Niech mi pomoże dotrzymać zobowiązania zmiany i ślubu wysiłku. Niech mi pozwoli pokochać tego mężczyznę, który jest prosty, dobry i którego ja mogę uczynić szczęśliwym. Postanawiam, ślubuję, obiecuję. Ja, Michalina, dołożę wszelkich starań, by traktować Ciebie, Krzysztofie, tak jak na to zasługujesz. Tak jak należy. Tak jak dla

nas obojga będzie najlepiej. W zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w biedzie, w szczęściu i w niepowodzeniach. Tak jak się godzi i jak wypada; tak, jak nie umiem i jak nie potrafię. Ale spróbuję się nauczyć. Postaram się odnaleźć to, co zgubione, zapomniane i schowane. To, co kiedyś szczelnie zamknęłam w najdalszym zakątku duszy – zapełniłam składzik, przekręciłam klucz i nauczyłam się nie pamiętać, co jest w środku. Teraz, noworocznie i uroczyście, postanawiam rozpocząć mózół przypominania. Oby tylko nie okazało się, że wyrzuciłam klucz – przemknęło mi przez myśl, kiedy całowałam Krzysztofa. Jego usta były przyjemnie miękkie i ciepłe; smakowały szampanem, który smakował biszkoptem. Wcale nie były słodkie; dziwne, bo przecież chyba powinny.

\*

Ferie minęły, zaczął się drugi semestr. Z nieznośnie nudną gramatyką opisową, z językoznawstwem, które miało być fascynujące, a polegało na wkuwaniu, i z niespodzianką w postaci obowiązkowych zajęć z wychowania fizycznego. Dwie godziny tygodniowo, hojny podarunek dziekana, czy może rektora, który uległ obłędnej manii promocji sportowego stylu życia. Wszyscy pierwszorocznicy studenci odbębniali swoją prozdrowotną pańszczyznę na siłowniach albo w dusznych salach do fitnessu. Nie byłam fanką tych wszystkich przysiadów i podskoków, ale niejako z przymusu oddawałam się im w każdy poniedziałek i w każdą środę. Aerobik odbywał się na daleko wysuniętej placówce uniwersytetu – przyczółek Żwirki i Wigury, punkt dowodzenia w barakach szarych, burych i – jak każda prowizorka – zaskakująco trwałych. Pan od aerobiku lubił swoją pracę, ale jeszcze bardziej przepadał za swoim odbiciem w lustrze. „Raz, dwa, raz, dwa” – pokrzykiwał niestrudzenie, sprawdzając idealne kształty mięśni swego torsu. „Step touch, pivot” – obracał się, by sprawdzić stopień napięcia swoich wyrzeźbionych pośladków. „Step out” – przekrzykiwał łupaninę muzyki, by ustawić swoje udo w najdogodniejszej do podziwiania pozycji. Jeśli ktoś nie był w nastroju do monotonnych powtórek kroków i ruchów rąk, wystarczyło skryć się w ostatnich rzędach. Z dala od luster – w takie miejsca wzrok instruktora nie docierał. Właśnie tam doczekiwałam w spokoju końca zajęć wraz z podobnymi sobie. Wszyscy byli zadowoleni – i my, odporni na uroki grupowego pocenia się, i instruktor, który miał więcej luster i przestrzeni dla siebie. Podczas gdy w sali gimnastycznej trwał ten cały teatrzyk, na zewnątrz zapadały ciemności. Kiedy wychodziłam po zajęciach, mroki przed barakiem rozświetlały jedynie ogniki papierosów. Być może ci, którzy ćwiczyli szczególnie gorliwie, chcieli wymazać swoje zbłądzenie w dziedzinę zdrowego trybu życia. Przystanek był blisko, za to droga do mojego akademika na Pradze – daleka. Śnieg z deszczem przesłaniał numery nadjeżdżających autobusów, a spod kół chlapało tak, jakby miało zamiar ubrudzić wszystkie okoliczne wieżowce. Krople wody stawały się lodową powłóczką na konstrukcji wiaty, zima osiadała na szybach autobusów kwiatami ze szronu. Szykowała się do tego, by dziś w nocy zmrozić miasto. Była spóźniona, ale zanosilo się, że zrekompensuje to sobie srogością.

Właśnie w taki wieczór zrobiłam to po raz pierwszy. Trochę przypadkiem – długo nie mogłam dostrzec numeru autobusu, a potem po prostu wsiadłam, chociaż przecież wcale nie chciałam jechać na Dworzec Centralny. A może właśnie chciałam? Może wybierałam się tam od czasu, gdy przeczytałam wywiad z Wajnertem w styczniowej „Damie”? Odkąd dowiedziałam się, że właśnie tam można go znaleźć w długie, ponure wieczory. Znałam to miejsce, ale teraz patrzyłam na nie zupełnie inaczej. Po raz pierwszy znalazłam się tu tak po prostu, nie spiesząc się na pociąg, bez celu ani przyczyny. Zdystansowana wobec kłębiącego się tłumu, daleka od całej tej ciżby tłoczącej się przy kasach, przepychającej na schodach, taszczącej pakunki i w pośpiechu zbiegającej na perony. „Lubię stać na antresoli i patrzeć na tych wszystkich ludzi w dole”. Wdrapałam się tam, by spojrzeć na ten centralny mikrokosmos oczami Wajnerta. Ludzie okutani w grube kurtki i ciepłe szale, część twarzy zacięta i zła,

ale część po prostu zmęczona. Wszyscy spieszyli się tak, jakby koniecznie chcieli zdążyć przed zimą. Czuć już było, że nadchodzi – mróz pełznął także tutaj, po brudnej posadzce tej hali wielkiej i wietrznej. Mokre plamy błota naniesionego tysiącami podeszew już za chwilę miały ściąć się lodową warstewką. Obłoczki ulatujące z ust zbijały się w kłębki pary, które szybowały do góry, pod dach konstrukcji ze stali i szkła.

„Pociąg pospieszny „Lubuszanin” do Zielonej Góry przez Poznań, Nowy Tomyśl, Zbąszynek i Sulechów wjeżdża na tor czwarty przy peronie drugim”. Głos rozbrzmiewający z megafonów należał pewnie do kobiety, ale bardziej przypominał robota. Ktoś oganiał się od żebraka natarczywie domagającego się wsparcia, kółka czyjejs walizki połamały się na ruchomych schodach, jakieś dziecko wrzeszczało ciągnięte przez zdesperowanego rodzica. Zimny wiatr hulał pod aluminiowym dachem, futurystyczne wygięcia wyglądały jak szyderstwo przy betonowych słupach straszących swoim ciężarem, wiecznie niedziałające windy z absurdalnymi zamkami na klucz stały jak pomniki bezradności i zaniedbania. Krój napisów przypominał wystrój dworca w Koluszkach trzydzieści lat temu, choć pewnie rozkład jazdy miał uchodzić za coś na kształt tablicy odlotów. Zepsuta żarówka zaciemniała informację o zejściu na perony. Dekady odkładały się na tym dworcu w postaci warstw brudu, który wrósł już w ściany, w elewacje, w więźbę dachu. Ruchome schody zwoziły ludzi w dół, w głąb gardzieli peronów, jak kolejne bezimienne pakunki. Lub wyrzucały ich stamtąd do góry, zasilając ludzki strumień wciąż i wciąż płynący przez halę główną. Pośpiech, umęczenie, mnóstwo spraw, za którymi zdąża cała ta masa. Marność.

„Uwielbiam tu przychodzić i patrzeć”. Może go tu znajdę, może dostrzegę, może go spotkam. Nie było sensu udawać – przecież tylko po to tu przyszłam. Tylko po to tkwiłam na kolejowym posterunku, marznąc i patrząc w dal. Tylko po to przebierałam wzrokiem te wszystkie twarze. Tymczasem diabły już ukradły zwierciadło Królowej Śniegu, już je potłukły i odłamki właśnie spadały na ziemię. Niektórym wpadły do serca albo do oka i znać to już było na ich twarzach zmrożonych smutkiem i obsypanych tęsknotą za czymś, co nie tutaj, co daleko stąd, co zupełnie gdzie indziej. Za czymś, czego nie ma?

Wajnerta też nie było, ale nie traciłam nadziei. Jesteśmy podobni, gramy na tych samych strunach, spotkamy się w miejscu, którego znaki tylko my dwoje potrafimy odczytać. Zagłębiłam się w podziemne labirynty. Najpierw kasy biletowe i zejścia na niedoświetlone perony, później już tylko niekończące się korytarze. Sklep monopolowy 24 h, serwis kradzionych telefonów komórkowych, butik z galanterią. Na wystawie straszyla jedna, samotna torebka; cała reszta musiała być podróbkami sprzedawanymi spod lady. Minęło mnie dwóch bezdomnych – zmiierzali gdzieś w sobie tylko wiadomym kierunku, niosąc kolorowe reklamówki pełne niezbędnych zapasów na pierwszą mroźną noc. Było tu wszystko – szemrany warszawski wszechświat w podziemnej pigułce, upiorne królestwo złych spojrzeń i mrocznych zaułków. Salony gry kusiły tandetnym blaskiem kolorowych żarówek, wątpliwej reputacji lokale z piwem i pierogami stały otworem dla stałych bywalców, w kioskach sprzedawano po dwa złote kolorowe gazety sprzed półrocza i – nieco drożej – świeższczyki z niepokojąco posklejanymi stronami. Można tu było dostać wszystko. Zapach drożdżówek mieszał się ze smrodem moczu, pornosy z ambitnym kinem na pirackich płytach wystawionych w wielkich pudłach, przypalona parówka i nieświeży tuńczyk z dużą ilością najtańszego majonezu w budkach „Kanapki na ciepło Oskar”. Brnęłam przed siebie, mimo że nigdzie nie było Wajnerta. Ani śladu jego wysokiej sylwetki, nieco przygarbionych pleców, błysku szkielec jego okularów. Oby wszystkie kurwy znalazły tej nocy klientów, a wszyscy bezdomni nocleg. Obym ja odnalazła Wajnerta.

Minęłam skrytki na bagaż i brudne sekrety; wrzucasz pięć złotych, przekręcasz kluczyk i nigdy więcej nie wracasz. Albo przeciwnie, przychodzisz wciąż i wciąż do jednego z przybytków za czerwoną pluszową kotarą. Sex shopy jak z wyobrażeń naszych matek wychowanych w głębokim PRL-u, do tego

posterunek bezradnej policji i sprzedawca plastikowych kulek świecących w ciemności. Dworzec Centralny *by night* w pełnej krasie, drugi poziom piekiel, ciemna strona miasta wieżowców i neonów. Im głębiej wchodziłam, tym mniej żarówek działało na betonowych sufitach. Im bardziej oddalałam się od hałasu peronów, tym bardziej pusto się robiło. Tym mniej twarzy, którym można się przyglądać, a coraz więcej tych, w które lepiej nie patrzeć. Obcasy kozaków wybijały rytm moich kroków; towarzyszył im błędny wzrok narkomana skulonego pod ścianą. Przecież niemożliwe, by Wajnert przychodził w takie miejsca. A może możliwe? Może szuka tu czegoś, co można znaleźć tylko w czeluściach, w głębinach, na samym dnie? Bezszelestnie przemknął obok mnie mężczyzna. Świetnie skrojony płaszcz z drogiej wełny, twarz znana z telewizji, w oczach strach przemieszany z pragnieniem. Podobnie jak ja krążył w poszukiwaniu. Podziemne spacer, czujne wypatrywanie, rozpaczliwe ssanie w środku. Oboje włóczyliśmy się tu desperacko, każde z nas szukało czego innego, ale tylko jedno miało szansę znaleźć. Nawet bowiem o nielegalne rozkosze, nieletnie ciała i inne ulgi w niegodnych pragnieniach łatwiej było niż o to jedno, co mogło mnie zaspokoić. A co zdawało się przedsięwzięciem beznadziejnym – tym bardziej beznadziejnym, im dalej, ciemniej i ciszej. Nie wiedziałam już, gdzie jestem ani jak wrócić; zgubiłam się w tym upiornym labiryncie. Moje spragnione ciało i potępiona dusza będą tu krążyć aż do rana. Naprzeciw mnie szedł mężczyzna – gruba puchówka, ciężkie kroki, twarz schowana pod kapturem. Upadło mu coś na ziemię; zafoliowana paczuszka uderzyła o kamienną posadzkę z głuchym plaśnięciem. Nie spojrzałam w dół, nawet nie spuściłam wzroku. Ten w płaszczu już nadchodził, był blisko, czułam zapach jego desperacji. Zakapturzony docenił mój brak ciekawości.

– Tam. – Pokazał mi ręką. – Tam jest wyjście.

Było więc wszystko, nawet i wyjście. Tylko czy dla mnie? Zastanawiałam się stopień po stopniu, krok po kroku, coraz bliżej powierzchni. Nie znajdowałam się już na dworcu – wynurzyłam się z jego czeluści gdzieś dalej, gdzieś zupełnie indziej, na obcej mi ulicy. Znajome sylwetki wieżowców i charakterystyczny kształt dachu Centralnego – dość odległy wprawdzie, ale dobrze widoczny – upewniły mnie szczęśliwie, że nic się nie stało, że nie odeszłam zbyt daleko, że to po prostu jedno z licznych i niezliczonych przejść podziemnych tego miasta. Dworzec Centralny, Dworzec Śródmieście, meandry betonowych korytarzy pod jezdniami i chodnikami. Kosmos wewnętrzny i schowany, mroczny rewers widokówki ze światłami wielkiego miasta. Podziemne królestwo, w którym można znaleźć wszystko. Wszystko oprócz tego, czego szukałam.

– Musi tu przyjść, któregoś dnia przecież musi.

Kobieta, którą minęłam, spojrzała na mnie z obawą przemieszaną z odrazą. Nawet nie wiedziałam, że mówię do siebie na głos. Wiedziałam za to, że będę go szukać. Niestrudzenie i aż do skutku. Że będę tu przychodzić, krążyć wśród podróżnych i uczyć się na pamięć podziemnych ścieżek. Rozglądać się za nim i wierzyć, że go znajdę. Wiedziałam, że tak właśnie będę robić co dwa tygodnie do końca życia.

\*

– Mama bardzo się ucieszy, naprawdę. – Świst powietrza z uchylonego okna porwał końcówkę słów, ale nie stłumił entuzjazmu w głosie Krzysztofa. Był zadowolony z tego, że jedziemy do Krakowa, że poznam jego matkę, że dałam się namówić na to spotkanie. „Chcę cię przedstawić mamie” – powtarzał mniej więcej od Bożego Narodzenia, a to nie jest prośba, której odmawia się w poważnym związku. „W poważnym związku” – tak zawsze mówił o nas Krzysztof. Nawet w ten sposób określił swój status na Facebooku. „W związku” i czerwone serduszko – publiczne wyznanie miało nie tylko nie pozostawić mnie obojętną, ale też poinformować cały świat o naszym szczęściu. Szczęście publicznie ogłoszone, sieciowo usankcjonowane, z *placet* przystawionym przez lajki jego znajomych pod postem o zmianie

statusu. Nie tylko więc jechałam z nim teraz do Krakowa, ale też dałam mu prowadzić swój samochód. Nigdy dotąd nikomu na to nie pozwoliłam; dla niego uczyniłam wyjątek, nie pierwszy i pewnie nie ostatni. W poważnym związku trzeba przecież być gotowym na ustępstwa, a ja nie zamierzałam schodzić z raz – i z takim trudem – obranej ścieżki.

– Miło mi. – Zakreśliłam szybę; moje słowa zabrzmiały jakoś rażąco powściągliwie w ciszy, która zapanowała w aucie, gdy odgłosy z zewnątrz ucichły. Krzysztof musiał wyczuć ten kontrast, bo już się nie odezwał. Aż do chwili, w której podjechaliśmy przed willę na jednym z krakowskich osiedli domów jednorodzinnych.

– Jesteśmy na miejscu.

Nieskazitelnie białe elewacje, trawniki zadbane mimo kulek brudnawego śniegu, odgłosy piłki kopanej na boisku lokalnej podstawówki. To tu się wychował, to stąd jeździł na piwo na Rynek, tu uczył się lawirować między grupami wyznawców Wisły i Cracovii z sąsiedniego blokowiska. Dobrze, że w czasach jego dorastania dziarscy chłopcy z grodu Kraka nie załatwiali jeszcze swoich porachunków za pomocą maczet. Chociaż Krzysztof nawet teraz nie postrzegał tego miasta jako niebezpiecznego. Może dlatego, że wciąż uważał je za swoje – w Warszawie tylko zarabiał pieniądze, i to jedynie chwilowo.

– Zawsze możemy zamieszkać w Krakowie. Dom jest duży, nie wchodzilibyśmy sobie z matką w drogę. Mogłabyś się przenieść na UJ.

Wybaczyłam mu tę straceńczą propozycję, ponieważ nie wiedział, co mówi. Ani kiedy – wystartował bowiem z tym pomysłem tuż po tym, jak Ministerstwo Nauki przyznało nam grant z upragnionego Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Kilkaset tysięcy do podziału na nas pięcioro plus profesor, niezła dodatkowa pensja przez najbliższe dwa lata. Choć nie podnosiłam głosu, musiałam dać mu wystarczająco do zrozumienia, co myślę o tego rodzaju nieprzemysłanych ofertach, bo nie wystąpił z czymś takim już nigdy więcej. Ale matkę i tak musiałam poznać. „Przecież zawsze nadchodzi ten moment, jeśli myślicie o sobie na serio” – Ewa skwitowała zapowiedź mojej krakowskiej wyprawy. Niepokój musował mi w brzuchu jak bąbelki szampana – co będzie, kiedy przyjdzie mi się zrewanżować i zabrać go do mojej rodziny? Czy ojciec będzie akurat na tyle trzeźwy, by go powitać? I czy matka wytrzyma choćby dziesięć kurtuazyjnych minut, zanim pójdzie się położyć ze swoim psem i swoimi tabletkami? Na razie wolałam o tym nie myśleć; teraz trzeba mi było skupić się na wywieraniu dobrego wrażenia na pani Zborniak.

– Nareszcie jesteście.

– Warunki na drodze były trudne, jechaliśmy powoli.

Cały Krzysztof – rozsądny, uważny, zapięty w pas bezpieczeństwa i na ostatni guzik.

– Bardzo dobrze, Krzysiu. – Już widziałam, jak ręka pani Zborniak wysuwa się, aby pogłaskać synka po główce. Jednak moja obecność musiała ją powstrzymać. – Witam panią. Tak się cieszę, że wreszcie mogę poznać. Zuzanna Zborniak.

– Michalina Kańska.

Wzrok, który przesuwiała po mnie, nie był nieprzyjazny. Mówił raczej: umiem się zachować, trzymam wszelkie przewidziane na dzisiejszą okoliczność formy, jestem porządną panią dobrego domu mieszczańskich cnót. I nawet jeśli słyszałam coś niecoś o twoich Platonach i xanaxach, to przyjmę cię przykładowie, bo zostałam wybrana przez mojego syna. Czuj się jak u siebie w domu; oczywiście dopóki nie zabłocisz podłogi albo nie stłuczesz zabytkowej cukiernicy. Po wymianie zapoznawczych uprzejmości pani Zborniak zaprosiła do stołu. Sztukamięs w sosie chrzanowym z buraczkami – jakżeby inaczej. Podany na bardzo dużych, okrągłych talerzach; złota obwódka lśniła na nich jak cenny klejnot, jasno dając do zrozumienia, że nie nadają się do mikrofalówki. Że w tym domu nie używa się mikrofalówki. Za to, Bogu dzięki, używa się alkoholu. Pod specyficzną postacią, ale zawsze.

– To co, dzieci? Może po kieliszeczku naleweczki?

– Oczywiście, chętnie – ożywiłam się. Może nieco nadmiernie, wnosząc po dyscyplinującym spojrzeniu Krzysztofa. Zuzanna Zborniak naląła tymczasem ciemnego płynu do kryształowych kieliszków. Zapachniało lasem, wilgotnym mchem, jeżynami.

– No to za spotkanie. – Wzniosła toast ku mnie. Zegar wahadłowy uznał za stosowne podkreślić wagę tego wydarzenia swoim biciem. Solidna robota, pudło z litego drewna, szkło odsłaniające mosiądz wahadła. Trzy głośne uderzenia. Kiedyś chciałam, by coś takiego odmierzało mi leniwe godziny w starym domu, przypominałam sobie jak przez mgłę. W tym domu? Krzysztof pozostał nieporuszony, za to jego matka koso zerknęła na zabytek. Czyżby mimo lat nie zdołała się do niego przyzwyczaić?

– Czym się pani zajmuje, moja droga? Krzyś mówił, że pracuje pani na uniwersytecie.

Przeszła do pytań z zestawu obowiązkowych, ale uczyniła to na tyle grzecznie, że można było przypisać jej po prostu chęć podtrzymania konwersacji.

– Owszem, pracuję.

– Czyli jest pani tak jakby nauczycielką?

– Tak jakby, tak. I nie tylko tak jakby: uczę też w liceum. – Miałam nadzieję, że otwartość i wyczerpujące informacje skłonią ją do nalania jeszcze po jednej kolejce. Dobra była ta jej nalewka. Domowa, krakowska, na szczęście bez oszczędzania na spirytusie.

– Nauczycielka to dobry zawód dla kobiety.

Przypominałam sobie, że Krzysztof wspominał coś kiedyś, że matka w młodości pracowała jako modelka. Moda Polska, Hoffland, zdjęcia do „Przekroju”. Odkąd wyszła za męża za krakowskiego złotnika z rodziny z tradycjami, musiała pewnie nauczyć się codziennie potępiać swoje poprzednie zajęcie. Niektórym przekonaniom udało się w niej zakorzenić przez lata funkcjonowania w środowisku o wyraźnie określonych preferencjach: modelka – nieco wstyd, nauczycielka – dobry zawód dla kobiety. Przypadłam chyba do gustu pani Zborniak i jej wyuczonemu systemowi wartości, uśmiechnęła się bowiem i spełniła moje skryte pragnienie – raz jeszcze rozlała aromatyczny płyn do kieliszków. Ciekawe, co by pomyślała, gdybym robiła to, co kiedyś tak usilnie chciałam – gdybym zamiast uniwersytetu wybrała pracę dla kraju. Choć może słowo „wybrała” stanowiło tu nadużycie; gdyby to smutni panowie od pracy dla kraju wybrali mnie. Nie sądzę, aby pani Zborniak była tym zachwycona. Chociaż wtedy pewnie nigdy nie poznałabym jej syna i nie musiałabym podejmować prób wkradania się w jej łaski. Choć te próby szły mi całkiem nieźle.

– Nauczycielka nie ma problemów z wolnymi dniami. Ze świętami, z wakacjami. I z wychowywaniem dzieci. – Jej wzrok nabrał dziwnie pytającego wyrazu. Omiótł najpierw Krzysztofa, później moją dłoń zaciśniętą wokół kieliszka. – To jak, jesteś w ciąży?

Wymieniliśmy z Krzysztofem spojrzenia. Nie wiem jak jemu, ale mnie coś takiego ani powstało w głowie. Ale cóż, logika jego matki była nieubłagana – czy poznawałaby mnie, gdyby nie zbliżające się narodziny wnuka?

– Nie, nie jestem – zapewniłam ją, a na dowód wlałam w siebie całą zawartość kieliszka. I wtedy pani Zborniak zdumiała mnie.

– To szkoda – powiedziała, nalewając trzecią kolejkę pod pełnym dezaprobaty wzrokiem syna. Z nas trojga to on najbardziej pasował do tej willi, do tego salonu, do ciężkich, skórzanych kanap, luster w złotych ramach i kilimów na ścianach. Boże, co ja tutaj robię? pomyślałam, zaciągając się ostrą wonią spirytusu wymieszaną ze słodkim zapachem leśnych owoców. Odbicie w szkle rzeźbionej serwantki pokazało mi, jak niepewny mam wyraz twarzy. Co dziwne, matka Krzysztofa wyglądała dokładnie tak samo. Czy ja na pewno chcę skończyć jak ona?

Odpisał. Mój Boże, odpisał. Nie posiadałam się z radości; cały czas przecież wiedziałam, że za którymś razem odpisze. Był koniec lutego, mroźne apogeum spóźnionej zimy, która grubymi płatkami śniegu przesłaniała widok z okien sali w gmachu głównym Wydziału Polonistyki na Krakowskim Przedmieściu.

– Po raz pierwszy człowiek jest tak bardzo wyemancypowany, odrębnie ukonstytuowany, rozpatrywany jako oddzielna tożsamość, a nie w relacji do innych. To Bóg obdarował człowieka wolnością, a on w sposób naturalny, niejako przyrodzony, robi z tej wolności użytek – doktor Jeżewski dyskutował właśnie o Locke’u; dyskutował to może określenie nieco na wyrost, zważywszy że byłam jego jedyną rozmówczynią. I właśnie zajęłam się telefonem uważniej niż angielskim myślicielem.

– To znaczy, że wczesny liberalizm jest ufundowany na podstawach metafizycznych? – rzuciłam bardziej z grzeczności niż z rzeczywistego zainteresowania tym wnioskiem. Wniosek na temat sposobu, w jaki spędzę dzisiejszy wieczór, zajmował mnie o wiele bardziej. „Jeśli tak bardzo chcesz, to wpadnij”. Chcę, nawet nie wiesz jak bardzo – to w myśli; „Będę o dwudziestej” – to do Wajnerta.

– Oczywiście, że tak. Wciąż jeszcze tak. Na kontrze do arystotelizmu, ale wciąż na bazie uzasadnień metafizycznych.

„Tylko ustalmy coś. Możemy się zabawić, ale bez żadnej emocjonalnej grozy. Przychodzisz, gawędzimy, rżniemy się i spadasz”. Materializm w swej najczystszej, najbardziej żalostnej i przerażającej postaci, jako wymowny kontrpunkt dla rozważań metafizycznych. Ja byłam towarem; bolało nieznośnie, chociaż przecież nie moje ciało zraniono.

– Bóg uczynił człowieka istotą rozumną i dał mu umiejętność współdziałania, ale nie potrzeba niczego w rodzaju umowy, by stworzyć społeczeństwo. To dzieje się samo, w oparciu o prawa natury. – Doktor Jeżewski był niez mordowany. – Nie tak jak u Hobbesa, gdzie stan natury jest opresją. Zresztą, o Hobbesie za tydzień. Przeczyta pani?

On rzeczywiście musiał wierzyć, że jestem jedyną studentką w tej grupie, z którą będzie mógł porozmawiać. I co gorsza, naprawdę miał do tego podstawy.

– Skoro człowiek jest rozumny i może wchodzić w relacje, to znaczy, że sam decyduje o ich kształcie? O kształcie więzi z innymi?

Nie wiedziałam, co odpisać Wajnertowi. Co odpisuje się na policzek wymierzony słowami? Na propozycję więzi niesymetrycznej, bolesnej i krzywdzącej? Może doktor Jeżewski wie takie rzeczy.

– Tak, oczywiście. Chociaż prawa natury popychają go w określonym kierunku.

Czyli jednak; jestem usprawiedliwiona. Ale lepiej się upewnić.

– To jak wreszcie: przymuszenie prawem natury czy wolna wola?

– Prawo natury ma źródło w rozumie. To za nim mamy podążać. – Locke żył w siedemnastym wieku, ale w ustach doktora Jeżewskiego był fundatorem oświecenia. Tego chętnie pewnego swych wątpliwych racji Wieku Świata, który wszystko, co brudne, niepokojące i podejrzane niejasne, spychał na margines.

– A co, jeśli pragniemy rzeczy nierozumnych?

Popatrzył na mnie dziwnie badawczo; na mnie i na mój telefon zaciśnięty w dłoni.

– Wtedy mamy problem. Locke rozwiązał to jednoznacznie: jeśli czynimy rzecz niezgodną z rozumem, sami stawiamy się poza prawami natury. Nic nas wtedy nie chroni; musimy ponieść wszelkie konsekwencje.

Musiał coś o tym wiedzieć; to nie mogła być tylko teoria. Może nawet sam dobrze poznał gorzki smak owych konsekwencji. Może z autopsji znał cenę za uleganie popędowi, za sprzeniewierzenie się rozumowi, za brak szacunku do samego siebie. Może wiedział, jak drogo trzeba płacić. Niby oświecenie,

niby podstawy liberalizmu, ale w powietrzu zapachniało grzechem, siarką i smołą.

Mimo że Wajnert tak żałośnie niewiele miał do zaoferowania, wzięłam i to. Każdy ochłap był lepszy niż nic; wobec ssania w dole brzucha zaskakująco łatwo przyszło mi schować dumę do kieszeni. Lędzwie ponad godnością, dreszcze wzdłuż kręgosłupa ważniejsze niż dobre mniemanie o sobie, pożądanie ponad rozsądkiem. Wstyd.

Niedobrze się czułam, idąc na Mokotowską. To było jak droga ku nieuchronnemu; choć wiedziałam, że robię źle, nie potrafiłam sobie tego odmówić. Jak tłuste dziecko, które wie, że jeśli zje jeszcze jedną tabliczkę czekolady, już nigdy nie zrobi fikołka na wuefie, jak ćpun, który nie umie zrezygnować z kolejnej działki, jak lekoman, któremu trzęsą się ręce do porcji ulubionych pastylek po tygodniach wymuszonego detoksu. Wszystko było lepsze niż brak Wajnerta; wszystko, nawet poniżenie. Jakże daleko już zaszłam na najlepszej drodze do uczynienia ze swego życia piekła. „Przychodzisz, gawędzimy, rżniemy się i spadasz” – bolesna instrukcja, szokujący egoizm, ogromna bezczelność. Tylko tyle mógł mi dać, tylko na tyle mnie oceniał. A ja godziłam się na to, mając jedynie śladowe wątpliwości, czy aby na pewno mogę przywołać cokolwiek na swoje usprawiedliwienie.

Nie widzieliśmy się przez trzy miesiące; bałam się ponownego spotkania i tym razem to ja byłam tą, której trzęsły się ręce. Mieszkanie Wajnerta niezmiennie pogrążone w ciszy książek i pyłkach kurzu, zieleń jego oczu jak zwykle naznaczona nutką goryczy, która walczyła o lepsze z błyskiem w źrenicach patrzących znad zsuniętych na nos okularów.

– No cześć – przywitał mnie tak lekko i niezobowiązująco, jakbyśmy rozstali się rano tego samego dnia, i to tylko dlatego, że ktoś musiał iść do pracy albo po bułki.

– Cześć. – Powiesiwszy płaszcz w towarzystwie jego kurtek stłoczonych na wieszakach, weszłam do pokoju. Monika Gawłowicz wciąż tam była; stała na półce w swojej fotograficznej postaci. Unieruchomiona na zawsze z dłonią podniesioną do czoła i z oczami zmrużonymi od słońca. Nie zadał sobie nawet tyle trudu, by schować to zdjęcie – pomyślałam od razu. Ale skąd miał wiedzieć, że ja wiem? I że wiem, że to się nie uda?

– Co słyhać? – zapytał, idąc do kuchni. Wstawić wodę na kawę, przynieść swoje ulubione brandy, znaleźć ciasteczka dla gości? Szukał odpowiedniego dodatku do pogawędki, która zgodnie z precyzyjnie nakreślonym planem ma poprzedzać rżnięcie. A później ja spadam. Boże, jaki diabeł sprawił, że tu przyszedłam?

– Co dobrego? – powtórzył, kiedy nieodpowiadałam. Co dobrego wydarzyło mi się przez ostatnie miesiące? Na pewno nie on, a tylko on wydarzył mi się z rzeczy, które miały znaczenie.

– Studia nie są takie, jakie myślałam. – Nie mogłam przeciągać tej ciszy; jeśli chciałam tu zostać, trzeba było dostosować się do narzuconych przez Wajnerta reguł konwersacji. Konwersacji poprzedzającej rżnięcie – punkt drugi planu, czas wykonania: piętnaście minut.

– Większość rzeczy nie jest taka, jaka myślimy, że jest.

Coś o tym wiedziałam. Tylko dlaczego to zawsze musi aż tak boleć?

– Co z twoim budowaniem? – ośmieliłam się zapytać; właściwie dlaczego by nie, skoro sam napisał mi o tym tak otwarcie.

– Mamy chwilową przerwę.

Niedokończone sprawy w Szwajcarii, ślimacząca się przeprowadzka, obiektywne trudności. A może udawanie poważnych zamiarów nie szło Wajnertowi zbyt dobrze i Monika Gawłowicz zdążyła się już zorientować, z kim ma do czynienia, i uciec gdzie pieprz rośnie? Nie chciałam drążyć tego tematu; samo mówienie przy mnie o innej kobiecie nie powinno być czymś, na co się zgadzam. Niestety, zgadzałam się na o wiele więcej i oboje o tym widzieliśmy. Mnie ta wiedza zawężyła pole manewru, jemu dawała



poczucie przewagi, z której zamierzał bezkarnie korzystać.

– Mam nadzieję, że już okej z tobą? Że przeszły ci te wszystkie bzdury, ta emocjonalna groza?

„Emocjonalna groza” okazała się więc nowym ulubionym tekstem Wajnerta. Szkoda, że nie zastosował go w żadnej swojej książce; tam wolał pisać o miłości.

– Przeszły. Oczywiście, że przeszły.

Może to była jakaś szansa? Ostatnia możliwość ocalenia resztek twarzy? I tak mi nie uwierzy, ale może będzie choć odrobinę łatwiej, gdy wejdę w bezpieczną konwencję niezobowiązującej zabawy? Niestety, śliska jest droga kłamstwa i mści się upadkiem.

– To świetnie. W takim razie możemy się pobawić od czasu do czasu. Nie będę musiał tak często wołać panienki z agencji, a ty unikniesz łażenia po klubach, żeby wyrwać jakiegoś kutasa.

Propozycja sylwestrowej orgii, „dobranie” kogoś z agencji, trójkąt z serialowym prawnikiem. Przecież od początku tylko o to chodziło – o ciało jako narzędzie, o seks jako funkcję organizmu, o rozładowanie napięcia. Wszystko inne, wszystko to, co napisał przez dwadzieścia lat, wszystko to, w co uwierzyłam – to było kłamstwo.

– Będzie miło, jeśli tylko ustawimy to sobie we właściwych proporcjach.

On, zdaje się, już ustawił, a mnie pozostało wpasować się w zastaną, i jakże wygodną dla jej twórcy, konstrukcję z klocków. Jeden z tych klocków nazywał się egoizm, drugi wyuzdanie, a trzeci – podłość. Czy da się nawrócić starego grzesznika? Zburzyć kompozycję, cierpliwie podważając każdy jej element? Czy można zatrzęść budowlą latami wznoszoną z cegieł cynizmu spojonych zaprawą z chłodu i obojętności?

– Proporcje mogą zmieniać się z czasem.

– Nie mogą – powiedział tak, jakby już próbował i wiedział, że wszelkie usiłowania zawsze pozostaną daremne. – Nawet o tym nie myśl.

Nie mógł mi tego zabronić. Zwłaszcza pod dotykiem swoich palców, pod ciepłem swoich ust, pod ciężarem swojego ciała. Wajnert szeptał mi do ucha rozkoszne świństwa, rozrywał mnie sobą, całował się ze mną, skubiąc moje wargi jak chleb o poranku. Ugryzł mnie w pachwinę; czerwony ślad jego zębów pozostał na mojej skórze niczym piętno. Był wytrawnym kochankiem, znać było w jego ruchach wprawę dziesiątek lat i setek kobiet, na których ćwiczył swoje umiejętności. Tak właśnie starałam się o tym myśleć – jako o wyćwiczonej cesze, o harcerskiej sprawności nabytej podczas obozów ogólnorozwojowych, o wytrenowanych mięśniach. Ale przecież wiedziałam, że było inaczej; to była jakaś iskra, dar Boży, jakiś sekret, który mężczyźni w jego rodzinnych stronach muszą przekazywać sobie z zachowaniem największej tajemnicy z pokolenia na pokolenie. Widziałam w wyobraźni górzysty krajobraz Szczyrku – ojcowie zabierający dorastających synów do lasu i szepczący im na ucho sekret. Inicjacja, obrzęd przejścia, magiczna wiedza w ponadpokoleniowym podarunku. Na diabelskie sekrety nie ma rady – nie skończyłam jeszcze dwudziestu lat, a wiedziałam już, że nigdy, z nikim innym nie będzie tak samo. I że choćbym nie wiem jak długo szukała, próbowała, ćwiczyła – zawsze będzie już tylko rozczarowanie. Andrzej Wajnert zostanie we mnie na zawsze. Seksualny wzorzec z Sèvres. Nikt mu nigdy nie dorówna, bo mierzone skalą Marilyn Monroe wszystkie kobiety są brzydkie. Wajnert twardniał w moich ustach i zmuszał mój język do coraz szybszych ruchów, rósł we mnie i zachęcał moje biodra najpierw do niespiesznego zataczania kółeczek i leniwego kręcenia ósemek, a później do coraz bardziej szaleńczej jazdy. Donikąd, w dal, bez celu, by potem nagle zatrzymać się na jakiejś zupełnie nieplanowanej stacji. To musiał być opuszczony dworzec; mój krzyk rozbrzmiewał w jego nagich ścianach długo i wyraźnie. Wajnert twardy i gorący, Wajnert szepczący i wydający mi polecenia, Wajnert o mocnych dłoniach i rozkosznie aksamitnym języku. Chociaż był zły, prowadził mnie tam, gdzie było samo dobro. Znajdował skarb we mnie biednej, otwierał drzwi we mnie zamkniętej, pokazywał coś,

czego sama nigdy bym nie znalazła. A może mnie naznaczał? Ustawiał poprzeczkę, do której nie da się doskoczyć, a ja byłam młoda i oszołomiona orgazmami, które następowały jeden po drugim jak małe huki i rozbłyski; myślałam, że to jest dobre, a to było przekleństwo.

\*

Krzysztof od czasu do czasu zostawał u mnie na noc; na szczęście nie za każdym razem. Nie zaproponowałam mu jeszcze, by wprowadził się do mojego mieszkania – Ewa uważała wprawdzie, że świetny na to moment, ja jednak wolałam poczekać. Zrobiłam już dużo, ale wspólną codzienność wciąż znosiłam wyłącznie w ściśle odmierzanych dawkach. Mimo to się starałam – nie tylko zapraszałam go na noc do siebie, ale też niekiedy sama zostawałam u niego. Chociaż za tym ostatnim akurat nie przepadałam; mieszkanie Krzysztofa w nowym budownictwie w starej dzielnicy było tak wysprzątane, lśniące i wychuchane, że nigdy nie czułam się w nim dobrze. Krzysztof – pewnie w kontrze do krakowskich wnętrz, w których się wychował – nie uznawał żadnych dywanów, zasłon, firanek ani innych „rozsadników roztoczy”; mieszkał wśród stali, szkła i chromu, których chłód przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Puste przestrzenie, przedmioty poukładane pod linijkę i według niezmiennego porządku, każda rzecz przypisana do jednego miejsca z absolutnym zakazem przemieszczania się. Nawet w lodówce produkty były poustawiane równiutko i karnie jak żołnierze w szyku. Nie lubiłam tam nocować – bałam się, że opryskam kafelki wodą z prysznica albo, nie daj Boże, mydłem i na wyszorowanych na błysk powierzchniach pozostaną niewybaczalne ślady. Albo że zostawię przeczytaną gazetę pod łóżkiem i Krzysztof znów będzie patrzył na mnie z wyrzutem. Muszę przyznać, że nie mówił mi wprost, jak bardzo denerwują go takie znaleźiska jak okruchy rózu do policzków na umywalce albo nierówno odłożony na stolik pilot do telewizora, ale zawsze dawał mi odczuć swoje niezadowolenie. Miną, spojrzeniem, gestem, którym poprawiał wszystko tak, jak miało być. Schludnie, zawsze tak samo, w ścisłym porządku. Poza tym ilekroć nocowałam u Krzysztofa, wiedziałam, że ze spaniem będzie wyjątkowo ciężko. Musiałam wtedy łykać podwójną dawkę xanaxu albo lexotanu, a nawet pojedyncze porcje wiązały się z nieuchronną krytyką z jego strony. Nie lubił, kiedy brałam tabletki; nie lubił tej miękkiej, sztucznej senności, jaką wyczuwał we mnie po tym, jak słyszał trzask zamka kosmetyczki i odgłos popijania. Sam był jednym z tych, którzy nigdy nie wzięli niczego mocniejszego niż melisa albo mleko z miodem, i nie był w stanie zrozumieć, że inni nie potrafią usnąć w pięć minut po zbliżeniu policzka do poduszki. Nigdy nie marnował okazji, by dać wyraz swojemu krytycznemu stosunkowi do tabletek nasennych, a tym bardziej uspokajających; rano patrzył z dezaprobatą, jak spłukuję je co najmniej dwiema szklankami wody, i z niecierpliwością czekał, aż chemiczne wyciszenie wypuści mnie ze swoich zastygłych objęć. Tyle marudził mi na ten temat, że z czasem sama zaczęłam się martwić. Łapałam się na tym, że badam swoje odbicie we wszystkich napotkanych zwierciadłach – czy aby przypadkiem mój wzrok nie przypomina tej matowej powierzchni, jaką patrzyła na świat moja matka. Czy aby na pewno ewentualna mgiełka zasnuwa lustro, a nie moje oczy. Uspokajałam się; oględziny wypadały zadowalająco, ale ciągłe uwagi Krzysztofa zostawały mi w tyle głowy. Miał też pretensje o alkohol. „Za dużo pijesz” – powtarzał mi, kiedy po ciężkim dniu w pracy prosiłam, by zrobił mi trzeciego drinka. To wszystko stawało się denerwujące, zwłaszcza kiedy musiałam przemycać wino do łazienki, jeśli chciałam napić się w kąpielni, albo ukrywać wódkę w dużej ilości soku i modlić się, by nie powąchał mojej szklanki. Wiedziałam, że i tak się stara – że powstrzymuje się od szczególnie kąśliwych komentarzy, że ma na celu moje dobro, że czasami, zamiast narzekać, po prostu decyduje napić się ze mną. Takie wieczory były najprzyjemniejsze – sączyliśmy niespiesznie po dwa drinki, Krzysztof robił mi masaż stóp, rozmawialiśmy trochę o pracy, trochę o głupotach, a nawet trochę o życiu. Ja starałam się wyciszać metodami innymi niż małe różowe

tabletki, a on próbował nie przejmować się tym, że fotel nie stoi w idealnie równej linii z kanapą. W takich chwilach jakoś dawaliśmy radę; w takich chwilach było nawet dobrze, zwłaszcza kiedy wieczory stały się na tyle ciepłe, by otwierać drzwi na taras i słuchać Wisły. Rzecz jasna, wyraźniej było słyszeć nadwiślańskie knajpy niż samą rzekę, ale i tak panował przyjemny nastrój. Od masażu przechodziliśmy powoli do seksu; leniwego seksu ludzi, którzy donikąd się nie spieszą i bardzo dobrze znają nawzajem swoje ciała. Nie było w tym zimnych dreszczy, nie było gorączki, nie było wzroku, który rozmazuje się i zanika. Było za to sporo czułości, pewność spełnienia, które nie obezwładnia, ale przynosi ulgę, gwarantowana jakość solidnego rzemiosła zamiast artystycznych porywów. Zazwyczaj po seksie nie szliśmy od razu spać; siedzieliśmy jeszcze długo w noc, słuchając odgłosów miasta, trzymając się za ręce, czytając albo gadając o bzdurach. Chociaż od lat nie paliłam, wtedy nachodziła mnie ochota na papierosa, tak przemożna, że któregoś razu Krzysztof musiał umożliwić mi jej zaspokojenie. Zszedł w środku nocy do sklepu monopolowego i wrócił z pierwszymi lepszymi papierosami, bo żadne z nas nie wiedziało, jakie teraz się pali i które są modne. Kiedy zapaliłam, w mojej głowie ruszyła karuzela, ale dym pasował do nastroju jak do obrazów Hoppera. Odtąd mieliśmy swoją tajemną paczkę papierosów, schowaną na specjalne okazje i, o dziwo, Krzysztof ani trochę przeciw temu nie protestował. W takich momentach udawało mi się nie myśleć, że to, co mam, to tylko jakieś odległe echo, niewyraźny powidok, jakaś nieudolna replika, której za pomocą starego rekwizytu usiłuję nadać walor autentyczności. Spóźniona realizacja scenariusza pisanego dla kogoś innego. Że to kręcona na siłę i w przypadkowej obsadzie powtórka filmu, w którym miał grać ktoś zupełnie inny, ale z powodu zniknięcia – a może nawet śmierci? – głównego aktora na plan trzeba było wpuścić dublera. I uśmiechać się, i udawać, że kopia jest oryginałem, i zadowalać się wersją drugą, wykoślawioną. Czasem to wszystko mi się udawało; czasem brałam tę podróbkę szczęścia za dobrą monetę i wtedy nie przeszkadzało mi nawet, że go nie kocham.

\*

Odtąd wiernie trzymałam się nowych reguł wyznaczonych przez mojego kochanka. Przychodzisz, gawędzimy, rżniemy się i spadasz. Tylko wtedy, kiedy on chce, jedynie na jego zasadach. Nasze role wciąż niezmiennie – pan pisarz z wyłącznością na fabułę tkął materię opowieści według własnych upodobań; wątek i osnowa w arbitralnie przezeń ustalonych ściegach i proporcjach. Nie uznawał współautorstwa ani też w nikim poza sobą samym nie szukał inspiracji. Ja mogłam tylko oglądać tkaninę, odczytywać coraz bardziej gruzłowate sploty, patrzeć, jak powstaje dla mnie rola, której nie chcę. Żadnych szans na to, by wspólnie z nim zasiąść przy krosnach; bierna czytelniczka pozbawiona prawa, by wejść do środka.

Brałam tyle, ile chciał mi dać, chociaż wiedziałam, że jego oferta była bardziej poniżająca, niż gdyby nic dla mnie nie miał. Nadal pisałam do niego co dwa tygodnie, licząc się z tym, że odpowiedź dostanę jedynie wtedy, kiedy akurat trafię w jego chwilowe potrzeby cielesne. Sama nie wiem, dlaczego to sobie robiłam. Dlaczego stawałam się coraz bledsza, dlaczego chudłam coraz bardziej i dlaczego paliłam coraz więcej. Nie mogłam spać; brzydkie marcowe noce, w których wciąż silny mróz walczył z nieśmiałą odwilżą, spędzałam, przekręcając się z boku na bok w sfatygowanym przez kilka pokoleń studentów łóżku. Byłam kolejnym ogniwem w łańcuchu lokatorów akademika, chwilowym dzierżawcą przechodniego materaca, który pewnie zachował w sobie zapachy i wchłonał wydzieliny dziesiątek moich poprzedników. Przypuszczalnie zatrzymał także ich emocje. Ciekawe, co robili w tym łóżku. Czy tak jak mnie coś spędzało im sen z powiek, czy raczej spali jak niemowlęta? Czy podpierali oczy na zapałki, ucząc się w pościeli do niezliczonych egzaminów? Czy może mieszkała tu kiedyś jakaś para, może pieprzyli się na tym łóżku aż do zarwania sprężyn, a może się nawet kochali? Miałam dużo czasu na

rozmyślenia – sen nie przychodził do mnie przed świtem. Czasem wcale, czasem o szarej godzinie, wtedy gdy za oknem słyhać już było ciężarówkę z pieczywem parkującą przed sklepem. Puste, niedobre, zimne noce, trudne godziny między północą a brzaskiem, który nie ma w sobie nic z optymizmu, za to wiele z rozpacz, że już, że znowu, że tym razem też nie spałam. Leżenie w ciszy i ciemności było nieznośne. Wiedziałam, jak to się kończy – czytałam Márqueza, nieuchronnie więc łączyłam bezsenność z zapominaniem. Lekkie zeszywnienie mentalnych członków, coraz mniej sprawny mózg pozbawiony niezbędnego odpoczynku, ośpienie spowalniające reakcje. Tak bardzo chciałam spać i tak zupełnie nie mogłam. Wielka potrzeba jakimś diabelskim węzłem połączona z całkowitą niemożnością jej zaspokojenia. Średniowieczni scholastycy mieli rację – paradoks to wynalazek Szatana; im bardziej chciałam spać, tym bardziej się denerwowałam w upiornym tańcu między ścianą a widokiem na okno, między kołdrą a prześcieradłem, między lewym bokiem a prawym. Słyszałam, jak sen skrada się do mnie, jak wypełza z zakurzonych kątów pokoju, jak wnika między moje rzęsy i badając teren, próbuje wślizgnąć się pod powieki. A kiedy już oddychałam z ulgą, że jest, kiedy już miałam nadzieję, że zagarnie mnie w swoje posiadanie, kiedy już chciałam osunąć się w łaskawość nieświadomości – wtedy zawsze odchodził, zmieniał zdanie, porzucał mnie na bezlitosną pastwę jawy. Nie chcę cię, mówił, odchodząc gdzieś do innych łóżek, do innych ludzi, do innych oczu. Musiałam sobie jakoś radzić – nieszczęsna ofiara niełaski Morfeusza. Nie miałam w akademiku telewizora; nie wiedziałam jeszcze wtedy tego, czego nauczyłam się lata później, w zupełnie innej sypialni, za to w tak samo uciążliwej sytuacji – że trzeba wypełnić ciszę brzęczeniem, a ciemność kolorowymi obrazkami, że trzeba prześlizgnąć się wzrokiem po wszystkich kanałach, a na koniec zostać na sportowym i oglądać do świtu powtórki walk bokserskich. Jednakże wtedy nie miałam do dyspozycji takich zagłuszaczy; byłam sama wśród nocnych godzin ciągnących się bez widoków na sen i bez żadnej nadziei. Mojej współlokatorce przeszkadzało światło lampki, ale i tak zapalałam ją, gdy już usnęła. Najpierw głównie czytałam, później czasem robiłam sobie herbatę, jeszcze później zaczęłam wychodzić na korytarz. O tej porze zazwyczaj był pusty i wyludniony, ale czasem zdarzało się, że ktoś wracał z miasta, uczył się do późna albo wstawał przed świtem w jakichś tajemniczych – i najczęściej mało przyjemnych – celach. Pozdrawialiśmy się skinieniami głów jak nocni wędrowcy mijający się na szlaku. Jarzeniówki na suficie świeciły swoim lodowatym światłem przez całą noc, posykiwały ostrzegawczo, brzęczały mi nad głową jak sztuczne muchy, które schroniły się tu, by przeczekać. Od rozszczelnionych okien ciągnęło chłodem, kiedy zawinięta w szlafrok siadałam na parapacie. Dym z papierosa przesłaniający brud ścian, rzędy ponumerowanych drzwi ciągnące się upiornie przez całą długość korytarza, sceneria z koszmaru, który niestety mi się nie śnił. Kiedy tak snułam się nocami, kiedy tak paliłam oparta plecami o szybę, za którą była tylko zimna czerń, kiedy tak nasłuchiwałam dźwięków zwiastujących świt – w takich chwilach czułam, że nie wytrzymam już długo.

– To bardzo poważne, o czym pani mówi.

Lekarka naprzeciw mnie wydawała się poruszona. Tak jakby przywykła raczej do rutynowych wizyt stałych bywalców w sprawach mało poważnych, za to niecierpiących zwłoki. Dawka leku na czas, bardzo proszę pani doktor, zanim ręce zaczną trząść mi się tak, że nie utrzymam w nich recepty.

– Od jak dawna to trwa? – indagowała mnie z zawodowym spokojem i profesjonalnym zainteresowaniem. Miała pięćdziesiąt kilka lat, okulary na łańcuszku, drugi stopień specjalizacji z psychiatrii klinicznej. Nie patrzyła mi prosto w oczy; raczej na swoją rękę z piórem gotowym do atramentowej wędrówki po podłużnej karteczce z pieczętką w lewym dolnym rogu.

– Od paru miesięcy – krótko, zwięźle i na temat. Nie chciałam opowiadać jej zbyt dużo. Czekałam na tę wizytę kilka tygodni; państwowa służba zdrowia ma swoje ograniczenia, które pozwoliły mi zebrać siły i dokładnie się zastanowić nad tym, co mówić, a co pominać, by wyjść stąd z receptą, ale bez

skierowania na dalsze leczenie.

– Brak snu w tak długim okresie może być naprawdę groźny.

Chyba nie musiałam się martwić, że nic mi nie przepisze; była bardziej przejęta niż ja. Niesłusznie bałam się tu przychodzić; trzeba to było zrobić o wiele wcześniej. Państwowy szpital psychiatryczny wraz z poradnią – prawie jak sanatorium, mimo że w ramach Kasy Chorych. W estetycznych wnętrzach, skutecznie i na żądanie świadczymy pomoc psychologiczną. Elegancko, bezboleśnie i nawet całkiem modnie. Nie było tu wcale drzwi bez klamek, kaftanów bezpieczeństwa ani aparatury do elektrowstrząsów. Tak jakby receptariusz, tajemnicze nazwy magicznych substancji i sekretne specyfiki wynajdywane przez alchemików z koncernów farmaceutycznych zastąpiły już tamte wszystkie mniej nowoczesne, a bardziej upiorne metody. Obawy na bok, stereotypy do kosza, scenografia z *Lotu nad kukułczym gniazdem* do muzeum kinematografii. A może po prostu na zaplecze?

– Nie jest przecież tak, że w ogóle nie śpię. Tylko że... bardzo mnie to już męczy. Wszystko mnie męczy.

– Nie dziwię się, to musi męczyć. – Sięgnęła po bloczek receptowy. Był rozkosznie biały; można było napisać na nim wszystko. Wszystko, czego tylko dusza zapagnie; wszystko, co może ją uleczyć. Albo do reszty popsuć. – Dam pani coś na sen, oczywiście. Proszę to łykać na pół godziny przed pójściem do łóżka, przez jakiś tydzień radziłabym zażywać codziennie, a później w zależności od potrzeby.

Patrzyłam na pociągnięcia jej pióra na kartce; sen w pigułce, idealny lek, nowoczesna generacja. Ciekawe, czy śni się po nim cokolwiek. Przecież zbawienie nie może być takie proste.

– Trudności z zasypianiem rzadko występują jako samoistny problem. Czy coś jeszcze pani dolega?

Psychiatra wyglądała jak dobra ciocia albo pani z sąsiedztwa; jak jedna z tych, które w dzieciństwie zawsze dawały ci cukierki.

– Tak, właściwie to tak. Czasami odczuwam niepokój... Podenerwowanie, lęk, ciągle powracające myśli.

– Wszystko jasne: stany lękowe. – Diagnoza postawiona na podstawie jednego zdania, ale za to z niezbitą pewnością. – Może niezbyt silne, jeszcze niezbyt silne, ale stany lękowe. Zapiszę jakąś benzodiazepinę, wyciszy panią.

Kolejna recepta, jeszcze jedno hojne pociągnięcie piórem. Nieistniejące choroby, skuteczne lekarstwa, podejrzana łatwość kojących rozwiązań. Dobrze, że pani doktor nie podejrzewała mnie o skłonności samobójcze.

– Coś poza tym? Jakieś obniżenie nastroju? Odczuwa pani smutek?

Cóż można odpowiedzieć na takie pytanie? Odczuwam smutek nieustannie, każdego dnia i każdej nocy, noszę go w sobie jak dziecko – tak samo jak ono rośnie we mnie, ciąży mi i wysysa ze mnie siły, ale w odróżnieniu od prawdziwego dziecka nigdy się nie urodzi. I nawet nie da się go wyskrobać.

– Nie, chyba nie. Ja... rozstałam się z narzeczonym. Znaczący się, nasz związek nie okazał się tym, czym miał być.

Idiotyczne kłamstwo, wątpliwe usprawiedliwienie, stek bzdur. „Narzeczony” i „związek”; nie wiem, czy istnieją bardziej niewłaściwe słowa na określenie Wajnerta i mojej z nim relacji. Z drugiej strony przecież nie kłamałam aż tak bardzo – nawet jeśli on ze mną nie, na pewno ja byłam z nim związana. Siłą swoich wyobrażeń, niestety.

– Smutek w takiej sytuacji jest absolutnie naturalny. – Wyrozumiałość mojej psychiatry była iście matczyzna. Ciekawe, co kwalifikowałoby się do przekroczenia granicy między absolutnie naturalnym a zupełnie nieakceptowalnym? Atak z nożem, odkręcenie gazu w kuchni, napad szału w miejscu publicznym? Ale wtedy pewnie dostałabym się tu tylnymi drzwiami w eskorcie roślących pielęgniarzy. – Przepiszę pani antydepresant, taki delikatny.

– Ale... ja nie mam depresji. – Popatrzyła na mnie wzrokiem pełnym pobłażania dla mojej nieświadomości. Kolejna recepta, kolejna dawka szczęścia prosto z fabryki łatwych pocieszeń, kolejny przyczynek do triumfu farmacji nad ukojeniem wypracowywanym w pocie czoła praktyk religijnych czy rozważań filozoficznych. Cohen śpiewa, że nie ma lekarstwa na miłość. Może już wynaleźli?

– Proszę to sobie pozazywać przez miesiąc. Trzy razy dziennie, codziennie. Zobaczy pani, że będzie lepiej.

Nie szukałam znieczulenia, chciałam tylko czegoś, co pozwoli mi spać. Kolorowe bogactwo pigułek, w które miały zamienić się zapisy na receptach, jakoś nie wzbudzało mojego entuzjazmu. Matka lubiła proszki uspokajające; odkąd pamiętam, jej oczy miały trochę zbyt matowy odcień, a były okresy, kiedy nie odzywała się właściwie do nikogo z wyjątkiem psa. Ale może skoro dają, to należy brać?

– Wie pani, wzięłam kiedyś tabletkę mojej matki. Xanax. Podobało mi się. I boję się, że mogłabym to polubić.

Lekarka przyjmująca pacjentów w największym warszawskim szpitalu psychiatrycznym spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Oczy miała zaskakująco rozbiegane. A może właśnie wcale nie zaskakująco; może to normalne dla jej profesji? Po chwili wahania wydarła z bloczka receptowego jeszcze jedną kartkę. „Xanax 0,5 mg” napisała całkiem czytelnie. A zatem tak to działa – jest tak, jak pisze Szymborska: innego diabła już nie ma, ale każdy diabeł ma swoje własne imię i można sobie wybrać, przez którego życzymy sobie być wodzeni na pokuszenie.

– Wszyscy lubimy – powiedziała psychiatra, podając mi receptę jak urzędowe poświadczenie przyjęcia w poczet wtajemniczonych.

\*

Chociaż minęło już pięć miesięcy od noworocznej obietnicy Marka Misiaka, to jego orientalna podróż z Ewą wciąż pozostawała w sferze marzeń. Nie pojechali jeszcze do Stambułu – ani do tego ze snów profesora, ani nawet do prawdziwego. Za to ja i Krzysztof wybieraliśmy się w drogę. Moja siostra pewnie cieszyłaby się z romantycznej podróży o wiele bardziej, ale to ja miałam jechać.

– Majowy weekend w Barcelonie. Słońce, morze, zwiedzanie miasta. Będzie pięknie – zachęcał Krzysztof, kładąc przede mną dwa bilety lotnicze i potwierdzenie rezerwacji w hotelu o wiele mówiącej nazwie Pod Amorem. Może i było to wszystko odrobinę sztapowe, ale nie mogłam zaprzeczyć, że się stara. Że zabiega, próbuje, wychodzi z inicjatywą. Zadbał o każdy szczegół naszej wyprawy – niósł walizki na lotnisku, w samolocie z troską pytał, czy mam dość miejsca na nogi, i nawet oszczędził sobie krytyki, kiedy z bagażu podręcznego wyjęłam przemycone na pokład małpki z wódką. A na miejscu było jeszcze lepiej – Krzysztof zwiedzał miasto z entuzjazmem, ale bez gorliwości w stylu japońskich turystów, nie zagłuszał fal zbędnymi słowami, kiedy leżeliśmy na plaży, wpatrując się w złączone linie wody i nieba, nie tylko nie narzekał, kiedy w ulicznych restauracjach zamawiałam sangrię w wielkim dzbanku, ale nawet pił ją razem ze mną. Po raz pierwszy czułam się z nim naprawdę dobrze; może służyła mu zmiana klimatu, a może przerwa w pracy. Tak jakby wraz z dyżurami w telewizji pozbył się sztywnego gorsetu więzących go zasad. Pod śródziemnomorskim niebem Krzysztof stał się mniej akuratywny, mniej adekwatny i nawet nieco mniej trzeźwy. Jakby intensywny błękit i świetliste powietrze o zapachu soli łagodziły napięcia, zaokrągląły kanty, rozprostowywały wszystkie mentalne zagniecenia. Hiszpańska sól morską rozpuszczała polską skrobię – krochmal jego ograniczeń roztopiał się pod katalońskim słońcem, wypłukiwał się w ciepłej wodzie i Krzysztof, tracąc sztuczną sztywność, odsłaniał powoli prawdziwą strukturę materiału swojej osobowości. Stawał się mniej gładki, ale na pewno przyjemniejszy w użyciu. Śmiał się więcej, w knajpach rozmawiał głośniejszym głosem, dno w butelce wina osiągał

szybciej niż kiedykolwiek w Warszawie. Służyła mu uroda miasta tętniącego życiem i rozkwitającego bujnością dojrzałej, południowej wiosny. Barcelona okazała się jednocześnie taka, jak na błyszczących fotografiach w folderach turystycznych, i zupełnie inna. Fascynowała naturą rozkwitłą w parku na górze Montjuïc i imponowała kulturą dzielnic bohemy artystycznej. Pomimo urbanistycznej precyzji i architektonicznego wysmakowania niewątpliwie miała śródziemnomorski charakter. Z jego nieodłączną skłonnością do lekkiego bałaganu, oczywiście. To miasto było eleganckie, ale ani trochę nie sztuczne, zabytkowe jak eksponat w muzeum albo galerii, ale nieoddzielone od oglądającego żadną szybą, w pełni świadome swojej atrakcyjności, a jednak skrywające w cienistych podwórkach i chłodnych wnętrzach kościołów kilka mrocznych tajemnic. Ogłuszało hałasem Rambli, by już za chwilę, tuż za rogiem, poruszyć ciszą we wnętrzu katedry strzelistej i surowej jak wykute w kamieniu marzenie masona. Monumentalne kwartały pełne szerokich arterii i reprezentacyjnych kamienic sąsiadowały z robotniczymi dzielnicami, gdzie gwar dobiegający z barów *tapas* mieszał się z krzykiem mew dochodzącym z portu. Modernistyczny rozmach, czteropasmowe aleje jakby stworzone po to, by maszerowało nimi frankistowskie wojsko, wcielony w życie koncept miasta doskonałego, który dziewiętnastowieczny piewca nowoczesności wymierzył co do centymetra i wyrysował z geometryczną precyzją. Dzięki łaskawości królewskiego dekretu żywa tkanka miasta zastąpiła papier milimetrowy, a doskonała symetria ulic i kwadraty placów nałożone zostały na anarchistyczne skłonności mieszkańców. Efekt do dziś zachwycał turystów pielgrzymujących z całej Europy. Wijące się ku morzu uliczki dzielnicy gotyckiej i chaos Starego Miasta sąsiadowały z wyrafinowanym modernizmem i uporządkowaną strukturą dzielnic wyrysowanych od linijki, zaplanowanych co do załamania gzymsu i krawędzi ławki na skwerku. Zaskakująco łatwo było przejść od bogato zdobionych fasad eleganckich kamienic do obdrapanych tynków i sznurów na pranie porozwieszanych między oknami w tej części miasta, która w czasach świetności Republiki była pewnie bastionem dumnych robotników, a teraz stała się po prostu dzielnicą biedoty. Lumpen w miejsce proletariatu, szemrany urok – bez zmian. Małe sklepiki, w których leniwie obracający się wentylator zastępuje klimatyzację, ciemne wnętrza lokali, o których nie wspomina żaden przewodnik, ogorzałe od słońca i wiatru twarze mężczyzn, którzy zmierzają gdzieś w sobie tylko wiadomym celu, ale zawsze w kierunku portu. Wszystko tak bardzo wątpliwej reputacji i tak malownicze, że masz ochotę wejść do pierwszego lepszego baru dla tubylców, zaszyć się w mrocznym kącie z arsenałem przekąsek nadzianych na wykałaczki i zostać tam na zawsze, a przynajmniej do wieczora, z kieliszkiem hojnie uzupełnianym cawą, prawie tak dobrą i prawie tak musującą jak prawdziwy szampan.

Z takich knajpek – już nieco pijani, ale wciąż jeszcze nie upici, na lekkim rauszu przyjemnym jak powiew wiatru na rozgrzanych policzkach – wracaliśmy do hotelu na seks, który smakował tu zupełnie inaczej niż w domu. Zlizywałam ze skóry Krzysztofa maleńkie kryształki soli, którymi przesycone było tutejsze powietrze, krzyczałam głośniejsze, niż zwykłam to robić w domu, a tym bardziej w gabinecie na uczelni, rozkosz wypływała ze mnie większą ilością śluzu. W Barcelonie wszystko było bardziej – orgazmy bardziej mokre, sutki bardziej sterczące i brązowe, tajemnicze miejsca w zgięciu łokci i kolan bardziej wrażliwe na dotyk. A później powolne stygnięcie w skotłowanej hotelowej pościeli, odgłosy obcego, odrobinę egzotycznego miasta dochodzące zza otwartych drzwi na balkon, to dziwne, nierzeczywiste uczucie, że jesteśmy tak daleko, tylko my, zupełnie gdzie indziej niż tam, gdzie naprawdę toczy się nasze życie i gdzie przynależymy dziesiątkami powiązań, uwarunkowań i układów. Zamiast zimy – lato, zamiast górskiej wsi – duże miasto, ale czy to nie było trochę tak jak w małym domku zasypanym śniegiem? Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślałam, że tak.

Nasz hotel mieścił się w jednej ze starszych, nieco zaniedbanych dzielnic. Ze swojego pokoju mogliśmy podglądać życie ludzi z kamienicy naprzeciwko. Ozdobne, choć gdzieś tam nadkruszone gzymsy, drewniane okiennice pozamykane na głucho do późnych godzin wieczornych, gwiazdy żelaznych

prętów oddzielające jeden kuty balkon od drugiego. Pewnie po to, aby w razie niewierności żony uniemożliwić ucieczkę kochankowi. Trochę jak Hawana, odrobinę jak Márquezowskie Macondo. Poza czasem, poza rzeczywistością, z dala od tego wszystkiego, co w każdy zwykły dzień w chłodnym kraju na wschodzie Europy stanowi treść naszego właściwego życia. Czy także z dala od tego, co przez lata odłożyło się w nas chropowatymi złoгами lęku i murami obronnymi nieczułości?

Wiele rzeczy było tam innych i dla mnie tak zapomnianych, że prawie zupełnie nowych; wszystkimi nimi cieszyłam się w towarzystwie Krzysztofa. I towarzystwo to nie stanowiło dla mnie żadnej uciążliwości; było mi miłe, pomimo że przecież nieustanne. Mojego dobrego nastroju nie zmącił nawet Gaudi – bo on jeden stanowił słabą stronę Barcelony. Fantazyjne wille jak przesłodzone torty ze snu pijanego cukiernika dało się jeszcze znieść, ale bombastyczna podróbka katedry była już nie do przyjęcia. Po tym jak odstaliśmy swoje w trzygodzinnej kolejce do zwiedzania Sagrada Familia, bezmiar jej kiczu objawił się nam w całej okazałości. Gigantomania wyzierająca z horrendalnego rozmachu niedokończonych konstrukcji, przesadne nagromadzenie ozdób i motywów, skazana na stylistyczną porażkę próba zbudowania od nowa i lepiej czegoś, co jest stare i tak dobre, jak tylko może być. Czyżby opętany wizjoner z przerośniętym ego naprawdę wierzył, że może stworzyć katedrę lepszą od gotyckiej, że swoimi ozdóbkami poprawi styl średniowiecznych budowniczych, że dzięki kopii – zohydzonej i powiększonej do przerażających rozmiarów – zostanie uznany za mistrza? Oglądając tę architektoniczną kakofonię, do wyboru miałam tylko niesmak albo śmiech; ponieważ byłam w łagodnym nastroju, wybrałam to drugie. Chichotaliśmy z Krzysztofem jak gimnazjaliści, wskazując sobie palcami co upiorniejsze detale: kokardki, choineczki, ptaszki z włosami w dziobach. Tłumy wokół nas w nabożnym skupieniu podziwiały tę karkołomną próbę redefinicji katedry, swoim uznaniem zaświadczać, że kicz ma – w tym przypadku dosłownie – kolosalną przyszłość. Cała ta wizualna tandeta zmęczyła mnie na tyle, że wieczorem potrzebowałam ukoić oczy; widok morza nadawał się do tego najlepiej. Najpierw uspokajający błękit w stu odcieniach, później zachodzące słońce kładące się na falach jak roztopione srebro, a wreszcie ciemność uniemożliwiająca odróżnienie nieba od wody i wody od brzegu. Tamtego wieczoru, po upiornym Gaudim, siedzieliśmy na plaży długo w noc. Mało uczęszczane miejsce, pokusa o słonym smaku, podniecenie zwielokrotnione groźbą, że ktoś nadejdzie, mimo ciemności zobaczy nas, przyłapie.

– No chodź do mnie – powiedziała, wkładając sobie rękę Krzysztofa pod spódnicę. Gdyby nie rozluźniający obyczaj kontekst wycieczki, nigdy bym mu tego nie zaproponowała. Wiedziała, że w normalnych, codziennych okolicznościach nigdy nie zdecydowałby się na seks w miejscu publicznym. Nawet tutaj, pod łaskawą osłoną ciepłej hiszpańskiej nocy, z początku nie chciał, wzbraniał się, mówił, że nie wypada. Ale jednak zrobił to – pieprzył się ze mną na plaży; pospiesznie i dość nerwowo, rozglądając się na boki i nie zdejmując ubrania, ale owszem i do końca. Leżałam pod nim na plecach, a ziarenka piasku były jak małe mrówki wędrujące po kopcu mojego ciała. Piasek pod bielizną, piasek we włosach, piasek na twarzy. Kiedy Krzysztof był we mnie, zawsze zamykałam oczy wtedy, gdy czułam, że jestem już blisko. Tamtej nocy na plaży zamknęłam je jak zwykle; po chwili doszłam, eksplodowałam, trysnęłam. Długo nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. I to wcale nie ze względu na przezroczystą ciecz, którą zmoczyłam swoje niezdjęte ubranie i Krzysztofa. Chodziło o drugą rzecz, która stała się po raz pierwszy od bardzo dawna – kiedy zamknęłam oczy, to nadal był on.

Resztę pobytu przetrwałam w lekkim oszołomieniu; Krzysztof zaś zdawał się być w euforii. Jakbyśmy oboje pod południowym słońcem stali się lepszymi wersjami siebie – lżejsi od wad, uwolnieni od ograniczeń, odciążeni od bagaży, które przygniatają plecy i zamykają serca. Ostatniego wieczoru w Barcelonie powędrowaliśmy niespiesznym spacerem do dzielnicy portowej słynącej z rybnych restauracji i owoców morza podawanych na najwymyślniejsze sposoby. Szliśmy na ostrygi – surowe,



nieprzyzwoicie seksualne, kipiące nie tylko od słonawej zawartości gotowej do wciągnięcia w usta, ale też od skojarzeń. Muszla, ssanie, pieszczota, którą lubiłam najbardziej. Wyprawa ku własnemu podnieceniu i w hołdzie Remarque'owi, który nie miał nic wspólnego z hiszpańskim miastem portowym, ale o ostrygach pisał tak, że natychmiast dostaje się apetytu. Na seks.

– Tak się cieszę, że tu przyjechaliśmy. Kocham cię – Krzysztof mówił z przejęciem, ścisnął mnie za rękę, skórę dłoni miał suchą i gorącą. Knajpki i restauracje Barcelonety przestały być rozmażanym celem na horyzoncie, a zaczęły nabierać kolorów i kształtów; obu bardzo zmysłowych.

– Ja ciebie też – odpowiedziałam mu, a ta odpowiedź przyszła do mnie tak naturalnie, tak bez zastanowienia spłynęła z moich ust, że prawie uwierzyłam, że musi być prawdą. Cieszyłam się, czułam się dobrze z Krzysztofem, były we mnie spokój i zadowolenie. Tak jakby to była właściwa wersja mojego życia; wcale nie trzecia, zastępcza, której desperacko usiłuję się schwycić po tym, jak dwie – ta pierwsza, najważniejsza, i ta druga, która miała stać się wypełniaczem pustki i dostawcą zamienników ekscytacji – zawiodły. Trasa naszego spaceru wiodła przez jeden z tych nadmorskich bulwarów, w których budowie Hiszpanie osiągnęli mistrzostwo i którymi ozdabiali nie tylko własny kraj, ale i wszystkie swoje zamorskie włości. Leniwe, kolonialne klimaty z lekko karaibskim posmakiem. Korony palm kołyszące się na wietrze, szeroka promenada, bezkres morza po prawej. Pewnie nie byłam sobą w tej bajkowej scenerii, a rozmazana linia wodno-niebiańskiego horyzontu łagodziła ostrość mojego spojrzenia na świat. A może właśnie wtedy znalazłam pod warstwami ochronnymi tę mnie, która była prawdziwa? Może to właśnie było szczęście.

\*

„Masz dziś wolny wieczór?” Nie podobało mi się to pytanie. Wiedział, że studiuje, teoretycznie więc każdy mój wieczór był wolny. Pytając, zakładał, że coś, a raczej ktoś, może mi go zajmować. Podkreślał, że nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań, że każde z nas ma swoje życie, swoje zajęcia i swoje rozrywki. Nienawidziłam tego założenia – chciałam, aby to Wajnert wypełniał mi wieczory, jednak zdawałam już sobie sprawę z nikłego stopnia realizmu tych oczekiwań. Odkąd tak dobitnie i boleśnie przedstawił mi założenia naszej znajomości, mimo całej swojej determinacji nie potrafiłam sprawić, by zbliżył się do mnie; było tak, jakby nakreślił wokół siebie nieprzekraczalną linię, wyznaczył dopuszczalną przestrzeń i ani kroku dalej. „Przychodzisz, gawędzimy, rżniemy się i spadasz” – to albo nic. Zbyt dobrze pamiętałam nic, by się na nie decydować, a przełykanie poniżeń szło mi już całkiem niezłe; moc małych, delikatnie różowych tabletek nie pozostawała tu bez znaczenia. Wajnert tymczasem był jak kowboj na teksańskiej dzikiej prerii – *private area, no trespassing*, stój, bo strzelam. Tak jakby naprawdę najlepiej było mu na swoim samotnym ranczu. Czy raczej na zamku na Mokotowskiej, do którego tylko dla kaprysu – i wyłącznie na chwilę – wpuszczał gości. Mur obronny, fosa, żelazne kraty trochę ze średniowiecza, a trochę z disneyowskich o średniowieczu wyobrażeń. Niepodzielny władca swego małego królestwa, pan na samotnej warowni, obrońca konstrukcji uczuciowej autarkii. Tego wieczoru jednak most zwodzony poszedł w dół – tym razem samotny rycerz potrzebował damy do towarzystwa.

– Cześć. – Jego głos w słuchawce nie brzmiał tak pewnie jak ostatnim razem. Nie tak autorytatywnie jak wtedy, kiedy kazał mi obracać się na brzuch, podpierać dłońmi i wysoko unosić pośladki. – Cześć. Dzwonię, bo... skoro masz wolny wieczór, to pomyślałam, że może... – Pauzy zupełnie do niego niepodobne, niejasne wahanie, jakieś rozmazanie. – Wpadnij do mnie. – Wreszcie udało mu się zebrać siły na jednoznaczny, i dość zaskakujący, komunikat. – Wpadnij do mnie na noc.

Fala ciepła w dole mojego brzucha jak na zawołanie rozpoczęła swoje mrowiące poruszenia. Ale coś

jednak im przeszkodziło. Jakiś element nie pasował do kuszącej perspektywy.

– Potrzebuję, żebyś została u mnie na noc. Przyjedź.

To nie była obietnica rozkoszy i intymności, to było echo strachu. A może nawet paniki?

– Wsiądź w taksówkę i przyjedź do mnie. Jak najszybciej.

To wreszcie była moja kolej, by coś powiedzieć. Ale cóż to mogło być innego niż:

– Tak, jasne.

– Świetnie. – On też, zdaje się, traktował moją odpowiedź jako wyłącznie czystą formalność. – Tylko jak najszybciej, laleczko z porcelany. Pamiętaj.

– Coś się stało? – moja współlokatorka nie byłaby sobą, gdyby nie zapytała natychmiast, gdy tylko skończyłam rozmowę.

– Nie. Nic. Nie wiem. – O dwa słowa za dużo, atak koleżeńskiej inkwizycji był już nieunikniony.

– Jak to nie wiesz? Tak dziwnie z nim rozmawiałaś. Bo to był facet, prawda?

– Facet, facet – potwierdziłam machinalnie, rozglądając się za rzeczami, które chciałam ze sobą zabrać. Jutro rano miałam ważny wykład, a później kolokwium z teorii literatury; musiałam wziąć zeszyt z notatkami i zadany tekst, który jak dotąd udało mi się przeczytać jedynie do połowy. Może jeszcze zdążę.

– Jedziesz do niego na noc? – Jej zainteresowanie rosło wprost proporcjonalnie do liczby rzeczy, które wrzucałam do torby. Przy kosmetyczce i koszulce nocnej osiągnęło apogeum. Dobrze, że nie zauważyła małego blistra tabletek, z którym ostatnio nie rozstawałam się dłużej niż na pół dnia.

– Tak, jadę. – „Jak najszybciej”, rozbrzmiewało mi w uszach polecenie Wajnerta. Niespodziewanie okraszone pieszczotliwym określeniem. Może to jego głos w mojej głowie ułatwił mi ucieczkę od dalszych indagacji. – To do jutra, na razie.

– Jak to do jutra? Ja nawet nie wiem, jak on się nazywa!

Oczywiście nie wybierałam się na Mokotowską taksówką – nie było mnie na nią stać, Wajnert musiał się więc liczyć z tym, że tempo realizacji jego prośby będzie zależało od rozkładu jazdy stołecznych tramwajów. Widać ta wersja „jak najszybciej” była nie dość szybka, bo kiedy wreszcie stanęłam w jego drzwiach, był zły. Zły, nie w formie, dziwnie rozedrgany.

– Nareszcie. Dlaczego tak długo to trwało? – Nigdy nieskory do uczuciowych manifestacji, teraz obejmował mnie tyleż kompulsywnie, co z przesadnym entuzjazmem. – Tak się cieszę, że jesteś. – Jego złość podejrzenie płynnie przechodziła w ulgę. Podejrzenie zwłaszcza w kontekście rozchełstanego szlafroka, rozczochranych włosów, dziwnie zamglonych oczu.

– Odwołaj wszystko i zostań tu ze mną. – Nie pachniał swoimi perfumami; dziś zastąpiła je mieszanka przetrawionego alkoholu, potu i strachu. Andrzej Wajnert się bał. Nie wiedziałam czego, ale bał się ewidentnie i niewątpliwie. Zapach strachu był silniejszy nawet od unoszących się wokół niego gorzelnianych oparów. – Proszę cię, zostań tu ze mną. Zostaniesz, prawda?

Jego palce kurczowo zaciśnięte na moich ramionach, oddech przesiąknięty spirytusem, jego skóra mokra od potu pod przybrudzonym, nieświeżym szlafrokiem. To było nieprzyjemne i odpychające, ale gdzieś w mojej głowie otwierała się mała furтка na szerokie pola interpretacji. Wajnert mnie potrzebuje. Wajnert mnie chce. Wajnert nie poradzi sobie beze mnie.

– Zostanę. Oczywiście, że zostanę.

– Nie zostawisz mnie, prawda? – Wiedziałam, że będę miała siniaki od jego uścisku. Zaciskał palce coraz mocniej i mocniej, tak jakby moje ramiona były dla niego kawałkiem drewna, którego może się uchwycić, tonąc. – Nie zostawisz mnie nawet wtedy, kiedy przyjdą?

– Kto przyjdzie? Andrzej, o czym ty mówisz?

– Oni. Oni po mnie. Zawsze przychodzą stamtąd. – Skinął głową w kierunku sypialni. – Ale jeśli ty

będziesz ze mną, to może zostawią mnie w spokoju.

Zaczął mnie całować – desperacko, zachłannie, rozpaczliwie. Jego język był szorstki od wypalonych w nadmiarze papierosów, usta smakowały jak popiół, a w ślinie można było wyczuć kwaskowate niteczki wymiocin.

– Przepraszam, że to zrobiłem. – Nie wiedziałam, czy ma na myśli ten pocałunek, nadużycie alkoholu czy jeszcze jakieś inne działania, które złożyły się na te opłakane skutki. Czy może to, że kazał mi tu przyjechać i patrzeć na to wszystko?

– Już dobrze. Chodź, położysz się na chwilę. – Właściwie wcale nie byłam przekonana, czy kładzenie się jest dobrym lekarstwem na chorobę duszy, ale zdaje się, że w przypadku Wajnerta infekcja dopadła już również ciało. Trząsał się, spływał zimnym potem, miał dreszcze.

– Ale posiedź przy mnie. I broń Boże nie gaś światła.

Nie zamierzałam – ojciec, kiedy więcej wypił, też zawsze spał przy świetle. Tylko że z Wajnertem sytuacja była o wiele gorsza niż z moim ojcem kiedykolwiek. Jakoś udało mu się dotrzeć o własnych siłach do barłogu, który uczynił ze swojego łóżka. Skłębiona pościel, puste butelki niedokładnie wepchnięte pod szafkę, kłębki kurzu zalegające w kątach.

– Długo tak pijesz?

– Dwa dni dopiero. – Podążył za moim wzrokiem w kąt pokoju. – Ale od tygodnia nikogo nie wpuszczalem. Nikogo, sprzątaczkę też nie. Nikogo nie chciałem oglądać. Tylko ciebie. – Pociągnął mnie za rękę tak, bym usiadła obok niego. I wtedy zorientowałam się, czego mi brakuje w sypialni Wajnerta. Jaki istotny element zniknął stąd od czasu, kiedy bawiłam tu po raz ostatni. Brakującym szczegółem były lustra. Dwie ściany sypialni Wajnerta zajmowały przecież lustra – teraz zamiast naszych twarzy i refleksów na szklanej tafli widziałam ciemne czeluście szaf. Całkowicie pootwierane, bezwstydnie odsłaniające swoje tajemnice. Rzędy identycznych czarnych koszul pojedynczo i starannie poumieszczane na wieszakach, kilkanaście dzinsowych kurtek pedantycznie ułożonych jedna przy drugiej, rąbki pieczołowicie poskładanych majtek wystające znad brzegu szuflad. Wajnert ubraniami obnażony, odzież odsłonięty w swoim starokawalerskim umiłowaniu porządku. Patrzyłam na te smutne rzędy perfekcyjnie porozwieszanej konfekcji, ale przecież wcale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było, dlaczego Wajnert odsłonił sekrety swoich szaf. A zrobił to, ponieważ się bał. Bał się luster. Luster, które poinstalował tu na własne życzenie – i pewnie za niemałe pieniądze – i z których nie omieszkał korzystać, podziwiając pod każdym kątem wygięcie pleców, układ rozłożonych nóg i grymasy rozkoszy na twarzach swoich kochanek. Teraz nie tylko nie doceniał zwierciadlanych walorów swoich ścian; teraz chyba nawet bał się tego, co mogłyby mu pokazać.

– Stąd wychodzą. – Musiał dostrzec, w co wpatruję się z takim zainteresowaniem. – Właśnie z tych cholernych luster. Nie mogę na nie patrzeć.

Najpierw pomyślałam o małym chłopcu, który chociaż ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, lata małżeństwa i trzynaście ksiązek na koncie, to wciąż boi się potwora z lustrzanej szafy. Ale już za chwilę dopadły mnie skojarzenia tyleż jednoznaczne, co przerażające – białe myszki, ocierające się o łydki nieistniejące koty o miękkiej sierści, ufoludki i ich oczy błyszczące w ciemnościach. Zmącone zmysły i nieopanowany strach, *delirium tremens* i krew ścięta w żyłach.

– Posłuchaj, Andrzej. Musisz jechać do szpitala.

Jego mętny wzrok odzyskał nagle ostrość. Zimne, wilgotne palce zacisnęły się wokół mojego nadgarstka.

– Nie. Nie ma mowy. Nie pojedę.

Pomyślałam o migającym kogucie na dachu ambulansu, o zimnych niebieskich rozbłyskach. O twarzach sąsiadów wyglądających na klatkę i o chłodnych pytaniach lekarza z pogotowia. O pełnych pogardy

sanitariuszach palących papierosy przed wejściem i o nagłówkach w jutrzejszym brukowcu. „Znany pisarz upity do nieprzytomności”, „Pogotowie wezwane do pijaka”, „Zabalował? Karetka przyjedzie. Za nasze pieniądze!”.

– Nie musimy wołać karetki. Pojadę z tobą do szpitala, taksówką.

– Nie. – Widać poznał, że moja determinacja nie była wielka, bo jego wzrok znów się rozmył. Rozpłynął się w kałużach brudnej zieleni przysłoniętej rzesą nieprzytomności. – Wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko zostaniesz.

Nie powiedział tego, ale miałam wrażenie, jakbym chwilowo została zaangażowana do przechodniej roli. Ta sama sztuka, stały scenariusz, zmieniająca się obsada. Tak jakby ćwiczył to już wiele razy i wiedział, że się uda, jeśli tylko nie zostanie bez opieki. Obojętnie czyjej. Odsunęłam od siebie te myśli – Wajnert mnie potrzebował i nie zanosilo się, że będzie łatwo. Wręcz przeciwnie.

– Daj mi telefon – zażądał zdecydowanie. Na tyle zdecydowanie, że prawie trzeźwo. Gdyby nie kropelki potu na jego piersi, drżenie rąk i obcy wychodzący z luster, właściwie można byłoby uznać, że jest trzeźwy. Nie zachowywał się jak pijak. Żadnych śpiewów ani płaczącego się języka, żadnych płaczących wyznań ani przyplływów alkoholowej odwagi. Żadnych klasycznych objawów przedawkowania właściwych tym, którzy piją towarzysko i okazjonalnie. Wajnert grał w innej lidze i nie robił tego od wczoraj. Świadczył o tym niezbitcie numer, który pokazywał mi właśnie w swoim telefonie.

– To jeśli już będzie naprawdę źle. Bardzo źle, rozumiesz? Wtedy zadzwonisz i przyjadą. Kroplówka, zastrzyki, te sprawy. Forsa jest w pierwszym tomie *Dzieł zebranych* Montaigne’a.

Numer-ostatnia deska ratunku był wpisany w jego telefonie pod nazwą „Doktor”. Domowe wizyty o każdej porze dnia i nocy, błyskawiczne odtrucia, magiczne mikstury stawiające na nogi zmęczonych życiem. Skutecznie, dyskretnie, za sowitą opłatą. Widywałam czasem takie ogłoszenia w prasie, słyszałam tu i ówdzie, że przecież anestezjolodzy też muszą z czegoś żyć, skoro wszystkie łapówki zawsze trafiają do chirurgów, w Kaliszu docierały do mnie jakieś pełne zazdrości i tęsknoty plotki o lekach, które w wielkim mieście można załatwić do domu na telefon. Czarna walizeczka, parę igieł, szybka ulga. Glukoza i sole mineralne na wejściu, mniej legalne specyfiki o szerszym wachlarzu działań – na żądanie. Mimo całego powabu anestezjologicznego podziemia miałam nadzieję, że nie będę zmuszona skorzystać z jego usług. I nie byłam w tej nadziei odosobniona.

– Dopiero wtedy – powtórzył Wajnert. – A na razie po prostu bądź ze mną.

To zdanie miało zbyt wiele uroku, bym próbowała doszukiwać się w nim drugiego dna. Choć przecież oboje wiedzieliśmy, że na tym dniu jest mały, egoistyczny strach. Strach przed tymi z luster, strach przed nieuchronnością nocy rozkołysanej i bolesnej, strach przed tym, co zapędziło go do butelki. Wiedziałam, że muszę zmienić pościel, wywietrzyć pokój, pójść do sklepu po coś do jedzenia, ale na razie postanowiłam po prostu spełnić jego życzenie. Tak jak stałam, w amarantowej sukience i czarnych botkach na obcasie, położyłam się obok niego. Oplotłam go ramionami, objęłam nogami, przycisnęłam twarz do wypukłości jego łopatek. Chciałam, żeby całą powierzchnią ciała czuł ciepło mojej skóry. Żeby czuł mój oddech na plecach i dotyk moich dłoni na piersi. Jak najciaśniej, jak najbliżej, jak najmocniej. Mało mi było rąk i nóg, aby go całego opleść, objąć, przycisnąć. Aby roztopić jego strach, odegnać zjawy, wyrugować zło.

– Zostań ze mną. Na zawsze.

– Zostanę.

Trzymałam go mocno; tak mocno, aby nie wyslizgnął mi się z rąk.

Krzysztof nie gotował tak jak Filip, ale dało się zjeść. Zrobił dla mnie paellę – widać wciąż jeszcze nie mógł zapomnieć o Barcelonie.

– Bardzo smaczne. Lepsze niż na Rambli.

Zasługiwał na pochwałę – nawet jeśli w oczywisty sposób była fałszywa – choćby tylko dlatego, że ugotował cokolwiek w swojej sterylnej, wysprzątanej kuchni. Rzadko to robił; jakieś zacieki mogły przecież zepsuć lśniąca nieskazitelność wyszorowanych powierzchni. Dziś jednak uczynił wyjątek – i nawet nie polecał zmywać natychmiast po skończonym posiłku. Wyszedłszy z brudnymi talerzami, wcale nie zniknął przy zlewozmywaku, tylko wrócił z butelką wina. Dobrego, drogiego wina, które nie pochodziło z Lidl ani z Biedronki. Już po pieczołowitości gestu, z jakim odłożył korkociąg, zorientowałam się, że coś się szykuje. Coś dużego.

– Właściwie zamierzałem zrobić to w Barcelonie. Ale jakoś tak wyszło, że... – Szukał słowa, które odda te wszystkie obawy o styl, które dręczyły go przez kilka ostatnich tygodni. Zanim zrozumiał, że wcale nie boi się o styl, tylko o treść. A więc i o odbiór. – ...że z tym poczekałem.

Przełknęłam łyk wina – nie zdążę się upić, zanim przejdzie do konkretów, mimo że pewnych rzeczy nie należy wysłuchiwać na trzeźwo. Wiedziałam już, co się stanie, ale nie byłam skłonna przyjmować tego z entuzjazmem – przez tych kilka dni deszczowej polskiej wiosny zdążyłam oddalić się od słonecznych klimatów Barcelony. „Boże, niech sobie chociaż oszczędzi padania na kolana” – pomyślałam. Oszczędził; sięgnął tylko do kieszeni spodni – małe, kwadratowe pudełeczko musiało go uwierać przez cały czas, kiedy jadł paellę. Ta myśl wydała mi się śmieszna, ale woskowo blada i śmiertelnie poważna twarz Krzysztofa odwiodła mnie od śmiechu. Nawet zadrżały mu palce, choć zawsze jest taki stabilny i opanowany. Drżenie męskich dłoni, czyli skurcz w dole mojego brzucha. Odruch bezwarunkowy albo przeciwnie – uwarunkowany tak silnie, że niepowstrzymany. Zautomatyzowany, przyswojony, wryty w pamięci moich mięśni, moich neuronów, mojej krwi. W pamięci, której niezmienna trwałość czasem zaskakuje mnie samą.

– Chciałem cię zapytać, czy zostaniesz moją żoną.

Jego drżące palce powędrowały przez stół zaciśnięte na pudełeczku. Było w kolorze dojrzałych wiśni, było aksamitnie miękkie, było ucieleśnieniem konwencji – idealne opakowanie zawartości tyleż przewidywalnej, co koniecznej dla rytuału, który właśnie odprawialiśmy. W którego odprawianie zostałam wciągnięta. A może pozwoliłam się wciągnąć? Dotknęłam pudełeczka delikatnym, pieścizliwym gestem – cieszyłam się, że mi je ofiarowano, czy raczej chciałam dać sobie jeszcze chwilę, zanim poznam jego zawartość? I tak ją znałam, ale kiedy podniosę wieczko i zobaczę diament, wszystkie niedopowiedzenia raz na zawsze rozplyną się w jego blasku. I już nie będę mogła myśleć, że to nic poważnego, że to tak na próbę, że to tylko zabawa. Liczyłam się z tym, że Krzysztof prędzej czy później zaproponuje mi małżeństwo. Dla takich jak on to przecież logiczna konsekwencja „kocham cię”, które padło między nami już wystarczającą ilość razy, by utorować drogę dla „wyjdź za mnie”. I choć się tego spodziewałam, Krzysztof mimo wszystko mnie zaskoczył. Już, tak szybko, tak zdecydowanie? Jak to się stało, że pozwoliłam mu zejść aż tak daleko? I czy przypadkiem nie szłam wraz z nim, nie zauważając, że na barcelońskiej plaży minęliśmy punkt, z którego jeszcze można było zawrócić.

Jeden oddech, trzy, cztery, start – trzask mechanizmu wieczka poinformował mnie, że już otwarte, już błyszczą, już nie da się zignorować ani zaliczyć do mglistej, bliżej nieokreślonej przyszłości. Jest tu i teraz i lada moment trzeba będzie podjąć decyzję, której nie da się odłożyć na później. Podobnie jak nie da się przedłużyć milczenia, w którym Krzysztof wpatrywał się we mnie z bolesnym oczekiwaniem wypisanym na bladej twarzy i w zognioniały, szeroko otwartych oczach. W oczach koloru liści po deszczu, koloru traw budzących się do życia na wiosnę, koloru nadziei.

– Tak, zostanę twoją żoną. Oczywiście, że zostanę.

Zadeklarowałam z przekonaniem, chociaż przecież tak naprawdę nic tu nie było oczywiste. A już na pewno nie to, kto za co ponosi konsekwencje. Kto był winien nadziei w oczach Krzysztofa – on sam, chowając ją w sobie, troskliwie pielęgnując i nieustannie podsycając, czy ja, pozwalając mu na to? I ktokolwiek wystąpił w roli ogrodnika – roślina została wyhodowana, a odpowiedzialność czeka. Teraz więc było już za późno – ziarenko z małego zawiązka zmieniło się w bujny pęd i kwitło soczystą zielenią. Nie miałam na tyle odwagi, by stłamsić liście, schwycić łodygę i wyrwać ją z korzeniami – nie pod tym wzrokiem Krzysztofa, nie wobec drżenia jego rąk. Teraz już trzeba podlewać naszą roślinę; i ktokolwiek był winien, ja powiedziałam, że jestem, wkładając pierścionek zaręczynowy. Pozwoliłam Krzysztofowi kochać, sama nie kochając go ani trochę – na taką przewinę też są paragrafy sumienia, za taki grzech też obowiązuje pokuta, taki wybór też kosztuje. Cena wyrażona jest w karatach, liniach szlifów i oślepiających błyskach diamentu osadzonego w białym złocie, który połyskiwał teraz na moim palcu. Serdecznym, czyli tym od serca, chociaż moje serce było puste.

– Tak bardzo się cieszę – powiedział Krzysztof, obejmując mnie z siłą i zaangażowaniem. Jego palce nie drżały już ani trochę, a oczy rzucały nowe, inne błyski. Całował mnie z pasją, całował mnie namiętnie, całował mnie jak człowiek, który dostał to, czego chce, i już nigdy nie wypuści swojej zdobyczy z rąk. Zamknęłam powieki; trochę za dużo było tych błysków; zaczęły wirować mi przed oczami, oślepić mnie, przyprawiać o mdłości. Ekskluzywne wino błyszczało na czerwono w kryształowych kieliszkach, pierścionek zaręczynowy lśnił blaskiem brylantu, oczy Krzysztofa połyskiwały na zielono. Kolory i blaski pomieszały się jak obrazy wirujące w kalejdoskopie, a mnie było coraz bardziej niedobrze.

– Chcę do łóżka.

Krzysztof chyba opacznie zrozumiał tę deklarację, sięgając dłonią do mojego dekoltu i przyciskając wypukłość w spodniach do mojego uda. Ja jednak bynajmniej nie zamierzałam pieczętować naszych zaręczyn cielesnym zbliżeniem. Moje ciało chciało odpocząć od nadmiaru bodźców, od tej dziwnej fali mdłości, jaka podeszła mi do gardła, od nieznośnego napięcia, które nagle poczułam w twardniejących mięśniach karku i w mimowolnych drganiach ścięgien szyi. Czułam już, co nadchodzi; mój stary znajomy już mnie mrowił w tym miejscu między łopatkami, które ściągnęło się w bolesne siodełko. Nie było na co czekać – zdjęłam z siebie rękę Krzysztofa, pociągnęłam dwa długie łyki wina i zaczęłam rozglądać się za swoim telefonem.

– Przepraszam cię, naprawdę chcę do domu – wyjaśniłam mu, ale chyba mało przekonująco, bo w jego wzroku zdziwienie mieszało się z urazą. Właśnie takim wzrokiem patrzył na mnie, kiedy starym i właściwie przy nim już zaniechanym zwyczajem dzwoniłam po taksówkę. Aby uciec, aby zostać samej, aby odjechać jak najdalej.

– Naprawdę chcesz, żeby tak się skończył wieczór naszych zaręczyn? – Uraza z jego spojrzenia szła w parze z niedowierzaniem w głosie.

– Źle się poczułam, już mówiłam, że przepraszam.

– Ja ci się oświadczam, ty przyjmujesz moje oświadczenia i tak po prostu jedziesz sobie później do domu?

– A co chciałbyś, żebyśmy zrobiła? – Postanowiłam odbić tę piłeczkę; moja taksówka zapewne była już blisko.

– Nie wiem. Chciałbym, żebyś przy mnie była. A raczej ja chciałbym być z tobą. Jestem przecież teraz twoim narzeczonym.

Rzeczywiście, jest. Co najmniej kilka razy w tygodniu nocowaliśmy już razem, miał u mnie swoje rzeczy, spędzaliśmy wspólnie wieczory i poranki. A teraz zgodziłam się, że zostaniemy mężem i żoną, z urzędową pieczęcią. Stał się częścią mojego życia, które zmieniałam dla niego. I które w niedalekiej

przyszłości miałam zmienić jeszcze bardziej. Z nim, dla niego, z myślą o nim. A skoro tak, to mam prawo do tego jednego wieczoru, jednego z ostatnich albo może ostatniego. Mam jeszcze prawo do resztek siebie, które nie muszą należeć do Krzysztofa. Do mojego narzeczonego Krzysztofa.

– Zobaczymy się jutro na obiedzie. W Aioli, dobrze?

Wymieniłam nazwę knajpy tuż obok miejsca jego pracy; jedną z tych, do których wpadaliśmy czasem na pizzę z prawdziwą mozzarellą albo na bruschettę z pomidorami i oliwą, kiedy on był po dyżurze, a ja miałam okienko między zajęciami na uniwersytecie. Miejsce znane, swojskie, bezpieczne. Dobre, by przy szerokim, drewnianym stole i wśród warkoczy z czosnku wiszących u powały uzgadniać datę ślubu, szczegóły przyjęcia i listę zaproszonych gości. Może jutro to wszystko będzie łatwiejsze. Może do jutra nie będzie mi już tak niedobrze.

– To pa, skarbie. – Pocałowałam go na odchodne. Nie wyglądał na zadowolonego i nie powiedział już nic więcej, ale odprowadził mnie do taksówki i mocno przycisnął do siebie, zanim pozwolił mi wsiąść. Noc była piękna, ciepła, majowa, a ja tak bardzo cieszyłam się, że odjeżdżam do domu. Do domu, w którym nikt na mnie nie czekał i w którym mogłam być sama ze sobą, swoimi lękami i swoimi demonami. Błogosławione niech będą te chwile samotności i spokoju, których nie potrafimy docenić, dopóki jakiś nieznośnie opiekuńczy i inwazyjnie domagający się uwagi narzeczoney nie próbuje nam ich odebrać.

\*

Zasnął. Wreszcie zasnął. Przybysze z luster, zjawy i alkohol krążący w jego krwi łaskawie dali mu chwilę wytchnienia. Oby jak najdłuższą. Spał spokojnie, ale oddychał ciężko – miałam nadzieję, że chociaż we śnie nie dręczyły go koszmary. Wstałam najdelikatniej, jak umiałam; Wajnert poruszył się, kiedy rozplotłam obejmujące go ramiona. Podniosłam się, a łóżko skrzypnęło jakby na znak protestu. Pomyślałam, ile samotnych nocy w nim spędził? Ile razy leżał w nim, trzęsąc się ze strachu? Ile goryczy i lęków ten biedny mebel wchłonął w siebie? Pościel śmierdziała kwaśno; odsunęłam ją na bok, przykrywszy Wajnerta jakąś kapą znalezioną na podłodze.

Uchyliłam okno, wpuściłam do środka orzeźwiający, ostre powietrze chłodnego początku wiosny. Był wczesny wieczór i jeszcze tyle rzeczy, które należało zrobić przed nocą. Koło łóżka Wajnerta walały się pomięte gazety, niedbale zdjęte ubrania, puste butelki. Zebrałam to wszystko, sprzątnęłam, poskładałam. Czy można uporządkować czyjeś życie podczas drzemki właściciela?

Modne psychologiczne teorie mówiły, że otoczenie odzwierciedla stan duszy. Jeśli byłyby choć po części prawdziwe, to w duszy Wajnerta panował podręcznikowy i aż dziwny bałagan. Dziwny, bo przecież na co dzień – na trzeźwy dzień – Wajnert był wręcz pedantyczny. Starannie poukładane sprzęty, książki poustawiane alfabetycznie i pod linijkę, każda rzecz na swoim miejscu. Nie było w nim nic z roztargnionego twórcy, a w jego mieszkaniu – ani grama artystycznego nieładu. Tym bardziej zdumiewający był ten obraz upadku z kurzem zalegającym w kątach i brudnym, wymiętym szlafrokiem. Jakby Wajnert robił to wszystko celowo – jakby od czasu do czasu po prostu musiał przewrócić na nice polor ładu i dyscypliny. Jakby epizody chaosu stanowiły warunek porządku. Jakby można było przetrwać tylko wtedy, kiedy czasami zburzy się symetrię. Symetrię przedmiotów, otoczenia, a może nawet życia. Prawdziwe oblicze rzeczywistości uwolnione od uspokajających właściwości sztucznego ładu. Oblicze dużo brzydsze i straszące pustką – taką jak ta w lodówce Wajnerta. Nie było w niej nic poza światłem i kilkoma torebkami zupki w proszku. Wajnert musiał wierzyć, że glutaminian sodu wymaga szczególnej konserwacji w chłodnych warunkach. A może nie ufał chemii, bojąc się wybuchu tablicy Mendelejewa ukrytej w niepozornym papierowym opakowaniu. Tak czy inaczej, trzeba było uzupełnić zapasy. Nie

byłam typem gosposi, ale akurat w tym przypadku liczyłam na uzdrawiające właściwości jedzenia złożonego z białek i cukrów zamiast ze stabilizatorów smaku. Wzięłam jeden banknot z pierwszego tomu *Dzieł zebranych* Montaigne'a – swoją drogą, nigdy nie miałam go za materialistycznego pisarza – i wyszłam do sklepu, licząc, że Wajnert nie obudzi się podczas mojej nieobecności. Zakupom towarzyszył przypływ optymizmu – uznałam, że sobie poradzę, że to nic strasznego, że pomogę udręczonemu Wajnertowi. Niezaprzeczalnie w tle tego całego optymizmu majaczyła gdzieś wizja udręki zamienionej na wdzięczność. Nie wiedziałam, jak postępować z kimś w takiej sytuacji, ale pomyślałam, że dam radę. Ostatecznie przecież nie odmawia się komuś, kogo prześladowają demony. Zwłaszcza gdy do walki z nimi ten ktoś potrzebuje właśnie ciebie.

Kiedy wróciłam, wciąż jeszcze spał. Spał także, kiedy zapełniałam jego lodówkę jajkami, wysokokaloryczną wędliną i prawdziwym masłem, kiedy sprzątałam i kiedy szukałam czystej pościeli w czeluściach jego otwartej szafy. Obudził się dopiero, gdy usiadłam na łóżku tuż obok niego. Zmieniałam właśnie pościel – mechanicznymi ruchami wyćwiczonymi przez lata w internacie. To był rytuał, którego co miesiąc wymagały siostry. Zawsze było przy tym dużo śmiechu – przypominałam sobie, jak jedna z koleżanek weszła kiedyś do poszewki. Nie знаła sprytnego tricku z wywracaniem jej na lewą stronę i chwytnościem za rogi. Przypominałam sobie, jak uczyłam ją tej sztuczki – to było w pierwszej klasie; zaledwie pięć lat temu, a miałam wrażenie, że minęło co najmniej stulecie. Może to było w innym świecie? W poczekalni, w której czyta się o życiu, zanim się je naprawdę zacznie?

– Przestałaś. Uśmiechałaś się i przestałaś – powiedział, obróciwszy się do mnie. Złapał mnie za rękę, w której trzymałam powłóczkę gotową do założenia na poduszkę; jego dłoń była ciepła, zbyt ciepła jak na chłodny podmuch z okna i prowizoryczne okrycie z kapy. Zapach czystej pościeli walczył o lepsze z wonią jego potu.

– Nie przestałam. – Uśmiechnęłam się znowu, specjalnie dla niego. Nie pomogło.

– Niedobrze mi. Kurwa, strasznie mi niedobrze.

Zwinął się w kłębek i zawisł na krawędzi łóżka. Widać było, że wstanie może się okazać wyzwaniem ponad jego siły.

– Może pomogę ci dojść do łazienki... – Wiedziałam, że mój metr sześćdziesiąt na niewiele się zda wobec jego masy, ale należało chociaż spróbować.

Po przedłużającej się chwili ciszy zapewnił mnie:

– Nie trzeba. Chyba nie trzeba. – Pewność zmieniła się w wahanie, a twierdzenie w pytanie. – Nie będę rzygał, co? Powiedz: będę rzygał czy nie?

Wiele spodziewałam się po Andrzeju Wajnercie. Oczekiwałam z jego strony różnych pytań, liczyłam się z wątpliwościami. Ale akurat postawiona przez niego kwestia nie była tą, którą dziewczyna chciałaby roztrząsać ze swoim idolem.

Nie odzywałam się, ale Wajnert sam chyba znalazł odpowiedź na swoje pytanie. Zwlókł się bowiem z łóżka i z widocznym trudem podążył w stronę łazienki. Przygarbiony, w wymiętym i rozchełstany szlafroku, niepewną dłonią szukając oparcia na ścianie czy futrynie. Było mi go szkoda, tak bardzo szkoda. Pamiętałam te wszystkie rozczarowania, które mi zafundował, te niemoralne propozycje obliczone tylko na zranienie mnie, ten cynizm i egoizm, którym mnie częstował. Nie mogłam przecież zapomnieć ani sylwestrowej propozycji, ani widma zabawy z paniami z agencji, które przede mną roztaczał. Ale mimo to było mi go teraz żal. Tak bardzo żal, że wciąż i niezależnie od tego, co było, co bolało i co psuło moje o Wajnercie wyobrażenie, zrobiłabym wiele, by mu ulżyć. Naprawdę wiele. Co tylko można. Wszystko.

Zdażyłam zmienić pościel, zanim wrócił z łazienki. Mojemu ojcu zawsze było lepiej po wymiotach; jemu chyba niekoniecznie. Gorączkowe wypieki odcinały się jaskrawo na twarzy białej jak kartka



papieru. Ciekawe, czy można coś jeszcze na niej zapisać. Dodać jakąś linijkę albo zmienić zakończenie. Czy może jednak opowieść jest skończona, a wszystkie wątki nieuchronnie zbiegają ku z góry przesądzonemu finałowi?

– Połóż się, odpocznij. Zrobię ci herbaty albo mięty.

– Nie trzeba. Trzeba tylko, żebyś była ze mną.

Nadzieja na nowy rozdział rosła we mnie jak apetyt czytelnika. A może grafomana?

– Nigdzie nie idź, dziś ani jutro. Odwołaj wszystko.

To mogło być trochę trudne, zważywszy na moje jutrzejsze kolokwium, ale cóż. I tak przecież nie przeczytałam zadanego tekstu. Więc jednak życie może być ważniejsze od literatury.

– Odwołam, oczywiście.

Już był spokojny, już układał się w czystej pościeli, już jego wzrok wędrował gdzieś ku światłu lampy. Musiał mieć gorączkę, od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz gwałtowny i zimny, ale przynajmniej nie odpływał nigdzie do świata widziadeł; Bogu dzięki oddalała się więc krępująca perspektywa wzywania karetki albo doktorka cudotwórcy. Wajnert nie chciał jeść, nie chciał pić niczego oprócz wody i wciąż nie pozwalał pozamykać szaf. Ale spojrzenie miał już bardziej trzeźwe – jak się okazało, umysł również.

– Na moim biurku w dużym pokoju leżą *Bracia Karamazow*. Nowe tłumaczenie, dopiero co wyszło. Przynieś, proszę.

Nie wyglądał na człowieka, który jest w stanie skupić myśli na ocenie nowego tłumaczenia – ani nawet wzroku na liniijkach tekstu – ale mimo to spełniłam jego prośbę. Rzeczywiście, wydanie z 2004 roku, tłumaczył, a raczej ryzyko mierzenia się z Aleksandrem Watem podjął Adam Pomorski.

– Chodź tutaj – Wajnert pokazał dłonią w kierunku drugiej połowy łóżka – i czytaj.

Więc o to chodziło. O szemrzący głos, który pomoże mu zasnąć, o dobrze znaną treść, która pozwoli trzymać się rzeczywistości, o słowa, które sprawią, że będzie coś oprócz wymiotów, zawrotów głowy i całej tej przyziemnej boleści. A może chodziło o to, że wszyscy jesteśmy winni?

– Aleksiej Fiodorowicz Karamazow był trzecim synem obywatela ziemskiego naszego powiatu Fiodora Pawłowicza Karamazowa, tak swego czasu sławnego (a i dziś jeszcze u nas wspomnianego) za sprawą tragicznej a zagadkowej śmierci, która zabrała go dokładnie trzynaście lat temu i o której opowiem w stosownym miejscu.<sup>1</sup>

Genealogia rodziny Karamazow i geniusz literatury rosyjskiej rozbrzmiewał w ciasnej przestrzeni sypialni Wajnerta, jego dłoń trwała zaciśnięta na mojej, a on sam z pomocą mroków Dostojewskiego walczył ze swoją ciemnością. „Będzie dobrze” – pomyślałam. Do rana będzie dobrze.

Obudziłam się sama w łóżku Wajnerta. To dziwne, ale od razu wiedziałam, gdzie jestem. A nawet po co. Widocznie to przekonanie zapadło we mnie głęboko w długie, nocne godziny, podczas których nie mogłam zasnąć, zajęta pilnowaniem oddechu mężczyzny po drugiej stronie materaca. Teraz tego mężczyzny nie było; nie było konwulsyjnych drgnień jego ciała pogrążonego we śnie ciężkim i niedobrym, jego mimowolnych pojękiwań, gwałtownych ruchów palców chwytających brzeg prześcieradła. Były za to promienie słońca przeświecające przez tak pieczołowicie przeze mnie wczoraj zasunięte żaluzje. Zerknęłam na wyświetlacz elektronicznego budzika, który zamiast doniczki stał na parapecie. 9.46 – cyfry mrugały do mnie na czerwono. Ostrzegawczo? Niepokój zmaterializował się jako kulka w gardle.

Rozejrzałam się po pokoju – drzwi stały otworem, Wajnerta nie było, a lustra ze skrzydeł szafy wyglądały tak niewinnie, że zupełnie niedorzeczne wydawało się, że ktokolwiek mógł je wziąć za kryjówkę nocnych potworów. Czyste i lśniące odbijały tylko mnie – moje zmierzwiłone włosy, zsunięte ramiączko koszuli nocnej, oczy wciąż jeszcze powleczone mgiełką snu płytkiego i zbyt krótkiego.

Potrzebowałam zimnej wody i czarnej kawy, ale to musiało poczekać. Ruszyłam na poszukiwania Wajnerta. W mieszkaniu było cicho, bardzo cicho. Żaden odgłos nie dobiegał zza ścian, nawet winda ustąpiła w swych pohukiwaniach. Za cicho nawet jak na mieszkanie w nowym budownictwie dla bogatych i ceniących dyskrecję. Wajnert nie stukał talerzami w kuchni, nie szumił wodą w łazience, nie anonsował swojej obecności brzęczeniem telewizora. Gdzie on jest? Kulka niepokoju w moim gardle powiększyła się do rozmiarów piłeczki. Niewielki korytarzyk prowadzący z sypialni do łazienki był pusty; z półek patrzyły na mnie tylko grzbiety książek. W całym mieszkaniu nie było miejsca bez książek – Wajnert trzymał je nawet w przejściu. Ominęłam jakiś stosik, rzecz jasna równiutko ułożony, tuż przy drzwiach do łazienki. Czy mógł być jeszcze na tyle nieprzytomny, by zrobić sobie tam krzywdę? Ale łazienka była pusta. A może poczuł się aż tak dobrze, że wyszedł na mały spacer na świeżym powietrzu? Zajrzałam do kuchni – pusto, żadnych kubków w zlewie, okruszków na blacie ani nawet brudnego noża do masła. Jakby Wajnert nie zjadł niczego z poczynionych przeze mnie zapasów. Jakby w ogóle nie było go w kuchni. „Przykazania Leszka Kołakowskiego” – promień porannego słońca podkreślił kilka linijek na kartce wydartej z gazety i przypiętej do kuchennej szafki. Szłam dalej, a krokom moich bosych stóp towarzyszyła podejrzana cisza. Tak jak w horrorach na sekundę zanim stanie się coś strasznego. Tak się składa, że bohaterka tych horrorów często jest w koszuli nocnej.

Otworzyłam drzwi do dużego pokoju – ostre, srebrzyste światło jednego z pierwszych dni wiosny wydobywało jaśniejsze refleksy z wszechobecnego brązu. Nie dostrzegłam Wajnerta od razu, bo schował się w litościwym cieniu oparcia wielkiego fotela. Okno z tyłu, światło za jego plecami, fotel jako kryjówka. Otwarte, niewidzące oczy, twarz pogrążona w cieniu, mroczna i szara jak popiół, długie nogi wyciągnięte przed siebie. Mój Boże, on nie żyje – piłeczka w moim gardle rozerwała się na strzępy w eksplozji krzyku:

– Andrzej!

Jedno niewidzące oko spojrzało na mnie, podczas gdy drugie pozostało zupełnie nieruchome. Zamiast głosu z gardła Wajnerta popłynęło jakieś rżenie. Drapało, zgrzytało i chrobotowało:

– Nie krzycz. Musiałem. Musiałem się napić.

Między jego udem a podłokietnikiem fotela dostrzegłam znajomy kształt. Wajnert obejmował szyjkę palcami, ale jego chwyt nie był już silny, bez trudu wyjęłam butelkę. Sopllica – półlitrowka po wódce, zupełnie pusta.

– Kurwa mać, Andrzej. Jest dziesiąta rano. Kiedy zdążyłeś tyle wypić?!

Ostatnią godziną, jaką przed zaśnięciem widziałam na wyświetlaczu budzika, była siódma piętnaście. Wtedy wciąż jeszcze czuwałam nad jego snem. Musiał więc wstać całkiem niedawno, pójść do sklepu i tak uroczo rozpocząć poranek. Poranek, który miał na dobre przepędzić nocne strachy, a zdaje się, że był tylko początkiem nowego koszmaru.

– Wstałem jakąś godzinę temu, nie wiem, może później.

W ciągu godziny zdążył wypić pół litra wódki. Na pusty żołądek, nawet bez żadnego soku, po prostu jak wodę. Na śniadanie.

– Przepraszam. – Niepewnym gestem wyciągnął rękę w stronę mojej twarzy. Tak jakby sam nie był przekonany, czy uda mu się pokonać ociężałość, która ciągnęła jego dłoń w dół niczym bezwładny kamień. Jego palce rysowały drżący szlaczek na moim policzku wciąż jeszcze ciepłym od snu. – Przepraszam.

Głos Wajnerta jak zastana maszyna zdawał się oliwić od ponownego używania. Brzmiał już coraz lepiej, i co szczególnie dziwne, całkiem trzeźwo. To było zdumiewające, zwłaszcza wobec łez, które zobaczyłam w jego oczach. Nie byłam pewna, czy naprawdę tam są, ale zdawały się wyostrzać jego spojrzenie i oczyszczać je z tej nieznośnej, mętnej martwoty, która tak mnie przerażała. Przycisnęłam jego

głowę do siebie – w tej jednej, jedynej sytuacji zamieniłabym moje jędrne, nieduże piersi na cycki wielkie, krowie i rozlazłe. Na cycki matczyne; takie, by mógł schować w nich twarz i zniknąć.

– Już dobrze – mówiłam do jego oczu, które schował przede mną, do jego dawno niemytych, rozczochranych włosów, do jego rąk, które nie potrafiły przestać się trząść. Żal pomieszany ze złością, współczucie z pretensjami, tkliwość z chęcią ukarania go za to, że przecież sam się tak urządził. A może nie do końca sam? Byłam już bliska rozgrzeszających myśli o nigdy niezasypiających demonach, kiedy mój wzrok padł na torbę w rogu pokoju. Czarna torba na ramię z grubym paskiem – jedna z tych, które mężczyźni biorą ze sobą, gdy to, co zamierzają przenieść, w żaden sposób nie nadaje się do publicznej prezentacji w przezroczyściej reklamówce. Wyzwoliłam się z uścisku drżących rąk i kilkoma krokami znalazłam się przy torbie. Spodziewałam się, że będzie tam wódka, ale widok czterech półlitrowek troskliwie owiniętych papierem i upakowanych porządnie jedna obok drugiej jednak mnie zaskoczył. Przemysłnie organizowane zapasy, zakupy tyleż potajemne, co bezwstydne, poręczny schowek z trucizną. Widać nie było mu dość; jakby po prostu musiał, jakby to był jakiś rytuał, od którego nie można odstąpić, jakby cierpienia kaca z niczego nie zwalniały. Zresztą, czy on w ogóle miał kaca?

– Andrzej, czy ty zwariowałaś?

– Zawsze tak robię – odpowiedział mi z takim spokojem i tak trzeźwo, jakbyśmy mówili o zwyczaju mrożenia chleba albo kupowania zielonej herbaty zamiast czarnej.

– Chyba nie zamierzasz tego wypić?

– Owszem, zamierzam.

– Na pewno nie przy mnie. – Zarzuciłam sobie torbę na ramię; musiałam śmiesznie wyglądać bosą, w koszuli nocnej i z torbą podzwaniającą butelkami. Rozneglizowana Święta Mikołajowa z workiem, która wynosi prezenty, zamiast je rozdawać. Wajnert nawet nie zaprotestował, kiedy poszłam z jego butelkami do kuchni. Musiał słyszeć, jak wylewam ich zawartość do zlewu, a jednak nie przyszedł mnie powstrzymać. „Co za idiota, co za cholerny idiota” – myślałam, a ruchy moich rąk stawały się coraz bardziej nerwowe. Odkręcić korek, przechylić, poczekać, aż wódka wypłynie przez wąską szklaną szyjkę. Bardzo źle czułam się w tej roli – nigdy nikogo nie odwodziłam od picia, ale też nigdy dotąd nie widziałam, by ktoś, nawet mój ojciec, pił w ten sposób. Beznamiętnie, z całkowitym poddaniem, w imię autodestrukcji. Właściwie można było powiedzieć, że Wajnert pije na trzeźwo. Obawiałam się, że wylanie alkoholu nic nie da – jeśli zabraknie wódki, pragnienie upodlenia każe mu znaleźć sobie coś innego. Jakies leki z przepastnych szuflad szafki nocnej, jakąś kokainę upchniętą w dyskretnej paczuszcze gdzieś w biurku, jakąś nalewkę zachomikowaną w skrytce na czarną godzinę. Wszystkiego nie mogłam przejrzeć, przeszukać, upilnować. Wódka spływała do odpływu bulgoczącym strumyczkiem. Tyle dobra na zmarnowanie, tyle godzin czuwania nadaremno, tyle nieprzyjemności. Kolokwium, na które nie poszłam, zajęcia, które opuściłam, moja obecność na jego zawołanie. Ręka zatrzymała się w pół drogi do ostatniej butelki. Wajnert wymiotował – grube drzwi litościwie tłumiły odgłosy, ale nawet one nie mogły ukryć natury czynności, którym oddawał się człowiek zamknięty w łazience. Do diabła z tym wszystkim. Sięgnęłam w górę, do szafki, w której spodziewałam się znaleźć szkło. Rzecz jasna, Wajnert nie miał kieliszków do wódki – ów brak pewnie w dobrych chwilach pozwalał mu łudzić się, że ich nie potrzebuje. Wyjęłam więc literatkę i do niej hojnym gestem nalałam z ocalonej butelki. Wypiłam, zanim pomyślałam o poszukaniu w lodówce czegoś na popitkę. Alkohol rozlał się po moim pustym żołądku, z początku palił jak kwas, by za chwilę po prostu rozgrzać mnie swoim ciepłem. „Chcieć niezbyt wiele”. Trafiłam wzrokiem na jedno z przykazań Kołakowskiego wywieszonych w kuchni, jak niegdyś wieszano makatki z sentencjami. Zakręciłam butelkę i odstawiłam ją między ścianę a lodówkę. Tak by nie znalazł jej zbyt szybko, ale bym ja miała ją na podorędziu. Jakoś wytrzymam, przetrwam, zdam egzamin na stróża. „Godzić się na mierność życia”. Zaczęłam robić śniadanie.

Dzień mijał mi głównie w łóżku. Wajnert go właściwie prawie nie opuszczał, a nie chciał, bym odstępowała go choćby na krok. Ktoś musiał przecież zaspokajać jego potrzebę uwagi, zwłaszcza po zawodzie, jaki sprawiły mu poranne gazety. Wajnert bowiem nie chciał śniadania, za to chciał, bym udała się do kiosku. Sam musiał o tym zapomnieć podczas swojej porannej wyprawy do monopolowego, ja miałam więc nadrobić prasowe zaniedbanie. Wróciłam jak najszybciej, tak jak sobie życzył – z poważnymi gazetami codziennymi i ze szmatławcem, którego domagał się ze szczególnym naciskiem. Nie miał już sił siedzieć w fotelu, powlókł się do łóżka z całym tym naręczem. I się zaczęło – szelest pospiesznie przekręcanych kartek, furkot papierowych płacht wyrzucanych w powietrze, hałaśliwe łądowanie zdekomponowanych stron na podłodze.

– Nie będę tego czytał. Nie ma nic o mnie. – Tyle samo kabotyństwa, co rozczarowania. Niestety autentycznego. – Nic o mnie nie piszą. Niech się pierdola.

Odwrócił się ze wzgardą od bezładnego stosu zadrukowanego papieru. Ciało na bok, kołdra na grzbiet, wzrok gdzieś za okno. I tak do popołudnia.

Trochę drzemał, trochę gorączkował, trochę patrzył na mnie, ale przede wszystkim w sufit. Ja czytałam wtedy mój skrypt na minione kolokwium; kiedy zgłębiłam już wszelkie tajniki strukturalizmu w teorii literatury, sięgnęłam po coś z sypialnianej biblioteczki Wajnerta. Czego jak czego, ale książek był tu dostatek – wyciągnęłam jedną z najbliższej półki, na chybił trafił. *Historia O* – unikatowe wydanie, wyraźne ślady poślinionych palców na stronach, czysta pornografia. Niestety, nie na teraz – nastrój był dość odległy od ekscesów seksualnych. Drugi strzał, powtórna próba. Tym razem trafił mi się tomik wierszy jakiegoś młodzieńca, którym Wajnert zachwycił się kilka tygodni temu w swoich felietonach. Zupełnie nie dało się tego czytać. Do trzech razy sztuka, kolejne losowanie z zasobów półki. *Z głowy*. „Z serdeczną przyjaźnią drogiemu Andrzejowi – Janusz” – odręczne pismo pełne zawijasów i zamaszysty podpis. To było wreszcie coś do czytania. Rzecz jasna, lektura nie mogła mi przeszkodzić w tym, co stanowiło moje główne zajęcie – w doglądaniu Wajnerta. Wiedziałam, że kiedy na chwilę wyszłam do łazienki, wypił coś jeszcze. Jednak nie czyniłam mu wyrzutów; chciałam przynieść mu tylko ulgę. Gazowana woda mineralna, wzgardzone jedzenie, kołdra naciągana na ramiona za każdym razem, gdy przekręcał się na swoim posłaniu. Na łożu boleści. Wajnert cierpiał czysto fizycznie. Może właśnie o to mu chodziło? O to, by ból głowy przytłumił ten inny, mniej konkretny, za to bardziej dolegliwy? Czasem chciał, bym z nim rozmawiała, bym opowiadała mu o sobie i o życiu w socjalistycznym akademiku po drugiej stronie Wisły. A czasem zasypiał – te krótkie drzemki znaczone dygotem ramion zdawały się mu służyć. Budził się z nich jakby przytomniejszy; mógł nawet skupić się przez chwilę na politycznym teatrze, który wystawiała właśnie telewizja. W sypialni Wajnerta stał telewizor; na tyle niepozorny i ukryty wśród książek, że na początku go nie zauważyłam. Któregoś razu, gdy wrócił z womitywnej wyprawy do łazienki, kazał go włączyć. Widać jego stan poprawił się już na tyle, że nie potrzebował Dostojewskiego, choć nadal bał się ciszy. Wciąż nie mógł się obejść bez głosu. Bez opowieści płynącej do niego – skoro nie literatura, to chociaż telewizja: wersja light dla złożonych niemocą już o tyle mniej dolegliwą, że niewymagającą terapii najostrożniejszymi środkami. Teraz wystarczył kabaret – wygadani śledczy kontra małomówni świadkowie, polityczne show godzinami na żywo, inkwizycja dla ubogich. Pierwsza stacja informacyjna – wielka moda wśród warszawskiej inteligencji, pseudoamerykańskie zadęcie, pół prawdy całą dobę. Wajnert nie pozwolił przełączyć – chciał oglądać, a może raczej słuchać, niekończącej się transmisji posiedzenia komisji śledczej. To było jedno z końcowych przesłuchań, pierwsza w historii powojennego parlamentaryzmu komisja śledcza zmierzała do finału swoich prac i do raportu. W powietrzu unosił się wyczuwalny nawet przez ekran zapach krwi – polityczni oponenti zwęszyli słabość potężnych dotąd rządzących. Choć oficjalnie szukano tylko zaginionych słów „lub czasopisma”, polowanie z nagonką trwało w najlepsze. Jeden z myśliwych miał twarz przerośniętego

bobasa, a drugi łysinę, okulary i spinki do mankietów jako niezbędny sztafaż poważnego, konserwatywnego polityka, którym na siłę chciał być. Wszystko to było bardzo na siłę – zarówno dyskusje tych śledczych z Bożej łaski nad szykowanym przez nich raportem, jak i komentarze gości zaproszonych do telewizyjnego studia. „Też bym tak potrafiła” – pomyślałam, gdy piąty z kolei politolog, siląc się na oryginalność i błyskotliwą analizę, powtarzał dokładnie to samo co jego czterej poprzednicy. Może nawet potrafiłabym lepiej; to zawsze jakaś opowieść, może nie najlepszej literackiej próby, ale z polem do własnych interpretacji, nie tylko stylistycznych, ale też fabularnych. Może umiałabym coś takiego napisać. Wajnert musiał pochwytać moją myśl w locie – pewnie potrafił wyłapywać wszystko, co dotyczyło pisania.

– Jutro najpóźniej w południe muszę wysłać felieton do „Kultury”. Niech to szlag.

Był już późny wieczór, noc prawie. Nie miał zbyt wiele czasu.

– Napisz coś o aferze Rywina i o komisji śledczej – rzuciłam bez zastanowienia. Mój rozmówca się rozpromienił, jakby to było rozwiązanie wszystkich jego kłopotów.

– Masz rację. Z tym powinienem dać radę choćby jutro rano.

Wiedziałam już, że czuje się lepiej. Wreszcie. Dzięki Bogu i może mojej skromnej osobie. Nie mogłam opędzić się od natrętnie optymistycznej myśli, że było warto. Że w gruncie rzeczy stróż nie stoi daleko od anioła. Lustra już nie straszyły, dłonie Wajnerta jakby pewniej trzymały szklanekę z wodą, katarakta nieprzytomności ustępowała w jego oczach miejsca zwykłej, iskrzącej zieleni. Zieleni, która jest kolorem nadziei.

– Andrzej, zbierasz się. Tak się cieszę.

– Tak, zbieram się. – Wstał z łóżka; podnosił się ciężko, ale już pewnie. – Muszę wziąć prysznic, zjeść coś i takie tam.

Nigdy dotąd nie cieszyłam się aż tak bardzo z zapowiedzi tak prozaicznych czynności. Widząc poprawę, liczyłam na wdzięczność. Nigdy nie byłam dobra w kalkulacjach.

– Więc może... – kontynuował, nie patrząc na mnie. – Może już pójdziesz.

– Słucham?

Choć w szkole matematyka nie była moją najmocniejszą stroną, to jednak nie zwykłam aż tak mylić się w obliczeniach. Zwłaszcza w rachunku prawdopodobieństwa przyzwoitości.

– Może już pójdziesz – powtórzył zupełnie niezrażony tonem mojego głosu. Wyrazu mojej twarzy nie mógł zanotować, bo przecież na mnie nie patrzył. – Dziękuję ci i w ogóle, ale teraz wolałbym zostać sam.

Szedł w kierunku łazienki, już nie słaniającym się krokiem i nawet bez przytrzymywania się ścian. Andrzej Wajnert – reaktywacja, co było, nie było, a co widziałaś – zapomnij. Liczby na wieczność zaginione w rachunku. Nierówność drugiego stopnia podłości. Bez rozwiązania.

– Dać ci na taksówkę?

– Nie.

Zniknął w łazience, by odkręcić wodę w wannie. Ja też miałam zniknąć. Tak jak nawiasy, które usuwa się w pierwszej kolejności matematycznych działań. Nie miałam ze sobą wielu rzeczy – kiedy on sprawdzał temperaturę wody, spakowałam swój skrypt z niezaliczonego kolokwium, koszulę nocną i parę drobiazgów. Jak szybko można kogoś usunąć ze swojego życia? Nawet jeśli ten ktoś myśli, że znalazł się w samym jego centrum? Jeszcze tylko buty, kurtka, idiotyczne pytanie, od którego nie mogłam się powstrzymać.

– Dasz sobie radę?

– Jasne.

W jego twarzy widziałam coś, czego nie chciałam nazywać, a co było ulgą. Jedną świadomie niezredukowaną niewiadomą w wielomianie stałym nadziei i rozczarowania.

- Na razie.
- Trzymaj się.

Wcisnął mi w rękę dwadzieścia złotych. Hojna zapłata za dwa dni i jedną noc, za troskę i staranie, za własne życie zawieszane na kołku na jedno jego wezwanie. Drzwi zamknęły się za mną z głuchym stęknieniem. Byłam tylko ja, elegancka klatka schodowa i winda, która czekała, by zwieźć mnie z piątego piętra. Trójelementowe wyrażenie z funkcją bólu w dziedzinie uczuciowej.

Nie chciałam jechać windą – ciasna, zamknięta przestrzeń nie zrobiłaby dobrze mojej wściekłości. Czułam ją w sobie. Czułam ją bardzo wyraźnie – rosła we mnie, żyła, rozpychała się. Poczęła się gdzieś w okolicach serca, trochę podrosła za mostkiem, by przesunąć się w górę. Urodziła się jako kulka w gardle; nie taka jak ta poranna, z niepokoju, tylko większa i dużo bardziej kanciasta. Może miała nawet kolce? Dusila mnie jak wyhodowany guz, rozpieierała, chciała się wyzwolić. Albo zabić żywiciela. Wciąż rosła, kiedy schodziłam w dół pięć pięter schodami. Prawie się nią udławiłam, mijając portiera o martwej twarzy. Twarze wszystkich nocnych portierów świata są martwe. I gorzkie – tak jak dławiąca kula w moim gardle, w krtani, w ustach. Może wcale nie została uformowana z wściekłości. Wściekłość powinna być gorąca. Kula tymczasem była szczypiąco zimna, kiedy wypluwałam ją z siebie zgięta w pół i oparta plecami o elegancką fasadę ze sztucznego piaskowca. Nie smakowała jak wściekłość; smakowała jak poniżenie.

\*

- Naprawdę chcesz zaprosić aż tylu ludzi z pracy?

Krzysztof chyba nie był zadowolony, że na jego weselu ma bawić się w komplecie Zakład Historii Idei i Myśli Politycznej. Nawet jeśli nie bardzo mu się to podobało, nie miałam innego wyjścia – musiałam zaprosić ich wszystkich, a ostatecznie przecież tych kilka osób to nie tłum. Zwłaszcza że żadne z nas nie miało licznej rodziny, a zamiast wesela planowaliśmy raczej zakrapiany obiad – żadnych orkiestr z *Białym misiem* w repertuarze, żadnych pseudozabawnych wygłupów oczepinowych ani wodzirejów, żadnych sal weselnych rezerwowanych rok przed datą ślubu. Tylko elegancka restauracja, do której profesor Piekutowicz i jego świta będą doskonale pasować.

- Ja z pracy zapraszam tylko jedną osobę. Oprócz Ewy, rzecz jasna.

Widać mój narzeczony nie zaprzyjaźniał się w miejscu zatrudnienia. A Ewa, jako mój świadek, i tak będzie przecież gościem panny młodej. Ustalanie listy zaproszonych, wybór menu, organizacyjna strona ślubnego przedsięwzięcia – wszystko to wcale nie przedstawiało się tak łatwo, i to pomimo skromności planowanej imprezy. Jak ludzie sobie z tym radzą, szykując przyjęcia na dwieście osób? Może mają więcej determinacji i więcej czasu. My mieliśmy dwa i pół miesiąca – tak zdecydowała pani z urzędu stanu cywilnego, kiedy zjawiliśmy się u niej na początku czerwca.

- Pierwszy wolny termin to dwudziesty trzeci sierpnia o trzynastej trzydzieści.

Dwudziesty trzeci sierpnia – rok, miesiąc i pięć dni od pogrzebu Wajnerta. Wedle wszelkich obrządków czas żałoby minął, a duch już nie powinien móc nam przeszkodzić. Mnie przeszkodzić. Krzysztof spoglądał pytająco, urzędniczka z lekkim zdziwieniem; oczekiwała chyba raczej natychmiastowego entuzjazmu.

- Nad czym tu się zastanawiać, świetny termin: całkiem niedługo, sobota, i z „r” w nazwie miesiąca. Bieriecie państwo? – Posłała wymowne spojrzenie w kierunku kilku par czekających, by przy stanowisku zwolniło się miejsce. Uderzyło mnie, że żadna z nich nie trzyma się za rękę; narzeczeni kurczowo ściskali w dłoniach numerki, które miały ich przybliżyć do małżeńskiego szczęścia.

- Bierzemy, bierzemy – zdecydowałam za nas oboje. Skoro już mamy się pobrać, to nie wypada

wybrzydzać w kwestii terminu. Końcówka sierpnia – pełnia dojrzałego lata; może będzie upalnie i założę suknię bez pleców. Zaszaleję na tę okazję w Max Marze, w Liu Jo albo nawet i w Guccim. Ostatecznie jest przecież Vitkac, a w nim luksusowe butiki, w których na zakupy mogę sobie pozwolić na taką okazję. W Warszawie swój sklep otworzyła już nawet Prada. Brakuje tylko Chanel; pomyślałam z drobnym ukłuciem żalu, bo przypomniła mi się najpiękniejsza sukienka, jaką w życiu miałam – czarna chanel z lumpeksu na Grochowskiej i wzrok, jakim Andrzej Wajnert patrzył na moje w niej plecy.

– Halo? Jest pani tu?

– Przepraszam.

I urzędniczka, i Krzysztof zerkali na mnie z pretensją. Chyba nie pomyśleli, że uznam czarny za odpowiedni kolor na ślub?

– O nazwisko pytam!

– Ach, nazwisko. – Więc o to chodziło. Tylko o to. – Zachowuję swoje.

Tak ustaliliśmy już wcześniej, a Krzysztof na szczęście nie miał nic przeciwko. Zbyt długo żyłam jako Kańska i za wiele publikacji podpisałam tym nazwiskiem, by je teraz zmieniać. Ale urzędniczce chyba nieszczególnie się to podobało.

– Nie chce pani Kańska-Zborniak?

– Nie – Co za dużo, to pretensjonalnie, ale wątpiłam, by podzieliła moje przekonanie.

– Dobrze, w takim razie wypełniamy tutaj. – Paznokciem z odpryśniętym lakierem pokazała nam odpowiednie linijki w formularzu. – Proszę podać nazwiska świadków i rezerwujemy małą salę.

Mała sala w pałacu ślubów na Starówce; nie mieliśmy tylu gości, by zapełnić dużą, a ostatecznie przecież liczyło się miejsce. Najładniejszy urząd stanu cywilnego w mieście – klasycystyczny pałacyk, widok na Zamek Królewski i kolorowe kamienice, ziarenka ryżu rozsypane na kocich łbach staromiejskiego bruku. Tuż obok katedry; właściwie po sąsiedzku – na tyle blisko, by było mi szkoda, że nie tam. Że nie dziesięć lat temu. Że nie z kim innym.

– I teraz już tylko znaczek skarbowy za osiemdziesiąt cztery złote i dwadzieścia dwa złote za odpis skrócony pani aktu urodzenia. Razem sto sześć złotych.

I wtedy się zaczęło. Klepanie się po kieszeniach, rozpaczliwe zagłądanie do pustego portfela, pytania ratunkowe.

– Czy można płacić kartą?

W polskim urzędzie państwowym, tam gdzie stemple, papiery i numerki jak na poczcie, w okienku, w którym od PRL-u poza komputerem na biurku nie zmieniło się właściwie nic?

– Oczywiście, że nie.

Mój narzeczony, który przyszedł zapisywać się na ślub, zapomniał wypłacić gotówkę z bankomatu. Nie pierwszy zresztą raz; zawsze cechowała go nadmierna ufność w plastikowy pieniądz. Krzysztof pochodził ze świata kart kredytowych, iPhone'ów i tabletów – choć rocznikowo wcale tam nie przynależał, radośnie zapisał się do owego królestwa. Nie wyobrażał sobie życia bez wygodnych gadżetów nowoczesności i nie doceniał takich rzeczy jak stara, dobra gotówka. To był błąd, którego nie zamierzałam za niego naprawiać.

– To mamy problem, bo ja też nie wzięłam pieniędzy – skłamałam nie bez złośliwej radości, że będzie teraz musiał iść do bankomatu. Nie wzięłam tylko pod uwagę, że ja w tym czasie będę czekać na niego, w milczeniu i niezręczności, pod obstrzałem kilku par oczu. Pogardliwy i pełen politowania wzrok urzędniczki krzyżował się tuż nad moją głową z nienawistnymi spojrzeniami innych oczekujących. Przystój w obsłudze matrymonialnych interesantów, przedłużające się oczekiwanie, czas, który płynął nieznośnie powolnymi, gęstymi kroplami. Zegar na ścianie odmierzał kolejne minuty, a każda z nich trwała co najmniej pięć. Że też musiał się nie przygotować akurat dziś. Że też nie pomyślał o tym, o czym

powinien był. Że też ja mu nie pomogłam. Co za niefortunny początek wspólnego życia – ledwie zapis do ożenku, a już z problemami.

– Długo jeszcze? – zapytał mnie jakiś zniecierpliwiony głos zza pleców.

– Nie wiem – bardziej wysyczałam, niż odpowiedziałam. Jakby kobieta za moimi plecami była winna temu, że wszystko idzie nie tak, jak powinno.

– Już jestem.

Już czy dopiero, ale wreszcie – Krzysztof pojawił się z pieniędzmi. Opłata wniesiona, kwitek z wyznaczoną datą w mojej torebce.

– Jeżeli przyjdziecie państwo wcześniej, będzie się można umówić z panem, który zapewnia oprawę muzyczną. Zagra na skrzypcach albo coś...

„Albo coś” to nie to samo co organy, ale byłam wdzięczna urzędniczce za jej ostatnią poradę. Do widzenia, dziękujemy, następnii proszę.

– Przepraszam za zamieszanie – powiedział Krzysztof, kiedy wyszliśmy na piękne czerwcowe słońce.

– Nic nie szkodzi – skłamałam, myśląc o tym, jak daleko zaszły już sprawy. Jak wszystko staje się coraz bardziej realne, a ja i mój narzeczony ze sfery deklaracji i zapowiedzi nieuchronnie przechodzimy do świata czynów.

– Cieszę się, że nie chciałaś ślubu kościelnego. – Krzysztof był ateistą, i to raczej z tych wojujących. Pewnie kolejna reakcja na porządny, mieszczański dom, w którym wiara musiała sprowadzać się do rosółu po obowiązkowej mszy w niedzielę. – Bałam się przez chwilę, że możesz chcieć.

Co miałam mu powiedzieć? Że chciałam, ale nie w tym życiu? Że chciałam, ale nie z nim? Nic nie mówiłam; po prostu go pocałowałam, chociaż wiedziałam przecież, że robię właśnie kolejny krok naprzód w ślepej uliczce.

\*

– Michalina?

Tak jakby ktoś inny mógł odebrać mój telefon. Tak jakby ten ktoś tak jak ja nie potrafił powstrzymać drżenia głosu podczas dwóch prostych sylab: „Ha-lo”. Tak jakby czyjeś inne serce biło tak głośno z podniecenia i nadziei, że musiało być słyszalne nawet po drugiej stronie.

– To ty?

Któż inny czekałby na ciebie od pięciu długich tygodni, śląc ci wiadomości co dwa. Kto inny czekałby cierpliwie, niestrudzenie przypominając ci o swoim istnieniu i znosząc twoje milczące odmowy. Która z kobiet czekałaby, mimo że ostatnio wyrzuciła ją z domu, po tym jak zrobiła dla ciebie więcej niż ty pewnie dla kogoś kiedykolwiek?

– Zajrzysz do mnie?

Do czego tym razem jestem ci potrzebna? Do pilnowania nocą, do rżnięcia za dnia czy do przytrzymania zmroku na twoim progu, kiedy akurat boisz się ciemności? Mów śmiało; cokolwiek zechcesz, i tak to zrobię. Chociaż wiem, jak to się skończy.

– Tak pomyślałam, że może warto byłoby się spotkać.

Okruchy z pańskiego stołu, ochłap rzucony na podłogę, skąpo odmierzona część, która tak naprawdę była poniżającą resztką. Nie chcę zaglądać do ciebie na chwilę, nie interesują mnie spotkania na jeden wieczór, nie dbam o to, co byłoby warto. Chciałabym zostać w twoim życiu. Chciałabym w nim miejsce na stałe, na zawsze i dopóki śmierć nas nie rozłączy. Chciałabym mieszkać z tobą w małym miasteczku.

– To jak, wpadniesz?

Czy jeśli się odezwę, jeśli nie zerwę zaklęcia ciszy, jeśli zmilczę – to czy wtedy usłyszysz to, co



naprawdę mówię do ciebie? Co mówię przez cały czas i bez względu na wszystko?

– Michalina, jesteś tam, do cholery?!

Chyba nie. Chyba mnie nie ma. Chyba jakiś diabeł ukradł mi duszę.

– Jestem. I wpadnę, oczywiście.

– Fajnie. Tylko mogłabyś się odzywać, jak cię pytam.

Tylko mogłabyś słuchać, jak do ciebie mówię. I może byś nawet mnie nie kochał.

\*

Jeśli przyjąć, że życie jest malowaniem obrazu, to ile razy możemy zaczynać od nowa? Do kiedy starcza wolnego miejsca na płótnie, by nasz rysunek nie musiał ograniczać się na rzecz tego, co namalowano dotychczas? Do kiedy tworzymy obraz – rzeczywisty, zamierzony, niezakłócony wcześniej położonymi farbami, a od kiedy już tylko palimpsest, w którym warstwy nakładają się jedna na drugą, komplikują, wzajemnie zniekształcają? Do kiedy jesteśmy nieograniczeni w rozmachu linii, w doborze barw, w pociągnięciach pędzla? Czystej powierzchni ubywa, pytanie tylko jak szybko. Kiedy następuje moment, w którym nawet zagruntowanie wszystkiego raz jeszcze już nie pomoże, bo wcześniej użyte kolory były na tyle jaskrawe, by złośliwie wyzierać na powierzchnię tego, co próbujemy zagospodarować na nowo. To tak jak z obrazami dawnych mistrzów, które prześwietlone promieniami Roentgena ukazują swoje drugie, ukryte oblicze. Madonna z twarzą innej kurwy, scena w karczmie schowana pod ukrzyżowaniem, uznany za nie dość pochlebny albo nieopłacony portret dostojnika. Czy tamte zamalowane wersje były gorsze od tych, którym musiały ustąpić miejsca? A może przeciwnie, może były lepsze i to przed nimi modliliibyśmy się dziś w muzeach. Zaniechane, odesłane w niebyt, niespełnione. A na nich malunki stwarzane od nowa. Któryś z nich finalny, obowiązujący, ostateczny. Kiedy nadchodzi moment, w którym można już tylko dostawiać drobne kreski, cieniować barwy, poprawiać detale? Ile razy można zaczynać od nowa, a kiedy należy poprzestać na tym, co już jest? Zastanawiałam się nad tym, ilekroć byłam z Krzysztofem. Do kiedy miałam szansę na arcydzieło, a od kiedy stałam się skazana na bohomasz pod tytułem *Życie Michaliny. Wersja z Krzysztofem*. Pierwsza połowa XXI wieku, autor ze szkoły zastępstw i pocieszeń. Nawet jeśli muszę pogodzić się z porażką sprzed dziesięciu lat – być może nie byłam jeszcze wtedy na tyle biegła w sztuce mieszania farb, by podołać tak abstrakcyjnemu dziełu jak życie z Wajnertem – to chociaż obraz, który próbowałam namalować pięć lat temu, powinien był mi wyjść. Teoretycznie miał zadatki na taki, który mógłby zostać sprzedany kolekcjonerowi wrażeń za całkiem przyzwoitą cenę. Niestety oba nie wyszły, a miejsca pozostałego na płótnie starczyło mi tylko na nieznośnie sztampową scenę rodzajową. Ja i Krzysztof na kanapie, film na DVD. Akcja amerykańskiej komedii romantycznej, którą z uwagą śledził mój narzeczony, gdzieś mi umknęła. Przypomniałam sobie tamten telefon sprzed pięciu lat. Telefon, który mógł odmienić moje życie.

– Dzień dobry, czy pani Michalina Kańska?

Nie znałam tego głosu, numeru też nie, zwłaszcza że wyświetlił się jako zastrzeżony. Nie miałam pojęcia kto to; w skrytości ducha liczyłam, że profesor Piekutowicz dzwoni zaoferować mi studia doktoranckie i asystenturę w swoim zakładzie. Pomimo solennych zapewnień Sławka Jeżewskiego, że to już absolutnie przesądzone, byłam nieco podenerwowana faktem, że jeszcze nie usłyszałam oficjalnej propozycji; za trzy miesiące miałam obronę magisterium. Piekutowicz był formalistą i pewnie chciał doczekać właśnie do tego momentu, ale ja denerwowałam się gderaniem babki, że koniec studiów za pasem, a ja ciągle jeszcze nie rozejrzałam się za stałym zatrudnieniem.

– Tak, to ja – potwierdziłam, czekając, aż mój rozmówca się przedstawi, czego nie zrobił. Zamiast tego powiedział:

– Dzwonię z Agencji Wywiadu. Czy myślała pani kiedyś o pracy dla kraju?

W pierwszej chwili uznałam, że to żart, zwłaszcza że myślałam właśnie o pracy, chociaż akurat nie dla kraju, tylko dla gwiazdy Instytutu Nauk Politycznych. Ale to chyba nie mógł być żart; moi koledzy z roku nie wpadliby na coś takiego. Nawet ci, którzy wyjątkowo mnie nie lubili – szczególna antypatia za specjalne względy, które okazywali mi doktor Jeżewski i profesor Piekutowicz. Ten ostatni niestety tylko na tle intelektualnym.

– Proszę pana, ja mam pracę. Znaczący się, zajęcie. Piszę magisterium, z którego od razu ma powstać artykuł naukowy. – Ta rozmowa wydawała się podejrzana; lepiej skupić się na czymś pewniejszym, a cóż może być pewniejszego niż Platon. – Więc sam pan rozumie, że mam dużo pracy. W której mi pan przeszkadza.

Ton głosu mężczyzny po drugiej stronie słuchawki powstrzymał mnie przed jej odłożeniem:

– Proszę się nie rozłączać. Wiem, że to wszystko może brzmieć dziwnie, ale ja mówię jak najzupełniej poważnie. Mamy dla pani propozycję.

Natychmiast przypomniały mi się wszystkie książki szpiegowskie czytywane w wannie dla relaksu i wszystkie filmy sensacyjne, na które czasami udawało mi się natrafić podczas wędrówek po kanałach telewizyjnych w bezsenne noce. Czy naprawdę fikcja może pewnego dnia wkroczyć w twoją rzeczywistość? Tak po prostu, pod postacią głosu nieznanego dzwoniącego z zastrzeżonego numeru? Zatem takie rzeczy się zdarzają?

– Chcielibyśmy się spotkać, porozmawiać. Musielibyśmy też przeprowadzić kilka testów. Czy przyjdzie pani do nas na Miłobędzką, powiedzmy w czwartek o szesnastej?

– Proszę pana... – zaczęłam, ale mój rozmówca przerwał mi dość bezceremonialnie.

– I proszę przynieść ze sobą swój życiorys. Napisać sobie na spokojnie w domu. Tylko ręcznie, dobrze? I nie żadne CV w punktach, tylko tradycyjny, szczegółowy życiorys. W formie opisu. Wiemy, że dobrze pani pisze, więc sądzę, że nie będzie problemu.

To miał być chyba żarcik dla rozluźnienia atmosfery. A może naprawdę wiedzieli o mnie więcej, niż mogłam przypuszczać? Wydrukowano już kilka moich artykułów, to nie zdarzało się często wśród studentów, ale mimo wszystko nie sądziłam, że ktoś spoza wąskiego grona fascynatów filozofii polityki śledzi branżowe publikacje.

– To wszystko wydaje mi się jakies dziwne... – A przede wszystkim mało stylowe. Skoro już bowiem wkraczamy w klimat filmów szpiegowskich, to spodziewałam się raczej smutnych panów w ciemnych garniturach, którzy podeszliby do mnie pewnego dnia w uniwersyteckim bufecie. Lub przysiedliby się w knajpie, gdzie samotnie piłabym drinka przy barze. Albo zaczepiliby mnie w kolejce do kasy w zatłoczonym sklepie. „Mamy dla pani propozycję. Proszę pozwolić z nami” – jeden z nich szepnąłby mi do ucha, wymownym gestem kładąc dłoń na kaburze odznaczającej się pod materiałem marynarki, a drugi ująłby mnie pod ramię. Tak to powinno wyglądać, w ten sposób składa się tego rodzaju propozycje. To, co mi tu oferowano – przez telefon, z konkretnym, zupełnie jawnym adresem instytucji, z żądaniem przyniesienia życiorysu – to w żadnym razie nie było to. A może dlatego właśnie ta wersja była prawdziwa?

– Zapewniam panią, że nic w tym nie ma dziwnego. Szukamy ludzi do służby, która jak zapewne pani wie, jest specyficzna. Dlatego wszystkie szczegóły usłyszycie dopiero na spotkaniu. – Teraz brzmiał już lepiej, choć trochę tajemniczo. I przynajmniej na koniec mnie nie zawiódł. – I jeszcze jedno. Proszę oczywiście o całkowitą dyskrecję. Całkowitą. Rozumie mnie pani?

– Oczywiście – zapewniłam go, wyobrażając sobie, co Ewa i Filip powiedzą na te rewelacje.

– W takim razie do zobaczenia w czwartek.

– Do zobaczenia.

Odłożyłam telefon na biurko; dopiero po chwili zorientowałam się, że dochodzą z niego cichutkie popiskiwanie. Z wrażenia zapomniałam się rozłączyć, a dziwnym trafem pan po drugiej stronie również o to nie zadbał. Randka werbunkowa z Agencją Wywiadu – mój Boże, kto by pomyślał. Dotknęłam czerwonej ikonki na ekranie; cały umazał się od pudru z mojego policzka. Trzeba to było jak najszybciej poprawić – właśnie czekałam na odwiedzinę dobroczyńcy, który opłacał czynsz za moje mieszkanie. Poniedziałki, środy i piątki – to były moje dni pracy fizycznej; dobroczyńca prowadził bardzo uregulowany tryb życia, co pozwalało mi poza wyznaczonymi porami cieszyć się samodzielnym mieszkaniem i studiami nad Platonem. Dobroczyńca był fanem nieskazitelnego makijażu, a ja doskonale spełniałam jego oczekiwania – puder nigdy nie spływał mi z twarzy, nawet wraz ze spermą. Ta rozmowa musiała mnie więc naprawdę wyjątkowo poruszyć. Byłam podekscytowana, ale w całej tej ekscytacji wyczułam także małą domieszkę podejrzeń. Oczywiście słyszałam, że do takich instytucji werbuje się absolwentów, ludzi tuż po studiach, jeszcze na tyle młodych, by byli wystarczająco plastyczni, ale jednocześnie na tyle wykształconych, by dało się ich wyszkolić, wyuczyć według specyficznych wymagań, wdroyć do fałszywych tożsamości, wymyślonych życiorysów, nowych obcych środowisk. Krążyły legendy o paru osobach z poprzednich roczników, które tuż po studiach gdzieś zniknęły, by później wypłynąć za granicą na jakichś intratnych, ciekawych stanowiskach. Skoro smutni panowie interesowali się studentami politologii, musieli wiedzieć, kto jest najlepszy na poszczególnych latach. Rzecz jasna, na moim roku tym kimś byłam ja. Mimo to nigdy nie zakładałam, że naprawdę mogą pojawić się u mnie z propozycją. Tak jakby to była rzecz, która dzieje się tylko w książkach. Co sprawiło, że nagle się mną zainteresowali? Że wyszli z kart książki do prawdziwego – i to mojego – życia? Przeszukiwałam w myślach wszystkie sytuacje, wszystkie znajomości, wszystkie drogi, które mogły ich do mnie doprowadzić. Sławek Jeżewski – jego powinnam o to zapytać, skonstatowałam między jednym a drugim pociągnięciem pędzla do nakładania podkładu; dobroczyńca nie lubił niedoróbek. Ale moja konstatacja dość szybko rozpląnęła się w pudrowym obłoczku niepewności. Dystyngowany intelektualista nie pochwali raczej zabawy w szpiegów. Teraz, po pięciu latach, wiedziałam, że Sławek nie miał z tym nic wspólnego, ale wciąż nie miałam pojęcia, kto za tym stał. Drzwi, które wtedy dla mnie uchylono, teraz były zatrzaśnięte na głucho, a ja nigdy nie dowiedziałam się, kto dostrzegł we mnie materiał na Jamesa Bonda. Kto pozwolił mi ludzić się, że mogę mieć życie jak film sensacyjny, z nagłymi zwrotami akcji, trzymającą w napięciu fabułą i efektami specjalnymi. Teraz miałam amerykańską komedię romantyczną – nudną, przewidywalną i ani trochę nie śmieszną. Krzysztofowi to nie przeszkadzało, cieszył się jak dziecko.

\*

Wiosna przyszła, a mnie było smutno; tak bardzo smutno. Wybierałam się do Wajnerta, owszem, ale co z tego? Już wiedziałam, że to nic nie da. Skoro tak łatwo się mnie pozbył po tamtym, to znaczy, że nic, absolutnie nic już się nie zmieni. Że cokolwiek dziś się wydarzy między nami, będzie tylko gimnastyką, higieną albo czynnością fizjologiczną. A ciężko udawać zaangażowanie na lekcji wychowania fizycznego, kiedy ćwiczysz raczej duszę niż ciało. I to te najbardziej wrażliwe, najmocniej naciągnięte, najcieńsze ścięgna. Najmniej wyrobione mięśnie, najbardziej odsłonięte fragmenty, miękkie podbrzusze. Łatwo sobie wtedy coś naderwać, uszkodzić, zniszczyć. Czy to samo się zrośnie? Nie wiedziałam. Wiedziałam za to, że muszę podjąć pewną dość prozaiczną, za to absolutnie wskazaną wyprawę. Wyprawę po dzinsową spódnice.

„Lubię, kiedy kobieta...” – ten ukradziony Przerwie-Tetmajerowi wers był tytułem wywiadu Wajnerta dla cotygodniowego kobiecego dodatku czołowego dziennika. Dziennik był lewicujący, kobiecy dodatek

feminizujący, wszystko razem – bardzo modne i politycznie poprawne. Wajnert tak naprawdę mało tam pasował, ale pewnie w ramach jakiegoś żartu działaczek albo akcji pod hasłem „Poznaj wroga” trafił do rubryki pod wiele mówiącym tytułem *Męska końcówka*. Może feministki chciały wiedzieć, czego unikać? Wajnert opowiadał o swoich upodobaniach estetycznych. Jak zawsze z klasą, ale w sposób niepozbowiony konkretem. „Mój fetysz to džinsowa minispódniczka”. Nigdy mi o tym nie wspominał, ale czemu nie, proszę bardzo. Być może miało to coś wspólnego z jego ponadczasowym zamiłowaniem do džinsowych kurtek, z modą z lat jego młodości, może z jakimś wspomnieniem pieczołowicie przechowywanym w pamięci od czasów, gdy miał kilkanaście lat i spódnica z naszywką „Wrangler” kupiona za dolary w Peweksie stanowiła szczyt wyrafinowania. A może po prostu lubił dotyk sztywnej, mocnej tkaniny na kobiecej skórze? Albo był wielbicielem amerykańskiego stylu i to uwielbienie przeniósł nienaruszone z mrocznych głębin PRL-u aż na powierzchnię epoki światła kapitalizmu? Jakkolwiek było, postanowiłam zorganizować sobie błękitną spódniczkę z materiału dla poszukiwaczy złota.

Stanowiło oczywistość, że w tym celu muszę udać się na Stadion. „Stadion” – magiczne słowo dla lokatorów akademika na Kickiego, a pewnie i dla wszystkich mieszkańców praskiej strony Wisły, ogród obfitości, centrum zaopatrzenia we wszelakie dobra, zarówno te dostępne w oficjalnym obiegu, jak i te nieco mniej legalne. Mieszkałam w Warszawie już wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie mówi się Jarmark Europa, tylko właśnie Stadion, i że na ów Stadion trzeba wyruszyć dość wcześnie – handel hurtowy trwał tam bowiem od środka nocy do świtu, detaliczny kończył się zaś najpóźniej w południe. Godzina dziewiąta była idealna – furgonetki sklepikarzy, dla których Stadion pełnił funkcję hurtowni, już odjechały wyładowane po dach towarem, a handlarze ze wszystkich stron świata i o wszystkich kolorach skóry wciąż jeszcze dyżurowali w blaszanych budach, przy polowych łózkach, na rozłożonych kartonach.

Stadion był jak ul – brzęczący, hałaśliwy, miodowy w porannym słońcu wiosennego dnia. Żeby się tam dostać, trzeba było wysiąść z tramwaju i zanurzyć się w betonowe czeluście przejścia podziemnego przy przystanku Rondo Waszyngtona. Charakterystyczna mieszanka zapachowa moczu, drożdżówek po złotówce i wilgotnej stęchlizny stanowiła preludium dla różnorodności zmysłowych wrażeń, które czekały u celu. Uwielbiałam Stadion – obraz dekadencji i upadku w całej krasie i w absolutnej pełni, apogeum tandety i kwintesencja wszystkiego, co szemrane, ale na tyle pewne siebie, by egzystować jawnie, otwarcie i na powierzchni. Rakowa narodziła się na tkance miasta, która tak jak rzeczywiste komórki nowotworowe potrafiła przybierać fantazyjne formy i tworzyć barwne nacieki. Nie wiem, czy policja w ogóle kiedykolwiek tam zaglądała; pewnie nie. To było państwo w mieście, autonomiczny obszar eksterytorialny, samodzielne królestwo pokątnego handlu, paserstwa i przemytu. Życie wrzało tam, kwitło i buchało – drugie życie zapomnianego obiektu sportowego, chwasty wyrosłe wśród ruin. Tak jak w czasach, gdy rozgrywano tam Memoriał Kusocińskiego, także w dobie bazaru na Stadionie obowiązywał jasny podział stref i ściśle określone zastosowanie poszczególnych części infrastruktury. Sam dół wypełniony alejkami budek przeznaczony był dla początkujących albo niewtajemniczonych, szatnie tak jak niegdyś dla sportowców, tak dziś dla handlarzy stanowiły niezbędne zaplecze, korona skupiała *crème de la crème* kibiców, którzy wiedzieli, po co tu przyszedli. Stadion był monumentalny nawet w fazie upadku – doniosłość dziesiątej rocznicy powstania PRL-u musiała dodać budowniczym śmiałości i rozmachu. Wszystko było ogromne i tak naprawdę nie na ludzką skalę; wątpię, czy dawni piłkarze zdołali zejść z boiska, a później na nie wrócić w ciągu piętnastominutowej przerwy w meczu. Teraz cała ta ogromna powierzchnia była wykorzystana co do centymetra kwadratowego. Rejwach targowiska wkradł się wszędzie, a duch kapitalizmu ostatecznie wygonił stąd ducha sportu. Wszystko było zajęte, zagospodarowane, zastawione towarami z całego świata i z niewiadomych źródeł. Udeptana, dzika trwa porastała miejsce, gdzie niegdyś musiała być płyta stadionu, kamienne ławki wciąż trwały, choć

odkruszyły się od nich niektóre elementy, a ze szczelin między głazami wystawały kępki rachitycznych chwastów. Uwielbiam przychodzić w to miejsce – jego gwar mnie wyciszał, jego pstrokaczna pozwalała mi odpocząć od własnego gustu, jego szemrany koloryt i wątpliwa reputacja sprawiały, że czułam się bezpiecznie. „Kawa, herbata, kanapki” – wołanie rozwoziciela prowiantu rozlegało się co chwilę wśród blaszanych budek i porozstawianych szczęk. Obwoźny sprzedawca wrzątku i posiłków zaskakująco zgrabnie manewrował swoim wózkiem na kółkach wśród ludzkiej ciżby i bogactwa dóbr wystawionych na handel. Róg obfitości w wersji półlegalnej, wszystkie towary świata dostępne w cenach poniżej granicy rozsądku, oszałamiający wybór chińskiej produkcji.

Szukałam dzinsowej spódnicy, mogłam więc poprzestać na bezpiecznych alejkach, w których hałaśliwi sprzedawcy tekstyliów zachwalali swój towar. Ale skoro już tam byłam, to nie mogłam sobie odmówić spaceru na koronę. Wiedziałam, po co się tam chodzi, i chociaż akurat nie potrzebowałam ani spirytusu, ani pirackich płyt, to papierosy z przemytu zawsze mogły się przydać. „Fajki od Ruskich” – one zawsze bezbłędnie odróżniały przyjezdnych od rodowitych warszawiaków, przynajmniej na uniwersytecie. Cóż, trzeba było jakoś sobie radzić w wielkim drogim mieście – Stadion był jednym ze sposobów. Przybysze ze wschodu stanowili znaczną część tamtejszych handlarzy i tak się składało, że królowali właśnie na koronie. Tajemniczy panowie o kaukaskich rysach twarzy, w nieodłącznych skórzanych kurtkach i z dłońmi głęboko w kieszeniach. Tacy, co to niby niczym nie handlują, żadnego towaru nie mają przed sobą, a jedynie toczą wzrokiem po przechodniach, by od czasu do czasu wyszeptać w czyimś kierunku: „Spirytus, wódka, marlboro, camele”. Za chwilę: „Filmy dla dorosłych, horror, komedie”. A czasem nawet: „Dokumenty, papiery, co potrzeba”. Zawsze z akcentem z rubieży Rosji, zawsze z nadzieją na interes. Ciekawe, w jaki sposób klasyfikowali swoich potencjalnych klientów. Na jakiej podstawie oceniali, kto czego przyszedł tu szukać i za co gotów jest zapłacić. Ja akurat musiałam wyglądać na zdesperowaną, bo jeden z owych mężczyzn charakterystycznego gatunku nachylił się do mnie, gdy przechodziłam obok, i ze wschodnim zaśpiewem, całkiem przyjaźnie i melodyjnie, zapytał: „Aruże wam nie nużna?”. Szeptana reklama, oferta dopasowana indywidualnie do klienta, handel oparty na wzajemnym zaufaniu. A co, gdybym była tajniakiem? Chyba nawet tego nie podejrzewali. Towar pochowany gdzieś daleko, ustna umowa, ty płacisz część ceny, a on lub jego pomagier przynoszą ci zamówione dobra. Oglądasz, dopłacasz, idziesz dalej. Nielegalna transakcja dokonana, obie strony zadowolone, niezbędne środki ostrożności zachowane. Prawie jak za kilka lat na Silk Road, chociaż na Stadionie nigdy nie kupowałam kokainy. Wówczas wystarczały mi westy z przemytu i od czasu do czasu lewe kosmetyki. Stadion stanowił raj dla kobiet – niektóre z moich znajomych miały tu nawet stałych dostawców szminek, perfum i kremów. Dokonując tego rodzaju zakupów, trzeba było wykazywać się szczególną uwagą – dla naiwnych istniał bowiem ogromny rynek podróbek, rozgrzanych słońcem i oficjalnie wystawionych na szczękach czy ladach budek. Trzeba było ten zalew tandety dla nieznaających się na rzeczy ominąć, by dotrzeć do źródeł dobrego towaru. Do budek, w których nic nie leżało na wierzchu, za to wiele można było dostać z zaplecza w postaci kraciastej torby albo kartonu z niepolskimi napisami. Towar kradziony z ekskluzywnych perfumerii, przemywany do Polski w dostawach dóbr zupełnie nieluksusowych, taki, który dziwnym trafem spadł z tira przy załadunku albo w transporcie. Jeśli pozyskało się zaufanie sprzedawcy, można było nawet składać konkretne zamówienia – życzy sobie pani Tresor w pojemności sto mililitrów? Dobrze, tak, dokładnie w takim fioletowym flakonie. Będzie na piątek. Odbiór wyłącznie osobisty. Oczywiście nikt nie mówił o kupowaniu kradzionego; wszyscy odobrym interesie. A interes kręcił się na Stadionie tak, że prawie słychać było, jak w kole fortuny obracają się szprychy.

Akurat teraz nie było mnie stać na perfumy, nawet na kradzione. Skinęłam głową zaprzyjaźnionej pani Beacie, która sprzedawała płyty, i poszłam w kierunku rejonu wietnamskiego. Zastanowiłam się przez

chwilę, czyby nie sprawić sobie tego nowego Cohena, o którym od pewnego wieczoru w przytulnym mieszkaniu na Mokotowskiej nie chciałam nawet myśleć. Pani Beata na pewno by go miała; po przywitaniu podawała klientom elegancko wydrukowaną listę – tytuł, wykonawca, numer. „Poproszę sto pięćdziesiąt sześć i osiemdziesiąt cztery” – mówiło się do niej. Kartka papieru trafiała z powrotem do jej kieszeni, banknot do ręki, a piracka płyta do torby klienta. Okładki też fałszowali, to nieprawda, że pirackie płyty nie miały okładek ani list piosenek. Miały, tylko może nieco mniej wyraziste i czasem krzywawe od drukowania na jakimś chałupniczym sprzęcie. Brakowało im tylko przezroczystych plastikowych pudełeczek; zamiast nich przysługiwała zamykana na kropelkę kleju folia. I tak nikt nie narzekał, może poza artystami okradanymi z tantiem. Nie, jednak nie chcę Cohena; dzień uciekał i trzeba się było spieszyć, by zdążyć do tekstylnego raj. O ile na dole od strony wejścia z ronda Waszyngtona można było spotkać polskich handlarzy i o ile na koronie królowali Rosjanie, o tyle tylne rewiry przy zejściu w kierunku alei Zielenieckiej należały do Azjatów. Panowali tam niepodzielnie Wietnamczycy ze swoją bawełną, lampkami choinkowymi, którymi handlowali nawet na wiosnę, i z apetycznym aromatem zupy pho. Robiło się coraz później, a ja zagłębiałam się w azjatyckie królestwo. Bawełna *made in China*, szwy sfastrygowane przez małe żółte rączki, kolory trwałe do pierwszego prania. Rzecz jasna, dzinsową spódnicę mogłam dostać na pierwszym lepszym straganie, ale zbyt lubiłam włóczyć się po tym miejscu, by tak szybko się na coś decydować. Stosy butów z długimi noskami, pary skarpetek spakowane po dziesięć, jaskrawe ubranka opięte na plastikowych biustach manekinów.

– Pani, pani, ładny kolor.

– Bierze to?

– Dzień dobry.

Azjatycka uprzejmość, natrętna oferta, nadmiar propozycji wypowiedzianych bardzo łamaną polszczyzną przywodzącą na myśl napisy z opakowań chińskich zupek. Rzeczywiście pachniało tu kurczakiem wifon. Albo wieprzowiną w pięciu smakach, nie licząc smaku psa. Im dalej szłam, tym było intensywniej. Podwójne rzędy straganów wyglądały, jakby miały się nigdy nie skończyć. Coraz więcej kartonów zaścierało ziemię, coraz mniej towarów leżało na widoku, coraz liczniejsze twarze wylaniały się z zaplecza. Wszystkie takie same – drobne, żółte, o skośnych oczach. Może to wcale nie byli Wietnamczycy, może pochodzili z Kambodży albo z Laosu? Nieważne, i tak poczułam się dziwnie, kiedy tak patrzyli na mnie, a ja poniewczasie zorientowałam się, że jestem tu jedyną białą osobą. Nawet nie wiem, kiedy zrobiło się pusto; pusto i dziwnie, choć przecież Azjaci to przyjaźni ludzie. Nie rozumiałam ani słowa z ich pokrzykiwań; samym środkiem alejki handlowej przejechał duży, terenowy samochód. Zza jego przyciemnianych szyb też patrzyły azjatyckie twarze – małe wąsiki, posępne spojrzenia, złote łańcuchy. Zachręściły kartony zgniatane kołami. Chyba nie kupię już dziś tej spódniczki, chyba Wajnert nie będzie miał uciechy. Szłam przed siebie coraz szybciej i szybciej, coraz mocniej ściskając pasek torebki. Skręt na Dworzec Stadion, brzydki i zakazany. Ale jednocześnie zajęty przez polskich handlarzy, przez otwarte kraciaste torby i małe, składane stoliczki, z których można kupić pieski kiwające głową. Niektórym nawet świeciły się oczka – swojski kicz, znajoma tandeta, hity polskich bazarów; pewnie też wyprodukowane w Chinach, ale sprzedawane daleko od azjatyckiego labiryntu. Zatrzymałam się przy pierwszym lepszym stoisku, chwila wytchnienia, oddech ulgi – nie do końca uświadomionej, ale odczuwalnej równie wyraźnie jak ciepły, wiosenny wiatr na twarzy. Podniosłam oczy na asortyment: przede mną był dzinsowy raj. Granat, *navy blue*, marmurek. Spodnie poukładane jedne na drugich, rękawy koszul powiewające na wietrze, ogrodniczki na manekinie bez głowy.

– Paniusia za czymś konkretnym? – Handlarka wyglądała jak modelowy egzemplarz: tleniona trwała ondulacja, ogromny biust wylewający się ze zbyt dużego dekoltu, niebieskie powieki. W tej ostatniej kwestii musiała kierować się chęcią spójności kolorystycznej ze sprzedawanym towarem.

– Tak. Szukam minispódniczki.

Klient nasz pan, nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Miała całe naręcze spódniczek; sportowe i burdelowe, tuż za tyłek i do pół uda, jasne i ciemne. Wybrałam taką, która była jak najbliższej klasycznego wzorca.

– Trzydzieści cztery. Niech będzie, że opuszczę złotówkę. – Pieniądze trafiły do saszetki na brzuchu handlarki, a spódniczka do foliowej torebki; wtedy nikt jeszcze nie przejmował się ekologią, nawet na świeżym powietrzu.

– Do widzenia – pożegnałam się grzecznie, ruszając w kierunku przystanku tramwajowego. Całe to ludzko-handlowe kłębowisko szykowało się powoli do zamknięcia działalności: sprzedawcy demontowali swoje kramy, liczyli utarg i ustawiali się z torbami wypchanymi nieupłynnionym towarem w oczekiwaniu na odjazd autobusów. Słońce mieszało się w powietrzu ze spalinami, krążowniki prowincjonalnych szos grzały silniki przed odjazdem do Mławy, do Tuszczu, do Grodziska Mazowieckiego. Stadion cichł mi za plecami, kiedy tak oddalałam się od jego zamierającego gwaru ze swoją zdobyczą w ręce. Solidny, wytrzymały materiał, pięć kieszeni, nity podtrzymujące ich pojemną konstrukcję. Strój wymyślony dla poszukiwaczy złota – może mała wariacja na jego temat, ale wciąż doskonała do tego, by bezpiecznie schować samorodek. Jeśli tylko dopisze mi szczęście. Jeśli go dzisiaj znajdę. Jeśli wyłowię go z wód, które toczy rzeka Wajnerta.

Wajnert i jego twierdza z piaskowca. Wajnert i jego brązowe królestwo na Mokotowskiej. Wajnert i jego niecierpliwe, ciepłe dłonie. Nie potrafił ich utrzymać z dala ode mnie, gdy tylko zobaczył mnie w progu. W dzinsowej minispódniczce.

– Włożyłaś ją specjalnie dla mnie?

Oczywiście, że tak, kochanie. Specjalnie dla ciebie. Jak wszystko, co robię od pół roku.

– Nie, no coś ty. Od rana mam ją na sobie. A co, lubisz?

Lubił; w wywiadzie dla feministycznej gazetki nie kłamał. Widziałam to w jego oczach ogromniejących za szklami okularów. Widziałam to w ruchach jego dłoni na moich biodrach ściśle obciągniętych niebieską tkaniną. Widziałam to w jego ustach półotwartych i głodnych. Gdzie była wtedy jego narzeczona tenisistka? W który zakamarek swojej głowy spychał w takich chwilach ją i jej konto w szwajcarskim banku? Jak godził pożądanie jej pieniędzy z pragnieniem mojego ciała? Długo patrzył i dotykał, zanim zdecydował, że jednak nie zdejmie mi tej spódniczki. Długo wahał moje matki, zanim liznąwszy je czubkiem języka, odrzucił gdzieś w kąt. Długo usadzał mnie sobie na kolanach, zanim podwinął do góry ten kawałek sztywnego materiału. Dzinsowa minispódniczka, szkoła, codzienny strój uczennicy. Zatem o taki zestaw skojarzeń chodziło; o sadzanie sobie na kolanach niesfornej dziewczynki i o indywidualne korepetycje. Z geografii ciała, z mapy rozkoszy, z ćwiczeń ze wskaźnikiem. Jego usta oparły się gdzieś o moją łopatkę; były niebezpiecznie gorące; bałam się, że wypalą mi ślad na skórze. Mówił coś wprost w moje włosy, trzymał mnie na przemian za piersi i za ramiona, kształt swojej twarzy odbijał w moich plecach. A ja nie mogłam przestać wiercić się na jego kolanach, szukać sobie miejsca z nim w środku, chwycić się rozpaczliwie poręczy fotela. Wklęsłość kręgosłupa i krągłość pośladków, kurczowo zaciśnięte dłonie, mięśnie ud drgające w rytm uderzeń obcasów o podłogę. Czułam go w sobie tak głęboko i wyraźnie, jakby był częścią mnie. Jakby jego miejsce było właśnie tu, zawsze i tylko tu, nigdy nie w kobiecie o blond włosach i z tenisową piłeczką w dłoni. Wiedziałam, że ona jest, że jej zdjęcie wciąż stoi na jego półce, że jej cień z rakieta majaczy gdzieś nad nami, niewyraźny, a jednak obecny. To wszystko było nieważne, odległe, dalekie. Tak samo jak to, co stało się pięć tygodni temu. Cała moja złość, całe upokorzenie i cały żal gdzieś zniknęły, rozmyły się, rozplynęły. Wszystko, co złe, przepadło bez śladu w płynnych ruchach moich bioder na jego kolanach. Demony, które gnały Wajnerta

do butelki, podłość, która psuła jego serce, Monika Gawłowicz, która wisiała nad naszymi głowami. Nawet jeśli już za chwilę Wajnert wróci do niej. Nawet jeśli to o niej myśli, paląc papierosa na dobranoc i pijąc pierwszą kawę. Nawet jeśli to ona jest na zawsze, a ja tylko na chwilę. Przecież to nic, przecież to nie boli, przecież wolno mu do niej odejść. Byleby tylko zostawił mi najpierw swoje dłonie z długimi, białymi palcami, aby mnie dotykały. Swoje oczy w kolorze brudnej zieleni, aby na mnie patrzyły inteligentnie i z błyskiem erotycznego zainteresowania. Swój głos zachrypnięty od papierosów, aby mówił do mnie. Byleby najpierw wypełnił mnie ściśle i dogłębnie, i byleby mi zostawił swoją duszę w środku. A jak mi to wszystko zostawi, to przecież będzie mógł sobie iść. Do niej albo dokądkolwiek; na zawsze.

\*

– Opowiadałaś o tym Krzysztofowi?

– Nie.

– Dlaczego? – Ewa ściągnęła brwi z dezaprobatą; przepadała za swoim kolegą z pracy, a odkąd mój romans z nim zaczął przybierać obrót, do jakiego w moim wykonaniu nie była przyzwyczajona, jej uwielbienie jeszcze wzrosło. A od kiedy dowiedziała się o zaręczynach, traktowała go jak szwagra; ze strony dziewczyny ze wsi, gdzie szwagier oznacza najwyższy stopień powinowactwa i przyjaźni, to było naprawdę duże wyróżnienie.

– No bo... – Zastanowiłam się przez chwilę, po co mam opowiadać obecnemu narzeczonemu o tym, co było na długo przedtem, zanim go poznałam. – Bo to chyba nie ma już żadnego znaczenia.

Przypomniałam sobie, jak podobnie brzmiała moja rozmowa z Ewą na ten sam temat pięć lat temu. Ona zapytała, czy mówiłam babce, a ja tak samo jak teraz tłumaczyłam się mało przekonująco. Uśmiechnęłam się; miałam wtedy na końcu języka, że zabronili mi komukolwiek mówić, ale zorientowałam się na czas, jak idiotycznie zabrzmiałby ten argument po tym, jak przegadałyśmy na zakazany temat godzinę.

– Nie wiem, może jej powiem. – Wybrnęłam wówczas.

– Przecież będziesz musiała jej powiedzieć, jeśli cię przyjmą.

„Zasada jest taka: informujemy członków najbliższej rodziny, gdzie pracujemy, ale nigdy nie opowiadamy żadnych szczegółów” – tyle miała na ten temat do powiedzenia kobieta, która powitała mnie w Agencji Wywiadu w tamten czwartek o szesnastej. Werbownik pierwszego kontaktu – miła, serdeczna, wzbudzająca zaufanie; loki chałupniczej roboty i dziesięć kilo nadwagi. Spotkanie miało charakter indywidualny, a pani była bardzo opiekuńcza. Kiedy przyszłam, już czekała, aby pomóc mi pokonać tor przeszkód w postaci budki uzbrojonego wartownika, rzędów wykrywaczy metalu, punktu wydawania tymczasowych przepustek. Musiałam pozwolić, by prześwietlono moją torebkę, i przejść przez piszczące bramki; prawie jak na lotnisku, tyle że tam nie trzeba oddawać swoich rzeczy do depozytu.

– Proszę wyłączyć telefon i zostawić go tutaj. Otrzyma pani numerek. – Prawie jak w szatni, tylko obsługa była w mundurach. Sporo było tych „prawie”. – Niezbędne środki bezpieczeństwa. Przywyknie pani. – Moja opiekunka wiodła mnie przez jakieś zakamarki; najpierw mały spacer na zewnątrz, później kluczenie po korytarzach budynku, który ani trochę nie wyglądał jak sztab tajnych operacji. Sterylnie, nowocześnie, wykładzinowo-beżowo. Wszystko dla niepoznaki czy serce polskiego wywiadu tak naprawdę biło zupełnie gdzie indziej? Wyjątkowe pustki na korytarzach wskazywały na tę drugą ewentualność – nigdzie nie było żywego ducha, ani nawet śladu po nim. Cicho, pusto, głucho. Budynek wydmuszka, sztuczna konstrukcja, z której w ukrytym miejscu otwierają się wrota do prawdziwej siedziby, tekturowa dekoracja. Nawet w oddali nie było słyhać niczych kroków. Przypomniałam sobie horror, który oglądałam w dzieciństwie: wymarły szpital opanowany przez wampiry – wchodzisz jak do



prawdziwego, ale nigdy nie udaje ci się wyjść.

– Tutaj porozmawiamy. – Czytnik przy drzwiach pisnął, gdy moja opiekunka zbliżyła do niego identyfikator. Przy jednych z niekończącego się rzędu takich samych drzwi bez numerów ani żadnych innych oznaczeń.

– Na jakiej podstawie uznaliście państwo, że mogę się nadać do pracy u was? – Postanowiłam, że ja zacznę tę rozmowę. Jednak bardziej formalną niż towarzyską, jak uznałam na podstawie faktu, że zasiadłyśmy po dwóch stronach biurka, mimo że w pokoju znajdował się także stół i fotele. O dziwo prawdziwe, a nie z kartonu.

– Jest pani jedną z najlepszych studentek. Zna pani angielski. I środowisko uniwersyteckie. – Zabrzmiało jak w filmach o działaczach Solidarności, których ubecy usiłują namówić na donoszenie na kolegów. Kobieta musiała wyczytać te skojarzenia z wyrazu mojej twarzy.

– Chodzi nam o to, że ma pani potencjał. Potencjał, który możemy wykorzystać. Z pożytkiem dla pani, oczywiście.

Tu nastąpiła długa wyliczanka profitów i zalet pracy w Agencji Wywiadu; opiekunka okazała się także akwizytorką. Chciała mi sprzedać wizję dalekich podróży i odpowiedzialnych misji, ambitnych zadań i wielkich tajemnic, prestiżu i elitarności. Wszystko tajne przez poufne, wszystko o szczególnym charakterze, wszystko dla kraju. Był tylko jeden szkopuł: cena, którą trzeba by za to zapłacić. I to wcale nie tylko ta wyrażona w pieniądzu o wiele mniejszych niż dochody, których spodziewałam się z wielce prestiżowej posady u Piekutowicza

– Jeżeli, jak oczywiście zakładam, pomyślnie przejdzie pani proces rekrutacji, skierujemy panią na szkolenie oficerskie.

Beztróskim głosem roztaczała przede mną wizję roku w zamkniętym ośrodku – legendarne i niesławne Stare Kiejkuty, poranna zaprawa, biegi na orientację i ćwiczenia fizyczne. A przy okazji oczywiście szkolenie z sekretów działania wywiadu, ze wszystkich szpiegowskich sztuczek i tajników fachu prawie tak starego jak prostytutka. Przepustka dwa razy do roku na święta, teren ogrodzony i patrolowany przez uzbrojonych żołnierzy, telefon do najbliższych przysługuje raz na tydzień. Ze stacjonarnego aparatu na podsłuchu, rzecz jasna.

– Kurwa, przecież to jakiś koszmar – nie potrafiłam powściągnąć emocji, relacjonując to wtedy Ewie. Nie można wyjść, nie można zmienić zdania, nie można samowolnie się oddalić. Wypadki z bronią przecież się zdarzają, zdarzają się też omyłkowe postrzelenia. Czarna dziura, której obawiałam się na Miłobędzkiej, była dopiero tam. Bilet na podróż w jedną stronę. Ekscytującą podróż, jak uważała moja siostra.

– Daj spokój, mówią tak, żeby potem nikt nie miał pretensji, że musi trochę pobiegać po lasach, ale nie sądzę, że na tym właśnie się tam skupiają.

– Michalina ma rację, to nie zapowiada się dobrze. – Filip musiał wziąć moje asekuranctwo za rzeczywistą niechęć. Albo kierował się swoimi upodobaniami; w tamtych czasach pracował w kuchni hotelu Sheraton i zaczynał właśnie cieszyć się rolą króla soczystych mięs i wyrafinowanych deserów. Chyba długo by nie pociągnął na wikcie oficerskiej stołówki.

– Ale pójdziesz na te wszystkie testy?

– Pójdę – zadeklarowałam, właściwie sama nie wiem po co. Może z ciekawości? A może dlatego, że głupio mi było odmówić, kiedy dzwonili do mnie z zastrzeżonych numerów, by uzgodnić dalsze etapy rekrutacji? A może dlatego, że bawiło mnie gadanie o rzeczach, które miałam zachować w jak najściślejszej tajemnicy?

– Idź. Zdasz to wszystko na pewno, a potem co najwyżej będziesz decydować. – Zawsze się zastanawiałam, skąd u mojej siostry takie pokłady zdrowego rozsądku. W tamtych czasach miała je na

każdą okazję. Jak to się stało, że teraz zupełnie je straciła w sprawie skazanego na porażkę romansu z żonatym profesorem?

– Cześć, skarbie. – Krzysztof stanął w drzwiach mojego mieszkania z trzema różami. Boże, jaki on był nudny z tymi swoimi badyłami. Od razu skarciłam się za takie myśli – nie byłam przecież bez winy. Nigdy mu nie powiedziałam, że nie lubię ciętych kwiatów; to byłoby zbyt niekonwencjonalne, a ja przecież postanowiłam być konwencjonalna. Postanowiłam spróbować, a ta próba robiła się coraz bardziej nieznośna. – Cześć, Ewa.

Skinął głową mojej siostrze, ale widziałam ten zawód w jego oczach: ona znów tu jest, będziemy musieli gadać o tej części twojego świata, w której nie ma mnie. Albo o której nic nie wiem. A poza tym nie będziemy mogli leżeć na kanapie i planować naszego wspólnego życia. Ewa musiała wyczuć nastrój Krzysztofa i nie została długo. Kiedy już leżałam z nim na tej jego ulubionej kanapie, nie przestawałam myśleć o tym wszystkim, co mogło być, a nigdy nie było. O tym, gdzie mogłabym teraz się znajdować i co robić. Bo przecież moje życie mogło wyglądać inaczej. Być może nawet nie musiałabym teraz zapychać kątów swojej pustej duszy Krzysztofem.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka spięta.

Nie wiedziałam, że napięcie można wyczuć również w stopach, ale najwyraźniej Krzysztof to potrafił. Leżałam z nogami na jego kolanach, a rzekomo relaksacyjny masaż stóp nie rozluźnił mnie ani trochę. Zresztą trzeba uczciwie przyznać, że trudno rozluźnić kogoś, kto jest myślami w zupełnie innym miejscu. Ja byłam na Miłobędzkiej pięć lat wstecz.

Bywałam tam coraz częściej, wizyty trwały coraz dłużej, a zupełnie nic nie wiedziałam o ich rezultatach. Najpierw był test z wiedzy polityczno-historycznej; akurat o jego wynik nie obawiałam się ani trochę. Później sprawdzian językowy, to też był drobiazg. Wreszcie nieszczęsny test inteligencji i osobowości. On różnił się od tych pierwszych – choćby tym, że zaniechali zasady całkowitej separacji egzaminowanych kandydatów.

Poprzednie sprawdziany pisałam sama, zamknięta w pustym pokoju – opiekunka wręczała mi kartki, obiecywała wrócić za godzinę czy dwie i przekręcała z zewnątrz klucz w zamku. Z początku czułam się nieswojo, ale miałam świadomość, że na pewno obserwują mnie przez swoje kamerki, lustra weneckie i inne inwigilacyjne wynalazki. Nawet się uśmiechałam – trochę do siebie, a trochę do nich – na myśl, że nie mogę ściągać. O rezultaty testów z wiedzy nawet bez ściągnięcia byłam spokojna; martwiły mnie za to te wszystkie psychologiczne szacher-macher, nad którymi spędziłam poprzedniego dnia osiem godzin. Osiem długich, wyczerpujących godzin nad zadaniami w rodzaju: „Która figura nie pasuje do powyższych” albo „Jaka będzie następna liczba w ciągu”. Trójkąty, romby i kwadraty mieszały się z pytaniami rozbudowanych testów osobowości, w których po kilka razy każą odpowiadać na to samo pytanie zadane za pomocą innych słów. „Czy uważasz się za osobę wesołą i towarzyską?”, „Czy kiedy masz wolny wieczór, lubisz spędzić go z książką?”, „Czy znajomi i przyjaciele są dla ciebie ważni?”. Pytania idące w setki; jakby tylko czekali, kiedy się pomylisz i odpowiesz inaczej na dwa różne, które mierzą dokładnie ten sam parametr osobowości. Sądząc po minach współtowarzyszy mojej testowej niedoli, te pułapki na rozbieżności w zeznaniach na własny temat były im obce. Mnie nie; swego czasu przez parę tygodni prawie codziennie musiałam rysować drzewo, którym bym była, gdyby pozbawiono mnie ludzkiej postaci, albo wymieniać dziesięć cech, które uważam za konstytutywne dla swojego charakteru. Niemniej to wszystko było dość męczące w takim natężeniu; zwłaszcza pytania w rodzaju: „Czy zgadzasz się z poniższym stwierdzeniem: moja matka była dobrą kobietą”, „Moja matka była dobrą kobietą, ale było jej w życiu ciężko”, „Moja matka była dobrą kobietą, ale za mało się starała”. Mimo treningu z dawnych lat musiałam dać się złapać na paru nieściskościach. Nie omieszkała mi o tym donieść psycholog – spotkanie z nią było następnym punktem programu.

– Pani Michalino, ogólnie pani test osobowości wypadł dla nas zadowolająco. Jako wiodące cechy pani osobowości ujawniły się opanowanie i nonkonformizm. To bardzo dobrze, tyle że chciałabym jeszcze doprecyzować pewne kwestie...

Wszyscy psychologowie – zwłaszcza rodzaju żeńskiego niedługo po studiach – stosują zawsze ten sam zestaw chwytów; kształcenie na tym kierunku musi być bardzo jednolite. Ich sztuczki są przewidywalne, łatwe do odszyfrowania i odwrócenia. Dla siebie, po swojemu, na swoją korzyść; wystarczy być naturalnym i przekonującym. Mówiąc szczerze, nigdy nie żywiłam przesadnego szacunku do psychologów; nie dość, że to ubodzy krewni psychiatrów, którym nie chciało się uczyć chemii, to jeszcze nie mają nawet prawa do wypisywania recept. Ale akurat w Agencji Wywiadu niedobrze byłoby mówić o receptach. Chociaż obawiałam się, że tym razem będzie trzeba. Nazajutrz czekało mnie badanie na wykrywaczu kłamstw – poprzedzone obszernym zestawem pytań na temat mojego życia i przeszłości.

– Proszę się nie stresować, to rutynowa procedura – tłumaczyła mi opiekunka. – Kandydatów do służby prześwietlamy bardzo szczegółowo; to niezbędne z punktu widzenia wymogów bezpieczeństwa państwa. Sprawdzamy też prawdomówność, stąd badanie na wariografie. Oczywiście proszę traktować to jako czystą formalność.

Ucieszyłam się, że miła pani, której imienia ani nazwiska nigdy nie poznałam, tak wielkodusznie z góry zakłada moją całkowitą prawdomówność. Niepokoiłam się jednak przed tym badaniem. A zwłaszcza przed pytaniami, które mogą zadać na temat mojej przeszłości. Czy to, kto i w zamian za co płaci mój czynsz, może znaleźć się w orbicie ich zainteresowań? Albo fakt, że zaniechałam wprowadzić regularnych wizyt, ale wciąż mam całkiem pokaźny plik recept od lekarza o jednoznacznej specjalności? Czy może, nie daj Boże, zainteresują ich okoliczności mojego przyjęcia na studia? Niezależnie od późniejszych osiągnięć nie odbyło się ono przecież ani w zgodzie z formalnymi przepisami, ani nawet z dobrym obyczajem. Podobnie jak parę innych rzeczy w mojej biografii. Nie na wszystkie pytania miałam obmyślane odpowiedzi, nic więc dziwnego, że byłam zestresowana. Wtedy tak jak i teraz; choć to ostatecznie diabli wiedzą dlaczego.

– Przecież robię wszystko, abyś się zrelaksowała. – W głosie Krzysztofa pobrzmiewała pretensja, zresztą całkiem uzasadniona. Nie potrafiłam dzisiaj docenić delikatności jego dłoni masujących moje stopy zmęczone po całym dniu w butach na szpilkach.

– Wiem. I przepraszam, ale... miałam dzisiaj nerwowy dzień.

Wcale nie miałam nerwowego dnia; denerwujące były jedynie wspomnienia, w które nie chciałam wtajemniczać narzeczonego. Mojego narzeczonego – jakże to dziwnie brzmiało; ciągle jeszcze nie mogłam się przyzwyczaić do myślenia o nim w tej formie. Podobnie jak nie mogłam przywyknąć do myślenia o sobie jako o czyjejs narzeczonej.

– Co się stało? Coś cię trapi? – W jego głosie brzmiało tyle troski, że aż nabierałam ochoty, by mu się zwierzyć, by wyznać, by wszystko opowiedzieć. Ale czy nie byłoby mu przykro, że wspominał coś, co pozwoliłoby mi uniknąć życia z nim?

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu jestem zmęczona.

– Przecież właśnie pomagam ci odpocząć.

– Krzysztof, przepraszam cię, ale muszę po prostu się wyciszyć.

Czyli wziąć xanax albo chociaż lexotan, poczekać, aż rzeczywistość oddali się ode mnie na bezpieczną odległość, a ostrza emocji stępią się na tyle, by jedynie łaskotać, a nie kłuć. By nie myśleć o tych wszystkich obrazach, których nie udało mi się namalować, chociaż już mieszałam farby. Zakopać się w łóżku – w swoim łóżku, sama. Krzysztof zdjął dłonie z moich stóp. Znał mnie już na tyle, by wiedzieć, co mam na myśli, ale ta wiedza nie zmniejszała jego irytacji.

– To, że masz gorszy dzień, nie oznacza, że ma mnie przy tobie nie być.

Wiedziałam, do czego prowadzi ta dyskusja. Zaraz powie mi, że się nie angażuję, nie potrafię się otworzyć, stawiam nieustanne granice. I rzecz jasna będzie miał rację.

– Oczywiście. Zostań, jeśli chcesz.

Miałam nadzieję, że jednak pójdzie. Że zrozumie te słowa jak należy, a nie tak, jak one brzmią. Wstałam z kanapy i zniknęłam na chwilę w sypialni. Chciałam dyskretnie wziąć swój proszek, tak aby nie narażać się na te nieskończone nudne i absolutnie przewidywalne pouczenia, że nie należy łykać psychotropów po alkoholu. Dwa drinki, też mi coś. Gdyby wyszedł, mogłabym poprawić jeszcze trzecim. W wannie; należało mi się trochę relaksu.

– Nie będę cię męczył. Pójdę.

Poczułam ogromną wdzięczność, że daruje mi tę dyskusję. Naprawdę nie miałam na nią siły.

– Widzimy się jutro, wpadnę do ciebie po południu. Może pójdziemy do kina albo coś?

Fala wdzięczności uniosła mnie dość wysoko. Oby tylko nie wybrał amerykańskiej komedii. Nie znowu.

– Okej, zobaczymy.

W każdym jego ruchu widać było, że jest urażony. Z urazą zakładał marynarkę, z pretensją podchodził do drzwi, z niechęcią je za sobą zamykał. Cieszyłam się, że wychodzi; moment ulgi był bliski. Ale nagle, na chwilę, sama nie wiem jak, zamieniłam się miejscami z Krzysztofem – na czas nie dłuższy niż jeden oddech stałam się nim. Jakaś czarnoksiężka przeniosła mnie na moment na tamtą stronę drzwi; to ja wychodziłam i to na moich ustach osiadała gorycz sucha i gryząca, a apartament na Kruczkowskiego zamienił się w mieszkanie na Mokotowskiej. Zakłęcie złej wróżki, chwilowe zaburzenie zmysłów, dawno zatarte wspomnienie. I lekki zawrót głowy, kiedy kroki Krzysztofa ucichły na korytarzu. Wreszcie zostałam sama – moje łóżko, moja wanna, moje prochy. I moja samotność – miałam to, czego chciałam, tylko jakiś dziwny posmak przykleił mi się do języka.

\*

Wysokie, ceglane mury, ostre łuki okien, światło przefiltrowane przez kolorowe szkło witraży. I chłód; wszechobecny chłód mimo pełni wiosny na dworze. Widać majestat katedry wymaga chłodu. Gwiazdziste sklepienie, mroczne wnętrza, wspomnienie królewskich koronacji i historycznych wydarzeń. Archikatedra Świętego Jana – gotyk trzynastowieczny, ale tak naprawdę w większości z lat pięćdziesiątych, najbardziej stylowa świątynia najmniej stylowej z europejskich stolic. Z Notre Dame czy nawet katedrą w byle jakim niemieckim miasteczku ta warszawska nie mogła iść w zawody, ale wśród sztucznej i tandetnej zabudowy Starówki i tak stanowiła dostojny przybytek i perełkę architektury. Choć może nie dostawało jej piękna, miała w sobie tę niezbędną surowość, tę godną powagę, tę szczyptę magii, którą w grubych murach musieli zostawić dzielni budowniczości, prekursorzy masonerii. Lubiłam tu przychodzić, kiedy było pusto, żadnej mszy, spowiedzi, ani broń Boże ślubu. Puste ławki, milczące organy, półmrok dzięki pogaszonym kandelabrom – to była moja ulubiona sceneria. Zawsze siadałam z tyłu, blisko świeczek wotywnych, które na szczęście dla tradycji, a na pohybel nowoczesności wciąż były tutaj zwykłymi, woskowymi świecami, a nie elektronicznymi wynalazkami. I bardzo dobrze; wątpiłam, by elektroniczne wynalazki spełniały swoją rolę równie wzorowo jak rzeczywisty płomień. Prawdziwe intencje, prawdziwy ogień. Lokowałam się zazwyczaj w jednej z ostatnich ławek, nieco zmęczona drogą. Za każdym razem bowiem szłam pieszo co najmniej z Alej Jerozolimskich, a czasem nawet z połowy Pragi. Wzorem średniowiecznych pielgrzymów, wiedziałam, że tak trzeba – iść pieszo, zmęczyć się, utrudzić. A później zapalić świeczkę i za jej zapalenie zapłacić. Wiadomo, inaczej magia katedry nie zadziała. Religia i magia – wzajemne przenikanie się dwóch dyskursów; jako świadoma

humanistka mogłam napisać taką pracę naukową, a i tak nie byłam wolna od konsekwencji tej wielowiekowej syntezy. Rozglądałam się chwilę, zanim zaczęłam mówić. Patrzyłam na wielkie wiszące obręcze z żarówkami w kształcie świec, które w każdej chwili groziły upadkiem na głowy wiernych. Na konfesjonały, do których nie chodziłam i nigdy nie pójdę. Na popękane mury odrobinę zbyt ciężkie jak na strzeliste wymagania prawdziwego gotyku. Jak dobrze, że byłam tu sama. Jak dobrze, że miałam długie włosy, którymi mogłam zasłonić twarz. Jak dobrze, że był ktoś, kto słuchał mojego szeptu rozbrzmiewającego w pustym kościele i wybaczał mi prymitywny grzech mylenia modlitwy z zaklęciem.

– Boże, który jesteś wszędzie, ale najbardziej w katedrze, Boże, który możesz wszystko i nie ma dla Ciebie rzeczy niemożliwych, Boże, który znasz nasze pragnienia, proszę Cię, uczyni cud. Odmień jego serce, naucz go kochać i tęsknić, spraw, aby nie mógł przestać o mnie myśleć, abym mu się śniła każdej nocy, aby wdział moją twarz po obudzeniu i przed zaśnięciem. Daj mi go, chociaż miałoby mi to zaszkodzić, daj mi go mimo wszystko i niezależnie od konsekwencji. Boże, który możesz wszystko, spraw tylko to jedno, aby mnie kochał. A jeśli nie zechcesz odmienić jego duszy, to uczyni mi tę łaskę i uwolnij mnie. Uwolnij mnie ode złego, wejrzyj na płomień mojej świecy i nie pozwól mi zwariować. Boże wszechmogący, chroń mnie chociaż od szaleństwa, skoro od bólu nie zechcesz. I miej mnie w swojej opiece. Także Ty, święty ojcze Pio, i Ty, święty Michale, mój archanielski patronie. Niechże się stanie: niech ten, kto nie potrafi kochać, nauczy się, niech się odmieni sentencja złego wyroku i niechaj Diabeł pójdzie sobie precz z jego duszy. Amen.

\*

– Zaczniemy od wypełnienia kwestionariusza.

Moja stara znajoma wręczyła mi plik kartek. Było ich co najmniej kilka, a może nawet kilkanaście; na każdej widniała czerwona adnotacja „poufne”.

– Zostawię panią na godzinkę, tyle czasu powinno wystarczyć. Trzeba odpowiadać tylko „tak” albo „nie”, żadnego rozpisywania się.

Znów, tak jak przy pierwszych testach, zostałam sama w pustym pokoju. Biurko, krzesła, beżowe wertikale w oknach. Ani jednego sprzętu, który nie byłby niezbędny, żadnej plamy koloru, drzwi zamknięte od zewnątrz. I zestaw bardzo niedyskretnych pytań. Trochę jak na policji, nieco jak na spowiedzi, odrobinę jak przy staraniach o wizę amerykańską. „Czy kiedykolwiek należała pani do organizacji o charakterze przestępczym i/lub terrorystycznym?”, „Czy kiedykolwiek coś pani ukradła?”, „Czy spożywała pani zakazane substancje odurzające?”. O te zakazane zresztą też pytali. „Czy zdarzyło się pani upić do utraty przytomności?”, „Czy spożywa pani alkohol częściej niż trzy razy w tygodniu?”, „Czy kiedykolwiek zażyła pani środki zmieniające świadomość?”. I oczywiście pytania z gatunku osobistych, a nieprzyzwoitych – komisja weryfikująca moralność nie mogła się przecież obejść bez prześwietlenia zwyczajów seksualnych. Chociaż przyznaję, że nie było w tym niezdrowej ciekawości – nie pytali o ulubione pozycje ani o czas potrzebny na dojście do orgazmu. Polowali raczej na kompromaty; swoją drogą, to okrutne, że zmuszali ludzi, by dobrowolnie, i to jeszcze pisemnie, przyznawali się na przykład do uprawiania seksu za pieniądze. Zatrzymałam się przy tym pytaniu, ale po chwili zastanowienia zakresliłam odpowiedź „nie”. Przecież opłacony czynsz za mieszkanie i drobne prezenty dla biednej studentki to nie są pieniądze. A nawet jeśli są, to i tak należało zaznaczyć „nie” – jestem kobietą, a doświadczenie nauczyło mnie, że dla kobiet reputacja jest ważniejsza niż prawdomówność. Pozostawało mi mieć nadzieję, że na wariografie nie zadadzą mi tych wszystkich pytań – wybiorą sobie kilka i może akurat tego wśród nich nie będzie.

„Czy kiedykolwiek miała pani relację seksualną z żonatym mężczyzną?”, „Czy liczba pani partnerów

seksualnych przekracza dziesięć?”, „Czy kiedykolwiek będąc w stałym związku, dopuściła się pani zdrady?”. Im dalej zakreślałam „tak” lub „nie” na gęsto zadrukowanej kartce, tym bardziej robiło mi się nieswojo. Bo jaka mogła być właściwa odpowiedź na pytanie: „Czy wbrew zakazowi i podpisanej klauzuli poufności rozmawiała pani z kimkolwiek o przebiegu procesu rekrutacji?”. Jeśli odpowiem „nie”, znów narażę się na to, że wykryją moje kłamstwo. Jeśli zaznaczę opcję „tak”, przyznam się do złamania zasad, do których przestrzegania sama się zobowiązałam. Tak źle i tak niedobrze – co za stresujący dzień. Poza tym to wszystko było zbyt szczegółowe, zbyt osobiste, zbyt czarno-białe. Tak jakby ktoś zmuszał cię do hurtowych i przyspieszonych wyznań na temat całego twojego życia. I tylko „tak” albo „nie”, bez szansy na prezentację kontekstu, na półtony i okoliczności łagodzące. Wybór zero-jedynkowy; jedynka – dobrze, zero – moralna dyskwalifikacja. Schemat boleśnie uproszczony mimo wyjątkowej komplikacji materii. Cel tego był zapewne dwojaki – musieli mieć materiał do weryfikacji na wariografie, ale i chcieli wiedzieć o mnie jak najwięcej. Być może nawet wszystko; a nikt nie lubi, by ktoś wiedział o nim wszystko.

Kiedy dokończyłam poddawać się tej upiornej inwigilacji, spojrzałam wymownie w sufit, na drzwi, w każdy kąt pokoju. Niech wiedzą, że już skończyłam i jestem gotowa na kolejny etap. Kolejny etap grzebania się w moim życiu; oby to się skończyło jak najszybciej.

– Już, jak rozumiem? – Na nadejście troskliwej opiekunki czekałam zaledwie chwilę. Musieli pilnie mnie obserwować, jak zwierzę w klatce. – To teraz zaproszę panią do specjalnego pomieszczenia, w którym odbędzie się badanie. Proszę za mną.

Zgarnawszy moją ankietę, poszła przodem. Długie, puste korytarze, drzwi otwierane na pisknięcie identyfikatora, kontrolki błyskające zielonym okiem. I wreszcie polecenie:

– Proszę tu chwilę poczekać. Specjalista od badań na wariografie zaraz przyjdzie.

Miejsce, w którym mnie zostawiła, przypominało poczekalnię w prywatnych gabinetach psychoterapeutów. Miękkie fotele, obrazy z kwiatami w pastelowych kolorach, czasopismo „Charaktery” na stoliku. Lokal urządony w stylu: „proszę się nie stresować, będzie miło, porozmawiamy sobie”. Tyle tylko, że teraz rozmowa miała się odbyć przy udziale dziwnej maszyny. Maszyny, do której to ja będę podpięta. Specjalista od obsługi tegoż sprzętu kazał mi długo na siebie czekać; kiedy wreszcie przyszedł, zdumiałam się. Wyglądał jak zmęczony życiem i skromną płacą urzędnik państwowy niższego szczebla. Kompletnie niepozorny, poszarzały, z twarzą jednocześnie niewyraźną i zaciętą. Wprawdzie nie miał zarękawków, ale wytartą teczkę i marynarkę z łatami na łokciach – owszem. Tylko patrzeć, jak się przedstawi: „młodszy referent z działu sprawozdań i analiz”. Ale nie, nie przedstawił się. Powiedział tylko:

– Dzień dobry. To ja zajmę się pani badaniem wariograficznym.

W jego ustach zabrzmiało to nadspodziewanie sucho; jak nazwa procedury medycznej. Wpuścił mnie do jakiejś klatki bez okien, która miała być już chyba ostatnią scenerią tego dramatu. Ukryta w niej aparatura potwierdzała medyczno-szpitalne skojarzenia. Potężny, czarny fotel, solidne podłokietniki, z których zwisały jakieś kabelki, zagłówek, wprawdzie bez obręczy unieruchamiającej głowę, ale wyglądający tak, jakby ta obręcz w każdej chwili mogła się z niego wysunąć. Oprócz medyczno-eksperymentalnych skojarzeń można więc było dostrzec coś jeszcze – niepokojąco wyraźne podobieństwo do narzędzia tortur. Święta Inkwizycja w wersji modern. Albo bardziej współcześnie – akcesoria sado-maso; dziś zabawa bez łańcuchów, ale za to z kamerą wycelowaną okrągłym okiem wprost w upiorny fotel.

– A więc tak to wygląda.

– Proszę nie zadawać zbędnych pytań. – Wziął moje stwierdzenie nie tylko za pytanie, ale też za powód do obrazu. – Wszystko pani wytłumaczę w swoim czasie. Niech pani siada.

Wskazał mi skromny stołeczek w rogu pokoju; bardzo blisko grzejnika. Ciekawe, po co im grzejnik w ciepłym kwietniu? Z racji braku okien i tak było tu duszno. Mistrz ceremonii tymczasem przystąpił do przygotowań. Upiorny fotel stanowił tylko połowę instrumentarium – była jeszcze dziwna maszyna, przypominająca telegraf albo dalekopis. Nierozmowny pan mocował w niej podłużne karty drobniotko pokratkowanego papieru, sprawdzał poziom różnokolorowego atramentu, dotykiem swoich profesjonalnych palców oliwił całą tę maszynę. Odwrócił się do mnie, kiedy skończył.

– Wie pani, na czym polega badanie wariograficzne?

– Na wykrywaniu kłamstw. – Uśmiechnęłam się do niego. To był błąd.

– Wykrywacz kłamstw to nazwa potoczna i zupełnie niewłaściwa. – Widać wszelkie próby rozładowania atmosfery odbierał jako atak na bardzo poważne badanie i swoją bardzo poważną w nim rolę. Dobrze, że nie zaserwowałam mu którejś z opowieści wyczytanej w książkach o szpiegach. – Badanie polega na rejestracji parametrów fizjologicznych. Zmian parametrów fizjologicznych w zależności od reakcji na sprawy, o które pytamy.

Już miałam na końcu języka wątpliwość, czy to wszystko jest niepodważalne i pewne. Mówią przecież, że cały ten sprzęt można oszukać, chciałam więc zapytać, co ze swoimi reakcjami fizjologicznymi zrobili Aldrich Ames, Marian Zacharski i inni rzekomi pogromcy wariografu, jednak ponury pan mnie ubiegł:

– Niech pani nie myśli, że można w jakikolwiek sposób wpłynąć na wyniki. Wariograf mierzy odruchy, reakcje automatyczne i zupełnie niezależne od woli. Pani rola ogranicza się do tego, by spokojnie odpowiadać na pytania. Zgodnie z prawdą, oczywiście.

Robił wszystko, bym utwierdziła się we wrażeniu, że to nie żadna hochsztaplerka, tylko poważne przedsięwzięcie. I że nie mogę wpłynąć na jego przebieg. Że cokolwiek powiem, oni i tak będą wiedzieć lepiej. Zamienią mój oddech, ciśnienie, stopień spocenia mojej skóry i rozmiar źrenic na kolorowe linie na papierowej taśmie. A potem z tej sinusoidy wyczytają prawdę o mnie. Czy to rzeczywiście może być takie proste? Jeśli tak, to było dość przerażające w tej prostocie.

– Zapraszam na fotel – zabrzmiało jak u dentysty, ale choć nikt nie zamierzał borować mi w zębie, to wiedziałam, że może być gorzej. Zamiast wiertła czekała tam na mnie masa elektrod – przypinki, zapinki i opaski. – Proszę pod żadnym pozorem nie odrywać od podłoża prawej stopy i wskazującego palca prawej ręki. – Pouczył mnie, układając wymienione części mojego ciała na specjalnych powierzchniach. Lampka kamery błysnęła, opaska aparatu do mierzenia ciśnienia zacisnęła się na moim ramieniu, jego ręka przyklejająca elektrodę nad moim sercem umknęła błyskawicznie z niebezpiecznych rejonów dekoltu. Choć nie było żadnych sznurów, czułam się przywiązana. Ciekawe, na ile stres może wpłynąć na moje odruchy.

Specjalista od wykrywania kłamstw uruchomił coś na swoim dalekopisie i się zaczęło.

– Zadam teraz pani kilka pytań. To na razie dopiero wstęp do badania. Proszę po prostu odpowiadać. Mówiąc tylko „tak” lub „nie”, nic więcej. I zalecam się rozluźnić.

Jego porada zabrzmiała tak lekko, jakby rozluźnienie się było naprawdę łatwe w dusznym pokoiku bez okien, w sytuacji unieruchomienia, wobec jego ewidentnej niechęci i atmosfery wszechwiedzy, którą roztaczał. Chyba sporządzał wzór moich reakcji, pytał bowiem, czy nazywam się Michalina Kańska, czy mamy miesiąc kwiecień i czy w kwietniu jest ciepło. I tak w kółko, po kilka razy te same nic nieznaczące bzdury. A potem kazał mi skłamać.

– Jak to?

– Proszę nie dyskutować z moimi poleceniami. Proszę udzielić fałszywej odpowiedzi na pytanie, czy ma pani dwadzieścia cztery lata.

Dopiero wtedy spostrzegłam, że trzyma przed sobą grubą teczkę. Pewnie całe dossier, jakie jego instytucji udało się zgromadzić na mój temat. I pomyśleć, że sama im w tym pomogłam, że brałam w tym

udział, że ochoczo wypełniałam te wszystkie ankiety. Teraz żał mi było, że ktoś obcy aż tyle wie na mój temat. A chce wiedzieć jeszcze więcej. I w tym celu usiłuje posiąść mój sekret, obnażyć mój warsztat, określić wzór moich zachowań. Wzór mojego kłamstwa.

– Czy ma pani dwadzieścia cztery lata?

– Nie.

– Jeszcze raz.

– Nie. – Starłam się być nieporuszona; maszyna wypluwała z siebie kolejne zwoje pokryte wzniesieniami i dolinami falujących linii wykresu. Specjalista od jego interpretacji śledził to w skupieniu, a jego wąskie usta wykrzywiały się nieładnie.

– A teraz wracamy do udzielania prawdziwych odpowiedzi.

Pytania padały jedno po drugim; o pogodę, o dane, które podałam w swoim życiorysie, o wybraną cyfrę, o której kazał mi pomyśleć.



– Czy cyfra, o której pani myśli, to jeden?

Trochę jak jarmarczna sztuczka karciana, a trochę jak gra na wymęczenie. A właściwa część programu miała się dopiero zacząć. Bałam się, że zabraknie mu kartek; w odpowiedzi na każde moje słowo maszyna rysowała swoje sinusoidy. A on patrzył na nie z rosnącą dezaprobatą.

– Czy kiedykolwiek miała pani relację seksualną z żonatym mężczyzną?

Dobroczyńca nie był kawalerem. Jego poprzednicy też nie.

– Tak.

Spojrzenie pełne dezaprobaty przeniosło się z wykresu na mnie. Poziom dezaprobaty wzrósł.

– Czy kiedykolwiek wyświadczyła pani lub przyjęła korzyść materialną za seks?

Dwa w jednym; cóż za przewrotnie postawione pytanie. Wtedy jeszcze interesowała mnie wyłącznie strona czynna tej wrażliwej czynności, ale obie wywoływały nieprzyjemne mrowienie. Cóż za żałośnie poniżająca procedura; dzisiaj wyśmiałabym każdego, kto zaproponowałby mi, bym poddała się czemuś takiemu, ale wtedy byłam młoda i pełna nadziei, że ta praca jest warta upokorzenia.

– Nie.

Pseudodalekopis dalej wyrzucał na biurko kartki pokreślone w esy-floresy. Góry i doliny, wzniesienia i depresje, na grzbiety niektórych fal brakowało skali.

– Czy nazywa się pani Michalina Kańska?

– Tak. – Spektrum wykresu przypominało obraz z monitora kardiologicznego u pacjenta z zawałem albo co najmniej z ostrym migotaniem przedsionków.

– Czy kiedykolwiek zażywała pani narkotyki?

– Tak.

– Czy często zażywała pani narkotyki?

– Nie. Parę razy mi się zdarzyło.

– Ma pani odpowiadać wyłącznie „tak” lub „nie”, przypominam.

– Nie. – Pisaki, igły drukarskie czy cokolwiek ta maszyna miała, przesuwały się po papierze z cichutkim chrobotem. W górę i w dół, kreśląc oszałamiająco zamaszyste wywijasy.

– Czy zażywała pani tak zwane twarde narkotyki? – Rzucił mi nienawistne spojrzenie.

– Nie. Na Boga, przez przesady. Paliłam tylko parę razy trawkę i spróbowałam haszyszu.

– Przerывam badanie. – Specjalista od wykrywania kłamstw obraził się na mnie nie na żarty. – Miała pani odpowiadać tylko „tak” lub „nie”. Jeśli nie jest pani pewna tego, co robiła w swoim życiu, to już pani sprawa.

– Ależ jestem pewna.

– Czy sama pani zakupiła te środki? – zapytał, chociaż przecież zatrzymał działanie maszyny.

– Nie, ktoś mnie kiedyś poczęstował – skłamałam gładko i z uśmiechem. – Wie pan, jak to jest: jakaś impreza, ktoś komuś coś zaoferował. – Uśmiech zamarł mi na ustach. Pan specjalista nie był już biegłym od obsługi wariografu; nawet nie przesłuchującym śledczym. W tej chwili był wyłącznie inkwizytorem, gotowym do wydania sądu ostatecznego.

– Nie obracam się w towarzystwie, w którym częstuje się narkotykami. – Jego głos ociekał pogardą. Wszystko było już jasne: liczyła się nie tylko prawdomówność, ale też osobista i prywatna ocena wyznawanych prawd. Luddyści mogą spokojnie spoczywać w swych grobach – ich koszmar nigdy się nie spełni, maszyna jest bowiem niczym bez człowieka. Liczył się nie sam wariograf, ale człowiek go obsługujący. Postmodernizm górą – jedynym, co konstytuuje wartość, jest interpretacja. A interpretacja tego pana była nie tylko niezyciowa, ale też bardzo dla mnie niezycziwa.

– Zrobimy chwilę przerwy. Będzie pani w stanie kontynuować badanie?

Powrót do suchego profesjonalizmu był równie nagły jak zamiana w Torquemadę.

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie zostawię panią na chwilę.

Odpiął mi czujniki, a następnie zabrał nie tylko swoją teczkę, ale też wszystkie wykresy, które jak dotąd wariograf sporządził na mój temat. Czyżby był na tyle bezradny wobec nich, że potrzebował udać się na konsultację? Odetchnęłam uwolniona od elektrod; nawet zgrzyt klucza w zamku mnie nie zaniepokoił. Przywykłam już widać do tutejszych porządków. Tylko do duchoty w tym pomieszczeniu jakoś nie mogłam się przyzwyczaić. Podeszłam do grzejnika – naprawdę był włączony. Poczułam, jak strużka potu spływa mi między piersiami, powieki coraz częstszym mruganiem próbowały nawilżyć wyschnięte oczy. Sięgnęłam do torebki po krople; błogosławiony hialuronian sodu przyniósł ulgę spojówkom – nie przyszło mi nawet do głowy, że robię coś niewłaściwego, dopóki mój przesłuchujący nie wpadł do pomieszczenia z pretensją wyrażoną krzykiem:

– Co pani sobie wpuściła do oczu?!

„Płynny haszysz” – miałam na końcu języka, ale udało mi się poprzestać na tłumaczeniach o wysychających soczewkach i kroplach nawilżających. Nie wyglądał na przekonanego, ale dał mi spokój. Tylko z jeszcze większą determinacją znów przystąpił do przesłuchania, które oczywiście wciąż uparcie nazywał badaniem. Starłam się zachowywać spokój, oddychać równomiernie, z cierpliwością podchodzić do powtarzających się indagacji. Ale z tego, co widziałam na kartkach, maszyna nie dostrzegała mojego spokoju.

– Czy przed badaniem piła pani alkohol?

Dobroczyńca miał ściśle określone nawyki; oprócz usług seksualnych oczekiwał ode mnie także minimalnej sprawności barmańskiej. I towarzystwa w spożywaniu drinków; zawsze musiałam zrobić mu co najmniej dwa. Jeden przed laską, drugi po; proporcje wódki, soku i obrzydliwie gęstego likieru były jasno ustalone. Nie lubił pić sam; może to i dobrze, zwłaszcza ten drugi drink mi służył, przynajmniej mogłam przepłukać gardło. Szkoda, że nie dało się wytłumaczyć tych zwyczajów panu od wariografu. Musiałam więc uznać, że ostatecznie przecież dwa drinki się nie liczą.

– Nie.

– Czy zażywała pani jakieś środki, także leki, które mogą mieć działanie psychoaktywne?

Jeden mały lexotan nie dość, że jest słaby, to przecież bynajmniej nie pobudza. Wręcz przeciwnie; wzięłam go po to, by się nie denerwować.

– Nie.

– Dobrze, sądzę, że wystarczy.

Po dwóch godzinach kat był równie zmęczony jak ofiara. Raz jeszcze przystąpił do mnie, by porozpinać wszystkie kabelki. Kiedy się pochylił, z bliska dostrzegłam, jak głębokie były bruzdy wokół jego ust. Wykrywanie cudzych kłamstw musiało być stresującym zajęciem. Zwłaszcza gdy reakcje są niejednoznaczne, a maszyna wariuje.

– Dziwne, bardzo dziwne – mamrotał nad wykresami, podczas gdy ja zbierałam się do wyjścia. Nareszcie autentyczna emocja, nad którą nie musiałam się zastanawiać; z niekłamaną radością opuszczałam tę izbę wykrywania kłamstw.

– Do widzenia panu.

Kiedy go żegnałam, on z zafrasowanym wyrazem twarzy wpatrywał się w kolorowe linie wykresu. Szaleńcza skala pików i spadków dowodziła niezbicie, że w odpowiedzi na pytanie: „Czy dziś mamy dwudziesty dzień kwietnia 2009 roku?”, mówiąc: „tak”, bezczelnie kłamie. Tak jak teraz, w czerwcu roku 2014, starościnie trzeciego roku, która wetknęła głowę do mojego gabinetu, by zapytać, czy już sprawdziłam prace zaliczeniowe.

– Nie, jeszcze nie. Przepraszam za to opóźnienie, ale pracowałam nad bardzo ważnym artykułem.

– Aha, rozumiem – powiedziała tylko, chociaż przyszła dokładnie w umówionym terminie. Jak się okazało, nadaremno. Nie sprawdziłam prac zaliczeniowych, bo ciągle myślałam o tym, co było dawno i co nie potoczyło się tak, jak mogło. Wśród akademików panuje przekonanie, że historią alternatywną zajmują się wyłącznie wariaci. Jeśli dywagacje „co by było, gdyby...” rzeczywiście prowadzą na manowce, to gdzie ja jestem?

\*

Plac Trzech Krzyży – Wajnert widać nie lubił umawiać się nigdzie, skąd miałby do domu dalej niż piętnastominutowy spacer. Blisko, bezpiecznie, w ściśle zakreślonych granicach. Ale jednak poza murami zamku na Mokotowskiej. I przede wszystkim w ogóle znów chciał mnie widzieć. Czyżby moje modlitwy – których wstydziłam się sama przed sobą – zostały wysłuchane?

– Słuchaj, mam propozycję. Znasz Szpilkę?

Niebadane są wyroki boskie – być może droga do serca Wajnerta prowadziła przez jeden z najmodniejszych lokali stolicy Anno Domini 2005. Któż by nie znał Szpilki? Dziennikarze sejmowi wpadający na drinka po pracy, urzędnicy z okolicznych instytucji polujący na lunch w cenie ze zniżką, młodzi zdolni z PR-owsko-eventowych przybytków świadczących usługi równie kosztowne, jak zbędne.

– Znam, owszem.

– A o której kończysz jutro zajęcia? – Miałam wrażenie, że wypowiedzianie tych słów sprawia mu przyjemność. Satysfakcja z sypiania ze studentką; po raz pierwszy pomyślałam, jakie to w gruncie rzeczy tandetne.

– O siedemnastej.

– Doskonała pora. Przyjdź prosto z zajęć.

– Dobrze. – Nie wiedziałam, co planował, ale przecież i tak zgodziłabym się na wszystko.

– Tylko mam prośbę. Załóż pończochy.

Czyli istniał jakiś konkretny scenariusz. Scenariusz, który wymagał ściśle określonych rekwizytów. I to nie ja ich potrzebowałam; mnie wystarczał Wajnert. Może tylko z odrobiną literackiej przyprawy.

– Oczywiście.

– No to do zobaczenia.

Zobaczyłam go już z daleka. Siedział przy jednym ze stolików na zewnątrz. Maj wygonił ze środka wszystkich, łącznie z kelnerem, który obserwował klientelę oparty o ścianę rozgrzaną promieniami wiosennego słońca. Krzesła i stoliki zagarnęły chodnik tak, jakby jego jedynym przeznaczeniem było pomieścić wszystkich chętnych na zupę serową albo kurczaka w miodzie i sezamie. Smugi dymu rozwiewające się w powietrzu, szklanki z piwem płamiące wilgocią drewniane stoliki, serwetki przytrzymywane przez restauracyjne utensylia, by nie odleciały razem z wiatrem. Sądząc po liczbie konsumentów, knajpa musiała prosperować naprawdę dobrze; geje stanowili stały i najwierniejszy segment jej klientów, szeroko reprezentowany także dziś przez kilka prawie zupełnie identycznych egzemplarzy w taliowanych koszulach i wąskich spodniach. Chłopcy wyglądali, jakby właśnie zesli z planu serialu o życiu w wielkim mieście – zadowoleni z siebie, światowi, zupełnie nieprawdziwi. Do tego paru mężczyzn w rozpiętych marynarkach, kilka pań – w zbrojach żakietów – które musiały zupełnie niedawno opuścić klimatyzowane biura, paru młodzieńców, o których można było powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że gdzieś pracowali. Wajnert bez żadnej wątpliwości nie należał tu do stałych bywalców, ale i tak zwracał uwagę. Swoją filizanką herbaty, lekką dezorientacją, wzrokiem badawczym, ale nie natrętnym.

– Cześć – powiedziałam, podchodząc do jego stolika. O mało nie strącił na ziemię naczyń, kiedy wstawał na przywitanie.

– Cześć. – Musiał przecież widzieć, jak się zbliżam, ale i tak sprawiał wrażenie zaskoczonego moim widokiem. Miałam na sobie prostą, czerwoną sukienkę; jej materiał napinał się na biodrach. Kiedy siadałam, podsunął się w górę ud. – Napijesz się czegoś? – zapytał, kiedy już usadowiłam się na krześle naprzeciw niego. To był stolik od ulicy, samochody przecinające plac Trzech Krzyży przejeżdżały bardzo blisko. Zatrzymywały się tuż obok, jeśli akurat łąpały je światła.

– Napiję się drinka. – Długo zastanawiałam się nad tą odpowiedzią, by wreszcie uznać: dlaczego nie? Dlaczego by nie powieść go przez małą chwilkę na drobne pokuszenie, skoro on robił mi to przez cały czas?

A jednak był twardy wobec pokus. Bez mrugnięcia okiem zamówił dla mnie jakiś koktajl, nawet nie usłyszałam nazwy, którą podał kelnerowi. Sam bezpiecznie nad herbatą i z gauloisem – tytoń miał pozostać dziś najmocniejszą z jego używek. Nie licząc mnie.

– Jak tam na uczelni? – zapytał.

Krzesło było uplecione z jakiejś pseudowikliny, z dość szerokim, kwadratowym siedziskiem. Kiedy się nim poprawiałam, moje kolano na chwilę zetknęło się z kolanem Wajnerta.

– Dobrze.

– Zmęczona po całym dniu?

– Może trochę. – Samochody przejeżdżały obok nas, zwalniając. Szpilka była na samym rogu placu, tu gdzie zakręt; jedyny możliwy kierunek jazdy.

– Twoja pizda też jest zmęczona po całym dniu w majtkach?

Kelner postawił przede mną drinka – wyglądał jak daiquiri, ale nie wiedziałam, co to było – a przed Wajnertem czystą popielniczkę. W jego profesjonalnie obojętnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, chociaż przecież musiał słyszeć naszą rozmowę.

– Może trochę – odpowiedziałam, kiedy postać przepasana czarnym fartuchem odeszła poza zasięg naszych głosów. Ale przecież kelner to nie wszystko; dookoła nas było pełno ludzi, prawie wszystkie stoliki pozostawały zajęte. Ciekawe, czy biznesmeni obok usłyszeli cokolwiek? Koszule bez krawatów rozpięte pod szyją, ciepłe pieczywo skubane w oczekiwaniu na danie główne, szybkie i ukradkowe spojrzenia w naszym kierunku.

– To idź do łazienki i je zdejmij. I przynieś mi je tutaj.

Żądanie tyleż nieprzyzwoite, co podniecające, szczegółowy instruktaż, polecenie jasne jak majowe słońce odbijające się w szybach mijających nas samochodów. Wajnert był spięty; tak jakby miał wątpliwości, czy przystanę na jego zabawę. Ale choć nie był pewien zakończenia, napisał na dziś opowieść. Opowieść o pożądaniu w cieniu ludzkich spojrzeń.

Nic mu nie odpowiedziałam; po prostu wstałam, by zgrabnym manewrem między stolikami dotrzeć do wnętrza knajpy. Otarłam się biodrem o jeden ze stołów; siedzący przy nim mężczyzna przytrzymał go dłonią, kiedy powierzchnia wódki w jego kieliszku lekko się zakołysała. Łazienka znajdowała się na dole – trzeba było pokonać wzrok barmana-bazyliuszka, zupełnie pustą salę i kilka schodów w dół do piwnicy. Uwinełam się szybko ze swoim zadaniem, nawet nie wchodząc do kabiny. Majtki w mojej dłoni były ciepłe od ciała i wilgotne od pragnienia. O dziwo, nie patrzyli na mnie, kiedy wracałam do stolika z czarną kulką koronkowego materiału w zaciśniętej dłoni. A jeśli nawet zerkali, to na ich twarzach nie było najmniejszych podejrzeń. Może ludzie nie przypuszczali, że ktoś robi takie rzeczy w środku dnia i w obleganej knajpie? Może nawet nie zakładali takiej możliwości? Może tylko o tym czytali w książkach albo wyobrażali to sobie, przyciskając palce do wrażliwych miejsc. Pewnie nie sądzili, że ktoś mógłby to robić naprawdę. Ja robiłam.

– Proszę.

Jego dłoń była ciepła i niecierpliwa. Kulka wilgotnego materiału z ręki do ręki, pod stołem, dyskretnie, a jednak zauważalnie. Jeśli tylko ktoś wiedziałby, na co patrzeć.

– Pij swojego drinka – polecił, zaciskając palce na otrzymanym podarunku. Koktajl nie tylko wyglądał, ale i smakował jak daiquiri; Wajnert nie rezygnował więc z literackich skojarzeń nawet przy wyborze drinka. Usiadłam ze złączonymi nogami, ale i tak dotarła do mnie pieśczoła ciepłego, majowego wiatru. Mój towarzysz oparł o policzek dłoń z papierosem; nachylił się do mnie blisko, bardzo blisko. Dym zasnuł zieleń jego oczu; a może to było pożądanie?

– Popatrz na nich. Popatrz na tych wszystkich ludzi. Pewnie coś podejrzewają, może przypuszczają, że za chwilę pójdziemy się pieprzyć, ale tak naprawdę nie mają o niczym pojęcia. I wcale nie zobaczą za chwilę tego, co ja zobaczę.

Dym z mocnego francuskiego papierosa i zapach kasztanowców kwitnących na skwerze na środku placu mieszał się z wonią perfum Wajnerta. Drzewne aromaty cedru i sandałowca były zaskakująco doprawione jaśminem. Po raz pierwszy wyczułam wszystkie nuty tak wyraźnie. Jedną po drugiej, zmieszane i przechodzące w siebie, z zadziwiającą kroplą szaławii przebijającą przez kolendrę i ambre. Moje zmysły nagle się wyostrzyły w tym przezroczystym, świetlistym powietrzu. Auta obok nas jakby zwolniły, rozmowy przy stolikach ucichły, a cały gwarny plac i modna knajpa skurczyły się do zapachu. Do zapachu, który skroplił się we mnie i zaczął spływać cienką, wąską strużką po nagim ciele pod czerwoną sukienką.

– A teraz usiądź głębiej, oprzyj się i rozłóż nogi.

Zrobiłam to, jeszcze zanim jego słowa wybrzmiały do końca. Wiklinowe oparcie pod plecami, dłonie ułożone na poręczach, pośladki nieco do przodu. Tak, aby miał naprawdę dobry widok. Materiał sukienki naciągnął się, gdy rozsunęłam kolana. Wystarczająco szeroko, ale nie skandalicznie. Prześwietlona majowym słońcem czerwień tkaniny musiała kłaść się barwnym cieniem na moją skórę. Nie wiem, co widział Wajnert, nie wiem, co widzieli ludzie pochłonięci rozmową przy stoliku obok, nie wiem, co widzieli kierowcy aut zwalniających tuż przy chodniku. Moja vagina znajdowała się przecież dokładnie na wysokości ich oczu. Czy gdyby któryś z kierujących spowodował wtedy wypadek, to byłaby moja wina?

– Nie wiedzą, gdzie patrzeć. – Zawsze przypuszczałam, że Wajnert słyszy moje myśli. – Nawet jeśli dostrzegą coś przypadkiem, to na tyle niecodzienny widok, że po chwili konsternacji wytłumaczą sobie, że wcale nie widzieli tego, co widzieli. Że to złudzenie albo wytwór wyobraźni.

Moja wyobraźnia pracowała już na pełnych obrotach; Wajnert miał rację – cała ta zabawa zasadzała się na niedopowiedzeniach, a połączenie chłupotu pożądania z traskiem łamania zasad zachowania się w miejscach publicznych owocowało rozkosznym mrowieniem. W dole brzucha, wzdłuż kręgosłupa, w opuszkach palców, którymi chciałam dosięgnąć jego, siebie, swojego pragnienia. Bawiliśmy się w *Nagi instynkt* w centrum miasta i w środku dnia, a zastanawianie się nad tym, ile kto widzi i komu robi się od tego gorąco, było równie podniecające jak sama czynność. Założyłam nogę na nogę, by na chwilę zasłonić mu widok. Uśmiechnął się; gra w zakryte–widoczne, grzeczne–wyuzdane, piekło–niebo była częścią tej zabawy i Wajnert cieszył się, że załapałam jej zasady. Pan przy stoliku po sąsiedzku chyba też zaczynał się w nich orientować; wydawało mi się, że widzę, jak nadstawia ucha, by pochwycić cokolwiek z naszej rozmowy. Rozmowy, która oscylowała coraz bardziej wokół tego, że do domu jest niedaleko i że chyba zaczyna nam się spieszyć.

– Wiesz, że już długo tu nie zostaniemy?

Moje majtki tkwiły dotąd w dłoni Wajnerta; zwinięte, schowane w rękę ułożonej na kolanie pod stołem. Teraz powędrowały do wewnętrznej kieszeni jego marynarki. Zanim w niej zniknęły, zbliżył je na

chwile do twarzy, do ust, do nosa. Zupełnie nieprzyzwoity gest wachania majtek, ludzie dookoła konsumujący późny obiad, chwila, moment, złudzenie. Czy ktokolwiek mógłby powiedzieć z całkowitym przekonaniem, że naprawdę widział, jak ten elegancki pan w średnim wieku zrobił coś takiego? Dwie kobiety przy stoliku po lewej raczej nie, ale domniemanie musiało być równie – jeśli nie bardziej – podniecające niż pewność; widelec jednej z nich spadł na ziemię z głośnym brzękiem. Zdjęłam nogę z nogi, usiadłam głębiej, pokazałam mu parę rzeczy, których nie powinien oglądać w takim miejscu i takich okolicznościach.

– Twoje wargi się otwierają – powiedział takim tonem, jakby mówił o pogodzie. – Na początku były zamknięte, wyglądały tak grzecznie. A teraz już się rozchyliły, widzę to wyraźnie.

Dołożyłam wszelkich starań, by tak było. By przedstawić spełniało wszystkie wymogi dobrej ekspozycji i zaangażowania emocjonalnego w odgrywane sceny. Aktorzy, uczestnicy czy widzowie? Byliśmy wszystkimi po trochu, a ta upajająca mieszanka miała o wiele więcej procentów niż drink, w którym lepka słodycz syropu cukrowego nie zdołała przytłumić goryczy białego rumu. To smakowało, to rozgrzewało, to spływało w dół mnie swoją lekko piekącą wyrazistością. Ernest Hemingway wiedział, co dobre. Sharon Stone wiedziała, co dobre. Wajnert mnie tego nauczył.

Jego oczy lśniły zielenią, kiedy z powrotem złączyłam nogi, zapaliłam papierosa i przysunęłam się do niego. Łokcie na stoliku, twarz tuż przy twarzy, papierosy w dłoniach opartych o policzki. Dym spowijał nas swoją zasłoną, łączył nasze oddechy, wychodził na zewnątrz naszych ust wraz ze słowami o pożądaniu i nieznośnym oczekiwaniu na spełnienie. Miałam dopiero niecałe dwadzieścia lat, trzydzieści romansów i cztery związki przed sobą, ale już wtedy wiedziałam, że nigdy nie będzie tak samo. Że to, co najważniejsze, dzieje się tu i teraz, a cała reszta będzie co najwyżej rozpaczliwym poszukiwaniem mniej lub bardziej udanych kopii, powtórzeń, podobieństw. Będzie odtwarzaniem starych występów co dwa tygodnie do końca życia.

– Witam państwa. – W głosie nad nami brzmiała zarówno niedbała jowialność, jak i efekt spożycia wysokoprocentowych trunków. – Andrzej Wajnert, kogo ja widzę!

– Michalino, pozwól. To Grzegorz Wołłejko. Witam, witam. Moja przyjaciółka, Michalina Kańska. – Wajnert był niezadowolony; dostrzegłam to w jego oczach nagle zmatowiałych i zachmurzonych. W niechęci, z którą dokonywał tej pospiesznej i wymuszonej prezentacji. W nerwowości gestu, jakim zgasił papierosa. Tymczasem intruz, niczym się nie przejmując, przystawił krzesło do naszego stolika. Nie był z tych, co to przejmują się tym, że zepsuli komuś zabawę. Ani z tych, co czekają na zaproszenie. Był za to z oszczędnych, i to raczej chorobliwie.

– To pani szklanka? Pani pozwoli, że się nią zaopiekuję. – Przysunął do siebie puste szkło po daiquiri. Ze śladami mojej szminki i mojego gorącego oddechu. Widziałam rosnącą zgrozę, z jaką Wajnert patrzył na jego poczynania. Co innego bowiem stylowa zabawa w fabularne preludium do filmu porno, a co innego picie w knajpie własnego alkoholu przemyconego w wyświechtanej teczce.

– Męczący ten Sejm okropnie, muszę odreagować. – Grzegorz Wołłejko nalał sobie hojnie do mojej brudnej szklanki, rozejrzawszy się uprzednio, czy aby na pewno nie znajduje się w polu widzenia kelnera.

– Grzegorz jest dziennikarzem sejmowym – wyjaśnił mi Wajnert. – W programie Perspektywa, tak?

– O nie, już nie. Teraz w tygodniku.

Wymienił nazwę jednego z agresywnych pisemek dla mieszkańców miast powiatowych i sierot po PRL-u. Jednego z tych, które oprócz własnych artykułów zamieszczają przedruki co pikantniejszych kawałków z innych tytułów, horoskop i krzyżówkę. Wołłejko tam pasował – szmatława gazetka, nędzny dziennikarzyna. W jakiejś wymiętej koszuli, niedogolony, z whisky z taniego sklepu schowaną w poprzecieranej teczce ze sztucznej skóry. Wstyd. Mógł sobie sprawić chociaż piersiówkę. Jednak jak

się okazało, kiepski styl nie był jedyną wadą Grzegorza Wołłejki. Był nią również słowotok. Na jeden, ściśle określony temat: własnej osoby.

– Więc mówię wam, ale miałem jazdę z tym samochodem. Ja rozumiem, że mechanik musi swoje okręcić i tak dalej, ale żeby aż tak... Myślał, że na głupiego trafił... I kiedy on tak do mnie, to ja jemu... I mówię, że z Reichu sobie sprowadzę nowy samochód... I on wtedy... Skrzynia biegów za dziesięć tysięcy, wyobrażacie sobie? To mi taki cwaniak oferuje...

Po pięciu minutach oboje z Wajnertem patrzyliśmy na niego błagalnie, po dziesięciu zaczęliśmy wiercić się na swoich krzesłach, po kwadransie zaczęliśmy wymieniać spojrzenia tyleż porozumiewawcze, co rozpaczliwe. Wołlejko tymczasem perorował zupełnie niezrażony; nieszczęsna ze mnie i z Wajnerta para – skazani na pierdoły zamiast pierdolenia. Już nawet zapomniałam, że nie mam na sobie majtek; rozkoszny dreszczyk zupełnie się ulotnił. Wzniosłam oczy do nieba w geście zawodu i zniecierpliwienia. Mój kochanek zaczepił pod stołem stopą o moją nogę. Znow poczułam coś w lędźwiowym odcinku kręgosłupa. Zamrowiło, ale bardzo delikatnie.

– Słuchaj, Grzegorz. My... wybieramy się właśnie do znajomych. – Wykręt nie do końca odpowiedni, ale i tak byłam wdzięczna Wajnertowi, że zdobył się na to, by przerwać przemowę natręta. Który pewnie był święcie przekonany, że nie mamy nic lepszego do roboty niż wysłuchiwanie historii jego przejść z mechanikiem samochodowym. Brak taktu wpływa zatem na zdolność postrzegania; zaburza ogląd tego, co oczywiste i co fruwa w powietrzu tak gęste, że można by to złapać w dłoń. – Czas na nas.

– Do widzenia, miło było poznać – dorzuciłam skwapliwie, wstając jak najszybciej. Nie wiem, czy mi się wydawało, czy zobaczyłam uśmiech uznania na twarzy kelnera żegnającego nas skinieniem głowy. Może był oddanym pracownikiem i lubił, gdy goście dobrze się bawili. Choćby przez chwilę.

– No tak, tak, rozumiem. To ja też już polecę.

Oby w przeciwną stronę.

– Za moment. – Musiał coś dostrzec w moich oczach; był głupi, ale jednak nie aż tak. – To się jakoś zdzwonimy, co, Andrzej?

– Jasne, oczywiście – Wajnert zapewnił go z serdecznością tak ostentacyjną, że nikt nie mógł wziąć jej za autentyczną. Nawet Wołlejko.

– O Boże – przywołałam imię Pana Boga nadaremno, kiedy tylko udało nam się wyjść z ogródka modnej knajpy i na bezpieczną odległość oddalić od Wołłejki, jego whisky w cudzej szklance i żenujących opowieści o naprawie samochodu.

– No niestety. I tak się nam udało. Zazwyczaj truje tak godzinami.

Biedny Wajnert, jeżeli kiedykolwiek musiał wysłuchać tego w całości. Biedna ja – moje wargi znow się zstąpiły, zwinęły, schowały do środka. Dopiero powiew ciepłego wiatru przypomniał mi, że moje majtki są w kieszeni mężczyzny, z którym właśnie idę przez miasto. Przez brzydkie miasto nagle upiększone wiosną, przez zatłoczone ulice i gwarne chodniki, przez strumienie ludzi spieszących w swoich sprawach. Szliśmy tak obok siebie, ramię przy ramieniu, patrząc przed siebie, a czasem sobie w oczy. Ciekawe, czy ktoś z mijanych przez nas przechodniów domyśla się, że jestem bez majtek i znow czuję krople podniecenia na wewnętrznej stronie ud. Wajnert szedł tuż obok, rękę w kieszeni trzymał na moich majtkach i mówił głosem cichym, acz wyraźnie słyszalnym, co robi ze mną, kiedy już dotrzemy tam, dokąd zmierzamy. Mówił o tym zupełnie bezwstydnie, barwnie, otwarcie.

Majowe popołudnie zachęciło warszawiaków do spacerów, ulice były pełne, co chwilę ktoś nas wyprzedzał lub nadchodził z przeciwka. A to matka z wózkiem, a to dzieciak z tornistrem, a to para emerytów trzymających się za ręce. Do każdego z tych ludzi mógł dolecieć jakiś strzępek naszej konwersacji, jakiś fragment rozmowy, kilka słów o wkładaniu, rozpychaniu i obracaniu. O wszystkich fizjologicznych objawach pożądania, o których opowiadaliśmy sobie bezpruderyjnie i na głos. O tym, co

zrobimy ze sobą, jak tylko zamkną się za nami drzwi mieszkania na Mokotowskiej. Mijaliśmy tych wszystkich ludzi, patrząc im prosto w oczy; czy ktoś z nich mógł przypuszczać, dokąd i po co tak naprawdę idziemy? Że to nie jest żaden spacer, bynajmniej nie przechadzka ani niewinna wyprawa po zakupy – że idziemy zawężać rzeczywistość do zaciśniętych ramion i splecionych nóg, że sposobimy się do ucieczki w krainę szeptów i krzyków, w królestwo słów ociekających śluzem i nasieniem, w świat ukojeń tak prostych i dobrych, że muszą być prawdziwe. W odróżnieniu od całej reszty; od tego, co skomplikowane i złe, od wszystkiego, co musi być kłamstwem. Błogosławione chwile łaskawych zmysłowych olśnień, które pozwalają zagubić proporcje, pomylić prawdę z fałszem, część wziąć za całość. Które na fali endorfinowego znieczulenia pozwalają zapomnieć o tym, że boli i że po wszystkim on każe mi jechać do siebie, a kiedy po mojej minie pozna, że nie stać mnie na taksówkę, da mi dwadzieścia złotych i że wtedy będzie bolało jeszcze bardziej.

\*

Ja, Sławek Jeżewski i stos kartek pracowicie zapisanych rękami studentów. Siedzieliśmy w naszym wspólnym gabinecie. Dokładnie tak jak pięć lat temu, kiedy zadzwonili do mnie, by ostatecznie rozwiązać moje nadzieje. Tylko że wtedy to był wyłącznie jego gabinet i tylko on sprawdzał kolokwia. Przy okazji, jako recenzent mojej pracy magisterskiej, udzielał mi nielegalnych wskazówek w sprawie odpowiedzi, jakich mam udzielać na obronie. Kiedy zadzwoniła moja opiekunka z Miłobędzkiej, od razu ją poznałam. Wciąż nie znałam imienia ani nazwiska tej kobiety, ale skojarzyłam jej głos; swoją drogą ciekawe, czy ci aniołowie stróże kandydatów dostają jakiś bonus do pensji, jeśli ich podopieczny zasili grono przyjętych.

– Pani Michalino, mam dla pani wiadomość. Niestety niedobłą. Musieliśmy w tym roku wstrzymać nabór do Agencji. Bardzo nam przykro.

Grzecznie, elegancko, kłamliwie. Doceniam delikatność, ale jeśli mnie nie chcieli, to wołałabym wiedzieć dlaczego.

– Całkowicie wstrzymać nabór czy wstrzymać mój nabór? – Akcent położony na zaimbek powinien wystarczyć jej do zrozumienia, że wiem, o co chodzi. I że się nie rozplączę. Chyba pojęła moją potrzebę wiedzy. Ostatecznie przecież wiedziała, że byłam najlepszą studentką na roku.

– Będę z panią szczerą, pani Michalino. – Chwila milczenia ciężka od naszych oddechów. Mój był pełen oczekiwania, jej wahania. – Wariograf nie wypadł najlepiej. – Przypomniałam sobie szaleńczy wykres maszyny. A także wąskie, zacięte usta i pełen potępienia wyraz twarzy biegłego. – Były problemy z odczytem wyników pani badania. Ale to nie one przesądziły.

– Co więc przesądziło?

Rzecz jasna, zależało mi na tej pracy, ale nie próbowałam zmieniać decyzji władców krainy szpiegów. Chciałam tylko, by poinformowali mnie, w którym momencie coś poszło nie tak. Po prostu chciałam to wiedzieć; zwłaszcza że nie udawałam sama przed sobą, że zawsze grałam z nimi czysto. Może rzeczywiście trochę za dużo mówiłam na tematy, o których powinnam raczej milczeć?

– Zdecydowała zasada, że nie bierzemy do czynnej służby ludzi, którzy byli tam, gdzie pani. – Ach, więc o to chodziło. Nie o to, co mówiłam, tylko o to, czego nie powiedziałam. I o czym rozmawiać nie zamierzam.

– Rozumiem. Dziękuję pani.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki zdawała się żałować, że to jej ostatni kontakt ze mną. Tak jakby miała wątpliwości co do słuszności powodów rozstania.

– Życzę wszystkiego dobrego. Sukcesu na obronie magisterki.

– Dziękuję. Do widzenia.



– Do widzenia pani.

Obie wiedziałyśmy, że nie zobaczymy się już nigdy więcej, ale obie byłyśmy też grzeczne i dobrze wychowane. Ale oczywiście nie aż tak dobrze jak doktor Jeżewski, który siedząc wtedy naprzeciw mnie, słyszał całą tę rozmowę. I ani jednym słowem czy gestem nie dał tego po sobie poznać. Nieporuszony, niezainteresowany cudzymi sprawami, skupiony na sprawdzaniu kolokwiiów studentów czwartego roku. I nawet nie sprawiał wrażenia ciekawego, o jakim naborze i jakiej czynnej służbie mówimy. Kilka dobrych minut musiałam poczekać, zanim podniósł na mnie wzrok. Królewski błękit, szkło okularów, żadnych ciekawskich błysków.

– No dalej, zapytaj mnie.

Klauzule tajności już przecież nie obowiązywały, a między nami dwojgiem nie było sensu niczego udawać.

– A na pewno możesz mówić o pracy na rzecz państwa?

Moje spojrzenie musiało wyjaśnić mu wszystko, bo podjął po chwili:

– Ach, czyli pracy na rzecz państwa nie będzie. Ciekawe, jak się dowiedzieli? Bo chyba wiesz, że nie ode mnie?

Co tu było grane? Czyżby chodzili po wydziale i badali szczegóły mojego życiorysu? Wywiad środowiskowy, wyciąganie na plotki i wyłuskiwanie tych, którzy wiedzieli o mnie jak najwięcej? Czy naprawdę rozmawiali z ludźmi na mój temat bez mojej wiedzy?

– Ktoś cię pytał o mnie?

Sławek mógł mi to wyjaśnić, ale jego wyjaśnienia tylko dodatkowo pogmatwały mi w głowie.

– Nie, sprawy chyba nie zaszły jeszcze aż tak daleko. – Widząc moje wzburzenie, położył mi rękę na dłoni. Uspokajający, koleżeński gest, nic więcej. Tak wtedy, jak i dzisiaj dobra z nas była para dawnych kochanków. – Żadni smutni panowie nie pytali o ciebie, bądź spokojna. Zresztą i tak nic bym im nie powiedział. Uważam, że źle, że w ogóle rozważałaś to zajęcie. Głupie, niebezpieczne i mało płatne. – Opinia, jaką doktor habilitowany Sławomir Jeżewski miał na temat polskich tajnych organów, była druzgocząca. – Całe szczęście, że nic z tego nie wyszło. Nie pytałaś mnie o zdanie, więc nic nie mówiłem, ale uważam, że to zupełnie nie dla ciebie.

– A co jest dla mnie? – zapytałam, bo po raz kolejny czułam, że coś mi się w życiu nie udaje. Poprzednio, kiedy wszystko poszło nie tak, to właśnie Sławek wyciągnął mnie z tarapatów. Nie za darmo, ale jednak. Może i tym razem powie mi, co mam robić?

– Ależ Michalino. – Angielska elegancja nigdy nie pozwalała mu na utratę kontenansu form i ozdobników. – Praca tutaj, z nami, jest dla ciebie. Myślałem, że to wiesz.

Wiedziałałam; nie byłam tylko pewna, czy profesor Piekutowicz podziela moje zdanie.

– No dobrze, miałem ci nie mówić, ale w tej sytuacji... Jest już asystencki etat dla ciebie. Piekutowicz sam chciał ci powiedzieć, kiedy przyjdiesz oddać mu pracę w wersji do artykułu.

Tamten moment zapamiętałam o wiele dokładniej niż późniejszą o kilka dni oficjalną deklarację Piekutowicza. Gwiazda wydziału uznała tezy mojego magisterium i mój dyplom *summa cum laude* za wystarczającą podstawę, by przyjąć mnie do elitarnego i dochodowego grona swoich współpracowników. A niedługo później uczynić swoją prawą ręką, co pozwoliło mi nie tylko napisać doktorat w trzy lata, a w rok później zostać adiunktem, ale też umożliwiło jeszcze parę innych rzeczy. Rzeczy, które doprowadziły mnie do miejsca, w którym byłam teraz: stabilna pozycja zawodowa, pensja z grantu i z zaprzyjaźnionej prywatnej uczelni, umowy o dzieło na dodatkowe zajęcia i nieograniczony dostęp nie tylko do dusz studentów pierwszego roku. A także kilka rozterek osobistych.

– Słyszałem, że wychodzisz za męża.

Sławek uśmiechał się do mnie tak jak wtedy. Czy znów mam go poprosić, by powiedział mi, co jest

dla mnie dobre? Zaczynałam dochodzić do wniosku, że on to wie lepiej ode mnie.

– Owszem.

Sławek Jeżewski poznał mojego narzeczonego; przedstawiłam ich sobie podczas imprezy z okazji naszego grantowego sukcesu. Mieliśmy co świętować, kiedy tetrycy z Ministerstwa Nauki byli łaskawi przyznać nam ogromną forszę z dojrzałej krowy Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki; pamiętam, że balowaliśmy do rana, a Krzysztof co chwilę pytał, czy wszyscy naukowcy piją aż tyle.

– No to gratuluję.

Pewnie liczył, że po tym suchym „owszem” dodam coś jeszcze, ale milczałam. Sławek Jeżewski nie był mężczyzną, który zadaje męczące i niemile widziane pytania, dołożył więc tylko jeszcze jeden nieśmiały uśmiech i delikatny, odrobinę pieszczotliwy ruch palców na mojej dłoni.

– Woląłem, jak miałaś różowe. – Zerkając na moje paznokcie w kolorze krwistej czerwieni, pozwolił sobie na małą dygresję. Zignorowałam ją, podobnie jak od tygodni ignorowałam to wszystko, co drapało mnie w środku narastającymi wątpliwościami.

\*

Maj, czerwiec, sesja egzaminacyjna. Doktor Jeżewski postawił mi piątkę z nielegalnym plusem po tym, jak poprosił mnie na egzamin bez innych współzdających i przez godzinę rozmawiał ze mną o koncepcji ekstazy; nie wiem, jak to się miało do programu przedmiotu historia filozofii. Szkoda, że nie narysował mi w indeksie serduszka przebitego strzałą. „Będzie mi pani brakowało” – powiedział, nie patrząc na mnie. Poza kolejnymi ocenami wypełniającymi indeks i coraz bardziej soczystą zielenią drzew zagląających do okna mojego pokoju w akademiku wszystko było bez zmian. Na Pradze bez zmian – nowa wersja Remarque’a, wyczekiwanie na atak gazowy zamienione na tkwienie w okopach nadziei na kilka słów od Wajnerta. Które nie nadchodziły. Esemes wysyłany co dwa tygodnie, rozpacзлиwa gotowość, zawsze aktualna oferta czyniona z własnego ciała, z całkowitym pominięciem godności. I tylko milczenie w odpowiedzi. Czyli tamto piękne popołudnie pod spojrzeniami obcych ludzi to był ostatni raz. To było pożegnanie. „Znana tenisistka już na stałe w Polsce” – widziałam nagłówek w „Extra Wieściach” na stojaku z prasą w supermarkecie. Amok z historii literatury, poetyki i ciszy w moim telefonie. Mogłabym zostać autorką podręcznika *Jak zostać masochistką*, a mimo żałośnie niskiej wartości literackiej tego dzieła nie przestawałam zbierać doń informacji. Nieustanne ćwiczenia z nadziei, poniżenia i metod kompensacji. Mówią, że czasem lekarstwo jest gorsze od choroby – posępny mrok katedry, owalne, różowe tabletki, a wreszcie ulica Kawęczyńska. Kawęczyńska – już w tym nosowym „ę” i niemożliwej do wymówienia dla obcokrajowca zbitce polskich głosek pobrzmiwała zapowiedź czegoś swojskiego i egzotycznego jednocześnie, czegoś malowniczego w swej brzydocie, czegoś, co jest oczywiście dozwolone, ale przy tym zakazane. Jak gęby współpodróżnych w tramwaju. To był jeden z tych kłokoczących, starych pojazdów, bez klimatyzacji i niskich podłóg, z tekturowym numerem na szybie i z drzwiami otwierającymi się na każdym przystanku automatycznie i hałaśliwie. Jeden z tych, które jeżdżą wyłącznie po tej stronie Wisły, nigdy nie przekraczając magicznej granicy rzeki. Od placu Szembeka do Bazaru Różyckiego, od Stadionu Dziesięciolecia do Dworca Wileńskiego, od Ząbkowskiej do ronda Wiatraczna. Od nędzy do szemranych interesów, od składanych polowych łóżek rozstawionych w czeluściach przejścia podziemnego do blaszanych budek, od kurzu chodników do ukrytych w suterrenach barów bez szyldów i neonów. Siedziałam na jednym z czerwonych i plastikowych siedzeń; było rozgrzane od słońca i śliskie nie wiadomo od czego. Wyjątkowo obfita piana z dwóch piw, które wypłam tuż przed wyjściem, podpływała mi do gardła wraz z turkotem kół na szynach. Rytmicznie, powtarzalnie, mdląco. Ale tam, dokąd się wybierałam, nie mogłam akurat pójść trzeźwa. Takich rzeczy

nie robi się na trzeźwo. Właściwie nie robi się ich wcale, zwłaszcza kiedy jest się światłą studentką, która twardo stoi na ziemi i wierzy w racjonalizm. No dobrze, czasem bardziej wierzy niż w racjonalizm. Praskie krajobrazy odrapanych kamienic i ciemnych podwórek sunęły za brudnymi szybami tramwaju jak scenografia mająca zapewnić sztuce odpowiedni nastrój. Wraz ze mną w kierunku bazyliki jechali panowie o masywnych karkach, paru wujaszków z pękatymi reklamówkami o cennej zawartości, kilka dam w bardzo krótkich spódniczkach, za to z paznokciami długimi na pięć centymetrów. Kwiatki, wzorki, diamenty – czego tam nie było wśród szaleństwa obfitości plastiku i koloru. Szkoda, że zbyt natarczywe wpatrywanie się w te cuda mogło być nie tylko niegrzeczne, ale też odrobinę niebezpieczne. Dziewczyny miód malina, róż platyna. Do tego wierni klienci osiedlowych siłowni, posępni wąsacze i ja w sukience Marca Jacobsa wygrzebanej w lumpeksie – wszyscy jechaliśmy w głąb Starej Pragi. Ktoś do solarium, ktoś na spotkanie w salonie z automatami do gry, ktoś inny załatwiać sobie tylko wiadome interesy na rogu ulic albo przed sklepem monopolowym. Ja jechałam do wróżki.

Nie było tu żadnej wygodnej zatoczki przystanku, tory tramwajowe biegły przez sam środek ulicy; kiedy wysiadłam, rozpędzone bmw przemknęło o kilka centymetrów ode mnie. Czarny lakier, przyciemniane szyby, dźwięki dudniącego basu wydobywające się ze środka. Mieszkałam po tej – mniej właściwej – stronie Wisły, ale nawet akademik na Grochowie nie przygotował mnie do tego, z czym zderzyłam się tutaj. Ożywiony stereotyp, wszystkie składniki obiegu opinii w pełnym ucieleśnieniu, widoki jak z opracowania etnograficznego albo z ilustracji do przewodnika po przedwojennej Warszawie. Stara Praga: zapyziałe kamienice, niebezpieczna podwórka, tramwajowa trakcja dzieląca niebo na połowę. A nad tym wszystkim zaskakująco gustowna bryła świątyni – klasycystyczna harmonia linii górująca nad dzielnicą, do której zupełnie nie pasowała. Chyba że potraktować ją jako odległe echo rzymskiej bazyliki – nędzna podróbka, nieudana kopia, mała fałszywka – tak rozpatrywana, od razu wydawała się bardziej na miejscu.

„Wyższa Szkoła Menedżerska” – głosił szyld na kamienicy, naprzeciwko której się znalazłam, pokonawszy trasę rozpędzonych aut o podrasowanych silnikach i obdrapanej karoserii. Musiałam znaleźć właściwy dom; ten, w którym – jak wyczytałam w ogłoszeniu w piśmie „Nowy Kurier Praski”, za darmo rozdawanym w osiedlowym spożywczym – urzędowała wróżka Zenobia. Przeszłam kilka metrów; spojrzeń panów na rogu sączących piwo wprost z puszek w żadnym razie nie można było nazwać przyjaznymi. Minęłam lokalny sklep – przed nim panie przed szycią sprzątaną biur albo po odhaczeniu się na liście w urzędzie pracy. Wszystkie tlenione na blond, wszystkie wpatrzone przed siebie pustym wzrokiem, wszystkie z papierosami w zębach. Niektóre już bez zębów. Ciekawe, czy te z tramwaju, te z pięciocentymetrowymi tipsami, wiedzą, że to one same za dwadzieścia lat? Dziedziczenie biedy, reprodukcja kondycji społecznej, zakłute rewiry i przekłute nieprzerwane kręgi – pomyślałam o tym wszystkim tylko przelotnie, bo moje własne problemy uniemożliwiały mi głębszą analizę. Tym gorzej dla mnie. Dla mnie, która przyjechałam tu z innego, aczkolwiek niezbyt odległego świata, szukać wróżki Zenobii.

Wróżka na Starej Pradze. Tak stylowo, że aż przesadnie. Ciekawa byłam, na ile to jeszcze przypadek, a na ile już zamierzony efekt. Kampowa wróżka. Mogłam pocieszać się, jak umiałam, ale to i tak nie zmieniało faktu, że bałam się tam pójść. Bałam się i bardzo chciałam jednocześnie. Stara jak świat mieszanek strachu i fascynacji, z małym dodatkiem zażenowania. Wróżby, karty, szklana kula. To wszystko w XXI wieku w wykonaniu studentki uniwersytetu i absolwentki katolickiej szkoły, czyli wstyd po prostu. Wstyd, na którego dojmującą chęć przeżycia nie mogłam nic poradzić. Strach pomyśleć, do czego zdolne są kobiety, kiedy sądzą, że nic już im nie pozostało.

Wreszcie znalazłam. Jedna z szeregu takich samych sypiących się kamienic, klatka schodowa, w której

akurat – pewnie na wieczność – przepaliła się żarówka, drewniane, skrzypiące schody. Mieszkanie wróżki mieściło się na trzecim piętrze i jak przypuszczałam, było zarówno lokalem mieszkalnym, jak i gospodarczym. Wygodne dwa w jednym, które jednak wymuszało pewne ustępstwa na rzecz właściwej atmosfery świadczenia usług tak specyficznych jak wróżenie, jasnowidzenie i doradztwo duchowe. W przejściach wisiały grube, pomarańczowe kotary, pod sufitem pobrzękiwały dzwoneczki feng shui, a w powietrzu unosił się ciężki kadzidlany zapach. Jak w kościele. Kolejne potwierdzenie ostatecznej prawdy, że pewne rytuały bywają wspólne dla religii i magii.

– Pani Michalina?

Ku mojemu rozczarowaniu w osobie wróżki nie było nic magicznego. Jakies pięćdziesiąt lat, zmarszczki wskazujące na brak znajomości czarodziejskich zaklęć, w stroju zupełnie żadnej tandety, której przecież się spodziewałam. Poza tym nie miała nawet czarnego kota.

– Dzień dobry, to ja – odpowiedziałam, chociaż tak naprawdę nie miałam już wcale ochoty wchodzić do mrocznego pomieszczenia, w stronę którego mnie prowadziła. Żarty o zaklęciach i czarnym kocie już mi nie pomagały, podobnie jak niezawodna zazwyczaj ironia. Było mi coraz bardziej nieprzyjemnie, kiedy podążałam za nią do pokoju całego w pluszach, bibelotach i dywanach. Kilka porcelanowych lalek patrzyło na mnie z otwartą wrogością w szklanych oczach i w upiornie powyginanych ustach. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte i wyjątkowo łatwo można było uwierzyć, że na zewnątrz wcale nie ma pięknego słońca ani ciepłego popołudnia. Może w ogóle niczego już tam nie ma?

Wróżka wskazała mi kanapę, sama usiadła naprzeciwko, po drugiej stronie niskiej ławy. W innych okolicznościach ten mebel byłby zapewne po prostu stolikiem do kawy, tutaj leżały na nim karty tarota. Siedemdziesiąt osiem magicznych kart od średniowiecza wyklinanych, zakazywanych, budzących napiętności. Obsesja inkwizytorów, atrybut czarownic, obiekt uwielbienia demonologów. I już wiedziałam, że to nie jest zabawa, nawet jeśli wcześniej tak właśnie mi się wydawało. „Uważaj z tym. Tarot to poważna sprawa, nie można sobie robić z niego żartów” – ostrzegła mnie Ewa, kiedy przyznałam się jej do swoich zamiarów. I choć bardzo długo i całkiem dobrze udawałam przed nią, że nie podchodzę do tego poważnie, teraz cała ta maskarada była już daremna. Nie chodziło o żadne dziecinne wróżby, o żadne zgaduj-zgadula ani andrzejkowe zabawy. Tarota stawia się wtedy, gdy jest się naprawdę w poważnej sytuacji życiowej. Gdy wszystko inne zawiodło. Krawędzie załamania nerwowego, granice wytrzymałości, obrzeża trzeźwego myślenia. Desperacja. Nie było już sensu dłużej udawać, że to nie moja historia. Że nie chwytam się każdej, najdrobniejszej nadziei. Że nie oddałabym wszystkiego za to, by coś zmienić. Jakkolwiek nieracjonalne by to było, jakkolwiek niemądre i bezsensowne – wierzyłam, że tylko to może jeszcze mi pomóc.

– Co panią do mnie sprowadza, pani Michalino? – zapytała, przyjmując pieniądze. Zawrotną dla mnie kwotę stu złotych, która miała pójść na tygodniowe utrzymanie. Albo na sukienkę, która spodobałaby się Wajnertowi przy następnej okazji. Jednak wiedziałam, że obowiązuje tu ta sama zasada, co względem świeczek w katedrze – trzeba zapłacić, inaczej karty niczego nie powiedzą, a żadne intencje nie zostaną spełnione.

– O co chciałaby pani zapytać tarota?

Chciałam zapytać, czy Wajnert do mnie wróci. Czy mogę go jeszcze odzyskać. Czy jest coś, co mogę zrobić, cokolwiek by to było.

– Chodzi o mężczyznę. Chcę się dowiedzieć, czy... Czy mamy szansę być razem.

Brzmiało to naiwnie, jak z kolumny *Listy do redakcji* w miesięczniku dla młodzieży. Ale nie chciałam mówić jej nic więcej ponad to, co niezbędne. Zbyt dużo przeczytałam o psychologii, by nie wiedzieć, że będzie chciała wyciągnąć ode mnie jak najwięcej szczegółów, by potem wpleść moje słowa we wróżbę. Oszustwo, hochsztaplerka, prymitywne zabiegi psychologiczne – czyż nie z tym kojarzył się ktoś o tak

szemranej profesji jak wróżka? Zawsze tak właśnie mówiono i ja sama skłonna byłam myśleć w ten sposób. Ale teraz, kiedy tu przyszedłam, bo z tym, co mnie dręczyło, nie miałam już dokąd pójść, widziałam to wszystko nieco inaczej. Może to wcale nie ta kobieta będzie mówić, tylko karty, które leżały przede mną? Ciągłe w stosiku, twarzami w dół.

– Proszę wybrać dziesięć i ułożyć o, tak. – Szybkimi ruchami w powietrzu nakreśliła kształt krzyża celtyckiego.

– Lewą ręką – powiedziała, kiedy na moment się zawahałam. Lewą, to oczywiste. Ręka w islamie zastrzeżona do czynności brudnych i grzesznych. Podział utrwalony w ikonografii chrześcijańskiej – zbawieni na prawo, potępieni na lewo. Ta gorsza ręka; ręka od serca. Staralam się wybierać rozważnie, ale bez dłuższego namysłu. Cztery karty w rzędzie, jedna pod drugą, pięć w kształt krzyża o równych ramionach, ostatnia poprzecznie na tę, która stanowiła środek konstrukcji. Powiedzcie mi, co mogę zrobić. Powiedzcie mi, czy jest taka rzecz, którą mogę uczynić, by los się odwrócił. Powiedzcie, czy jeszcze go kiedykolwiek zobaczę. Wróżka powoli odwracała karty. Nie było najlepiej – mignęły mi przed oczami Księżyc i Diabeł. Na szczęście pojawiło się też Koło Fortuny, nie mogło więc być aż tak źle. Ale było – ostatnią, wieńczącą rozkład kartę stanowiła Wieża. Najgorsza karta tarota; karta, która ostrzega przed katastrofą.

– Może oznaczać też nowy początek. – Wróżka musiała zauważyć moją minę. Ewentualny nowy początek po tragedii, rozpacz i stracie; marne to pocieszenie. Kobieta naprzeciwko mnie długo patrzyła w karty, zanim zaczęła mówić. W pokoju było ciemno, nie wiedziałam więc, na ile grymas, który zmarszczył jej czoło, był cieniem, a na ile zmartwieniem.

– Tego, o co pani pyta, raczej nie da się już uratować.

Za mocno, zbyt bezpośrednio, od razu.

– On jest dużo starszy od pani, prawda?

Nie mogła tego wiedzieć. Nie powiedziałam niczego, co mogłoby jej to zasugerować. Ale przecież tak właśnie było.

– Jest – potwierdziłam, ale nie chciałam wdawać się w żadne detale. Chciałam usłyszeć, co widzi w kartach.

– Starszy, znany i bardzo cyniczny. – Wręcz czułam, jak moje oczy robią się coraz większe i większe. – Być może jeszcze kiedyś odezwie się do pani. Być może jeszcze się kiedyś spotkacie. Ale nigdy nic z tego nie będzie.

Trochę nadziei i bardzo dużo bólu.

– Dlaczego? – Nie mogłam się powstrzymać od tego pytania. Zabrzmiałoby dziecinnie, gdyby tylko głos nie drżał mi aż tak bardzo.

– Bo taki z niego człowiek. Pani pech. Poza tym on kogoś ma. Wie pani o tym, prawda?

Odgłos piłeczki tenisowej uderzającej o nawierzchnię kortu, blask białej spódniczki, szelest pół miliona dolarów. Miał kogoś i nie był to ktoś, z kim mogłabym konkurować.

– On ją znał już wcześniej. – Wróżka podniosła na mnie oczy i dopiero teraz zauważyłam ich kolor. Były jak agaty – szare i cętkowane. Nie kłamała, nie wymyślała, nie serwowała mi bzdur ani tanich pocieszeń. Naprawdę musiała wyczytać to wszystko z kart tarota. To i coś jeszcze, o czym chyba nie chciała mi powiedzieć.

– Jest pani ciężko, to zrozumiałe, ale ma pani jeszcze szansę na dobre chwile. – Stuknęła palcem w Koło Fortuny. Karta pozytywnych zmian, nowych możliwości i okazji. – Kiedyś, później. Tylko musi pani dokonywać właściwych wyborów.

Kiedyś, później, nigdy. Moim wyborem był Andrzej Wajnert, nie chciałam innego.

– A ta Wieża na koniec?

Wizualnie karta wcale nie prezentowała się złowroźnie, ale niepokoiła mnie. Wróżkę chyba też. Milczała nad nią długą chwilę, patrząc to na mnie, to na rozkład kart.

– Ile ma pani lat?

– We wrześniu będę miała dwadzieścia.

Ta informacja musiała pomóc jej podjąć decyzję.

– Proszę się tym nie przejmować. To karta, którą można rozumieć na wiele sposobów. Poza tym wszystko zależy od pani. Tarot nie przepowiada przyszłości, on tylko pokazuje kierunki.

Nie wiedziałam, co tam zobaczyła. Jakieś fatum, nieszczęście, jakiegoś diabła? Nawet mnie to nie interesowało. Skoro sprawa z Wajnertem była przesądzona, nie interesowało mnie nic więcej. A może powinno było? Wróżka Zenobia nie wyglądała zbyt pewnie, kiedy składała karty.

– Mam także karty aniołów. Chce pani wyciągnąć któregoś?

– Wyciągnąć anioła? – Nie do końca rozumiałam, o co jej chodzi. To miała być jakaś próba pocieszenia? Albo propozycja dodatkowej usługi ezoterycznej? Czy może uznała, że aż tak bardzo potrzebuję opieki?

– Nie, dziękuję. Mam już swojego patrona. – Uśmiechnęłam się, chociaż gorycz osiadała w tym pomieszczeniu – na zburzonym rozkładzie kart tarota, na poważnej twarzy wróżki, na moim języku.

– Proszę na siebie uważać – powiedziała wróżka, odprowadzając mnie do drzwi. Właściwie była już wtedy bardziej starszą, zatroskaną kobietą niż wróżką.

– Będę. Dziękuję.

Kiedy wychodziłam z ciemnej kamienicy na pełne słońce, towarzyszyło mi nieznośne uczucie nierzeczywistości. Zrobiłam coś, czego się wstydziłam, coś, co było głupie i za co jeszcze zapłaciłam – z pieniędzy, których potrzebowałam na coś zupełnie innego. Tylko po to, by usłyszeć słowa, których wcale nie chciałam. To wszystko przesąd, nieprawda, zabobon – mówiłam sobie, idąc w kierunku bazyliki wznoszącej się nad ulicami. Słońce ześlizgiwało się po jej żółtawych ścianach, omiatało ludzi czekających na przystanku, rozbłyскиwało w szybach nadjeżdżającego tramwaju. To wszystko kłamstwo, przypadek, życiowa porada pani pseudowrózki, która powiedziała to, co sama uznała za stosowne dla młodej dziewczyny. Mówiłam tak, mówiłam tak sobie z zaciekłością godną lepszej sprawy, ale sama wiedziałam, że jest inaczej. Wajnert nie wróci, moje wiadomości nadal pozostaną bez odpowiedzi, a los się nie odmieni. Choćbym pisała do niego co dwa tygodnie do końca życia, choćbym chodziła w miejsca, w których bywa, choćbym codziennie wypatrywała go w tłumie zmęczonych twarzy na dworcu. Karty zostały rozdane i nigdy nie ułożą się inaczej. Nie będzie innych odpowiedzi na te same pytania, choćbym pytała wciąż i wciąż od nowa. Wszystko już się stało i wszystko będzie już tylko tak. Tak źle.

\*

– Dzień dobry, pani doktor. Mogę?

Włosy kładące się na kołnierzyku od koszuli, włosy wpadające w oczy figlarną grzywką, włosy w pozornym nieładzie, który zapewne był zamierzonym efektem pieczołowicie osiąganym przed lustrem. Modny drwal w apogeum mody na drwali. Znałam jego twarz; kojarzyłam spojrzenie spod grzywki z ćwiczeń z teorii polityki. Chłopak nie bywał na nich za często, nigdy nie zabierał głosu, ale czasami udawało mu się przyciągnąć moje spojrzenie. Trzydniowy zarost jak u kowboja z reklamy Marlboro, kraciasta koszula z podwiniętymi rękawami, dżinsy na tyle luźne, by były wygodne, ale na tyle obcisłe, by dobrze leżały. Sądząc po wąskich biodrach, powinien mieć ładny tyłek, ale tego akurat nie widziałam. Przynajmniej nie wtedy, gdy stanął w drzwiach mojego gabinetu.

– Tak, proszę. – Chłopak był bystry i chciał mi zrobić przyjemność albo jako rasowy drwal nie umiał

się zachować w zamkniętym pomieszczeniu; mniejsza o to dlaczego, ale zamykając za sobą drzwi, odwrócił się do nich twarzą. Rzeczywiście miał zgrabny tyłek, nie dało się tego nie zauważyć. I pewnie nie dało się nie zauważyć, że zauważyłam. Nogi spod biurka odsunęłam dopiero wtedy, kiedy siadając, dotknął kolanem mojej łydki.

– Przepraszam, nie kojarzę pańskiej godności, ale wiem, że z trzeciego roku. – Klaczyński, Kleczewski, Kluczkowski? Takie nazwiska przychodziły mi na myśl wraz z urywkami cytatów z pracy, której autor zdawał się nie przeczytać ani jednej lektury, za to usilnie sprowadzać wszystko ciągle na te same, dość wykrzywione tory rozumowania. – W czym mogę pomóc? – Zapytałam *pro forma*, bo przecież dobrze wiedziałam, o co może mu chodzić. Czerwiec na uczelni: czas żebraków.

– Pani doktor, bo ja mam taką sprawę... Taką, że nie zaliczyłem kolokwium końcowego.

Ach, to tak. Czyli posiadacz zgrabnego tyłka i seksownego zarostu był autorem jednej z tych prac, które odrzuciłam na stosik „niezaliczone”. Nie pastwiłam się nad nimi za bardzo – najczęściej pisałam po prostu „dwa”, i to nawet nie czerwonym długopisem. Gdybym była bardziej podobna do swojej matematyczki z liceum, siedemdziesięcioletniej siostry Christofory, dodawałabym adnotację „żenujące” albo „skandal”; w przypadku sadowiącego się przede mną drwała – z trzema wykrzyknikami. Spojrzałam na jego szczękę – była doskonale kwadratowa, a przez środek podbródka biegła blizna. Tak seksowna, że nie zdziwiłabym się, gdyby celowo się o nią postarał. Zganiłam się w duchu – wychodzę przecież za męża, właśnie wróciłam z drukarni, gdzie obstalowywaliśmy z narzeczonym zaproszenia na ślub, a tymczasem łakomym okiem patrzę na studenta. Poczułam, że zaczynam robić się wilgotna. Ostatnio z Krzysztofem było pod tym względem ciężko – mokre czasy Barcelony minęły; chyba przez stresy, których przysparzała mi organizacja ślubu, musiałam nawet zacząć wspomagać się lubrykantem. To mnie martwiło, a teraz poczułam, jak na widok studenta-drwała całe to zmartwienie wpływa ze mnie wraz ze stróżką lepkiego, gęstego śluzu.

– Owszem, nie zaliczył pan. Chyba pan wie, że mimo całego jego antydogmatyzmu Spinozę trudno jest uznać za duchowego ojca anarchizmu?

– Wiem, proszę pani.

– Chyba jeszcze tydzień temu pan nie wiedział.

Odwróciłam wzrok na kartkę z kolokwium; nie chciałam, by Grzegorz Klaczyński – bo takie nazwisko figurowało na jego pracy – zobaczył, jak bardzo spodobało mi się to uczniowskie, lekko nieśmiałe „proszę pani”. Zwłaszcza wypowiediane przez faceta dwa razy większego ode mnie, który wyglądał, jakby całkiem niedawno – i nie bez trudu – oderwano go od siekiery. Rzecz jasna, wiele wskazywało na to, że była to po prostu stylizacja, ale nawet jeśli tak, to wyjątkowo udana. A gdyby tak skorzystać z okazji? Gdyby tak nie odmawiać sobie tego zgrabnego tyłka i masywnych dłoni? To byłby pewnie ostatni raz przed ślubem. Ostatni raz w życiu – natychmiast się poprawiłam, choć grzeszyłam na razie wyłącznie myślą, i to dość chaotyczną.

– Pani doktor, bo ja wiem, że piątka z kolokwium zwalnia u pani z egzaminu...

Zatem chłopak chciał piątkę? Aż tak wysoko oceniał swoje walory rodem z lasu? Zdumiałam się, ale tylko trochę. Przez cały rok akademicki nie przespałam się z żadnym studentem, a ten tutaj był naprawdę sexy. Poza tym może jakoś szczególnie zależy mu na średniej ocen? Jeden punkt brakujący do stypendium, ojciec leśniczy ze stanowczo za małym dochodem z nielegalnego wyrębu choinek, trudna sytuacja finansowa. Może to byłby po prostu dobry uczynek, gdybym mu pomogła?

– I ja bardzo chciałbym dostać tę piątkę. Jeśli jest coś, co mógłbym zrobić... to ja... ja bardzo chętnie.

Wbrew swoim słowom nic nie zrobił, nie dotknął mnie, po prostu patrzył. I wtedy dostrzegłam, że jego paznokcie nie są nieskazitelnie czyste, a przydługie włosy same, bez żelu układają się w grzywkę. Gombrowiczowski pęd do parobka połaskotał mnie w dole brzucha – zatem to nie była stylizacja, to był

drwał, a prawdziwy drwał w dobie drwalopodobnych klonów stanowi zbyt cenny okaz, by tak po prostu z niego zrezygnować. Zwłaszcza w imię jakiegoś tam ożenku mającego na horyzoncie dopiero za dwa miesiące. Pomyślałam o tym, że musi mieć odrobinę szorstkie dłonie. I silne ramiona. I jakie to będzie przyjemne, kiedy ściśnie mnie mocno, i wpakuje we mnie swojego kutasa, który zapewne jest co najmniej tak długi jak jego ręce i tak szeroki jak jego barki.

– Panie Grzegorzu... Powiedzmy sobie szczerze: pańska praca nie jest bardzo dobra. Ani nawet dobra. Powinien pan koniecznie przeczytać coś jeszcze o Spinozie. Mam w domu parę interesujących... hm... pozycji. – Spojrzeniem wzmocniłam dobór słów, aby nie było żadnych wątpliwości, że mój rozmówca zrozumiał, o co chodzi. – Może pan wpaść do mnie po nie dziś wieczorem.

– Wpadnę z przyjemnością. Znaczą się, z przyjemnością poczytam. – Drwał uśmiechnął się, trochę promiennie, a trochę krzywo. Oboje wiedzieliśmy, o co chodzi, ale chociaż on był drwalem, to ja posłużyłam się siekierą.

– Proszę zostawić mi indeks, jutro go pan sobie odbierze.

Wsunęłam zieloną książeczkę pod papiery na biurku. Leżały już tam wzorniki ślubnych zaproszeń; róg modelu ze srebrnymi gołąbkami, który szczególnie podobał się Krzysztofowi, wyjrzał nieśmiało spod sterty kolokwiów.

\*

Chciałabym mieszkać z Tobą w małym miasteczku. Smutny wiersz rosyjskiej czarownicy przykleił się do mojej duszy jak brązowy nalot z herbaty do wnętrza białego kubka. Może naprawdę to było rozwiązanie? Może to wielkie miasto go zepsuło? Może nie wszystko jeszcze stracone? Uwierzyłam w uzdrawiający efekt powrotu do źródeł. Ostatecznie co za różnica – wierzyłam już w tyle rzeczy, które miały okazać się lekarstwem albo sposobem na ułożenie wszystkiego do nowa, mogłam uwierzyć jeszcze i w to. Przecież musiał istnieć jakiś sposób na wyprostowanie pogmatwanego, na oczyszczenie zabrudzonego, na docenienie wartościowego. Owszem, Andrzej Wajnert miał czterdzieści dziewięć lat, ale gdzie jest napisane, że cynizm stanowi nieodłączny atrybut wieku? Że wraz z wiekiem i doświadczeniem życiowym osiąga się podłość, a nie na przykład wiedzę czy wrażliwość? Przecież nie mogło być tak, że wszystko jest stracone. Choć tak mówił tarot, tak mówił płomień świecy w katedrze, który zgasł, gdy tylko wypowiedziałam intencję, tak mówiły wyciszające tabletki, bez których nie potrafiłam zasnąć. Ale to przecież nieprawda. Przecież wszystkie książki, które przeczytałam, które mnie ukształtowały, które zostały we mnie, mówiły co innego. Że przemiana jest w zasięgu serca, że nic nie jest przesądzone raz na zawsze, a co się stało, niekoniecznie będzie się stawać za każdym razem. Wiedziałam już wprawdzie, że wszystkie księgi spisane są na łatwopalnym materiale – w zetknięciu z tlenem rzeczywistości niepokojąco szybko zajmują się ogniem – ale byłam zbyt młoda i zbyt zakochana, by odrzucić nadzieję. Tak więc pograżałam się coraz bardziej i głębiej. Tamtego upalnego czerwca akurat w przekonaniu, że Wajnert powinien zacząć od nowa w miejscu, z którego pochodził. Że powinien wrócić tam, skąd wzięł początek – do gór i lasów, do domu, w którym się urodził i w którym jego matka wynajmuje letnikom pokoje, do sennej miejsciny, która na kilka tygodni sezonu napina się jak struna, by na wszystkie pozostałe miesiące leniwie osiąść na laurach pocztówkowego kurortu, w którym tylko wieczny półmrok i wieczna cisza; dokładnie tak jak w wierszu. Może poetka miała rację. Może właśnie ciche tykanie starego zegara mogłoby nas ocalić. Widziałam siebie w wielkim, wiekowym domu; w domu, który przechowuje pamięć pokoleń i każdemu kolejnemu lokatorowi opowiada swoje tajemnice, historie i sekrety. Skrzypieniem podłóg, chrobotem drzwi, wizgiem od drewnianych okien. Rzecz jasna, widziałam tam wielki kaflowy piec, a na każdym kafłu obrazek. Dni płynęłyby nam niespiesznie, jak chmury leniwie przemieszczające



się nad górami. To był Beskid Śląski – Wajnert pochodził ze Szczyrku i często pisał o nim jako o utraconej krainie szczęśliwego dzieciństwa. Nigdy tam nie byłam, ale chciałam pojechać w każdej chwili. Byłam gotowa. Gotowa rzucić studia, których właściwie do niczego nie potrzebowałam, zostawić wszystkich znajomych, których i tak dobrze nie znałam, wyjechać z betonowego miasta, które przyniosło mi samo utrapienie. Moglibyśmy spędzać całe dnie w łóżku i wychodzić tylko po coś do zjedzenia, na chwilę, nago i ukradkiem przestępując próg kuchni. Na pewno umiałabym wtedy usnąć bez chemicznej kołysanki. Moglibyśmy spacerować dolinami, pozdrawiając uśmiechem tych, co wędrują po górach. Pewnie nie musiałyby wtedy topić w alkoholu swoich lęków. Moglibyśmy chodzić do zaprzyjaźnionego piekarza – takiego, o którym mówią, że sowa była jego córką – a później kruszyć świeżym chlebem. Także pod kołdrą, spod której nie wychodzilibyśmy tak długo, jak długo nie byłibyśmy pewni, że strach i chłód nie mają do nas dostępu. Małe miasteczko, życie niespiesznie płynące przez palce, spokój. Zimą śnieg zasypywałby wszystkie drogi, a my byśmy trwali tam odcięci od świata. Wajnert pisałby swoje książki, a ja robiłabym mu herbatę z miodem i kropelką rumu. Wieczorami czytałby mi fragmenty; nie zapalalibyśmy światła i tylko ogniki naszych papierosów rozświetlałyby zmierzch. Długie noce urozmaicane odwiedzinami starych duchów, dni bez pośpiechu, bez stresu, bez presji. Pewnie założyłabym sobie ogródek, a może tylko hodowała duże tulipany na oknach. Grałabym z jego matką w karty, żylibyśmy z wynajmowania pokoi letnikom, mielibyśmy syna mądrego jak on i wytrwałego jak ja. Proste życie jako ostatnia deska nawnego ratunku. Właściwie dlaczego by nie? I może byś nawet mnie nie kochał, ale z czasem stałbyś się wolny, dobry i szczęśliwy. Pewnie to by mi wystarczyło.

Upragniona i wyczekana wiadomość przyszła w doskonałym momencie. Plan gotowy, decyzja dojrzała, wizja wyjazdu z rozpalonego miasta wyjątkowo kusząca. Czerwiec był upiornie gorący w tym roku – powietrze drgało od upału, wieżowce falowały jak fatamorgana, a obcasy zapadały się w roztopionym asfalcie. Nierzeczywistość rosła. Uciec stąd, wyjechać, osiąść gdzieś, gdzie kropelki czasu sączą się w małym wiejskim zajeździe. Przecież nie mógł urodzić się taki, musiał kiedyś umieć kochać. A skoro tak, to wszystko jest odwracalne, wszystko można naprawić i na wszystko jest jeszcze szansa. Ucieszyłam się z tej wiadomości bardziej niż z którejkolwiek wcześniej; skoro zawsze słyszał moje myśli, nie wątpiłam, że i tym razem udała mu się ta sztuka. Musiał usłyszeć o małym miasteczku, musiał zrozumieć, że dłużej nie może być tak, jak jest. Że czas na uzdrowienie. Na przełom. Albo na wstrząs.

„Wpadniesz dzisiaj? Biorę z agencji chłopca albo dwóch”. W Szczyrku nie ma całodobowych agencji z usługodawcami płci obojga. W Szczyrku nie ma scenerii do orgii. W Szczyrku nie ma ani Wajnerta, ani mnie. „Chłopca? Od kiedy interesują Cię chłopcy?” Sama dziwiłam się sobie, że jestem aż tak spokojna. Czy jeśli wszystko ci już odbiorą, to na końcu zostaje spokój? „Znow nie ma Moniki, więc korzystam z życia”. Po raz pierwszy użył jej imienia. Po raz pierwszy poruszył ten temat otwarcie. I po raz nie pierwszy przyznał, jak bardzo jest nie w porządku, nie tylko wobec mnie. Entuzjazm aż kapał z jego wiadomości. Wprost na moje palce manipulujące przy telefonie, wprost w moje coraz szerzej otwarte oczy, wprost w moje serce dawno złamane, zgarnięte szczotką na szufelkę i wyrzucone do kosza. Czyli jednak. Jednak musiał się taki urodzić. Przyrodniczy ewenement, który trafił akurat na mnie. „Przyjdź, będzie fajnie. Posunę i Ciebie, i chłopca”. Telefon wyślizgnął mi się z dłoni. Czy jest gdzieś granica tego, co on ma czelność mi proponować? I gdzie leży granica tego, na co jestem w stanie się zgodzić? Pójdę, pomyślałam. Pójdę, by mu powiedzieć, że już więcej tego nie zniosę. Albo żeby zrobić to, co chce. Pójdę, bo modliłam się, by wrócił do mnie, niezależnie od ceny, jaką trzeba będzie za to zapłacić. Pójdę, bo tak bardzo nie chciałam, by karty tarota mówiły prawdę. Pójdę, bo wciąż mam nadzieję na moment, w którym on powie: „To były próby, testy, sprawdziany; zdałaś je”, i wreszcie stanie się taki, jaki powinien być. A wtedy zostawimy tu wszystko i wyjedziemy razem do małego miasteczka.

Kiedy wychodziłam, pożegnał mnie wyjątkowo pozbawiony pretensji głos mojej współlokatorki:

– Coś wyglądasz na spiętą. Nie martw się, dziś możesz przyprowadzić tego swojego faceta tutaj, jakby co. Skończyłam sesję i wychodzę świętować.

Zatem tak – jednym radość, drugim stres; Marta Maszerek szła na imprezę, a ja do pieczary smoka. Nie wiedziałam do końca, co mnie w niej czeka, ale i tak żadne pisane w głowie scenariusze nie mogły przygotować mnie na to, co naprawdę się stało. Nie można bowiem przygotować się na to, że mężczyzna, który zaprasza cię do siebie, otwiera drzwi niechętnie i opieszale, że zasłania sobą całą ich przestrzeń, że patrzy na ciebie tak, jakby zupełnie zapomniał, że kiedykolwiek umawiał się z tobą albo nawet że w ogóle cię zna. W oczach Wajnerta ukrytych za zsuniętymi na czubek nosa okularami była konsternacja, była złość, ale było w nich także coś jeszcze. Strach? Wrogość? A może po prostu pogarda? Może to ona skrapla się w postaci zielonych szkiełek, ostrych, twardych i lśniących. Byłam pewna, że przecięłyby skórę, ale nie miałam śmiałości wyciągnąć palców do jego oczu. Szkoda, może wtedy mniej by bolało.

– Kto to? – usłyszałam głos z salonu. To nie był głos chłopca z agencji.

Wajnert popatrzył tak, jakby to na mnie spoczywała odpowiedzialność za nagłą zmianę planów jego narzeczonej. Ciekawe, czy naprawdę nie dała mu nawet tyle czasu, by wysłał mi wiadomość o związanej treści: „Nie przychodź”. Zanim ta myśl wybrzmiała w mojej głowie, wiedziałam już, jak bardzo jest absurdalna. Żalodne rojenia, oszukańcze iluzje, naiwna wiara. Wajnert starał się zasłonić drzwi jak najdokładniej, z całej jego postaci emanowało napięcie. Wyglądał jak jedna wielka chęć pozbycia się kłopotu. Kłopotem byłam ja.

– Przepraszam, to jakaś pomyłka. Nie zamawiałem pizzy – powiedział głośno i wyraźnie, głosem na tyle donośnym, by usłyszała go kobieta w salonie. Już wiedziałam, co się stało, już odwracałam się do windy, już odchodziłam od jego drzwi – nie musiał tego robić. I może właśnie dlatego to była ta granica. Granica tego, czego nie mogłam już znieść.

Trwał wczesny wieczór; zupełnie spokojny, pozornie zwyczajny wieczór w mieście, podobny do wszystkich innych wieczorów we wszystkich miastach. Czyli Miłosz miał rację – chociaż jeden poeta, który nie kłamał – to tak właśnie się odbywa, innego końca świata nie będzie. Świat kończy się w cichy, spokojny wieczór, na tyle wczesny, by biblioteki uniwersyteckie były jeszcze otwarte. Nazajutrz miałam ostatni egzamin, ale przecież nie zaprzętałam sobie nim głowy wobec zaproszenia Wajnerta. Tym bardziej teraz nie zamierzałam o nim myśleć, ale i tak z mieszkania na Mokotowskiej poszłam do biblioteki. Do tak dobrze mi znanej biblioteki Wydziału Polonistyki. Nie było mi szkoda; nie można żałować tego, co okazało się kłamstwem, ale i tak chciałam jeszcze raz na nie zerknąć, przeczytać, potrzymać w dłoni ciężar słów. Wzięłam z półki tom, który czytywałam tak często, że grzbiet rozginał się w określonym miejscu. Książka otworzyła się sama na tym fragmencie, na którym zawsze zatrzymywałam się najdłużej. Moja ręka zawisła gdzieś wzdłuż krzesła, torebka spadła na ziemię z niestosownym hukiem. Bibliotekarka nawet nie spojrzała, ale kilku czytelników podniosło wzrok znad swoich lektur. I bardzo szybko opuściło go z powrotem. A więc to tak – człowiek, który wie, wygląda strasznie albo groźnie. A ja już teraz wiedziałam – nieodwołalnie wiedziałam, że konsekwentnie i na własne życzenie pomyliłam wszystko. Wajnert nigdy nie był tym, kim miał być, i nigdy nie chciał tego zmienić. Nie był sobą, nie był obietnicą, którą dawał w swoich książkach, nie był żadnym ze swoich szlachetnych bohaterów. Był tylko zepsutym egoistą o brudnej duszy, który jedynie na pokaz przywdziewał swój literacki wizerunek; przekłęci niech będą naiwni, którzy uwierzyli. Ja uwierzyłam i dlatego płacę cenę; innej prawdy nie będzie. Andrzej Wajnert dawno przekroczył punkt, z którego byłby jeszcze powrót do małego miasteczka, kaflowego pieca i tulipanów na oknie. Bóg nie odmieni jego serca; zresztą diabli wiedzą, czy on w ogóle ma serce. Nie zawsze można naprawić zniszczone, nie każdą chorobę uleczyć i nie każdy defekt zwalczyć, a surowy i ponury Kalwin miał rację – nie wszyscy będziemy zbawieni, i to

widać. Może nawet w ogóle zbawienia nie będzie? Chociaż świat mówił mi o tym o wiele wcześniej i mnóstwo razy, zrozumiałam to tamtego gorącego, czerwcowego wieczoru w chłodnej i pustawej czytelni, gdzie raz jeszcze przyszedłam przeczytać swój ulubiony wiersz. Zbiór fragmentów literatury rosyjskiej przełomu XIX i XX wieku, złota era powieści i czas rozkwitu poezji, kłamstwo nad kłamstwami i wszystko kłamstwo. Oprócz kłamstw i złudzeń nie było już nic. Żadnego cudu ani odkupienia, żadnej siły sprawczej, żadnych słów o mocy zmieniania świata. I tylko ja tam byłam – nowa lokatorka pustki, wrzucona w jej czeluście przez przypadek, ale z dożywotnim wyrokiem. Podniosłam z ziemi swoją upuszczoną torebkę, w pożegnalnym geście przejechałam palcem po okładce książki z wierszem rosyjskiej czarownicy i wyszłam z czytelni. Nie było sensu dłużej tu siedzieć; w moim ubogim pokoju w brzydkim akademiku czekało na mnie wszystko, czego teraz potrzebowałam. Łóżko, solidny zapas owalnych tabletek na receptę i sprawny zamek w drzwiach. Przecież Marta Maszerek nie wróci z imprezy przed świtem. Przecież powinnam była wiedzieć, że czarownice kłamią.

– Nie oddała pani materiałów! Będzie pani jeszcze z nich korzystać? – wrzasnęła za mną bibliotekarka; to nie była ta miła, tylko ta druga. Musiała zauważyć, że zabrałam wszystkie swoje rzeczy i że wychodzę na dobre, zostawiwszy książkę otwartą na stronie z wierszem Cwietajewej.

– Nie będę. Już nigdy więcej nie będę.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi, pospiesznie i gwałtownie. Tak, by biel kartki lśniąca w porzuconej książce nie skusiła mnie do powrotu.

\*

Nie czułam się winna. Ani trochę winna; to było aż dziwne. Przecież spodziewałam się goryczy gdzieś między podniebieniem a językiem – wyrzuty sumienia nie są smaczne i dość ciężko się je przełyka. Ale razem ze spermą studenta-drwala przeszły mi przez gardło gładko i niezauważalnie. Nie, nie czułam się winna. Ani trochę winna, za to zupełnie na swoim miejscu. W wygodnych koleinach przyjemnej, starej roli. Student w kraciastej koszuli nie rozczarował mnie – ścisnął mocno, wkładał głęboko, ruszał swoim zgrabnym tyłkiem szybko i rytmicznie. A potem grzecznie udał, że dzwoni po taksówkę, i wyszedł w ciepłą, czerwcową noc. Pewnie będzie szedł pieszo, przy okazji zahaczy o jakąś knajpę, by przy kieliszku, który poważnie nadszarpnie jego miesięczny budżet, przetrawić to, co zrobił, i zastanowić się, czy będzie robił to dalej. Jego zmartwienie, jego decyzja – ani jedno, ani drugie w ogóle mnie nie obchodziło. I to było w tym wszystkim najlepsze. Nie czułam się winna. Ani trochę winna, za to bardzo zadowolona – cała przygoda odbyła się wygodnie, szybko i higienicznie, bez konieczności patrzenia później, jak kochanek ślini się, zasypiając. Krzysztof zawsze trochę się ślinił – kiedy przekraczał granicę jawy i snu, w jego otwartych ustach za każdym razem pojawiała się mała, przezroczyta banieczka. Prawdę mówiąc, to było dość obrzydliwe. Podobnie jak i sposób, w który odkładał widelec podczas jedzenia. Sama się sobie zdziwiłam; kiedyś w ogóle nie zwracałam na to uwagi. Teraz irytacja i rozdrażnienie narastały we mnie w zastraszającym tempie. Za każdym razem w towarzystwie Krzysztofa. Jaka ta jego układność była męcząca, jakie jego gusta filmowe żenujące, jaka jego akuratność denerwująca. Kwiatki, pluszowe króliczki, amerykańskie komedie romantyczne – znosiłam to bez słowa przez tyle miesięcy, ale teraz po raz pierwszy zadałam sobie pytanie: „Po co?”. Które on z bezbrzeżnym zdumieniem zamienił na: „Jak to?”.

– Ale jak to? – powtórzył te słowa już co najmniej trzykrotnie. Chyba naprawdę nie mógł w to uwierzyć. A może się nie spodziewał, co świadczyłoby tylko o tym, jak niewiele o mnie wie. Siedzieliśmy u mnie w mieszkaniu, odgłosy lata na Powiślu wpadały przez otwarty balkon, a mnie szumiało w głowie. Musiałam wypić trzy lufy na odwagę, zanim zebrałam jej w sobie tyle, by mu

powiedzieć, że ślubu nie będzie.

– Nie jestem jeszcze gotowa na małżeństwo. Daruj mi, ale po prostu nie.

Dość żalony tekst rodem z amerykańskich filmów; może nie komedii, ale i tak liczyłam na to, że przemówi do Krzysztofa. Przemówi, ale go nie obrazi. Nie chciałam go obrażać, chciałam się go tylko pozbyć. Razem z jego pedantycznie ułożonymi na łazienkowej półce przyborami toaletowymi, razem z jego nieodłącznym iPhone’em najnowszej generacji, razem z jego zatwardzeniem. Te przybory toaletowe ułożone od linijki, ten iPhone noszony w specjalnej irchowej ściereczce, aby się nie porysował, to jego zatwardzenie leczone ziólkami schowanymi w szafce wyszorowanej i porządnie wyłożonej woskowanym papierem – to wszystko miało już ostatecznie i nieodwołalnie lada moment stać się częścią mojego życia. Jeszcze trochę, a w sali urzędu stanu cywilnego przekroczyłabym rzekę, zza której powrót może i byłby możliwy, ale na pewno o wiele trudniejszy. Teraz nadarzał się ostatni moment – Krzysztof od tygodnia mówił coraz więcej na temat swojej przeprowadzki do mnie. Już na stałe, na zawsze, na dobre. Czy raczej na złe? „W przyszłym tygodniu przywiozę resztę rzeczy, dobrze, kochanie?”, „Pojutrze zainstaluję u ciebie moją konsolę do gier, może być?”, „Pozwolisz, że poukładam wszystko w kuchni, u ciebie nic nigdy znaleźć nie można”. Czy naprawdę chciałam udawać? Udawać przez resztę życia? Kłamałam, mówiąc, że go kocham, i to był grzech, który będę musiała nieść, ale czy dam radę kłamać ciągle i wytrwale? Jak długo tak wytrzymam? Brnęłam w tę historię, pozwalałam jej rosnąć, rozwijać się i plątać i tej winy już nigdy z siebie nie zdejmę. Ale miałam właśnie ostatni moment, by przerwać to nieszczęsne przedstawienie. Nawet jeżeli okazałam się lepszą aktorką, niż sama się spodziewałam, to przecież wciąż była tylko próba. Udawana inscenizacja. Zabawa w życie, które tak naprawdę nie było moje. Jutro o dziesiątej Krzysztof miał wymówić najem mieszkania, był już umówiony z właścicielem. Cokolwiek chciałam powiedzieć, musiałam powiedzieć teraz.

– Ten ślub, to wszystko... Może to trochę za szybko. Ale zapewniam cię, że nie ma żadnego konkretnego powodu.

Nie chciałam mu mówić o studencie-drwalu – tak byłoby najprościej, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że Krzysztof wybaczyłby mi w swej wielkoduszności. I co wtedy? Musiałabym nie tylko pokornie przyjąć darowanie win, ale i okazać odpowiednią skruchę. A ja nie miałam ochoty na skruchę – miałam ochotę na swoje dawne życie, które ktoś mi zabrał. Albo chciał zabrać dwudziestego trzeciego sierpnia w małej sali Pałacu Ślubów; nieważne, i tak trzeba było się bronić.

– Zrozumiałam tylko, że to nie dla mnie. – Mówiłam do niego łagodnie, delikatnie, bezczelnie nieuczciwie. Obiecowałam, że zostaniemy przyjaciółmi, zapewniałam, jak jest mi bliski, i kłamałam, że wcale nie chodzi o zerwanie, tylko o odwołanie ślubu. Odwołanie, a nawet jedynie przełożenie. Przekłęte niech będzie moje tchórzostwo; nie powiedziałam mu, by uciekał ode mnie byle szybciej i szedł szukać szczęścia gdzie indziej. Miałam nadzieję, że sam zrozumie; zapomniałam, jak to jest, gdy rozumiesz, a mimo to godzisz się na wszystko. Nawet na żalony i kłamliwy banał, które wypadały z moich ust z mimowolnym westchnieniem zażenowania:

– Może później, może kiedyś, na razie jeszcze za krótko się znamy.

Krzysztof milczał przez chwilę; nie patrzył na mnie, jego wzrok wędrował gdzieś po powierzchni stołu, po półkach z książkami, po firankach podwiewanych letnim wiatrem. Może oceniał czystość i porządek, może myślał, jak by wszystko poustawić tak, by było ładniej i równiej, może koncentrował się na tym, by zawód i rozpacz nie ścięły jego twarzy jak nagły atak mrozu, absurdalny i zupełnie niespodziewany w środku czerwca. Był spokojny i opanowany; zachował się z godnością i potraktował mnie o wiele lepiej, niż na to zasługiwałam.

– Dobrze – powiedział i chociaż jego oczy były bezbrzeżnie smutne, a kostki palców zbieleły od zaciskania w pięści, udało mu się zapanować nad głosem. – Rozumiem. Poczekam na ciebie, kochanie.

Mogłam wówczas odegrać ten melodramat do końca i powiedzieć: „Nie jestem ciebie warta”. Ale tak było naprawdę i to właśnie mnie powstrzymało. Krzysztof miał skłonność do tycia – na razie tylko niewyraźnie zapowiedzianą w miękkiej, nieco kobiecej krągłości pośladków, w linii brzucha, który jeszcze był płaski, ale już całkiem niedługo zamierzał wylać się małym wałeczkiem nad paskiem, w warstewce tłuszczu, ukrywającej kształt mięśni jego ramion. Miał też skłonność do łysienia anonsowaną zakolami na wysokim czole. Nie miał za to gustu w doborze ubrań – tabaczkowe spodnie i wygniecione koszule khaki stanowiły w jego pojęciu szczyt wyrafinowania mody męskiej. Ale mimo tych wszystkich drobnych wad, mimo tych głupot, które w ostatecznym rozrachunku nie mają żadnego znaczenia, a może właśnie dzięki nim, był najwartościowszym mężczyzną, jaki mi się w życiu trafił. Wiedziałam to doskonale, tak samo jak i to, że drugiego takiego nie będzie. I chociaż smuciła mnie krzywda, jaką mu wyrządziłam, wiedziałam też, że nie ma dwóch takich samych par zielonych oczu, a kolor to nie wszystko. I wiedziałam, że to, co czuję, zamykając drzwi za Krzysztofem wychodzącym z mojego życia, to, co jest nieco wstydlive i nawet odrobinę bolesne, to ulga.

\*

Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych – dostojny i nieco przyciężki gmach mieścił się na Krakowskim Przedmieściu, zaskakująco blisko mojej polonistyki. Naprzeciwko głównego kampusu, tuż przy przejściu podziemnym, w którym o tej porze roku – oprócz nieśmiertelnych kanapek Oskar – królowały babcie uprawiające pokątny handel obnośny truskawkami. Przyszli dziennikarze i politolodzy dzielili budynek z filozofami: szacowny wydział Tatarkiewicza i Kołakowskiego miał siedzibę na piętrze, młodszy i dużo bardziej merkantylnie nastawieni koledzy – na parterze. Jedni i drudzy w otoczeniu architektury i mebli pamiętających sześćdziesiąty ósmy rok. Nowoczesność obok tradycji, „odpowiedź na potrzeby rynku pracy” tuż przy fabryce bezrobotnych pogrążonych w intelektualnych dyskusjach, modny kierunek stworzony po to, by przyciągać chętnych nie tylko na studia dzienne, ale przede wszystkim na wieczorowe i zaoczne, w sąsiedztwie wydziału z akademickim etosem i z piękną opozycyjną kartą. Młodzi w postarzających garniturach aspirujący jeśli nie do Sejmu, to chociaż do rady powiatu, tuż obok filozofów okularników w powyciąganych swetrach. Doktor Jeżewski łączył oba te światy – musiałam tylko znaleźć pokój, w którym miał dyżur. W czwartki na politologii, a więc gdzieś wśród wykuszowych okien i cienistych korytarzy parteru. Brązowe, masywne ławki, na których całe pokolenia studentów musiały zostawiać swoje zdenerwowanie, czekając na wejście na egzamin. Czyjeś notatki leżały zapomniane na parapecie; pewnie już zbędne i porzucone. Kuszący szelest przewracanych kartek, jakiś nieśmiały śmiech docierający zza grubych drzwi. Było zaskakująco pusto jak na połowę września na uniwersytecie; może nikt tu nie zostawiał egzaminów na termin poprawkowy, bo wszyscy chcieli jak najszybciej oddać się praktykom w strukturach partyjnych albo sejmikach wojewódzkich? „Instytut Nauk Politycznych, Zakład Historii Idei i Myśli Politycznej, dr Sławomir Jeżewski, dyżur: czwartki, godz. 16–18”. Pan doktor starannie wykształcony na brytyjskich uniwersytetach dostał od swojego wydziału skromny pokoik schowany w załomie korytarza, do którego nie docierał ani jeden promień dojrzałego słońca ostatnich dni lata.

– Dzień dobry. Czy mogę na chwilę?

Oczywiście się ucieszył i na szczęście był sam; żadnych studentów konsultujących spóźnioną obronę prac magisterskich, żadnych poprawkowiczów borykających się z trudami kampanii wrześniowej.

– Pani Michalino, pani zawsze. Zapraszam.

Doktor Jeżewski jako prawdziwy dżentelmen wstał na mój widok, a nawet przeszedł na drugą stronę biurka i szarmancko odsunął dla mnie krzesło. Przy okazji dość nieporadnym gestem usiłował wepchnąć

pod stos papierów gazetę, którą czytał, zanim zapukałam. Taktownie odwróciłam wzrok. Co to było? Babskie pismo z poradami kulinarnymi? Magazyn o życiu gwiazd? „Detektyw. Wydanie specjalne: seks i zbrodnia”?

– Bardzo się cieszę, że panią widzę. Po takim czasie...

– Panie doktorze. – Dokładnie wiedziałam, po co tu przyszłam, ale nie przećwiczyłam w myślach szczegółów tej rozmowy. Uznałam, że krótka spódnica i lekko prześwitująca biała bluzka wystarczą. Bluzka, którą miałam na sobie na pierwszym spotkaniu z Wajnertem. To było zaledwie rok temu, a czułam się tak, jakby minęły lata. Bluzka była ładna, tylko teraz leżała chyba nieco gorzej; ja byłam chudsza, bledsza i bardziej szara. Od papierosów wypalanych w nadmiernych ilościach i nie tylko. – Myślałam o tym, o czym mówił mi pan w styczniu. To wprawdzie było dość dawno temu, ale mam nadzieję, że pan pamięta... Że ta polonistyka to chyba nie dla mnie i że mógłby mi pan pomóc...

Prośba nie dość, że spóźniona, to jeszcze mało zgrabna. A przecież miałam przed sobą wielbiciela form, w koszuli z długim rękawem i w marynarce niezależnie od ciepła ostatnich letnich dni. Wszechstronne wykształcenie, nienaganne maniery, w kłapie znaczek jakiejś angielskiej konfraterni, która w Polsce nie miała żadnego znaczenia, ale zapewne karmiła jego arystokratyczne ciągoty. Nie zdziwiłabym się, gdyby doktor Jeżewski okazał się masonem. Inicjowany w rycie „zabawy dla znudzonych intelektualistów”, wtajemniczony w obrządki z winem, a czasem nawet i z ciałem, członek łoży Spinka do Mankietów i Opary Fahrenheit by Dior.

– Doszłam do wniosku, że to naprawdę nie dla mnie. Panie doktorze, ja... chciałabym zmienić studia. – Położyłam dłoń na biurku; miałam paznokcie świeżo pomalowane na pastelowy róż i przedwojenny pierścionek z perłą po prababce. Podziałało, zwłaszcza kiedy przebiegłam palcami kilka centymetrów dzielących nasze ręce.

– Rozumiem, oczywiście.

Czekałam na nieuchronny ciąg dalszy tego jakże obiecującego początku. Zaraz zapyta, dlaczego przychodzę z tym dopiero we wrześniu i gdzie byłam do tej pory. Czubki jego palców prawie dotykały mojej dłoni, ale wszystkie formy – także te zakazujące zbyt bezpośrednich pytań – wciąż były w mocy.

– Jeśli mogę pozwolić sobie na ocenę, to chciałbym powiedzieć, że to dobrze. Bardzo dobrze, pani Michalino. Te studia nie były dla pani. Jakieś gramatyki, jakieś bzdury. Przecież ktoś taki nie może skończyć w roli pani od polskiego.

Nigdy nie pomyślałam, że ktoś może to tak właśnie widzieć. Przecież szłam na polonistykę z zupełnie innego powodu niż pedagogiczne zapędy. Ale może nie doceniałam praw statystyki, według których pisarze to jednak znikoma mniejszość wobec nauczycieli?

– Widzę przed panią karierę akademicką. Doktorat to absolutne minimum dla kogoś tak zdolnego jak pani. – Zrobiło mi się przyjemnie; może tak naprawdę wcale nie musiałam zakładać akurat tej bluzki? – Powinna pani studiować coś rozwijającego, żeby wykorzystać swój potencjał. Ale przy okazji, trzeba też wziąć pod uwagę realia rynkowe... – Spojrzałam na materiał, z którego uszyta była koszula doktora Jeżewskiego. Na jego zegarek dyskretnie schowany pod mankietem. I jedno, i drugie było bardzo dobrej jakości. – Dlatego chociaż sam najpierw skończyłam filozofię, odradzałbym ją. Niech pani wybierze politologię. Solidne, humanistyczne studia, niezła baza z filozofii i socjologii, a możliwości pracy nieporównanie większe.

Mówił tak, jakby miał to wszystko już dawno opracowane. Jakby już wtedy w styczniu ułożył scenariusz dla dziewczyny płaczącej na zajęciach z reformacji. Jakby przemyślał to pod każdym względem i przez cały ten czas tylko czekał, aż przyjdę do niego i położę swoją dłoń koło jego ręki. A może po prostu był życzliwy i dzielił się ze mną swoim doświadczeniem?

– Politologia, mówi pan... Myślałam o tym – powiedziałam, chociaż na to słowo przed oczami stanęły

mi raczej mało interesujące obrazki młodych ludzi, którzy bardzo chcą nosić za kimś teczkę, aby potem zająć jego miejsce w przestronnym gabinecie w ponurej siedzibie którejś z partii. Ale pewnie to i tak było lepsze niż to, co za sobą zostawiłam.

– To nie tak, jak się pani obawia. – Doktor Jeżewski przez lata edukacji wykształcił nie tylko erudycję i maniery, opanował też czytanie w myślach. A sądziłam, że Wajnert był taki wyjątkowy. – Oczywiście, jakieś pieski partyjne też się zdarzają, ale ogólnie te studia to naprawdę dobra baza. Jak dla pani: szybki doktorat, dobra praca, horyzonty o wiele szersze niż po polonistykach czy innych pedagogikach.

Zatem nawet ktoś tak świątły nie był wolny od drobnej, antyintelektualnej przypadłości ulegania stereotypom. Uzasadnionym, co przyznaję na przykładzie mojej współlokatorce, ale jednak stereotypom. Zwłaszcza że ostatecznie okazało się, że studentki pedagogiki do czegoś jednak się nadają – choćby do robienia wrzasku i błyskawicznego wzywania karetki po tym, jak wróciły z imprezy kończącej sesję o wiele wcześniej, niż powinny. Cóż, nikt nie jest doskonały. Ale niektórzy przynajmniej próbują i wciąż nie dotykają mojej dłoni podanej na tacy biurka. Ani nie zadają trudnych pytań.

– To się da załatwić. Nie bez problemu o tej porze roku akademickiego, ale da się – kontynuował doktor. – Skończyła pani ten pierwszy rok polonistyki, zdała pani wszystkie egzaminy?

– Nie. – Doktor Jeżewski spojrzał na mnie oczami w kolorze brudnego błękitu zza cieniutkich szkieł bardzo modnych okularów. – Nie zdałam ostatniego. Znaczą się, nie podeszłam do niego.

Byłam przekonana, że nieuchronnie dobrnęliśmy do fazy pytań. Że teraz już będę musiała opowiedzieć, dlaczego przychodzę do niego dopiero teraz, gdzie podziewałam się przez całe lato i co uniemożliwiło mi podejście do ostatniego egzaminu.

– Przecież była pani najlepsza na roku.

– Owszem.

Zrozumiałam, że on też musiał być najlepszy na roku, w klasie, w domu. Przez całe życie. I może właśnie dlatego, a nie dla moich zgrabnych nóg i dużych oczu pomagał mi teraz. Poza tym nie doceniłam go. Ani jego taktu, ani zmysłu praktycznego.

– To nie ma na co czekać. Proszę zdać ten egzamin, teraz, jak najszybciej, póki trwa sesja poprawkowa. Może nie jest jeszcze za późno na stypendium naukowe. Rozumiem, że zdawanie w terminie uniemożliwiły pani okoliczności losowe?

Mój palec z pierścionkiem po prababce zadrżał na blacie biurka. Zupełnie niezależnie ode mnie, bardzo mocno, ostrzegawczo.

– Byłam w szpitalu.

Nie wypytywał, nie żądał szczegółów, nie odsunął ręki.

– Już wszystko dobrze, mam nadzieję?

– Tak – zapewniłam go nieco na wyrost, ale w sumie nie bez podstaw. Ostatecznie przecież wypisali mnie po sześciu tygodniach. Oni – z oddziału, na którym mnie leczono, nie można się było wypisać na własną prośbę. Nie wtedy, kiedy trafiło się tam z toksykologii.

– Zrobimy więc tak, że po tym egzaminie przeniesie się pani na inny wydział, z zaliczonym pierwszym rokiem na tamtym.

Doktor Jeżewski kontynuował gładko, a ja nie umiałam ukryć zaskoczenia. Ot, tak po prostu i bez problemu, mimo że zajęcia zaczynają się już za dwa tygodnie, a listy przyjętych są gotowe i zamknięte od trzech miesięcy?

– No jak to? A egzamin wstępny i tak dalej?

– O to niech się pani nie martwi.

– Ja mam przecież starą maturę, a wymogi rekrutacji...

– To matura z historii?

– Owszem.

– Wystarczy. – Spojrzał na mnie znacząco. Przez szkła okularów, nie ponad nimi.

– Panie doktorze... A to, że jest już po egzaminie wstępnym? Rozumiem, że będę musiała coś zdać w jakimś dodatkowym terminie?

– Nie będzie pani musiała. Wiem, że by pani zdała. – Stwierdził tak, jakby chodziło o oczywistość. – I dlatego pani nie musi. Jestem w radzie wydziału, nie będzie żadnych problemów. Załatwię to.

Jednak lata na brytyjskim uniwersytecie nie zabiły w nim prawdziwie polskich zdolności organizacyjno-kombinatorskich. Oczekiwałam, że mi pomoże, ale nie, że uczyni aż tyle. Odczułam ulgę, kiedy wreszcie, niby przypadkiem, dotknął mojej dłoni czubkami swoich smukłych palców. Równie dobrze jak do wykładowcy, mogły należeć do pianisty. Chyba już wiedziałam, na jakiej nucie lubił grać najbardziej.

– Już się cieszę. Będzie pani miała ze mną co najmniej dwa przedmioty. – Uśmiechnął się po raz pierwszy szeroko i spontanicznie, pewnie tak, jak uśmiechał się w gronie zaufanych przyjaciół. Dom, z którego pochodził, musiał nie być tak dobry, za jaki chciał, by uchodził. Rodzice zaniedbali wizyty syna u ortodonty; doktor Jeżewski miał kły długie i niebezpiecznie ostre. – Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze, ja wszystko załatwię. I zrobię to dla pani z prawdziwą przyjemnością.

Mówiąc to, przykrywał już swoją dłoń swoją ręką. Czyli jednak – pomyślałam, odwzajemniając jego wampirzy uśmiech. Czyli jednak trzeba będzie się z nim przespać.

\*

– W tym tygodniu na deser serwujemy trio sorbetów: czarny bez z pokrzywą, werbena i marchewka z rokitnikiem. – Filip starał się brzmieć poważnie, zadbał o odpowiednie namaszczenie i zadęcie. Tak jakby prezentował menu prawdziwym gościom, spragnionym przerostu kulinarnej formy nad treścią i wysilonej oryginalności, która pozwoli im opisywać zjedzone danie jako „wymagające” albo nawet „trudne w smaku, choć odkrywczę”.

– Bardzo dobrze. Michalina zasługuje na paskudztwo, niech je to mydło. Znaczy się werbenę. – Ewa była bezlitosna; skrzywiła się z dezaprobatą, kiedy zobaczyła, że ekskluzywna oferta restauracji Filipa stanowiła tylko groźbę, a on sam sięga do zamrażarki po lody Häagen-Dazs. Czekoladowe i cytrynowe, słodkie i tłuste, pyszne i kaloryczne – jak cukierniczy Pan Bóg przykazał.

– No i dlaczego to zrobiłaś? Nie powiem, żebym płakał po nim, wiedziałem przecież, że mnie nie lubi.

– Filip wręczył mi pucharek i łyżeczkę mimo karcącego wzroku Ewy. – Ale tak właściwie to dlaczego?

– Dlatego, że moja mądra siostra woli duchy od żywych facetów.

– Czasem duchy są lepsze od żonatych i zajętych.

Zazwyczaj nie rozmawiałyśmy tak ze sobą, ale dziś było szczególnie źle. Ewa nie mogła mi darować zerwania zaręczyn; chyba za bardzo przywiązała się do myśli, że będzie świadkiem na ślubie. Ja nie powstrzymałam się, by nie wspomnieć o profesorze Misiaku, chociaż wiedziałam, że jego osoba staje się coraz drażliwszym tematem. Ostatnio powiedział, że dzieci muszą jeszcze trochę podrosnąć, by on w ogóle mógł napomknąć żonie o rozwodzie, a w zamian za perspektywę kilku lat wiernego oczekiwania miał do zaoferowania szybki seks o jedenastej przed południem. W trakcie operacji, rzecz jasna, z której uciekał na godzinę do miasta.

– Swoją drogą, powiedz mi, jak on to robi? Nigdy nie przypuszczałem, że chirurg może sobie tak po prostu wyjść z operacji. – Odetchnęłam z ulgą; Filip przynajmniej chwilowo przeniósł swoje zainteresowanie na Ewę.

– Normalnie, no. – Moja siostra westchnęła. Bynajmniej nie z rozrzewnieniem przy okazji



wspomnienia ostatniej randki, raczej z odrobiną zakłopotania. – Zaczyna, robi co trzeba na początku, a później pozwala trochę pogrzebać asystentom. Wraca przed końcem, żeby wszystko sprawdzić.

Zastrzegła, że profesor Misiak pozwala sobie na te małe eskapady tylko w wypadku rutynowych, mało skomplikowanych zabiegów, ale nie wspomniała, że zapewne raczej w państwowym szpitalu niż podczas pełnopłatnych operacji w prywatnych klinikach, w których dorabia popołudniami. Biedny pacjent leczony w ramach NFZ, który dziękuje Bogu, że będzie go operował sam wszechwładny ordynator. Z przerwą na mały numerek na mieście. Odrobinę surrealistyczne, ale przyznam, że niepozbawione fantazji – nie wiedziałam, jakie są w tej kwestii upodobania mojej siostry, ale ja zawsze lubiłam seks o nieoczywistych porach. I o takich właśnie sprawach wolałabym z nią rozmawiać, niż po raz kolejny tłumaczyć się z decyzji w sprawie ślubu, na którą ona uparcie weksłowała rozmowę.

– Nie zmieniajcie lepiej tematu. Co babka powiedziała?

– Nic. – Włożyłam sobie do ust wyjątkowo dużą porcję lodów. Mrożna słodycz rozpułyła się pod podniebieniem i nieco zniekształciła moje słowa. Nie mówi się z pełnymi ustami; nie przypomina się sobie, jak to było, gdy człowiek miał dziewiętnaście lat i tak bardzo się bał zakomunikować babce, że właśnie został zmuszony przestawić swoje życie do góry nogami. – Że lepiej teraz niż w dniu ślubu. I że dobrze, że jeszcze nie zapłaciliśmy za restaurację.

Ewa nie odpuszczała:

– A jak Krzysztof to przyjął?

– Dobrze. – Przełknęłam słodką, cytrynową masę, ale i tak nie chciałam opowiadać jej o tym, jak bardzo mój porzucony narzeczony poruszył mnie swoją godnością. To było zbyt osobiste, a poza tym nikt nie ma obowiązku stawiać siebie w gorszym świetle niż to, które dostrzegają inni. Nawet jeśli siedzimy właśnie na kuchennym zapleczu oświetlonym fioletowawymi ledami, w których upiornej poświacie każdy z nas wygląda odrobinę jak duch. I to ze zmarszczkami. – Poza tym to nie było przecież zerwanie, ja tylko przełożyłam ślub.

W niezręcznej ciszy, która zapadła, słychać było jedynie skrobanie łyżeczek po masie lodowej i, od czasu do czasu, uderzenie o ściankę pucharka. Czasem sami zapalamy światło, które bezlitośnie obnaża wszystkie nasze mankamenty. Dlaczego właściwie wśród najbliższych zabawiałam się w jakieś zapalanie i gaszenie fałszywych lamp?

– Nie pasowaliśmy do siebie. To znaczy: ja nie pasowałam do niego. Ewa, przecież sama to wiesz.

– No wiem. – W geście, którym wbiła łyżeczkę w kulkę lodów czekoladowych, była i rezygnacja, i odrobina złości. Ale takiej, która jest już na wykończeniu i lada moment roztopi się wraz z wytworem amerykańskiego przemysłu spożywczego. – Nie kochasz go, prawda?

– Nie kocham.

Nie kocham go i znów będę sypiać z tymi wszystkimi przypadkowymi facetami. I każdemu z nich każę robić w łóżku to, co robił Wajnert, a żaden z nich nigdy nie będzie nawet w jednej dziesiątej potrafił tego, co on. Żaden z nich nigdy nie będzie Wajnertem i będzie nim każdy, gdy tylko zamknę oczy. Po to, aby dojść do orgazmu, i po to, aby nie bolało mnie tak bardzo, że Wajnert nie żyje i że zanim umarł, nie chciał żyć dla mnie już od tak dawna. Lody roztopiały się w pucharkach, żadne z nas już nie sięgało po nie łyżeczką. Tylko odmawiająca posłuszeństwa świetlówka brzęczała pod sufitem. Wtedy zrozumiałam, co przypomina mi to miejsce. To przecież mój akademik i korytarz z bzyzącymi jarzeniówkami pod brudnym sufitem. Dlaczego zawsze wracamy tam, dokąd najmniej chcemy?

– Czyli jednak to prawda. Jednak nie potrafisz kochać.

To nie było pytanie wypowiedziane z intonacją zdania oznajmującego. To było zdanie oznajmujące o pewności twierdzenia równie wysokiej jak zawartość cukru w lodach Häagen-Dazs. Odstawiłam swój pucharek na podłogę, tuż obok nogi krzesła, na którym siedziałam. Paskudne światło ledowych żarówek,

tanie, plastikowe krzesła, ogromne lodówki o uchwytych drzwi wymazanych jakimś majonezem czy sosem – jakże tandetnie wyglądało zaplecze jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w mieście. Pięknie z zewnątrz, brzydko w środku – prawie jak ja. Sięgnęłam do torebki; sama nie wiem po co. Przecież ani nie miałam papierosów, ani nawet nie paliłam. Skoro już włożyłam tam rękę, to musiałam coś wyjąć. Nie wiedziałam tylko co. Padło na krople do oczu, te same, które – jak nie wiadomo dlaczego nagle sobie przypomniałam – doprowadziły przed laty do wściekłości pana od wariografu. Ciekawe, czy gdybym wtedy dostała tę pracę, to byłabym teraz trochę ładniejsza w środku. Machinalnym ruchem wpuściłam po kilka kropli do każdego oka; nie wiem po co, moje oczy nie były ani trochę wyschnięte.

Filip przerwał tę okropną ciszę; najpierw przysunął się do mnie, szurając krzesłem po podłodze, a później przycisnął palec do kropli spływającej mi po twarzy.

– Masz na policzku łzę. Sztuczną – powiedział, rozgniatając ją palcem.

\*

Rok akademicki przeszedł już od niemrawych początków do pełnej pary, a ja wciąż nie czułam się dobrze na nowym wydziale. Nie oswoiłam się z rok ode mnie młodszą grupą, w której nie dość, że w ogóle byli mężczyźni, to jeszcze stanowili większość. Nie przekonałam się do ludzi, którzy przerzucali się datami wydarzeń politycznych i wyglądali na takich, co to kują przepisy konstytucji na pamięć i śledzą dzienniki telewizyjne, zamiast czytać książki. Nie wiem, co i skąd dotarło do nich na mój temat, ale czasem dolatywały do mnie jakieś strzępki uwag podszytych trochę potępieniem, a trochę ekscytacją. „Leczenie”, „psychiatryk”, „chciała się zabić”. Dziwnie patrzyli na mnie, kiedy zdarzało mi się dołączać z papierosem do grupki palaczy. Rozmowy się urywały, spojrzenia wędrowały na buty lub paznokcie. Przestałam się dołączać. Nie przywykłam do ciągłych pytań o to, ile punktów miałam na maturze, ani do zdziwionych spojrzeń, kiedy odpowiadałam, że na starej maturze dostawało się oceny, nie punkty. Wtedy zawsze pytali, czy egzamin wstępny był trudny; jeśli odpowiadałam, że bardzo, zaczynali patrzeć na mnie z zazdrością prymusów, których ktoś wyprzedził w teleturnieju z nagrodami; jeśli mówiłam, że ani trochę – ich spojrzenia nabierały podejrzliwości. Podejrzliwość przeszła w niechęć po tym, jak któryś z moich nowych kolegów zauważył, że czasem wysiadam przed wydziałem z samochodu doktora Jeżewskiego. Jednak studia były ciekawe, a niechęć mi niestraszna; wiedziałam, jak sobie z nią radzić po treningu z babką w roli przeciwnika.

– I tak cały rok psu w dupę? – zapytała z właściwą sobie bezpośredniością, kiedy zapowiedziałam jej, że zmieniam studia, że koniec z polonistyką, że przepraszam, ale zaczynam od nowa. Trzeba oddać babce sprawiedliwość; to nie był dobry moment na takie rewelacje – okazało się, że Ewa nie dostała się na prawo i że zostało jej tylko dziennikarstwo, którego babka bynajmniej nie darzyła atencją. Sprawę pogarszał fakt, że ja przenosiłam się na ten sam wydział. Dwie wnuczki na kierunkach, które uważała za abstrakcyjne i co do których nie była przekonana; do tego obie na pierwszym roku.

– Babciu, przepraszam. Pomyliłam się.

Z kierunkiem studiów, z priorytetami życiowymi, z doborem literatury.

– No ale przecież dobrze ci szło. Miałaś szansę na stypendium i w ogóle...

– Nadal ją mam. To się akurat nie zmienia. – Pomyślałam z wdzięcznością o doktorze Jeżewskim. Był dżentelmenem, a dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach; po tym, jak uzupełniłam brakujący egzamin, nie zapytał, czy te pięćset złotych ma dla mnie znaczenie, tylko po prostu załatwił, bym odbierała je w kasie Instytutu Nauk Politycznych zamiast Wydziału Polonistyki.

– No to chociaż tyle. – To na babce spoczywał ciężar utrzymania mnie i Ewy; tyle dobrego z tego wszystkiego, że teraz będzie jej lżej.

– I nie będziesz już musiała dawać mi na akademik.

– Jak to? – Babka była zaniepokojona. Po lecie, które spędziłam wśród ścian wyłożonych gąbką i drzwi bez klamek, zdezonizowałam matkę w roli tej, z którą trzeba obchodzić się jak z jajkiem. Albo której należy dać święty spokój.

– Nie martw się, babciu. Wszystko w porządku. Będę mieszkać u koleżanki. Jej rodzice wyjechali za granicę i został jej cały dom. Zaproponowała, że mnie przyjmie, będę musiała tylko dokładać się do opłat.

Nie wspomniałam wprawdzie, że koleżanka jest trzydziestosiedmioletnim doktorem, który właśnie biedzi się nad habilitacją, a jego rodzice dawno nie żyją. I który, jak się okazało, docenia nie tylko brytyjskie wpływy kulturowe – pismem, które chował przed moim wzrokiem pod stertą papierów, była japońska manga; jedna z tych bardziej perwersyjnych i mniej legalnych. Dokładanie się do opłat oznaczało więc kupowanie podkolanówek i plisowanych spódniczek w szkocką kratę, po to, by mógł się na nie spuszczać. O tym też nie poinformowałam babki, ale poza tym z grubsza powiedziałam jej przecież prawdę. Babka od lat balansowała na cienkiej linii zbyt wysokich wydatków i za niskich świadczeń emerytalnych; było oczywiste, że moja wolta o rok wydłużająca studia nie jest jej na rękę, więc skoro mogłam to jakoś zrekompensować, nie było nad czym się zastanawiać. Zwłaszcza że sama nie miałam przecież zbyt dużego wyboru – długi należy spłacać. Przewiozłam już swoje rzeczy do willi doktora Jeżewskiego. Wyprowadzając się z akademika na Kickiego, nawet nie odwróciłam się za siebie.

– Te studia naprawdę były pomyłką. Teraz będzie lepiej, o wiele lepiej... – Chciałam uciszyć podejrzliwość babki; liczyłam się z tym, że jeszcze przez jakiś czas ludzie mogą patrzeć na mnie z ukosa.

– Przynajmniej po nich mogłaś być nauczycielką. Pewny, porządny zawód. – Niektóre stereotypy sprzed wojny trzymały się mocno nawet sześćdziesiąt lat po niej; nie było sensu z nimi walczyć.

– Po politologii też mogę. Uczyć historii i WOS-u.

Dopiero to udobruchało babkę – osiągałam coraz większą biegłość w mówieniu innym tego, co chcieli usłyszeć; może dzięki okazjom do doskonalenia się w tej sztuce, które miałam na oddziale dla nerwowo chorych z objawami autoagresji. Z doktorem Jeżewskim też szło mi nieźle. Jego willa na starym Mokotowie była urocza, ale wiedziałam, że nie zostanę tam długo; buciki na klamerki i tornistry nieco mnie męczyły. Jesień i zima będą akurat na spłatę długu, a nie zamierzałam już nigdy w życiu dać nikomu więcej, niż jestem winna. „Studentka szuka sponsora”, seksrandki, „bogaci i piękne” – internet roił się od bram zepsucia i szeroko uchylonych drzwi do platform wzajemnej wymiany. Może to były drzwi do piekła, ale ja chyba i tak już stałam w przedsionku; nie widziałam powodu, by na wiosnę nie zainteresować się zyskownym przedsięwzięciem uczciwej transakcji. Skutecznie odsuwałam od siebie myśl, czy któryś z posiadaczy pustych mieszkań na wymianę za ciało w ogóle czytał książki. Czy któryś z nich zrozumiałby wykład, którego właśnie słuchałam.

– Gnoza oznacza wiedzę i dla wszystkich szkół gnostycznych wiedza ma charakter teleologiczny. Jednak poszczególne odłamy gnostycyzmu różniły się między sobą w kwestii dróg wiodących do celu. Echa tego sporu podskórnie pulsują do dziś w całej cywilizacji Zachodu. To z tej tradycji wywodzi się słynny dylemat: asceza czy orgia?

– Niezły jest, co?

Chłopak, który usiadł obok mnie, musiał specjalnie w tym celu zmienić miejsce. Ja zawsze siedziałam w pierwszej ławce, on – w ostatniej.

– Piekutowicz? – Skinęłam głową w kierunku profesora, który z kamienną twarzą i jednoczesnym wyrazem natchnienia w oczach opowiadał o intelektualno-erotycznych walorach gnostycyzmu. – Doskonały.

Zbyt blisko byłam z doktorem Jeżewskim, by nie wiedzieć, że na tym wydziale to właśnie profesor od

myśli politycznej sieje postrach, uchodząc jednocześnie za amanta – rola wykładowcy, w którym kochają się wszystkie studentki, jest do obsadzenia na każdym wydziale każdej uczelni świata i akurat tutaj występował w niej Piekutowicz. Całkiem zresztą zasłużenie – przystojny w sposób nieostentacyjny, ale bezdyskusyjny, nieprzyzwoicie pociągający intelektualnie, paraliżująco groźny na egzaminach. Poza tym wygrywał też wszystkie konkursy mniej oczywistej piękności – uchodził za znakomitego promotora; dostać się na jego seminarium było bardzo trudno, ale tym, którym się to udało, powodziło się na wydziale najlepiej.

– Dopiero się rozkręca – chłopak mówił miękko, delikatnie, życzliwie. Żadnej zaczepki ani wstępu do wypytywania, czy przypadkiem nie wiem, co będzie na kolokwium z historii teorii politycznych. – W przyszłym semestrze będzie mówił o Nietzschem jako egzegecie dionizyjskiej ekstazy i prześmiewcy sokratejskiego apollonizmu.

Musiałam parsknąć śmiechem, ale na szczęście gwiazda Instytutu Nauk Politycznych z powodu takiego drobiazgu nie przeszkadzała sobie w wykładzie.

– Skąd wiesz?

– Niektórzy czasem wysłuchują dwa razy tych samych rzeczy. Jeśli wcześniej im nie szło, a rodzice i tak każą im studiować. Tak w ogóle, Filip Pełczyński.

– Michalina Kańska.

Nie skrzywił się, nie zapytał złośliwie: „Jak? Jeżewska?” w odróżnieniu od paru moich kolegów z roku. Po prostu uśmiechnął się do mnie. Uścisnęliśmy sobie dłonie pod ławką, ukradkiem, na dobry początek znajomości. W sekrecie inicjowanej, ale bez sekretów w perspektywie. Porzuciłam gorliwe sporządzanie notatek, by spojrzeć na mojego towarzysza z całą uwagą. Supermodne ubranie, które właściwie było przebraniem, delikatne, białe dłonie i oczy trochę za mądre w stosunku do torebeczki, piórniczka i pomadki, które ułożył przed sobą z ogromną starannością. On też był inny; on był podobny do mnie.

– A ty dlaczego zmarnowałaś rok?

Nikt z moich nowych kolegów tak dotąd ze mną nie rozmawiał. Ten był pierwszym, który odważył się wyjść poza złośliwe uśmiešky, podejrzliwe spojrzenia i plotki powtarzane ścisłym głosem w zwartych grupkach. Zresztą akurat jego nigdy nie widziałam w żadnej z tych grupek.

– Nie zmarnowałam go. Dużo się nauczyłam.

– Doświadczenie nas zmienia. – Aksamitny głos profesora wpłynął między nas. – Nie wzbogaca, nie rozwija, nie ulepsza. A przynajmniej nie zawsze i niekoniecznie. Za to zawsze nas zmienia.

– Opowiesz mi? – W jego oczach nie było żadnej niezdrowej ciekawości, żadnego podniecenia plotkarza, niczego droźnego. Było tylko czyste zainteresowanie nabrzmiałe jak owoc poznania dobra i zła.

– Tak. Kiedyś ci opowiem.

Obiecałam i wiedziałam, że dotrzymam tej obietnicy. Wyszliśmy razem z wykładu Piekutowicza. Szybka wizyta w sklepie monopolowym, mały spacer do Ogrodu Saskiego, ławka, fontanna i ostatnie promienie jesienno słońca. Śmiałyśmy się na widok konnych policjantów, lekce sobie ważąc ryzyko mandatu, piliśmy wódkę rozrobioną z sokiem ukrytą w papierowej torebce, pokruszoną bułką karmiliśmy żarłoczne gołębie. Świat ciągle tu był; ja na chwilę wypisałam się z niego, ale on trwał niezmiennie, jakby czekał na mnie. Może dobrze, że wróciłam? Nie miałam już wprawdzie tego, co najważniejsze, ale może wystarczy ciepły wiatr na policzku, jakiś plan na najbliższe miesiące, bezpieczna linia samoobrony, którą nakreślę dokoła siebie jak magiczny krąg ochronny. Siedzieliśmy na ławce w parku – dobrana para życiowych połamańców. Wyklęta za sypianie z wykładowcą dziewczynka z katolickiej szkoły, która nie potrafiła wytłumaczyć się ze zgubionego roku swojego życia, a zwłaszcza z tych sześciu tygodni, które

spędziła w bardzo smutnym miejscu faszerywana lekami po to, by już nigdy sama się nimi nie nafaszerowała. I chłopiec z miasta świętej wieży i z pobożnej rodziny, który nie przystawał do scenariuszy, które ktoś kiedyś dla niego napisał, nie pytając go o zdanie. Wiedziałam, że to początek wspaniałej przyjaźni, a optymistyczne skojarzenia z nutką filmowej nostalgii zajęły mnie na tyle, że zapomniałam o swojej magicznej pigułce; jednej z tych, które dobrano mi na pożegnanie z bardzo smutnym miejscem. I nawet się nie zorientowałam, kiedy zapadł zmierzch i skończył się dzień. Dzień, który miał wypadać co dwa tygodnie do końca mojego życia, pierwszy raz po prostu przepłynął przede mną. Niezauważalnie, prawie bezboleśnie, zupełnie bez śladu. Jak słaba książka, z której nie zapamiętujemy nawet tyle, by po czasie przypomnieć sobie, o czym była i czy cokolwiek czuliśmy, czytając, chociaż kiedyś nie mogliśmy oderwać się od lektury. Czyli jednak potrafię; jednak da się żyć tym, co zostało. Przecież można stratę nazwać pomyłką. Przecież można funkcjonować po amputacji. Przecież to niemądre, by dać się zabić książce.

\*

Czwartek – mój ulubiony spośród dni pracy w tym roku akademickim; dzięki łaskawości prodziekana układającego siatkę zajęć zaczynałam dopiero po południu. Ćwiczenia z historii myśli politycznej z pierwszym rokiem o 17.00; wcześniej żadnych dyżurów, seminariów, a nawet lekcji w szkole. Tak to wszystko zorganizowałam sobie już w październiku, a teraz, na wiosnę, dni wolne prawie do wieczora były szczególnie przyjemne. Zwłaszcza kiedy nie musiałam akurat pracować nad grantem, pisać artykułu ani sprawdzać prac studentów; pozwalałam sobie wtedy na leniwe poranki, stare filmy na MGM w paśmie przedpołudniowym, a czasem nawet na obiady czwartkowe ze Sławkiem Jeżewskim, podczas których zamiast na dysputach intelektualnych, skupialiśmy się raczej na obgadywaniu kolegów z wydziału. Tudzież na tematach osobistych.

– Nie zastanawiasz się czasem, jak by to było, gdybyś nie odwołała tego ślubu? Od dziewięciu miesięcy miałabyś męża... Nie żałujesz? – zapytał mnie w zeszłym tygodniu, gdy siedzieliśmy nad kanapkami z pastrami w Aromie na Krakowskim Przedmieściu. Dwa kroki od naszego instytutu, trzy od niebezpiecznej granicy nazbyt bezpośrednich pytań. Już miałam go zdyscyplinować, już miałam powiedzieć, że nie zamierzam odpowiadać, już miałam „nie twoja sprawa” na końcu języka. Ale zdałam sobie sprawę, że przecież spokojnie mogę mu powiedzieć; i to samą prawdę. Bo nigdy się nie zastanawiałam, jak by to było. Bo nigdy nie żałowałam. Bo nigdy nic nie czułam, myśląc o Krzysztofie. Co najwyżej wyrzut sumienia; lekki jak wczesnowiosenny wiatr i odrobinę gryzący jak dym z ostatnich, kończących się na przednówku, zapasów opału. Wciąż widywałam się z moim byłym narzeczoną; na początku nawet dość często, teraz coraz rzadziej. Był na tyle wytrwały, by zabiegać o mnie, póki jeszcze dostrzegał jakąś – jakąkolwiek – szansę. Nawet wtedy, kiedy całkiem przestałam z nim sypiać, bo student-drwał rozwinąwszy swą śmiałość, zaczął mi wystarczać. Później, na szczęście dla siebie, Krzysztof musiał zwątpić; Ewa mówiła mi ostatnio, że kogoś poznał, że ktoś się koło niego kręci, że pewnie kogoś już ma. To wszystko streściłam wtedy Sławkowi w odpowiedzi na jego – tak właściwie mało do niego podobne – pytanie. I dziś pewnie znów bym o tym z nim rozmawiała, bo ostatnio wykazywał szczególne zainteresowanie moim życiem osobistym, gdyby nie to, że akurat nie miałam czasu na lenistwa i przyjemności; przed pracą musiałam pojechać do mechanika. Obowiązkowy i dokładny pan z serwisu – rzecz jasna autoryzowanego i drogiego – dzwonił już tydzień wcześniej, by przypomnieć mi o terminie przeglądu rejestracyjnego i umówić moje auto na wizytę. Przy takich okazjach zawsze przypominał mi się polonez ojca i sposób, w jaki takie sprawy załatwiała się w mojej rodzinnej wsi. Stempel za parę złotych albo butelkę wódki, znajomy mechanik szwagra, bardzo dokładny przegląd, ale

nie auta, tylko dowodu rejestracyjnego. Tymczasem salon, do którego się wybierałam, przypominał raczej nowoczesną klinikę niż tamte dziuple z czasów mojej młodości. Wiedziałam, że będzie elegancko i kulturalnie – żadnych zaczepek typowych dla mechaników samochodowych, których odwiedza samotna kobieta w krótkiej sukience – ale i tak nie chciało mi się tam jechać. Po obudzeniu leżałam w łóżku z nowym Houellebekiem – po angielsku, bo nie wiedzieć czemu, ciągle jeszcze nie wyszedł po polsku – później powoli i starannie myłam włosy, stałam pod prysznicem długo i zupełnie bez troski o środowisko. Niestety nie dało się jeszcze wypić kawy na tarasie; kwiecień 2015 roku nie obfitował w łaski wiosny, mając do zaoferowania jedynie wiatr, nędzne dziesięć stopni i tęskne wyczekiwanie ciepła. Staralam się odwlec swoją wyprawę, jak tylko mogłam, ale nie można było robić tego w nieskończoność; usiadłam wreszcie do makijażu. Miałam w pokoju biurko, którego przeznaczenie zmieniało się w zależności od potrzeby; raz służyło do pracy, raz jako stanowisko do charakteryzacji, a czasem nawet do pieprzenia się. Teraz miało być toaletką – podświetlane lustro jak ze *Star Treka*, arsenał kredek, pudrów i pędzli, ochota na zabawę w małego malarza przed wizytą u mężczyzn o dużych dłoniach powalanych smarem. Włączyłam telewizor, by przy okazji posłuchać, co tam, panie, w polityce. I co w pogodzie, kiedy wreszcie przyjdzie wiosna. Blondwłosa pani w letniej sukience zupełnie nieodpowiedniej do aury pokazywała na mapie niż z chłodem w pakiecie i wiatr niosący deszcz. Coś byłoby tak; z nią albo z jej mapą. Na południu Polski i na kreacji pogodyнки tańczyły białe plamy w kształcie gwiazd. Pulsowały, pojawiały się, ale nie chciały zniknąć, rozszerzały się i kurczyły: od rozmiarów łebka od szpilki do wielkości paznokcia i odwrotnie. Dziwne, pomyślałam, pewnie jakieś zakłócenia sygnału. Ale zakłócenia sygnału nie zniknęły, kiedy przeniosłam wzrok z ekranu telewizora na powierzchnię lustra. Na niej też skakały jaskrawe, białe plamy. Rozbłyskujące, jaśniejące gwiazdy, które wybuchały w moim polu widzenia. Na ścianie też były i na półce z książkami, i na oknie, i na drzwiach do łazienki. Pływały, zmieniały swoje położenie i kształt, ale niezmiennie przesłaniały mi ogląd sytuacji. Po prostu źle widziałam; na tyle źle, że nie byłam w stanie podjąć się narysowania kreski na powiece. Bo ćwierć mojej powieki zniknęła pod ruchomą, białą plamą. To na pewno soczewka kontaktowa, pomyślałam nie bez ulgi. Tak, to musiało być wyjaśnienie: jakiś paproch, felerny materiał, pomyłone dioptrie. Spokojnie zmieniałam soczewki; stare do kosza, nowe na oczy, żadnej poprawy. „Zaraz przejdzie, to chwilowe” – powiedziałam sobie. „Nie zwracaj na to uwagi” – mimo że źle widziałam, postanowiłam się umalować. Ostatecznie przecież żadne fanaberie nie zwalniają dziewczyny z makijażu przed wizytą u mechanika. Coś tam namalowałam na swojej twarzy, ale nie dane mi było zobaczyć efektu w całej okazałości; te złośliwe plamy wcale nie chciały zniknąć. A do tego zaczęłam czuć się jakoś dziwnie. Dziwnie – to było odpowiednie słowo. Nie tyle źle, nie jakoś konkretnie, tylko właśnie dziwnie. Jak wtedy, gdy bierzesz dragi, których nie znasz, albo nowy psychotrop w odrobinę za dużej dawce. Nie wiesz, co się z tobą dzieje, nie umiesz tego nazwać, świat jakoś oddala się od ciebie, odkleja i zmienia proporcje. Nie zapadasz w sen, ale jawa staje się nieco mniej rzeczywista. A wszystkie zmysły oszukują; nie bardzo, ale trochę – na tyle, by wprowadzić cię w błąd względem tego, co naprawdę się dzieje. Tyle tylko, że ja niczego nie brałam, ani dzisiaj, ani wczoraj; ani nawet nie piłam. Podwójnie, potrójnie dziwne i coraz bardziej niepokojące. Ale nawet mój niepokój nie był taki, jaki powinien być – racjonalnie myśląc, powinnam zacząć się bać, a ja nie bałam się ani trochę. Racjonalne procesy mojego myślenia chyba się zepsuły, jakby ktoś je wyłączył, na razie nie całkiem, ale już wystarczająco, by upośledzić moje reakcje. To nic takiego, zaraz przejdzie, to pewnie od żołądka – uznałam Bóg jeden raczy wiedzieć na jakiej podstawie. A skoro od żołądka, to mięta na pewno pomoże – zaparzyłam sobie porcję, zabrałam kubek do pokoju, musiałam trochę odpocząć. Otworzę balkon, położę się na kanapie, wszystko niebawem minie. Tak uczyniłam, ale wcale nie minęło, zrobiło się tylko chłodno i coraz bardziej niewytłumaczalnie. Chyba nadeszła pora na telefon. Sięgnęłam po aparat, aby wybrać numer

kogoś, kto wyjaśni mi, co się ze mną dzieje, kto uspokoi i wesprze, a w razie czego pospieszy mi z pomocą. Nie mam pojęcia, jak to się stało – wybrałam numer babki. Która właśnie robiła zakupy na targu w mojej rodzinnej wsi oddalonej od Warszawy o dwieście siedemdziesiąt kilometrów.

– Cześć. Słuchaj, dziwnie się czuję.

– Tuzin, tak, nie mendel. Znaczą się, co ci jest?

– Nie wiem.

– To się może zdecydować. Ale są od zielononózek, na pewno?

– Co?

– To nie do ciebie. Słuchaj, nie zachowuj się jak twoja matka. Co ci jest?

– Dziwnie się czuję.

Czymś musiałam przykuć uwagę babki, bo wreszcie zainteresowała się mną bardziej niż jajkami.

– Co ty tak bełkotliwie mówisz? – Wydawało mi się, że artykułuję całkiem wyraźnie, ale babka była chyba innego zdania; jej głos pobrzmiwał trochę irytacją, ale trochę też niepokojem. – Michalina? Dziecko, wzięłaś coś? – Babka musiała pomyśleć, że się naćpałam. O nie, teraz już na pewno nie uwierzy, że sytuacja sama wymknęła mi się spod kontroli.

– Nie. Przy... przysięgam, że nie. – Słowo „przysięgam” nastreczyło mi trochę trudności; to zdumiewające, przecież wypowiadałam je tyle razy, znam jego kształt i formę, obracałam je na języku nie raz i nie sto, a tym razem jakoś nie mogło wyjść z moich ust. Musiałam je wypluć z trudem i z wysiłkiem; jakby było jakimś ostrym przedmiotem, który kaleczy wewnętrzną stronę policzków, usztywnia język, rozrywa usta. Nieposłuszne słowo, zdrętwiały aparat mowy, zakłopotanie. I to nieznośne uczucie, że coś, co dobrze znam, właśnie mi ucieka. Coś oswojonego na powrót staje się obce. I że coś się chyba rozsypało – tym czymś jestem ja.

– Michalino, posłuchaj mnie. Ja jestem daleko, nie mogę ci pomóc. Ale zadzwoń do Ewy, koniecznie. Albo do Krzysztofa.

– Do kogo?

– Ty chyba się zgrywasz. – Poważne tony w głosie babki ustąpiły miejsca rozdrażnieniu. A może nawet złości. Tak jakbym zrobiła coś złego specjalnie. Krzysztof, Krzysztof... To imię nasuwało mi jakieś skojarzenia, na tyle odległe i bezładne, że nie byłam w stanie powiedzieć, do kogo należy. Krzysztof... Chyba znam kogoś o tym imieniu, ale kto to jest? I dlaczego mam do niego dzwonić?

– Przestań się wygłupiać, dobrze?

Głos babki docierał do mnie jakby z oddali. Jakby dystans między nami się zwiększył. O zaskoczenie albo o niedowierzanie.

– Dobrze.

Miałam już nacisnąć przycisk rozłączający rozmowę, gdy babka znowu znalazła się bliżej.

– Cholera, nie wiem, co o tym myśleć. Jeśli się nie wygłupiasz, to zadzwoń do lekarza. Albo na pogotowie. Koniecznie, natychmiast.

– Dobrze. – Im krótsze wypowiedzi, tym prostsza wymowa. A białych gwiazdek coraz więcej przed oczami; teraz zaczęły wirować.

– I zadzwoń do mnie później.

Powiedziałam „dobrze” po raz trzeci i uczepliłam się myślą ostatniego polecenia babki. Lekarz. Gdzie on może być? Skąd go wziąć? Z internetu? Nie rozpoznałam go pod „Enel Med” w swoim telefonie – ta nazwa nic mi nie mówiła, choć wpatrywałam się w nią przez dobrą chwilę; musiałam poszukać gdzie indziej. Tylko jakoś nie chciało się szukać – nie potrafiłam palcami trafić w przyciski, nie umiałam wybrać z klawiatury właściwych liter, ja naciskałam „l”, a na wyświetlaczu uparcie pojawiała się „j” albo „k”. Jedna próba, druga, ósma. Nie byłam w stanie napisać słowa „lekarz”, znaleźć właściwych

liter, obsłużyć wyszukiwarki w telefonie. I wtedy dopiero się przestraszyłam – bo to nie była wina tego, że słabo widziałam. To była wina palców mojej prawej ręki. Odmówiły mi posłuszeństwa, zamieniły się w bezużyteczne, zdrewniałe pałeczki, uniezależniły się od mojej woli i poleceń mózgu. Fragment mnie, który podjął samowolną decyzję o separacji, niewierny zdrajca, który – pozostając na miejscu – porzucił mnie, zbuntował się i uciekł. Moja prawa ręka wciąż była mną, ale już nie zależała ode mnie. To się chyba nazywa „stracić władzę”; teraz rozumiałam, co czują zdetronizowani królowie albo księżęta krwi wygnani z włości, które od urodzenia przywykli uważać za niepodzielnie własne. Mimo tak oczywistego zespołu objawów wciąż nie wiedziałam, co się dzieje; wiedziałam tylko, że muszę, koniecznie, natychmiast – gdzie ja słyszałam te słowa? – dostać się do lekarza. Na szczęście lewa ręka nadal okazywała mi posłuszeństwo; wybrałam nią 999 na telefonie, bo już tylko na tyle było mnie stać.

– Potrzebuję karetki.

Ale na drugim końcu linii bynajmniej nie czekali rycerze na białych koniach gotowi ruszyć z odsieczą, bym mogła znów zapanować nad podstępnie mi odebrany królestwem własnego ciała.

– Co pani dolega?

– Dziwnie się czuję. I źle widzę. – Wkładałam dużo wysiłku w artykulację, ale chyba i tak znacząco odbiegała od normy. Sama słyszałam, że moje słowa nie brzmią tak, jak powinny. Nieporadne, bełkotliwe, zniekształcone czymś, czego wcale nie miałam w ustach.

– Ale konkretnie co się pani stało?

– Ja... nie wiem.

– Proszę pani, czy pani piła alkohol? – Głos kobiety po drugiej stronie linii nabrał ostrości. Pewnie uważa, że zawsze tak łatwo będzie jej mówić. Że zawsze tak prosto będzie jej sądzić.

– Nie. Nic nie piłam. – Nie wiedziałam, jak to brzmi, ale wiedziałam, że tak jest.

– Ile ma pani lat?

– Trzydzieści.

W słuchawce zapanowała cisza; dyspozytorka ludzkich losów ważyła mój. Wynik negatywny.

– Proszę się położyć i odpocząć. I wytrzeźwieć.

– Jestem trzeźwa.

– Proszę pani, ja nie mam czasu na takie rzeczy. Jeśli nadal będzie się pani źle czuła, to proszę pójść do lekarza.

– Nie dam rady. Proszę, przyjedźcie do mnie. – Nie umiałam jej przekonać, nagle przestałam być tą Michaliną, która potrafi uzasadnić każdą tezę, pożonglować każdym argumentem, zabawić się każdym sofizmatem. To ciągle byłam ja, ale już coraz mniej.

– Nie przyjeżdżamy do ludzi w pani wieku i pani stanie.

– Przyjedźcie, na mój koszt. Zapłacę za ten wyjazd.

Coraz mniej do mnie docierało, a pokój stawał się coraz węższy. Jak to się stało, przecież to całkiem duże pomieszczenie. Muszą przyjechać, zrobią mi jakiś zastrzyk, wszystko będzie dobrze. Moja rozmówczyni milczała przez chwilę, ale argument finansowy pokonał jej niechęć.

– Dobrze. – oznajmiła wyniośle, z łaską, ale Bogu dzięki. – Proszę podać adres.

– Kruczkowskiego cztery – wyrzuciłam z siebie szybko i nawet płynnie. Wiedziałam, że tu właśnie mieszkam, chociaż kubatura tego lokalu stała się dla mnie niebezpiecznie obca.

– Proszę czekać – powiedziała na pożegnanie i głośno odłożyła słuchawkę. Pewnie westchnie teraz i zaordynuje: „Zenek, Franek, mam jakąś pijaną wariatkę na Powiślu. Pojedziecie, bo się uparła, że zapłaci za karetkę. Wiem, wiem, wymyślają coś, każą nam jeździć nadaremno, cholerni debile”. Zenek i Franek wcale się do mnie nie spieszyli, choć z rogu Hożej i Poznańskiej nie mieli daleko. Co najwyżej piętnaście minut, które jednak zamieniło się w czterdzieści. Dwóch roślących mężczyzn i kobieta podobna



do mężczyzny; jaskrawoczerwone kubraczki, poważne miny, ostrzegawcze spojrzenia. I podejrzliwość, którą zaserwowali, gdy tylko zobaczyli mnie w drzwiach. Wciąż mogłam chodzić – sama wpuściłam ich do mieszkania, sama znalazłam w torebce swój dowód osobisty i sama im go podałam.

– Jak się pani nazywa?

– Michalina Kańska.

– Gdzie się pani urodziła?

To przecież było pytanie tak samo łatwe jak poprzednie. To było oczywiste. To była czysta formalność. Dlaczego w takim razie nie znałam odpowiedzi?

– Ojej... – wystękałam, by zyskać na czasie. Przecież muszę to wiedzieć, lada moment sobie przypomnę, każdy człowiek wie takie rzeczy. Poganiałam się bezlitośnie w myślach: no dalej, idiotko, gdzie się urodziłaś?! Ratownik medyczny obracał w palcach mój dowód osobisty; tam ma napisane. Żeby tylko dało się to jakoś podejrzeć!

– Nie wiem – powiedziałam w końcu, kiedy stało się jasne, że mi nie podpowie.

– Imię ojca?

W głowie miałam pustkę – jaśniejącą jak pulsujące gwiazdy, gęstą jak wata cukrowa, miękką jak kołdra, która otula cię coraz szczelniej i ciaśniej.

– Nie wiem.

Ich spojrzenia z powątpiewających zamieniły się w zaniepokojone. A kiedy starałam się wytłumaczyć, co się stało, nagle zaczęło im się spieszyć. I to bardzo. Nie było już mowy o płaceniu za przyjazd karetki. Był za to zastrzyk – dwa albo trzy zastrzyki i „szybko, szybko” lekarki. Któryś z ratowników wrzucił mój dowód z powrotem do torebki i podał mi ją.

– Jedziemy do szpitala.

Nie protestowałam; wyszłam z nimi z mieszkania, chociaż nie bardzo wiedziałam, co mam teraz zrobić. Na szczęście przypomnieli mi o istnieniu kluczy i zamków w drzwiach. Kiedy sprowadzali mnie schodami, spieszyło im się na tyle, by nadawać tempo, za którym nie byłam w stanie nadążyć. A kiedy posadzili mnie w karetkę, ich pośpiech przybrał alarmistyczny dźwięk syreny, która wyła i wyła gdzieś obok, gdzieś nad moją głową, gdzieś zatrważająco blisko, ale jak uznałam, raczej bez związku ze mną. Bo dlaczego rzeczywistość miałaby mieć związek ze mną, kiedy ja nie miałam już związku z nią? Mój kontakt ze światem rozluźnił się jak zerwana uprzęż. Intelkt w zaniku, zero emocji, ostatnie podrygi zmysłów. Białe plamy przed oczami zamieniły się w mętną mgłę. Rozlane mleko, opary nad zdradliwymi bagnami, zamykający się nad moją głową horyzont bieli. Nic się nie dzieje, niczego się nie boję, nic nie ma znaczenia. Tam, gdzie się znalazłam, nie czekała na mnie żadna ciemność, żaden wzlot ani wędrówka. Odpływałam miękko i bezboleśnie, łagodnie i bez celu – nie było światła na końcu tunelu. Na moment pojawiło się jeszcze ponure i ciasne wnętrze ambulansu; to była jedna z ostatnich rzeczy, jakie zapamiętałam. Nie czułam, jak nieśli mnie z karetki, nie słyszałam rejwachu izby przyjęć i nerwowych pokrzykiwań lekarzy, nie widziałam parawanów, które rozstawiali wokół mojego łóżka, tak by inni pacjenci nie widzieli, jak umieram. Jeszcze jakieś chaotyczne przebitki na prześwietlonej kliszy pamięci – niewyraźne, zamazane, bez żadnych punktów odniesienia. Półkole pochylonych nade mną śmiertelnie poważnych twarzy, czyjeś ręce, które zdejmują ze mnie ubranie, szcęk wieszaków do kroplówek, rozrywanych opakowań z igłami, kółek łóżka, które jeździło w tę i we w tę między Scyllą rezonansu i Charybdą tomografu. Pojedyncze kadry, błyskawiczne flesze, ostatnie przebłyski rzeczywistości. To wszystko już mnie nie obchodziło, nie dotyczyło, nie poruszało ani trochę – a wreszcie przestało do mnie docierać nawet w odpryskach. Zamknęło się, rozpląnęło, odeszło; nie zdążyłam poprosić archanioła Michała o pomoc. Nie było już nic; jak dowiedziałam się później, nawet odruchu żrenicowego.

Archanioł Michał musiał jednak czuwać nade mną. Tak jak ludzie, których zobaczyłam przy swoim łóżku. Byli tam wszyscy – lekarze i pielęgniarki, Ewa i Filip, Krzysztof i moja matka. Ta ostatnia bez swojego aktualnego psa w ramionach i z nieco przytomniejszym niż zwykle wyrazem twarzy. Kiedy otworzyłam oczy, wpatrywali się we mnie z oczekiwaniem i w całkowitym milczeniu. Widziałam ich; widziałam ich wyraźnie i w kolorach, bez żadnych tańczących plam, ale nie oni byli pierwszym, co zobaczyłam. Pierwszy był czerwony stempel odcinający się od bieli poduszki pod moim policzkiem – litery układały się w napis „Szpital Czerniakowski”. Mogłam go przeczytać, podobnie jak mogłam poruszyć palcem, ręką, nogą. Tylko co ja, do cholery, robię w szpitalu?

– Obudziła się. Wiedziałam, że się obudzi.

– Mama? – odezwała się głosem, który nie był do końca mój. Panowałam nad słowami, ale nie nad ich tempem, które stało się nieznośnie powolne i nazbyt rozwlekłe. – Ewa? A ty nie w pracy?

Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że akurat teraz powinna znajdować się w pracy. Nie wiedziałam nawet, która była godzina ani jaka pora dnia. Nie wiedziałam, że minęło osiem godzin od chwili, w której tu trafiłam, ani że przez tych osiem godzin byłam zupełnie nieprzytomna. Ale kojarzyłam ich wszystkich, odzywałam się z sensem i, przede wszystkim, odzyskałam świadomość. To było najważniejsze. Może to nawet był cud? Kiedy okryli mnie kołdrą, pokleпали dłońmi drżącymi od tajonej czułości i nieukrywanej ulgi i wyszli na korytarz, usłyszałam przyciszone głosy:

– Ostrzegam państwa, jeszcze nie wiadomo, jak z nią będzie. To się dopiero okaże, ale wygląda na to, że jest lepiej, niż można się było spodziewać.

– Jeszcze godzinę temu mówił pan, że nie wiadomo, czy się w ogóle obudzi.

– To prawda, stan był krytyczny.

– A więc tym bardziej mam rację. Dojdzie do siebie, przecież badania nie wykazały żadnych uszkodzeń w mózgu.

– W takim razie co to było? Co jej się stało?

– Będziemy to wyjaśniać.

– Znaczą się, nie wiecie?

– Nie.

To było za trudne dla mnie; chciałam tylko spać. A może nawet nie chciałam; może po prostu musiałam – całe dorosłe życie borykałam się z trudnościami z zasypianiem, a teraz sen władczo i nie znosząc sprzeciwu, wyciągał po mnie ręce. Jakby ktoś przekreślał wyłącznik światła – klik i już, ciemność, jesteś po drugiej stronie świadomości. Spałam długo i głęboko, nie przeszkadzały mi nawet odgłosy maszynierii, do której byłam podpięta. Rurki kroplówek, kable elektrod, piskanie monitorów. Ani światło palące się przez całą noc – to był poudarowy OIOM, pielęgniarki w szklanej dyżurce nieustannie musiały mieć oko na pacjentów. Oni też mi nie przeszkadzali, choć byli to charczący, rżący i cierpiący osiemdziesięciolatekowie po wylewach rozległych i groźnych jak morze w czas sztormu. Mogłabym spać i spać, śnić i nabierać sił, a potem budzić się za każdym razem przytomniejsza.

– Pamiętasz, co się stało? – Ewa zapytała mnie na drugi dzień po tym, jak wróciłam do świata żywych. Powiedziałam jej o tym, co pamiętałam, ale była to wersja dość uboga i brutalnie przerywana w kluczowym momencie.

– Babka kazała ci wezwać pogotowie, ono przywiozło cię tutaj.

Uwierzyłam jej dopiero, kiedy zobaczyłam 999 w ostatnio wybieranych numerach w swoim telefonie. Czyli to jednak nie był wyjątkowo sugestywny film, szczególnie działająca na wyobraźnię książka ani zły sen. Czyli to działo się naprawdę. Działo się, ale w niewytłumaczalny sposób nie pozostawiło żadnych

ślądów.

– Zrobili ci wszystko, co było można. Dwa razy tomograf, rezonans półtorateslowy, EEG, punkcję kręgosłupa, wszystkie testy z krwi i jeszcze kilka innych badań. Żadne niczego nie wykazało. Czysto i w normie, a przecież to wyglądało na pełnoobjawowy udar. Ci tutaj to idioci, oni nic nie wiedzą, ale Marek widział te wyniki. – W dwóch kwestiach: medycyny i seksu Ewa nie wierzyła w niczyj inny kunszt poza umiejętnościami swego kochanka. – I on mówi, że to musiał być jakiś skrzep. Albo inny diabeł.

To ostatnie zdawało się najbardziej prawdopodobną interpretacją. Chociaż lekarze ze Szpitala Czerniakowskiego stawiali też na narkotyki albo dolegliwości natury psychicznej. Trzy razy przysyłali do mnie psychiatrę, który trzy razy zapewniał ich, że to, co mnie spotkało, nie ma związku z psychiką. Ale oni zdawali się wiedzieć swoje – to tak jak z rozwodnikami; jeśli ktoś zrobił coś raz, to znaczy, że może to powtórzyć. Zlecali więc testy toksykologiczne, za każdym razem z nieufnością i niedowierzaniem patrząc na negatywny wynik. Pytali o używki, sprawdzali zażywane przeze mnie leki, badali drożność żył, uparcie szukając przyczyn nagłego, lecz całkowicie odwracalnego skurczu naczyń w mózgu. Nic im się nie udawało znaleźć, a ja tymczasem czyniłam małe kroczki na wyboistej drodze powrotu do sił. Te wszystkie procedury, którym poddał mnie w krytycznym dniu, choć okazały się zupełnie bezużyteczne, nie pozostały bez wpływu na moje samopoczucie. Byli tak przestraszeni moim stanem albo tak pod wpływem przestraszenia nieuważni, że podczas punkcji wypompowali mi o wiele więcej płynu mózgowo-rdzeniowego niż powinni. Taki ubytek oznaczał nieustanny ból – kręgosłupa, a przede wszystkim głowy. Ten ostatni był tak dojmujący, że na początku nie pozwalał mi podnieść się nawet na chwilę; kiedy nadgorliwy rehabilitant przedwcześnie spróbował unieść mnie do pozycji siedzącej, skończyło się to bryzgami wymiocin na jego śnieżnobiałym szpitalnym uniformie. Nawet nie było mi wstyd; łóżko dla nieprzytomnych z obudową z wysokich, żelaznych prętów, rzygi i sikanie pod kołdrą do basenu stanowiło chwilowo dominujący wymiar mojej rzeczywistości. Zwłaszcza to ostatnie było upokarzające, ale i tak cieszyłam się, że zastąpiło cewnik. Już kiedyś byłam w podobnej sytuacji – bez tego nieznośnego bólu w głowie, ale z identycznym uczuciem bezradności. Musiałam przypomnieć sobie, jak to jest być unieruchomioną, całkowicie zależną od innych, zdaną na nieuchronność medycznych procedur. Żadne sprzeciwy na nic by się nie zdały; niezależnie od tego, co bym mówiła – bo zrobić raczej niewiele mogłam – codziennie przed szóstą rano przychodzili pobrać krew, po dziesiątej wieszali pierwszą kroplówkę, a nad wieczorem wręczali mi porcję lekarstw w małym plastikowym kubeczku. Ja – bezwolny przedmiot cudzych działań. Na szczęście już mało inwazyjnych i wyłącznie rutynowych; ordynator był zachwycony, że nie umarłam – śmierć zdrowej trzydziestolatki w niejasnych okolicznościach niewątpliwie stanowiłaby poważny kłopot wizerunkowy dla i tak niewysoko cenionego szpitala – a skoro przyczyn moich dolegliwości nie dało się wyjaśnić, stracił po pewnym czasie zainteresowanie moim przypadkiem. Niemniej bał się wypisać mnie do domu, nawet wtedy, kiedy ból zelżał, moja mowa nabrała zwykłego tempa, a nogi dały radę utrzymać mnie podczas spaceru szpitalnym korytarzem. Odzyskiwanie samodzielności było wspaniałym uczuciem – radość z pierwszych kroków, zachwyty, kiedy okazało się, że mogę pójść do toalety, zamiast być tam wieszona na wózkach, euforia z powodu umycia się w umywalce. Snucie się w piżamie i szlafroku szpitalnym korytarzem nagle wydało mi się ogromnym osiągnięciem i fascynującym zajęciem. Kiedyś, dawno temu, kiedy musiałam snuć się tak przez sześć tygodni, uważałam to za dopust Boży; teraz zaś uznałam tę aktywność za wyrafinowaną rozrywkę. Podobnie jak i prasę kobiecą; czytałam ją sama albo czytał mi ją na głos ktoś z odwiedzających. Wszystko mnie cieszyło – wyznania podstarzałej aktorki o kulisach planu filmowego, moment, w którym udało mi się usiąść, po raz pierwszy wstać, chwila, w której wiadomo było, że jest ze mną już na tyle dobrze, że Ewa mogła pozwolić sobie na żarcik:

– Babka nie przyjechała, bo mówi, że pofatygowałaby się tylko na dwie okoliczności: twój ślub albo

pogrzeb. A zdaje się, że obie zostały odwołane.

Kiedy przenieśli mnie z poudarowej umieralni na zwykłą salę ogólną, wiedziałam już, że wszystko będzie dobrze. Moja matka musiała podzielać to zdanie, bo uznała, że dość już rodzicielskiego wsparcia, że pora wracać do domu, w którym czeka na nią pies. Amorek – tak się nazywał aktualny ulubieniec, puchaty grubas rasy shih tzu – nie mógł przecież pozostawać tak długo bez pani. Amorek po Peryklesie i Brutusie; pamiętałam wszystkie psy matki. Podobnie jak wszystko inne.

– Madagaskar?

– Antananarywa.

– Wyspy Owcze?

– Thorshavn.

– Świetnie, nadal znasz wszystkie stolice.

Tę zabawę wymyślił Sławek; pewnie chciał się upewnić, że rzeczywiście to, co się stało, nie poczyniło żadnych szkód w moim mózgu. Nie zdziwiłabym się, gdyby robił to na polecenie Piekutowicza; ostatecznie przecież mój bezpośredni przełożony miał prawo wiedzieć, czy będę nadal nadawać się do pracy. To, że bezbłędnie wyrecytowałam tezy jego habilitacji, musiało ostatecznie przekonać profesora o mojej dalszej przydatności, bo przekazał przez Sławka list. Odręcznie napisany eleganckimi pociągnięciami pióra, na kredowym papierze, tak niedzisiejszy i stylowy jak on sam. Życzył mi w nim rychłego powrotu do zdrowia tak serdecznie, że aż się przestraszyłam, że z tej serdeczności postanowi złożyć mi wizytę i zaraz zobaczę go w drzwiach szpitalnej sali. On będzie w płaszczu z wielbłądziej wełny i jedwabnym garniturze, a ja z włosami niemytymi od dziesięciu dni i w piżamie w misie. Nie chciałam, by dystyngowany profesor oglądał mnie w takim stanie, choć odwiedziny całej reszty moich – ostatecznie przecież też całkiem eleganckich – przyjaciół nie przeszkadzały mi ani trochę. Wręcz przeciwnie: byłam im wdzięczna za czas, troskę, banany i pomarańcze. Filip przynosił mi nawet obiady własnej produkcji – dostałam chili con carne i pieczeń wołową w plastrach. Kiedy je wyjadałam z pudełek tępych, szpitalnymi sztucami, moje współlokatorki, dwie urocze starsze panie w różowych szlafrokach, oblizywały się z zazdrości. Choć Ewa i Filip oboje dbali o mnie jak o siostrę, a Sławek Jeżewski odwiedzał chyba nie tylko w celu kontroli mojej kondycji intelektualnej, to niezrównany w swojej trosce okazał się Krzysztof. To zupełnie mnie zaskoczyło – mój były narzeczony, porzucony prawie rok temu, właściwie nie odstępował mojego łóżka.

– Byliśmy akurat oboje w pracy, kiedy zadzwoniła do mnie babka. Słyszał naszą rozmowę i od razu powiedział, że jedzie do szpitala razem ze mną. – Ewa wyjaśniła mi, jak to się stało, że Krzysztof znalazł się przy mnie już pierwszego dnia. Babka wiedziała tylko tyle, że najprawdopodobniej zabrało mnie pogotowie, ale nikt nie miał pojęcia, dokąd mogłam trafić. Moja siostra i były narzeczony szukali mnie więc przez pół dnia, wydzwanając do szpitali i na izby przyjęć. Kiedy wreszcie znaleźli zgubę, lekarze nie mieli dla nich nic oprócz słów budzących trwogę i bezradnie rozłożonych rąk. Razem z Ewą Krzysztof odbierał moje rzeczy ze szpitalnego depozytu, który – jakoś tak się niefortunnie złożyło – mieścił się w podziemiach, tuż obok kostnicy. Kurtka skórzana – raz, czarne szpilki – dwie sztuki, torebka z zawartością do sprawdzenia i porównania z protokołem. Jeszcze sukienka, majtki z czarnej koronki i rajstopy z oczkiem na lewej łydce. Proszę tu pokwitować, podpis, dziękuję – tyle zostało po Michalinie Kańskiej, urodzonej 29 września 1985 roku, tożsamość potwierdzona numerem PESEL, rzeczy nieboszczki wydane rodzinie; pewnie tak właśnie wtedy się czuli. Później, podczas gdy Ewa przez telefon przekonywała matkę, że jednak powinna przyjechać, Krzysztof podjął się wyprawy do podwarszawskiej willi profesora Misiaka, który zgodził się obejrzeć wyniki moich badań. Ofiarnie i na ochotnika przemierzał miasto z kliszami ukazującymi wnętrze mojej czaszki. A po tym, jak wrócił z diagnozą niosącą nadzieję, odebrał moją matkę z dworca, zaopiekował się nią, zawiózł do szpitala.

I został tam aż do chwili, w której otworzyłam oczy. Później przychodził codziennie; z gazetami, deserami czekoladowymi i wesołymi historyjkami z życia telewizji, które miały poprawić mi humor i odciągnąć moją uwagę od skóry zaognionej w miejscu wbicia wenflonu, od szczypiącego płynu ściekającego z foliowego worka do żyły w moim ramieniu, od gburowatej pielęgniarce, która nigdy nie przychodziła, kiedy naciskało się dzwonek. Krzysztof zachowywał się tak, jakbyśmy nigdy nie przestali być narzeczonymi, jakby ten mur krzywdzącej odmowy i jednostronnego zaangażowania nigdy nie wyrósł między nami. Na początku byłam zbyt słaba, by się nad tym zastanawiać, później nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie tylko postępował wzorowo, ale i robił o wiele więcej, niż można by od niego oczekiwać. Troska, wszelka pomoc, żadnego, najmniejszego nawet skrzywienia warg na moje okulary zamiast soczewek kontaktowych, na ewidentny brak porządnej kąpieli, na tłustość moich włosów. Całe to krępujące zaniedbanie nie przeszkadzało Krzysztofowi ani odrobinę. Rozmawiał ze mną o moim zdrowiu albo na neutralne tematy, albo przywoływał jakieś nasze przyjemne, wspólne wspomnienia. Ani słowa o rozstaniu i jego życiu po nim; tak jakby żadne rozstanie w ogóle nie miało miejsca. Czasami nic nie mówił, siadał po prostu przy moim łóżku, brał mnie za moją pokłutą rękę i razem wpatrywaliśmy się we wciąż nagie gałęzie drzew za oknem. Kwietniowe dni mijały, a wiosna ciągle nie nadchodziła; za murem szpitala czaiły się chłód i wiatr, ale dłoń Krzysztofa była ciepła.

– Pani Michalino, pani powinna chyba iść do innego lekarza niż neurolog. Bo te pani ciągle wymioty to mogą wcale nie być od głowy...

Panie Januarie i Genowefo, współtowarzyszki mojej szpitalnej niedoli, pewnie długo uzgadniały między sobą, która z nich wypowie tę opinię. Ale widać było, że to ich zgodna konstatacja; podobnie jak i zgodny był ich zachwyt nad Krzysztofem w roli mojego narzeczonego.

– Taki dobry chłopak, w dzisiejszych czasach to rzadkość. Nie szkodzi, że jeszcze nie macie państwo ślubu.

Jeszcze – tak właśnie to wszystko wyglądało. Krzysztof był moim najczęstszym i najbardziej oddanym gościem. Nie pochwalam wścibstwa, ale rozumiałam panie Januarię i Genowefę; patrząc na nas, naprawdę trudno było się domyślić, że termin naszego niedoszłego ślubu dawno minął, a ostatnią okazję, by począć dziecko, mieliśmy jakieś pół roku temu.

W dniu, w którym wypisywano mnie z oddziału, to właśnie Krzysztof miał mnie odebrać i zawieźć do domu. Poprzedniego wieczoru Ewa przywiozła mi buty, sukienkę i kredkę do oczu; ewidentny znak powrotu do świata, w którym nie spędza się dni w pizamie i w którym na powrót można z pacjenta stać się kobietą.

– Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale ci powiem. Żeby po ciebie jutro przyjechać, Krzysztof odwołał spotkanie ze swoją dziewczyną. Wściekła się na niego. Wiem, bo słyszałam, jak z nią rozmawiał przez telefon. W pracy na korytarzu; nie wiedział, że tam byłam.

Siostra już kilka tygodni przed fatalną historią z moją głową sugerowała, że Krzysztof przestał pograżać się w samotności. Wiedziałam coś o jakiejś dziewczynie – żadnych szczegółów, ale nawet tylko mglista świadomość jej istnienia w życiu Krzysztofa pozwalała mi poczuć się choć trochę lepiej. Ma kogoś, nie jest sam, nie rozpamiętuje już tego nieudanego eksperymentu, w którym z mojej winy wziął udział. Teraz ta dziewczyna musiała ustąpić pola. Mnie, niestety.

– To niedobrze. Nie powinien kłócić się z nią z mojego powodu.

– Może i nie powinien, ale dobrze wiesz, że sam chce. Daj spokój, Michalina, nie udawaj. Wiesz, że wróciłyby do ciebie w każdej chwili. – W głosie Ewy zabrzmiały jakieś niejednoznaczne tony; potępienie mieszało się w nim z pewnym ożywieniem. – I wiesz też, że teraz bardzo trudno będzie ci go nie przyjąć z powrotem.

To była prawda i właśnie ona martwiła mnie najbardziej. Krzysztof zdał praktyczny egzamin

z przysięgi małżeńskiej bez jej składania – w chorobie, biedzie i nieszczęściu. Jedyną oceną, jaką mogłabym mu postawić, był celujący. Ale tym razem ta szóstka nie oznaczałaby świadectwa z czerwonym paskiem i nagrody książkowej. Oznaczałaby mnie. A czy ja miałam ochotę być dla kogoś nagrodą za wysoką średnią ocen i wzorowe zachowanie? Czy wdzięczność należy postawić ponad wolą? A nawet jeśli, to przecież Krzysztof nigdy nie zadowoliliby się wdzięcznością; trzeba by już do końca udawać, że to miłość.

– Wiem, że to nie na teraz i w ogóle... ale tak sobie myślę, że to trochę cud, że wyszłaś z tego wszystkiego bez szwanku. Może to znak? Żeby coś zmienić w życiu, no wiesz...

Ewa nie byłaby dobrą nauczycielką; jej zapędy moralizatorskie zniweczyłyby każdy wysiłek pedagogiczny. Zresztą zapewne winny był tu wpływ, jaki miał na nią profesor Misiak ze swoją niezachwianą wiarą w przeznaczenie, wróżby i prorocstwa. Ale chociaż mogłam zbyć siostrę uśmiechem, zbagatelizować jej słowa, rzucić na wiatr obietnicę, że tak zrobię, i za chwilę o niej zapomnieć, to w głębi ducha wiedziałam przecież, że ma rację. A przynajmniej odrobinę racji. Bo w żaden sposób nie umiałam z mojej udręczonej głowy pozbyć się myśli, że może to było ostrzeżenie. Albo ostatnia szansa?

\*

Ze szpitala wypisali mnie z receptami na leki przeciwbólowe i antywymiotne, garścią porad na temat zdrowego trybu życia i właściwie bez żadnych zaleceń. „Proszę za miesiąc zgłosić się do neurologa i brać codziennie aspirynę”. Więc brałam; poza tym wciąż nadawałam się głównie do tego, by leżeć, ale leżenie na kanapie we własnym domu, w ubraniu i po prysznicu, było czymś nieporównywalnym z tkwieniem w szpitalnej pościeli. Sama zdumiałam się, jak bardzo potrafią mnie cieszyć zwykłe, codzienne czynności. Ile radości daje zaparzenie sobie herbaty albo jak przyjemnie jest zamówić pizzę przez telefon. O kąpieli nie wspomnę – poczułam się jak nowo narodzona, kiedy natychmiast po tym, jak Krzysztof przywiózł mnie ze szpitala, położyłam się w wannie. Niestety bez drinka – na to było jeszcze stanowczo za wcześnie – ale z dużą ilością piany. Woda i pachnące olejki wymywały pozostałości szpitala, spłukiwały nalot choroby, oczyszczały z brudu i złych przeżyć. Nigdy nie sądziłam, że tak bardzo mogą mnie cieszyć wytuszone rzęsy, ogolone nogi, wklepany balsam. Tak jakbym wracała do swojej właściwej postaci, odzyskiwała naturalną formę po jakimś wymuszonym przepoczwarzeniu w zwinięty kłębek bólu, nieporadności i brudnych włosów. Długo spałam, dużo czytałam, nadrabiałam zaległości z wydarzeń politycznych, które umknęły mi, gdy leżałam pod kroplówką. Wreszcie zrobiło się ciepło; nie czułam się jeszcze na siłach, by poczuć wiosnę na własnej skórze, ale mogłam patrzeć, jak cieszą się nią ludzie za oknem. Kiedy układałam się na leżaku na tarasie, przez całe dni towarzyszyły mi odgłosy, z jakimi nadwiślańskie knajpy budziły się do swego sezonowego życia. Otwieranie lokali, wystawianie stolików na zewnątrz, pokrzykiwania pierwszych bywalców. Słuchanie tego było przyjemniejsze niż kiedykolwiek – istnieje normalny świat, świat poza szpitalem i bólem, świat, do którego właśnie wracam. Po trzech dniach odważyłam się wyjść do sklepu; zdumiałam się, jakie to doskonałe uczucie kupić gazetę, jak pięknie jest być wśród ludzi, jak dobrze stać wyprostowaną. Zwykłe chodzenie wydało mi się niebywałym osiągnięciem. Po tygodniu wybrałam się na pierwszy spacer – kwadrans wokół domu i sąsiednich budynków. Założyłam szpilki, aby poczuć się tak jak zwykle; nogi niosły mnie jeszcze niepewnie, prawie zapominałam, jak to jest, kiedy idziesz przed siebie i wysoko trzymasz głowę. Choć kręciło mi się w niej jak na karuzeli, to było prawie ekstatycznie przyjemne; jak powrót do świata po chwili wyłączenia, po tygodniach izolacji, po momencie zwątpienia. Każdego następnego dnia wychodziłam trochę dalej – najpierw kiosk, później sąsiednie budynki, następnie granica mojej dzielnicy. Przypomniały mi się dawne czasy w rodzinnej wsi, kiedy codziennie wychodziłam na ulicę i szłam

kawałek dalej. Teraz znów robiłam to samo, ale tym razem nie po to, by zobaczyć, co jest za zakrętem, ale by dowieść samej sobie, że dam radę tam dotrzeć. I docierałam; głowa przestała boleć, na kręgosłup pomagały tabletki, nabrałam sił. Między innymi na to, by upewnić się, że mogę wracać do pracy.

– Tu nic nie ma. Naprawdę. Powiedziałbym ci, gdyby było.

Marek Misiak przeniósł wzrok z przekroju orzecha włoskiego na mnie. Orzech włoski – uwieczniony w wielu ujęciach i sportretowany z każdej strony – był moim mózgiem; założyłam, że mówiąc: „Tu nic nie ma”, żonaty narzeczony mojej siostry nie usiłuje mi powiedzieć, że mam pusto w głowie. Wyłączył podświetlany ekran – tajemnice mojego mózgu zgasły, zniknęły, pogrzały się w mroku czarnych plam na nieczytelnej kliszy. Misiak miał na sobie niedbale zarzucony, ale bardzo starannie wyprasowany fartuch lekarski; z kieszeni wystawał mu telefon. Wyświadczał mi dużą grzeczność, przyjmując mnie w swoim przestronnym gabinecie ordynatora w państwowej klinice. Bez zapisów w prywatnych przychodniach, bez półrocznej kolejki i bez płacenia trzystu złotych za dziesięciominutową wizytę.

– Panie profesorze, odgrzać panu obiad? – Sekretarka bezceremonialnie wetknęła głowę do gabinetu. Państwowa klinika, domowa atmosfera.

– Dziękuję, pani Marzenko, ale mam gościa, może później... – Aby pokryć zakłopotanie, od razu powrócił do autorytatywnego tonu konsultacji medycznej. – Jesteś zdrowa, Michalino. Acard codziennie, zdrowy tryb życia, takie tam.

– Takie tam?

Przeszliśmy od podświetlanych czytników klisz rentgenowskich do biurka; profesor Misiak odsunął dla mnie krzesło. Ciekawe, czy z taką atencją traktował wszystkich swoich pacjentów.

– No co mam ci powiedzieć? – Musiał właściwie zinterpretować wyraz mojej twarzy, bo dodał: – To pierdoły, wiem. Ale nie ma podstaw, by zalecić ci cokolwiek innego. Ciesz się i podziękuj, komu trzeba.

Znając Misiaka, zapewne miał na myśli siły nadprzyrodzone, ale tym razem nie zamierzałam z tym polemizować. Ani nawet uśmiechać się złośliwie. Chociaż właściwie mogłam znaleźć do tego podstawy – jak to możliwe, że ktoś tak przesądny nie wie, że niepochowane ludzkie szczątki przynoszą pecha?

– To nie jest plastik, prawda? – Wyciągnęłam rękę w kierunku czaszki, która zajmowała poczesne miejsce na jego biurku. Swoim bezzębnym obliczem zwrócona do gości łypała na mnie pustymi oczodołami. Dlaczego na mnie, a nie na właściciela?

– Oczywiście, że nie. – Profesor Misiak pogłaskał czaszkę pieszczotliwym gestem. – Mam ją od studiów, sporo zachodu mnie kosztowało, żeby ją zdobyć od grabarzy.

Wzdrygnęłam się nieco na myśl, że tymi samymi dłońmi – i pewnie takim samym gestem – dotyka mojej siostry. A także swojej żony, która właśnie dobitnie przypominała o swoim istnieniu dzwonkiem telefonu. Karny małżonek musiał mieć aparat zawsze pod ręką; to dlatego trzymał go w kieszeni fartucha. Wyprasowanego pewnie z taką starannością właśnie przez panią Misiakową.

– Nie zjadłem jeszcze. Czyli nie wiem, ale na pewno dobre. Tak, oczywiście. Jak ty ugotowałaś, kochanie, to musi być dobre. Gdzie? A, w przedszkolu. Powiedz im, że tatuś już niedługo przyjdzie. Tak, będziemy dalej budować domek na drzewie. Całuję was, pa.

Chyba zapomniał, że nadal tu jestem. Dopiero po skończeniu rozmowy zorientował się w niezręczności sytuacji. Obrazek rodzinnego szczęścia, sielanka jak z reklamy margaryny, pełne zaangażowanie w czułą konwersację. Mężczyzna, który lada moment ma poprosić żonę o rozwód, nie rozmawia z nią w ten sposób. Ja to rozumiałam, Misiak to rozumiał, nawet ta czaszka na jego biurku to rozumiała – przecież też była kiedyś człowiekiem i nic, co ludzkie, nie było jej obce. Mój na zawsze niedoszły szwagier spojrzał na mnie, a w jego spojrzeniu poczucie winy mieszało się z bezradnością. Nic nie powiedział, bo przecież nie musiał nic mówić. Ja wiem, on wie, wszyscy wiedzą. Tylko Ewa nie wie i pewnie uczyni wszystko, aby nigdy się nie dowiedzieć.

– Dzięki za poradę, Marek.

– Daj spokój, nie ma za co.

Wstał, aby się pożegnać, nawet odprowadził mnie do drzwi, ale jeszcze zanim wyszłam, całą uwagę skupił na ekranie swojego telefonu. Pewnie pisał do Ewy; trzeba było jakoś jej wytłumaczyć, że dzisiaj nici z randki. Domek na drzewie – wiadomo. Teraz i na zawsze, a także wtedy, gdy ona zestarzeje się, czekając na niego.

\*

Krzysztof chyba nie był zadowolony, że wróciłam do pracy; jakby od mojej samodzielności wołał stan, w którym byłam odeń zależna. Tak uznałam, chociaż nie byłam wcale przekonana, czy mam prawo myśleć tak o kimś, kto tyle dla mnie zrobił. Odwiedzał mnie każdego dnia. Przynosił obiad, robił masaż stóp, oglądał ze mną nudne programy w telewizji. W dzień wolny i w dni pracy, przed dyżurem albo po, codziennie – zawsze miał dla mnie czas. Był u mnie częściej niż Ewa i Filip razem wzięci, dbał o mnie tak, jakby troska o byłą narzeczoną stanowiła nie tylko jego zobowiązanie, ale i jedyne zajęcie. Nigdy nie padło między nami słowo o dziewczynie, z którą ponoć był teraz związany. Nawet nie wiedziałam, kto to jest. Ja nie pytałam, on nie mówił. Mówił za to o nas. Pewnego razu na dzień przed moim powrotem na uczelnię.

– Cieszę się, że wracasz do zdrowia i do pracy. Ale chciałbym cię nadal widywać.

– Oczywiście, że możemy się widywać. – Było mi nieco wstyd za tę żalostną próbę udawania, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Po odwołaniu ślubu też się przecież co jakiś czas spotykaliśmy, ale nie wątpiłam, że nie o takiego rodzaju spotkania mu chodzi.

– Michalina, przecież wiesz, o czym ja mówię. – Niestety, wiedziałam. – Chcę, żebyśmy znów byli razem.

I co ja miałam mu powiedzieć? Że jestem niewdzięczną suką? Że go nie kocham i nie czuję się na siłach udawać, iż jest inaczej? Że uważam za podłe domaganie się ode mnie czegoś w zamian za okazaną mi wielkoduszność, o którą wcale nie prosiłam i bez której tak naprawdę bym się obeszła? Zajął się mną, zachował się świetnie, dowiódł, że można na nim polegać. Ale czy godzi się, by rycerz natychmiast po uratowaniu damy wystawiał rachunek za swoją szlachetną usługę? Czy przypadkiem nie chodziło o to, by wykorzystać sytuację? Czy to była miłość, czy może jednak matnia? Sama nie znałam odpowiedzi na te pytania; wiedziałam tylko, że szkoda mi mojego cudem odzyskanego życia na kłamstwa. Że nie mogę, nie umiem, nie potrafię. Interesowny rycerz, felerna dama.

– Krzysztof... – Wzięłam głęboki oddech, dłonie splótłam na kolanach, tak by nie widział, jak wbijam paznokcie w skórę. Odwagi, potrzeba mi odwagi. Co raz zostało zepsute, nigdy nie będzie już w pełni sprawne. Potłuczony talerz, uszkodzony mechanizm, popruty materiał. Można sklejać, naprawiać, cerować, ale to już nigdy nie będzie to, co na początku; to, co dobre, piękne i właściwe. Mam do zaoferowania tylko jazdę na nieoryginalnych częściach zamiennych – podróbkę uczucia, swoje fobie i obsesje, xanax i alkohol. Nie obiecuję, że się zmienię, bo zamiast zmiany mam w ofercie tylko udawanie. Z małym domkiem zasypanym śniegiem jest jak ze Świętym Mikołajem – nie da się ponownie w niego uwierzyć, kiedy już dowiedzieliśmy się, że nie istnieje. Nie chcę za twoją dobroć odpłacać ci fałszywą monetą. Nie jestem po twojej stronie; może i chciałabym być, ale nie jestem, bo kiedyś, nieopatrznie i na własne nieszczęście, przeszłam na drugą. A są miejsca, z których już nie da się wrócić. Przepraszam cię, nas obojga mi żal; nie wiem tylko, którego bardziej. – Nie nadaję się. Daruj mi, ale nie nadaję się, by dać ci to, czego chcesz.

Ani to, na co zasługujesz – wiedziałam, że tak jest, kiedy bez słowa mnie objął. Przytulił, uścisnął,



pocałował w czoło. Po czym po prostu wyszedł, nie żądając wyjaśnień, nie tocząc awantur, nie męcząc mnie swoim zawodem i rozczarowaniem. A nazajutrz zadzwonił z pytaniem, jak się czuję i czy mi czegoś nie potrzeba.

– Jeśli będę mógł jakoś ci pomóc... – I choć tym razem miał pewnie na myśli już tylko zakupy i strach na wypadek nagłego bólu głowy, brzmiał tak, jakby wciąż wierzył, że da się wydobyć dźwięk z dzwonu bez serca. – Zawsze masz we mnie przyjaciela – powiedział, a ja po raz pierwszy od jedenastu lat byłam bliska łez. Tych prawdziwych, nie sztucznych. Poczułam się zupełnie sama – tak, jakby nawet archanioł Michał nie zerkał już na mnie. Pewnie był czymś bardzo zajęty na swojej chmurze przybrudzonej smogiem wielkiego miasta i dlatego odwrócił wzrok. A może po prostu nie mógł już na mnie patrzeć?

– Dziękuję ci – powiedziałam do Krzysztofa i rozłączyłam się jak najszybciej. Stałam na chodniku przed jednym z budynków uniwersytetu: odnowione fasady, gwar ludzkiej fali przelewającej się przez Krakowskie Przedmieście, wieżowce majaczące gdzieś daleko na horyzoncie. Łagodne, popołudniowe światło odbijało się w ich ścianach, ale w zderzeniu ze stalą i szkłem słoneczny blask tracił całe ciepło.

– Przepraszam. O, dzień dobry, pani doktor.

Jakiś student wpadł na mnie; zbyt był zajęty ekspresyjną rozmową z towarzyszami, by zauważyć drobną kobiecą postać zatrzymaną nienaturalnie na środku chodnika. Tuż przed budynkiem, w którym na parterze znajdowała się wielka aula. Na wykładach mieściło się w niej nawet dwustu słuchaczy; teraz świeciła pustką. Sfatygowane, martwe krzesła z podniesionymi siedziskami, blaty porysowane setkami długopisów, ginące w cieniu podwyższenie katedry. To w tej sali lata temu poznałam Filipa, to w niej pierwszy raz usłyszałam Piekutowicza, to wtedy postanowiłam żyć dalej, mimo wszystko. Panował tu wówczas gwar podnieconych młodych głosów, który sprzyjał resztkom fałszywej nadziei; teraz widziałam tylko swoją twarz w szerokiej, przybrudzonej szybie. Nieco niewyraźną, odrobinę wychudzoną, ewidentnie starszą. Krzysztof prawdopodobnie spróbuje kochać swoją dziewczynę, być może nawet się z nią ożeni, a później całe życie będzie pytał sam siebie, po co to zrobił. Replikacja odrzucenia, wirus krzywdy przenoszony przez kontakty uczuciowe, cudza wina, która staje się własną. Ludzie przechodzili koło mnie, spieszyli do swoich spraw, rodzin, do swoich zdrowo i normalnie dzielonych z kimś emocji. Ich strumień płynął, omijając mnie i zostawiając na uboczu. Wybrakowaną, skrzywioną, zniekształconą jak moja twarz odbita w szkle. Byłam tu sama, zupełnie sama. Miasto – to miasto, które tyle mi obiecało i które tak bardzo kochałam – żyło gdzieś obok swoim niezdrowym, za szybkim rytmem. Tylko je miałam, tylko jego zimny, złudny blask mi pozostał. Mogłam iść przed siebie, wędrować jego arteriami coraz dalej i głębiej, wstępować w boczne uliczki i zbaczać do tajemniczych zaułków, ale tym razem nie było wątpliwości, że nic już na mnie nie czeka za zakrętem.